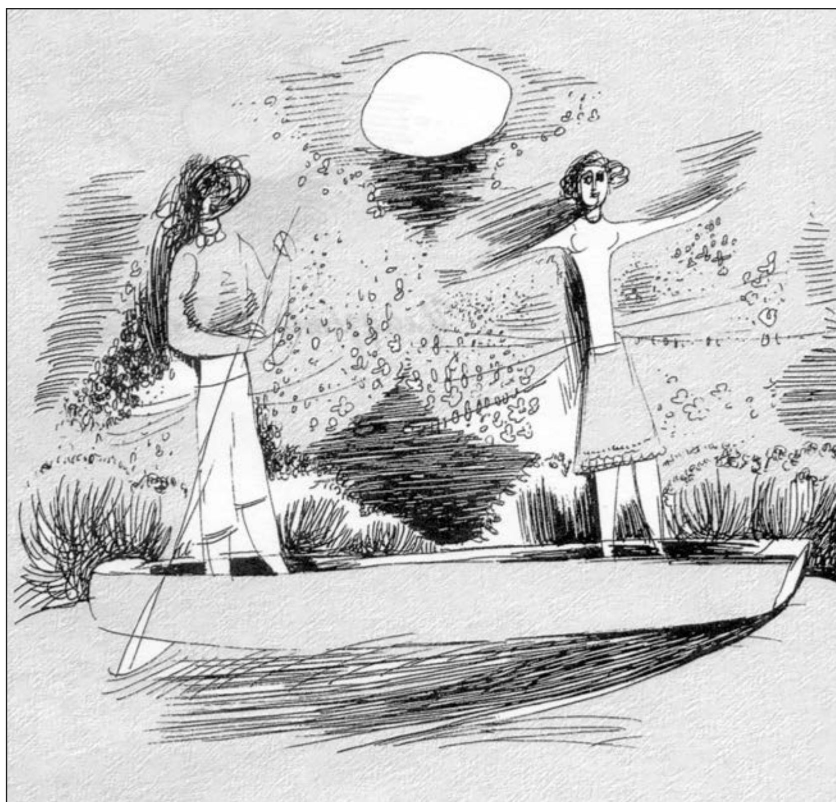
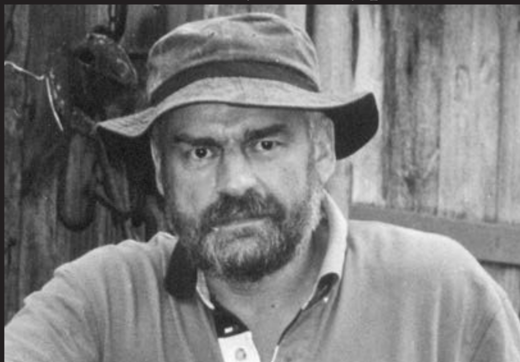


Uładzimier Arłou

KOCHANEK JEJ WYSOKOŚCI

KOLEGIUM EUROPY WSCHODNIEJ

Zbliżenie stało się nie finałem, czego się spodziewała, ale przerwą w rozmowie, do której nawiązał od razu, jak tylko ułożyli się w pościeli – jakby po prostu na jakiś czas wyszedł z sypialni i dopiero co powrócił.
„Wasza wysokość, mam dwóch synów i wątpię, aby mieli krótką pamięć...”
„Pamięć, Lićwinie, zawodzi, a historia zawsze kłamie. Wiesz, że jest mnóstwo określeń nauki Klio. Dla mnie najbardziej pasuje określenie: księga, którą piszą zwycięzcy”.



Odpowiedział nie od razu.
„Historię jeszcze nazywają wcieleniem czasu. Ona umie się przeciwstawiać. Może być bronią”.
Pragnęła szybciej skończyć rozmowę, która z każdą chwilą stawała się coraz bardziej nieprzyjemna, ale jednocześnie wiedziała, że trzeba wszystko powiedzieć do końca.
„Ludzie zawsze chcą słuchać pięknych bajek...”
Znowu odpowiedział nie od razu, ale miała wrażenie, że nie jest mu ciężko znaleźć odpowiednie słowa, a jedynie uważa, że wszystko zostało powiedziane już wcześniej.
„Tak, chcą. Ale nie wszyscy. Będą i tacy, którzy w bajki nie będą wierzyć”.
„Tacy zawsze będą w mniejszości, Lićwinie”.
Tym razem zareagował natychmiast.
„Ale zawsze będą, wasza wysokość. Niezależnie od czyjejkolwiek woli. I nigdy nie pogodzą się z losem, którego sami nie wybrali. Nigdy, wasza wysokość”.

Fragment opowiadania *Kochanek jej wysokości*



Uładzimier ARŁOU

KOCHANEK JEJ WYSOKOŚCI

Przekład

Jan MAKSYMIUK
Halina MAKSYMIUK
Konstanty BONDARUK

Kolegium Europy Wschodniej
Wrocław 2006



Seria „Biblioteka Białoruska"
ukazuje się pod patronatem
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP
Kazimierza Michała Ujazdowskiego

Logo serii oraz projekt okładki
Marek Stanielewicz

Rysunki
Alaksiej Maraczkin

Redaktorzy serii
Lawon Barszczeuski, Jan Andrzej Dąbrowski

Redakcja i korekta
Agnieszka Kondek

Opracowanie typograficzne
Maciej Szłapka

ISBN 83-89185-13-X

Wydanie publikacji zrealizowano z dotacji Gminy Wrocław

Przygotowanie do druku
Pracownia Składu Komputerowego TYPO-GRAF

Druk i oprawa
Wrocławska Drukarnia Naukowa PAN im. S. Kulczyńskiego Sp. z o. o.

Kolegium Europy Wschodniej
ul. Kiełbaśnicza 5
50-108 Wrocław
tel. 071 342 16 81
fax 071 718 19 56
e-mail: office@kew.org.pl
www.kew.org.pl

OD POŁOCKA ZACZĄŁ SIĘ ŚWIAT...

Uładzimier Arłou jest pisarzem z powołania i historykiem z wyboru. Od lat, na zmianę ze zbiorami opowiadań i esejów, niestrudzenie publikuje książki popularyzujące historię Białorusi wśród swoich rodaków. Gdy kończyliśmy przekład obecnego tomu, na Białorusi ukazał się pieczołowicie wydany album fotograficzny poświęcony zabytkom Połocka, rodzinnego miasta pisarza. Arłou, rzecz jasna, napisał tekst do tego albumu, noszącego symboliczny tytuł *Od Połocka zaczął się świat*. Z pasją i żarliwością autor wyłożył w nim ponad dziesięciowiekowe dzieje miasta, którego rolę w historii Białorusi można porównać do tej, jaką odegrały Gniezno i Kraków w historii Polski.

Dla Białorusinów historia własnego kraju to wciąż jeszcze obszar zaciętych zmagań z interpretacyjnymi wypaczeniami, przeinaczeniami i przemilczeniami, popełnianymi bądź przez rodzimych historyków stojących na różnych pozycjach ideologicznych, bądź przez autorów zagranicznych, dla których Białoruś była i pozostaje terytorium bez własnej tożsamości i podmiotowości historycznej. To przede wszystkim należy mieć na uwadze, żeby we właściwej perspektywie zrozumieć i ocenić przezentowaną tutaj prozę Uładzimiera Arłoua, jednego z nawybitniejszych współczesnych pisarzy białoruskich.

Pasję i żarliwość polemisty, co zupełnie zrozumiałe, bez trudu wyczujemy w opowiadaniach Arłoua poświęconych tematyce historycznej. Poszukiwanie Białorusi i jej tożsamości jest nieustannie obecne w kontekście lub podtekście jego opowiadań o buntach chłopskich z pierwszej połowy XVIII wieku (*Łaska księcia Hieronima*), o alkowianych igraszkach rosyjskiej carycy Katarzyny (*Kochanek jej wysokości*), czy o powstańcach styczniowych osaczonych przez carskie wojska (*Pięciu mężczyzn w leśniczówce*).

Opowiadania współczesne Uładzimiera Arłoua również nie są wolne od „myślenia o Białorusi", nawet jeśli za temat główny mają perypetie zdrowotne pisarza (*Nieboszczyk się nie poci*), wycieczkę do kartagińskich ruin (*Słonie Hannibala*) lub ekstrawaganckie wakacje w studenckim oddziale budowlanym (*Opowieść syberyjska*). Być może to właśnie egzystencjalna niepewność co do przetrwania Białorusinów jako odrębnego narodu

dyktuje pisarzowi, świadomie lub podświadomie, słowa troski, uszczypliwości i sarkazmu adresowane do swoich rodaków.

Jednakże polski czytelnik raczej nie powinien odczuć tego „białoruskiego kompleksu" Arłoua jako czegoś niestrawnego lub otwarcie dydaktycznego, ponieważ fabuły pisarza są na tyle zajmujące i świetnie opowiedziane, że można je czytać z przyjemnością bez zwracania szczególnej uwagi na ich drugie, narodowe podłoże. Tłumacze Arłoua właściwie mogą czuć się zwolnieni z obowiązku opatrywania tekstów pisarza komentarzami i przypisami natury historycznej. Dobra literatura broni się sama.

Trudno dzisiaj wyrokować, ile jeszcze czasu Białorusini będą potrzebowali na przekonanie samych siebie, że są podmiotem, a nie przedmiotem historii. Można jednak prognozować z całą pewnością, że dopóki tacy pisarze jak Uładzimier Arłou piszą po białorusku, literaturze białoruskiej nie grozi zejście ze sceny historycznej.

Jan Maksymiuk

I



NIEPODLEGŁOŚĆ TO...

Niepodległość to, gdy przyjdziesz na świat w klinice położniczej, w której nie ma najsterylniejszych na świecie sowieckich karaluchów, a są igły jednorazowe i pieluszki.

Niepodległość to, gdy twój ojciec pójdzie do urzędu stanu cywilnego po metrykę twego urodzenia zaświadczającą, że na cześć dziadka nazwano cię Ryhorem, a kobieta tam siedząca bez problemów wypisze ten dokument, nie wyciągając z szuflady „Wykazu imion własnych narodów ZSRR", nie wymachując nim histerycznie i nie tłumacząc twemu ojcu, że może bez problemów nazwać syna Fajzułą albo nawet Mamajem, ale Ryhorem nie może, bo nie ma takiego imienia na świecie (a jest natomiast *normalnoje czierłowiecziesкoje* imię Grigorij).

Niepodległość to, gdy pójdziesz do szkoły, gdzie będą cię uczyć w twoim języku (a koleżankę Grażynkę, która spodobała ci się w przedszkolu, w jej języku, a kolegę z sąsiedztwa Miszę, co ma ojca Izaaka, w jego języku, a drugiego twojego kolegę z sąsiedztwa Aloszę, którego rodzice przyjechali tutaj, bo w ich mieście na Wołdze, by kupić mleko dla dziecka, trzeba było ustawiać się w kolejce o piątej rano – w jego języku). Będą cię uczyć w twoim języku i w tym celu twój tato i mama nie muszą przez całe lato chodzić po mieszkaniach i zbierać oświadczeń od rodziców, którzy bynajmniej nie byli przeciwni nauczaniu swoich dzieci w swoim języku, ale po prostu nigdy o tym nie myśleli, bo wyrastali w internacjonalizmie. I tych oświadczeń nie zgubi trzy razy dyrektor i dwa razy sekretarka, a pierwszego września na uroczystym apelu nie usłyszysz, że „z każdym rokiem baza materialno-techniczna naszej szkoły udoskonala się", a po wejściu do klasy nie dowiesz się, że dzięki nieustającej trosce partii i rządu macie tylko jeden elementarz i dwie matematyki w języku ojczystym na całą klasę.

Niepodległość to, gdy twoja drużyna nie będzie walczyć o prawo do noszenia imienia Pawlika Morozowa albo Aleksandra Miasnikowa, bo wszyscy będziecie doskonale wiedzieć, jak Pawlik kochał swego tatę, a Miasnikow Białorusinów.

Niepodległość to, gdy na wykładzie matematyki na uniwersytecie twój smagłoskóry rówieśnik z Madagaskaru pochyli się

w twoją stronę i zapyta, co znaczy słowo *imawiernaść**, a ty mu to wytłumaczysz po francusku.

Niepodległość to, gdy będziesz służyć w wojsku nie dalej jak w nadgranicznym mieście albo wsi na swojej ziemi i nikt nie rozkaże ci malować trawy albo sprzątać terenu „stąd do obiadu". W niedzielę będziesz mógł pojechać do rodziców albo do swej dziewczyny i nikt cię nie nazwie *bulbaszem***, a twego przyjaciela *czornożopym**** za to, że przez sen mówicie po swojemu, oraz nikt nie rozkaże ci ostrzyć saperki, by okopać się w Baku albo Tbilisi.

Niepodległość to, gdy twoja dziewczyna mówi, że chce spędzić przyszły weekend w Wiedniu i ty najzwyczajniej w świecie obiecujesz jej, że wypijecie kawę naprzeciwko pałacu Schönbrunn, wiedząc, że przed waszą wycieczką nikt cię nie będzie wypytywał, czy w dzieciństwie nie byłeś Żydem, a także czy już byłeś za granicą, kiedy stamtąd wróciłeś i w jakim celu.

Niepodległość to gdy na Dziady, w Dzień Zaduszny, idziesz na cmentarz, by zapalić tam świeczkę i położyć kwiaty, a nie stać się obiektem testów gazu paraliżującego albo nowego modelu pałki gumowej.

Niepodległość to, gdy twój syn przynosi ze szkoły piątkę z historii i ty go za nią chwalisz, bo wiesz, że dostał ją z przedmiotu, gdzie uczą nie o Pobojowisku Lodowym i o zwycięstwie kolektywizacji, a o bitwie pod Grunwaldem, która uratowała twój naród od zagłady, oraz mówią prawdę o władzy, która rozstrzelała twego dziadka i zamorzyła głodem twoją babcię.

Niepodległość to, gdy odwiedzi cię białoruski piosenkarz z Nowego Jorku i wypijesz z nim parę kieliszków wiśniowki, po czym uprzejmi faceci w cywilu nie proponują ci, byś ze szczegółami opisał, gdzie i coście pili i komu przy tym wymyślaliście.

Niepodległość to, gdy nie musisz słuchać, jak twój prezydent poucza z ekranu rodaków „Jak chcem, tak mówiem", bowiem

* Prawdopodobieństwo (*biał*.).

** Przezwisko Białorusinów w byłym ZSRR, od słowa *bulba* (*po biał*.: ziemniaki).

*** Przezwisko mieszkańców republik środkowoazjatyckich i zakaukaskich w byłym ZSRR.

twoim prezydentem jest człowiek piśmienny i znający dobrze przynajmniej jeden język.

Niepodległość to, gdy z ekranów telewizyjnych i łamów prasowych nagle znikają listy od niestrudzonych i tajemniczych weteranów oraz zastraszające wieści o nacjonalistach i ekstremistach z frontów narodowych, którzy nie śpią nawet w nocy, by rozpalać wrogość etniczną pomiędzy tobą, Aloszą i Miszą, tatę którego zwano Izaakiem, a także Grażyną, która już od dawna jest twoją żoną, ażeby wszcząć między wami krwawą rzeź i wykoleić pociąg przebudowy.

Niepodległość to, gdy nikt cię nie straszy, że twój naród nie przetrwa bez wielkiego starszego brata, bo nie ma własnych boksytów i diamentów, a ty rozumiesz, żeś niepotrzebnie współczuł nieszczęsnym Holendrom i Belgom, którzy nie mają ani boksytów, ani diamentów, ani nawet starszego brata.

Niepodległość to, gdy ogromne ciężarówki z napisem „Centrowywóz" (czy widziałeś przynajmniej jedną ciężarówkę z napisem „Centrowwóz"?) podjeżdżają pod nasze, a nie pod obce sklepy.

Niepodległość to, gdy raptem się okaże, że i u nas są łebscy ludzie i że gdy, nie daj Boże, wybuchnie fabryka albo spadnie jakieś inne nieszczęście, nie trzeba będzie czekać na przyjazd komisji złożonej z moskiewskich mędrków.

Niepodległość to, gdy oddając ducha Bogu wiesz, że po tym, jak zmienisz ten świat na lepszy, w miejscu cerkwi albo kościoła, gdzie cię ochrzczono i gdzie wziąłeś ślub, nie wykopią sadzawki z brudnym łabędziem i nie zbudują basenu imienia XXVIII zjazdu KPZR, a cmentarza, na którym będą spoczywać twoje kości, nie zamienią w zaśmiecony pustymi butelkami park kultury i wypoczynku imienia towarzysza Gorbaczowa.

Niepodległość to...

Niepodległość to, gdy od narodzin do śmierci czujesz się swoim na swojej ziemi.

Wierzę, że kiedyś tak będzie.

Bo inaczej po prostu nie warto żyć.

Luty 1990

Przełożył Jan Maksymiuk

MASZA I NIEDŹWIEDZIE

Nie wierzyć w reinkarnację jest idiotycznie łatwo.
A jeśli jednak istnieje? Jeżeli w swych poprzednich wcieleniach – jak ujrzała to w ezoterycznych tablicach pewna wielce obeznana dama – rzeczywiście oddychałeś upajającym powietrzem XVIII wieku, budząc się i zasypiając pod postacią wziętej meksykańskiej tancerki, osoby kuszącej, podstępnej i z niewątpliwym temperamentem nie tylko na scenie?

W jakim wcieleniu i po ilu latach albo wiekach wrócisz na ten padół po wymuszonym lub dobrowolnym rozstaniu się z obecnym ciałem i dzisiejszą świadomością?

Czy choćby w minimalnym stopniu twoje następne wcielenia zależą od twoich zasad i postępowania? (Czy rację ma Platon, który w jednym ze swoich sławnych dialogów bezlitośnie stwierdza, że hulaków, obżartuchów i pijaków czeka nieuchronny los osła?)

Czy nie marzysz, by twoja dusza odpoczęła od ludzkiego wcielenia, znajdując ukojenie w zupełnie innej powłoce cielesnej i z zupełnie nowym zakresem możliwości i niemożliwości?

Czy będzie uwzględnione twoje życzenie ucieleśnienia się w pewną konkretną postać albo konkretne miejsce? A może (licząc na to, że gdzieś tam na górze będziesz wysłuchany) powinieneś swoje życzenia nagłośnić publicznie, jak zrobił to Josif Brodski, który wielokrotnie powtarzał, że chciałby żyć w Wenecji, nawet jako kot albo szczur.

O takich rzeczach dobrze jest porozmyślać w ogrodzie zoologicznym, zwłaszcza kiedy słońce zwiastuje wiosnę i znowu zaczynasz mieć nadzieję na lepsze, a twoją kieszeń obciąża pełna, zgrabna piersiówka z nierdzewnej stali.

Weźmy na przykład lwa. W warunkach naturalnych, jak wynika z tabliczki na klatce, lew żyje piętnaście lat, natomiast w niewoli całe trzydzieści. Co byś wolał na jego miejscu? Co lepsze? Przehasać przeznaczony ci czas w sawannie, najeść się do syta różnych zebr, antylop i żyraf i już w połowie drugiego krzyżyka wyzionąć ducha? Czy też mając wszystko podane strawić dwa razy dłuższy czas na filozoficznych obserwacjach gatunku ludzkiego, by ostatecznie dojść do wniosku, że w zoo, jak i w ludzkim więzieniu, najgorsze jest to, że nie można zamknąć się od środka.

Właściwie to skracanie sobie życia jest równie ciekawe jak przedłużanie. Czy jednak naprawdę nie istnieje jakieś kompromisowe rozwiązanie? W piętnastym roku wolności, zakosztowawszy wszystkiego na świecie (nie wykluczając pożywnego ludzkiego mięsa), mógłbyś dobrowolnie zgłosić się do ogrodu zoologicznego i niewinnie patrząc ludziom w oczy poprosić o jeszcze jedną życiową kadencję z gwarantowanym wiktem. Która z trzech możliwości obiecuje najprzyzwoitszą reinkarnację?

Obok lwa mieści się klatka gibbona, który pieszcząc wzrokiem powabne kobiety masturbuje się zapamiętale, co wywołuje zrozumiałe zainteresowanie ze strony młodych miłośników przyrody. Rodzice nieomal siłą odciągają ich ku innym klatkom. Kim był ten gibbon w swym poprzednim wcieleniu? Maniakiem seksualnym? A może chłopcem z okolic Czernobyla, który po cichu zmarł na białaczkę i nie zdążył stać się mężczyzną?

A kim był twój łagodny kuzyn krokodyl, który w swej zimowej celi nie może nawet wyprostować ogona i marnieje jak żywy znak zapytania bez kropki?

Pyton, obdarzony niemal ludzkim pięknem, ale o wiele bardziej perfekcyjną od ludzkiej anatomią, ma znacznie więcej przestrzeni. Wystarcza jej także trzem żwawym białym kuropatwom, które są podwieczorkiem pytona. Kto wie, czy w swoich poprzednich wcieleniach te pełne gracji, beztroskie istoty nie były zawodowymi ladacznicami i weneryczkami albo może prymuskami i sekretarzami organizacji komsomolskich...

Ty także pragnąłbyś po śmierci powrócić na ten świat pod postacią ptaka. Nie na darmo przecież wyobrażałeś siebie kiedyś jako gawrona latającego samotnie nad miastem i lądującego w najbardziej nieoczekiwanych miejscach: poczynając od domu wariatów, a kończąc na kuchennym parapecie pewnej wiarołomnej znajomej.

Dlaczego gawron, a nie, powiedzmy, bocian? Może dlatego, że wtedy nie trzeba byłoby odlatywać na zimę, bo podejrzewasz, że z wiekiem możesz się rozleniwić i zgnuśnieć w przekonaniu, że z własnego okna da się zobaczyć więcej niż w podróży dokoła świata.

Ale oto problem podstawowy: czy we wcieleniu gawrona będziesz pamiętać, że ty to właśnie ty? A jeżeli nie? Jeżeli nie będzie zasadniczej różnicy między tobą w nowym cielesnym przyodziewku a tobą poprzednim, cierpiącym, nie daj Boże, na

chorobę Alzheimera, przy której człowiek traci pamięć, a więc i swoje ja? Jeżeli tak, to nie wszystko jedno, czy wrócisz do tego świata czy nie? A kiedy nawet wrócisz, to czy będzie miało znaczenie, w jakim wcieleniu: zimnokrwistego węża, kochliwego marcowego kota, błotnej pijawki albo niebieskiego motylka, który żyje tylko jeden dzień? Nie, chyba jednak bycie kotem ma więcej zalet niż bycie wężem. Ale istnieje ryzyko, że znajdziesz się w błędnym kole, bo patrzysz na swoje potencjalne wcielenia wyłącznie z ludzkiego punktu widzenia. Gdzie masz gwarancję, że w chwili śmiertelnego ukąszenia ofiary wąż nie przeżywa rozkoszy i błogości stokroć większej i wszechstronniejszej od twoich odczuć w chwili nawet najbardziej fantastycznego orgazmu?

No właśnie, orgazm. Dlaczego w tym momencie zazwyczaj chcesz choć na chwilę stać się kobietą, by dowiedzieć się, co czuje ta nieprzenikniona istota, z którą dzielisz łóżko? Może tamta meksykańska tancerka nigdy nie istniała, bo w przeciwnym razie zapamiętałbyś ją? Trudno ci uwierzyć, by owa smagła kobieta z olśniewająco białymi zębami, imponującym biustem i z całym bogactwem swoich-twoich niewieścich wdzięków służyła jedynie za wzór oziębłości i w ciągu pięćdziesięciu trzech (jak wynikało z ezoterycznych tablic) burzliwych lat nie odczuła żadnej przyjemności seksualnej.

Jedyne, na co zdecydowanie się nie zgadzasz, to powrót na ten świat pod postacią rośliny. W tym względzie przyznajesz rację filozofom: dowolny, nawet najpiękniejszy kwiat jest skazany na nieświadomą, na wpół senną, przykutą do ziemi wegetację. Tymczasem nawet najbardziej niepozorny komar jest wolny. Brzęczy swoim niewidocznym brzęczykiem, wykręca skomplikowane piruety w promieniach słońca, sam wybiera swoją trasę i żywiciela. Zwierzę ma wybór i nawet niewidzialny dla ludzkiego oka orzęsek, który ma wymiary jednej tysięcznej kropli, jest naprawdę niezależny od całej reszty Wszechświata, natomiast potężny klon, na którego gałązce wisi ta kropla, wolny nie jest. Nie chcesz wyrosnąć jako klon, żeby jakiś moczymorda mógł cię obsikiwać, a ty byś nawet nie mógł dać mu kopniaka. Niech już raczej będzie to mikrokosmos orzęska. (A swoją drogą ciekawe, ile orzęsków mieści się we wszechświecie twojej piersiówki?)

Włócząc się od klatki do klatki, od łyka do łyka i od refleksji do refleksji, zaplątujesz się w ich gąszczu do tego stopnia, że

niemal puszczasz mimo uszu wydarzenie, które niedawno wzburzyło spokojny nurt tutejszych dni i napełniło serca mieszkańców i odwiedzających zwierzęcymi i ludzkimi emocjami.

Zresztą, to wydarzenie nie było czymś nadzwyczajnym: białe niedźwiedzie zjadły dziewczynkę Maszę.

Tę historię, przyprószoną fatalistycznym smutkiem, usłyszałeś w kilku wersjach ogrzanych ludzkim współczuciem.

Według pierwszej, braciszek nieopatrznie postawił siostrzyczkę na murku wybiegu, a jej zachciało się pobawić z „misiami". Po chwili miłośnicy natury przekonali się, że łagodne, nieomal pluszowe misie były głodne. (Niektórzy stali bywalcy zwierzyńca precyzują, że dziewczynka Masza w ubiegłym roku przyjechała z rodzicami z Rosji.)

Druga wersja głosi, że dzieci podobno dorastały w mocno alkoholicznej rodzinie i że braciszek naumyślnie zepchnął kochaną siostrzyczkę, jak niekiedy pisklęta wyrzucają z gniazda swe słabsze rodzeństwo, aby mieć więcej pożywienia dla siebie.

Zwolennicy trzeciego wariantu są przekonani, że Masza, po której zostały tylko przeżute, różowe majtki, wcale nie była małą dziewczynką. Zdążyła już wbić swe ostre ząbki w jabłko ziemskich pokus, bo chorowała na AIDS i zaraziła setkę mężczyzn oraz kilkadziesiąt kobiet i dziewczynek. Pod ciężarem wyrzutów sumienia ta poczwara totalnego seksu w różowych majtkach poszła w gości do niedźwiedzi, egoistycznie nie przejmując się, że je również może zarazić.

Ta ostatnia wersja ma swoją podwersję, według której Masza, chora od urodzenia na nieuleczalną chorobę, zdołała nieświadomie zarazić nią jedynie swego kochanego Goszę. Po usłyszeniu straszliwego wyroku od lekarza ta młodociana para od razu na ganku poradni poprzysięgła wspólnie wyrównać rachunki z rzeczywistością. Jednak w ostatniej chwili Gosza przejawił obrzydliwą słabość charakteru i teraz do końca swych dni śnić mu się będzie pogardliwy uśmiech na ustach ukochanej, przesłany z paszczy północnego drapieżnika.

Inne wersje mają o wiele mniej zwolenników. Na przykład ta, że Masza w ogóle nie chorowała na AIDS, tylko lekkomyślnie zakochała się i straciła cnotę w gorących objęciach miejscowego playboya, wstrętnego i wszawego biznesmena, który nawet w najintymniejszych chwilach dzwonił do kogoś z komórki i zamawiał wagon ryb. Ten potwór nigdy nie pozwolił sobie

na obcowanie z tą samą kobietą więcej niż jeden raz, a tę dosyć egzotyczną formę samobójstwa porzucona Masza wybrała dlatego, że pisała wiersze, więc miała artystyczną duszę, która nawet w drobiazgach nie znosiła banału.

Bezwiednie zaczynasz szukać rymu do słowa „niedźwiedź": „zaledwie", „śmierdzieć"... Dalej przychodzą na myśl same świństwa.

W międzyczasie jakaś pani proponuje jeszcze inną wzruszającą wersję. Masza spodziewała się dziecka. Stosowna aparatura pokazała, że urodzi się chłopczyk i szczęśliwa mama już wybrała mu imię – Sasza. Ale imię okazało się niefartowne, bo dalsze wydarzenia obrały inny kierunek. Ojciec Saszy, który miał być prawowitym towarzyszem życia Maszy, przedstawił wszystkim zainteresowanym stronom dokumenty poświadczone pieczęcią notarialną. Wynikało z nich, że jest inwalidą, bo w armii radzieckiej złapał taką dawkę promieniowania, która wystarczyła, by stał się całkowitym impotentem i nie mógł mieć dzieci. „Oto masz swego Saszę" – triumfalnie oznajmił Maszy inwalida armii radzieckiej. Wesoło pogwizdując rosyjską piosenkę o tym, że „słodkie owoce zrywaliśmy wspólnie, a gorzkie ja sama", pożegnał się z przyszłą matką, a ta za ostatnie pieniądze kupiła bilet do zoo.

Nie wiedzieć czemu ta trywialna wersja nie podoba ci się. Może dlatego, że żal ci Saszy, którego drapieżniki zjadły razem z Maszą i w ten sposób przerwały proces jego reinkarnacji już na samym początku.

Sympatyczniej brzmi wariant, w którym ofiara niedźwiedziej żarłoczności była transwestytką, przeistoczoną dzięki operacji w Miszę. Jednak pewnego razu, w pieprznej i napiętej sytuacji, w skleconym przez medycynę organizmie nastąpiła reakcja odrzucenia. Przeszczepiony organ odpadł, co skłoniło zrozpaczonego Miszę, który znów przeistoczył się w Maszę, do rzucenia się w paszcze białych niedźwiedzi.

Z historii, które usłyszałeś koło wybiegu, najbardziej chyba nieprawdopodobna była o tym, że Masza ponoć nie miała nic wspólnego ani z niepełnoletnimi dziewczynkami, ani z nieszczęsnymi kochankami chorymi na AIDS, a mieszkała sobie przy ulicy Kolektorskiej w domu, gdzie skupują puste butelki. Była to podobno siedemdziesięcioletnia babcia, którą dzieci i wnuki wygnały za to, że w nocy mocno chrapała i budziła ka-

narka. Kobiecina poszła do niedźwiedzi dlatego, że bardzo lubiła zwierzęta i regularnie dokarmiała gołębie przy pomniku Dzierżyńskiego. Uwierzyć w tę wersję przy całej jej zewnętrznej logice jest niezwykle trudno. Przejście przez wysokie żelazne ogrodzenie wybiegu nie jest łatwe nawet dla zwinnej i pełnej werwy dziewczyny w różowych majtkach, a litościwi odwiedzający na pewno wstydziliby się podsadzać babcię przez wzgląd na jej wiek i powszechny szacunek, jakim ją otaczano, bowiem Masza za bardzo symboliczną opłatą wiele razy dziennie zajmowała miejsce w kolejce do okienka, gdzie przyjmowano puste butelki. Wątpliwe, żeby we wgramoleniu się na ogrodzenie pomogli Maszy jej bliscy, którzy, jak sądzisz, nie zamierzali pozbyć się jej definitywnie. Cały problem polegał na jej głośnym chrapaniu i niewykluczone, że żyjąc w naturalnych warunkach przyrodniczych i przy odpowiedniej diecie babcia szybko mogłaby się zresocjalizować i triumfalnie powrócić do swoich domowych pieleszy przy Kolektorskiej.

Zresztą nie ma pewności, że ta historia to coś więcej niż tylko złośliwa insynuacja. Natomiast rzeczywistość masz przed oczyma: zasrany wybieg i zgraję przedstawicieli fauny arktycznej, kiedyś prawdopodobnie naprawdę białych, sytych i pełnych niedźwiedziego dostojeństwa.

Co się roi w ich łbach w czasie zwyczajnej, głodnej drzemki? Może bezkresna śnieżna równina skrząca się w księżycowym świetle? Atomowy lodołamacz „Lenin" na horyzoncie rozświetlonym zorzą polarną? Kilku kościstych niesmacznych polarników? Przebłysk ciekawości i nadziei pojawia się w sennych oczach tylko wtedy, gdy do stalowych prętów zbliża się jakaś pulchniutka, beztroska dziewczynka, co z pewnością przemawia za wersją z braciszkiem i siostrzyczką.

Całkiem realny i cynicznie rozwiązły typ w modnym czarnym palcie i szarej czapce z daszkiem, nie bacząc, że wokół są dzieci, raptem proponuje wystawić na betonowym wybiegu pomnik: wesołego mosiężnego niedźwiedzia z dziewczynką w zębach. Szara czapka uważa, że niedźwiedzie zasługują na pomnik chociażby z tego względu, że nie wzgardziły człowiekiem. Czarny humor tego typa przywodzi na myśl infernalne postacie Michaiła Bułhakowa, ale nawet mroczny Asasello nie wpadłby na to, że lepiej byłoby, gdyby rosyjską dziewczynkę Maszę połknął pyton, bo ten przynajmniej byłby syty przez pół

roku, a niedźwiedzie jeszcze wieczorem tego samego dnia schrupałyby ze smakiem z pięć dalszych świeżych dziewcząteк. Oprócz tego, gdyby Maszą zajął się pyton, to przez pewien czas ją, a właściwie jej dziewczęce zarysy, można byłoby obserwować, co trochę złagodziłoby ból straty w sercach rodziców oraz chłopca, któremu Masza się podobała.

Świadkowie tych wywodów denerwują się i zadają sobie pytanie, skąd u diabła biorą się tacy ludzie. Jednak zupełnie niepotrzebnie, bo im bardziej genetycznie zróżnicowany gatunek, tym większe możliwości jego rozwoju.

Jegomość w czarnym palcie proponuje obecnym uszanować pamięć dziewczynki Maszy chwilą milczenia i pierwszy ściąga z głowy swoją czapkę. To dość skuteczny ruch, który od razu wycisza głosy oburzenia.

Ty jednak rozumiesz doskonale, że nie wolno popuszczać cugli emocjom. Jeżeli dopuścić możliwość reinkarnacji, historia z dziewczynką nie wygląda aż tak tragicznie i łatwo można przejść do rozważań o następnym wcieleniu Maszy. Jak i gdzie powróci do współczesnych ci ludzi albo ich potomków? Jako złota rybka gdzieś w Tajlandii albo głodna niedźwiedzica na zasranym wybiegu w twoim kraju?

Tymczasem myśl opuszcza swoją zwyczajną orbitę i zaczynasz rozumować mniej więcej tak. Jeżeli można w pewnym sensie mówić o reinkarnacji żywych istot w bohaterów utworów literackich, to dlaczego nie założyć, że po pewnym czasie i bohater literacki może wcielić się w człowieka albo inne stworzenie boże. Nieszczęsny Mumu za swoje cierpienia mógłby otrzymać rekompensatę w postaci losu gwiazdy muzyki pop, a okrutną dziedziczkę dobrze byłoby wysłać na śmietnik jako wyliniałą suczkę bez dachu nad głową. Kto w ogóle może zaręczyć, że świat fantazji literackich jest mniej realny niż nasz?

Pewnie nie ty jeden i nie tylko kiedy pociągasz z piersiówki zauważysz, że najczęściej to nie sztuka naśladuje życie, ale życie sztukę. Dość wspomnieć staranowanie wieżowców w Nowym Jorku przez samoloty pasażerskie, katastrofę z rodzaju tych, które znacznie wcześniej pokazał nam Hollywood.

Teraz jednak interesują cię nie arabscy terroryści, ale pokojowe, ciągle nienasycone niedźwiedzie, które w ciągu miesiąca uporałyby się z jadłospisem złożonym ze wszystkich bojowników Bin Ladena.

Jedno nie do końca uświadomione pragnienie każe ci pozostać przy niedźwiedzim wybiegu i raz po raz zataczać kręgi wokół niego.

Zachowanie niedźwiedzi niewątpliwie zasługuje na szacunek. One, jak i ty, najwidoczniej uważają, że jeżeli nie sposób wygrać, to przynajmniej nie należy się poddawać. Rzuciły wyzwanie swym dozorcom zjadając na podwieczorek przedstawicielkę ich gatunku. Jest zresztą wątpliwe, czy ta przedstawicielka, gdyby dane jej było dorosnąć, walczyłaby o prawa ubezwłasnowolnionych zwierząt, bo podobno należała do szkolnego kółka przyrodniczego, w którym uczniowie zwyczajowo męczą jakiegoś nieboraka jeża, przekazanego przez kogoś starego żółwia albo parę anemicznych wiewiórek. Sam należałeś do takiego kółka i dobrze pamiętasz, jak łagodną, zieloną żółwicę Tortillę karmiliście gazetami z portretem Chruszczowa (co paradoksalnie wyszło jej na dobre), a chuderlawą wiewiórkę pewnego razu poczęstowaliście orzechami, które przy pomocy strzykawki naszpikowaliście musztardą.

Niedźwiedzie, miejmy nadzieję, nic o podobnych eksperymentach nie wiedzą. Jest ich czworo: ojciec, matka i dwoje młodych. Po ich zachowaniu i miejscu wybranym na dzienną drzemkę widzisz, że w tej niedźwiedziej rodzinie rej wodzi stary białas, nie pozbawiony do końca wrodzonego dostojeństwa przez życie w niewoli. Z coraz większym szacunkiem przyglądasz się temu patriarsze, bo to chyba on w owym krytycznym momencie błyskawicznie ocenił sytuację i powziął jedynie słuszne postanowienie – „Jeść!”.

Doświadczasz czegoś w rodzaju iluminacji i zaczynasz rozumieć, co za magnetyzm ciągnie cię ku ogrodzeniu: to pragnienie nawiązania kontaktu ze starym niedźwiedziem. Wydaje ci się, że w tym celu nie musisz przełazić do niego (narażając się na wszystkie nieprzewidziane skutki tej eskapady). Może wystarczy, że na chwilę spotkają się wasze spojrzenia i, jak to się dzieje w świecie ludzi, najważniejsza informacja zostanie odebrana. Trzeba tylko skoncentrować się w maksymalnym stopniu i dostroić swój wewnętrzny odbiornik do odpowiedniej fali.

W pierwszej kolejności pragniesz się dowiedzieć, kim był w swym poprzednim życiu. Musisz uchwycić się pewnego punktu zaczepienia, pewnej nitki, którą pomoże ci rozsupłać kłębek analogii i skojarzeń. Jednak wychwycić spojrzenia pana

wybiegu nadzwyczaj trudno, bo w tej chwili pozostaje on w objęciach swego niedźwiedziego Morfeusza: zasnął na nasłonecznionej części skały z podejrzanie ciemnymi plamami.

Z północnej strony wybiegu, tam gdzie znajduje się rezydencja pawia z ogonem wyskubanym na upominki, do skały można podejść bliżej. Ale czym można przerwać spokojny sen patriarchy? W kieszeni palta masz garść cukierków „Czerwony Kapturek". Na papierkach jest akurat co trzeba – apetyczna dziewczynka z koszyczkiem. (Co prawda na miejscu wilka obraziłbyś się, bo jego nieobecność tchnie dyskryminacją i na pocieszenie pozostaje ci myśl, że właśnie w tym czasie wilk pożytecznie spędza czas z babcią.)

Pierwszy i drugi cukierek nie sięgają celu, ale próba ogniowa daje wynik i już trzeci pocisk trafia w brudnobiały zad, a czwarty i piąty spada na beton tuż przed pyskiem drzemiącego drapieżnika. Niedźwiedź podnosi głowę i – oto ten moment! Wasze spojrzenia spotykają się i pomiędzy nimi rzeczywiście przeskakuje niewidoczny, pulsujący prąd, tworzy się kanał łączności. To nie może być przypadek, bo te oczy, dwie dojrzałe czarne śliwy – o cudzie! – wydają ci się jak gdyby znajome, dlatego ze zdwojoną energią usiłujesz wydobyć z półmroku świadomości swojego białego vis-à-vis choćby strzęp informacji o jego wcześniejszym przedniedźwiedzim życiu.

To nieprawdopodobne, ale wydaje ci się, że się udało, więc wyczerpany seansem łączności siadasz na ławeczce koło pawia, opuszczasz powieki i przewijasz w myślach dopiero co nakręcony informacyjny materiał filmowy. Dlaczego by nie uznać tego „filmu" za sygnał wysłany przez twego milczącego rozmówcę z pokładów, gdzie pod popiołami niezliczonych lat drzemie nieodgadniona pamięć przodków?

Ognisko, soczysta nietutejsza zieleń, ciemne pomalowane postacie nagich ludzi, wódz na podwyższeniu, też nagi, jedynie ze skórzanym paskiem na biodrach, z którego zwisa kawałek materiału zakrywający męski klejnot z jakimś mgliście znajomym z twego dzieciństwa znaczkiem, któremu z zaciekawieniem przygląda się mały umorusaniec z błękitnym piórem w sztywnych, czarnych kędziorach. Powiększasz obraz i widzisz pionierski znaczek z nieomal dziewczęcą twarzą jeszcze nieszkodliwego Wołodii Uljanowa.

Ale co tam robi wasze niezapomniane audytorium studenc-

kie i profesor z niesłychanie rzadkim imieniem Hiler Morduchowicz, który pewnego dnia stał się banalnym Giennadijem Michajłowem, za co z pewnością będzie musiał zapłacić podatek przy reinkarnacji.

Audytorium, Hiler Morduchowicz i twój kolega z roku o jeszcze bardziej dziwacznym imieniu Mbamba (co z afrykańskiego tłumaczy się jako „amator ludzi"), z którym na przemian sączycie przez słomkę „Porto różowe mocne" (0,7 l), zasłaniając zieloną butelkę czerwonym podręcznikiem historii KPZR. Obok zaś, też ze słomką w zębach, sączy „Lidzkie" wielka amatorka piwa Masza Tarabanowa, która nie tylko romansowała z Mbambą, ale także wybierała się na wakacje w jego strony rodzinne, a potem zamierzała udać się z nim do urzędu stanu cywilnego. W tamtych czasach, przynajmniej w naszych stronach, o AIDS nikt jeszcze nie słyszał, a pieniędzy jej ukochany miał jak lodu i co sobotę poił ormiańskim koniakiem do upadłego cały nasz pokój w akademiku, natomiast tanie porto sączyliśmy z nim dlatego, że ten przaśny napój był czymś w rodzaju wody mineralnej dla zahartowanego syna lasów podzwrotnikowych. Jednak w ostatniej chwili Masza, niestety, zrezygnowała z wyjazdu, ponieważ zaczęły krążyć bzdurne plotki (najpewniej puszczone w obieg przez zazdrosne koleżanki), jakoby w plemieniu Mbamby istniał uświęcony tradycją zwyczaj zjadania narzeczonej, która nie przypadła do gustu rodzicom zakochanego młodzieńca.

Pociągasz z piersiówki solidny łyk i pienista fala doznań i reminiscencji cofa się, pozostawiając wyraźny ślad na brzegu świadomości.

Wszystko układa się w dziwaczny, ale logiczny ciąg. Wódz z pionierem Wołodią Uljanowem w rejonie organu moczowo-płciowego – to tato Mbamby. To dzięki lewicowym poglądom tego zagorzałego marksisty i bohatera wojny z kolonizatorami chłopczyk z niebieskim piórem we włosach trafił do Białoruskiego Uniwersytetu Państwowego imienia Lenina.

Masza Tarabanowa nie urodziła więc Mbambie syna, który otrzymałby imię Mbamba Mbamba Mbamba Mbamba, ponieważ lud twego kolegi z roku zachowuje tradycję, zgodnie z którą imię ojca przechodzi na syna, powtarzając się dwukrotnie. A w paszporcie twego afrykańskiego kolegi wpisano imię Mbamba Mbamba. Natomiast jak nazywał się ojciec ojca, nie

wiedziała nawet matka Mbamby pierwszego. Dlatego ochrzczono go imieniem Mbamba (w przekładzie z afrykańskiego znaczy to nie tylko „amator ludzi", ale i „skurwiel"), co jednak nie przeszkodziło użytkownikowi tego imienia stać się wodzem swego miłującego wolność ludu.

Ale Masza nie pojechała do swego afrykańskiego przyjaciela. Podczas wakacji Mbamba Mbamba bardzo za nią tęsknił i w tym stanie ducha stanął na czele zbrojnego wypadu przeciwko bandzie maoistów z sąsiedniego plemienia i, jak pisały gazety, zginął bohatersko w nierównym boju. Jak wiele zależy od przypadku nawet w globalnej wojnie ideologicznej. Gdyby Tarabanowa nie uległa zawistnym plotkom, twój kraj miałby dzisiaj zaufanego sojusznika na Czarnym Lądzie.

Co do owych plotek, to pewnego razu po wypiciu na koszt narodu Mbamby butelki rumu „Havana Club" zapytałeś kolegę wprost, czy ludzkie mięso wchodzi w skład jadłospisu jego współplemieńców. Twój kolega, niewinne dziecię dżungli oświeconej ideami najbardziej postępowej ideologii, szczerze odpowiedział, jak się tego zresztą spodziewałeś, że wszystko to bzdury. Żadnych narzeczonych, nawet białych, u nich się nie spożywa. Co więcej, po uzyskaniu niepodległości bojownicy dojedli ostatnich kolonizatorów i kolonizatorki oraz uroczyście poprzysięgli zrobić krok ku zabobonom cywilizacji ogólnoświatowej i ostatecznie zrezygnować z konsumpcji tego pożywnego produktu. Wyjątek stanowi jedynie Dzień Niepodległości, kiedy małe plemię Mbamby czysto symbolicznie, że nikt nawet nie czuje smaku, zjada kilku byłych kolonizatorów. Łowią ich i przywożą w rodzinne strony młodzi mężczyźni noszący, jak i Mbamba, spodnie, którzy w charakterze ochroniarzy pracują na międzynarodowym lotnisku, w okolicach którego trafiają się najczęściej byli kolonizatorzy. Podczas ich gotowania przyjęło się używać rozmaitych przypraw. (To dlatego w sklepie naprzeciw akademika Mbamba skrzętnie kupował aromatyczną gruzińską przyprawę chmeli-suneli.)

Mając na myśli koleżankę z roku, Maszę, na wszelki wypadek zainteresowałeś się, czy to nie latem lud Mbamby świętuje swoje wyzwolenie. Nie, odpowiedział twój ciemnoskóry kolega. Niestety, święto wypada w zimie, kiedy u nich na równiku następuje pora deszczowa, a on tutaj zdaje egzaminy. Nie domyślając się żadnego podtekstu w twoim pytaniu, dodał, że data

święta jest dosyć ruchoma. Już nie raz zmieniano ją poprzez referendum, bo wedle ich demokratycznej konstytucji każde plemię może przeprowadzić własne referendum i wyznaczyć sobie najbardziej dogodną datę głównego święta państwowego.

Dopiero teraz, w zwierzyńcu, kojarzysz nagle, że właśnie podczas sesji zimowej, kiedy Mbamba aktywnie skupował chmeli-suneli, znikł bez śladu wasz wykładowca łaciny Beniamin Ajzikowicz Pilman. Jednak z ulgą przypominasz sobie, że zguba odnalazła się później w swojej historycznej ojczyźnie, i że tam ten szeregowy radziecki docent awansował na wiceministra edukacji. Zresztą Mbamba nie należał do ludzi mogących zjeść z przyprawą chmeli-suneli wykładowców swojego ukochanego wydziału.

Oto jak bywa w życiu: przychodzisz do zoo, żeby się porządnie zrelaksować, a tu spada na ciebie deszcz niespodzianek. Nie pozostaje nic innego, jak tylko wygodniej usadowić się na ławeczce w niemal wiosennych promieniach słońca, rozpiąć czarne palto i przykrywając piersiówkę czapką, spróbować jakoś uporać się z tym opadem.

Na początku próbujesz skoncentrować się na kwestii osobistej reinkarnacji. To oczywiste, że w świetle najnowszych wydarzeń jesteś niemal skazany na to, by przymierzyć się do niedźwiedziego wcielenia. Co prawda, od razu rezerwujesz sobie wariant z rodzimą brunatną rasą.

Najpierw przypominasz sobie wszystko, co wiesz o przyszłym potencjalnym właścicielu twej duszy.

Pierwsze wspomnienie pochodzi z przedszkola, gdzie przed Nowym Rokiem wyznaczono cię do roli niedźwiedzia. Mama skombinowała ci przebranie z brązowych portek, swojej starej bluzki i kapturka z okrągłymi uszami. Przy świątecznej choince każde zwierzątko musiało usprawiedliwić swój noworoczny strój i wyrecytować przed Dziadkiem Mrozem wierszyk, by w zamian otrzymać garść klejących się irysków. Znaleźć odpowiedni wierszyk mama poprosiła Grzesia, ciemnowłosego chłopca z gęstymi, niby pomalowanymi brwiami, który już chodził do szkoły. Wiersz Grzesia był krótki i bardzo ci się spodobał. Ten właśnie wiersz usłyszał w odpowiednim momencie Dziadek Mróz:

Misza, bury śmierdziel
Mnie też nauczył pierdzieć.

Inny, już dorosły wiersz, przypadł ci do gustu przy lekturze literatury rosyjskiej:

Ach, co za śliczny widok,
Gdy duży misio z suczką
Na spacer sobie idą
Jak dziadzio z małą wnuczką.

Trzeba przyznać, że bohaterowie tego zwięzłego utworu niezmiennie wywołują w tobie ciepłe uczucia.

Następnie w twym retrospektywnym przeglądzie pojawiają się powszechnie znane bajki, wśród których oczywiście szczególne miejsce zajmuje wegetariańska historia pod nazwą „Masza i niedźwiedzie". Dziś po raz kolejny przekonałeś się, że życie jest bardziej różnorodne, weselsze i smakowitsze niźli najciekawsza bajka. (Oto jeszcze jeden ciekawy aspekt: wpływ świata bajek na rzeczywistość. Masza, po której pozostały tylko majtki, mogła naczytać się bajek i spróbować emigracji ze świata ciągle pijanych rodziców i głodnego braciszka do tej idylli, w której mały misiaczek grzecznie pyta, kto jadł z jego miseczki.)

Od bajek płynnie przechodzisz do znanej noweli Prospera Mérimée „Lokis" o odmieńcu zrodzonym przez hrabinę, która straciła rozum po tym, jak podczas polowania zgubiła się w lesie i trafiła w objęcia niedźwiedzia, który nie omieszkał skorzystać z tej okazji. Nowela zawsze była ci bliska, nie tylko z powodu plastycznej, przekonywującej postaci hrabiego (któremu zresztą, jak i jego leśnemu tacie, szczerze zazdrościłeś), ale także z powodu topografii opisanych w niej zdarzeń. Francuski klasyk opisał bowiem historię, która zdarzyła się w żmudzkiej części Wielkiego Księstwa Litewskiego, a „lokis" w języku Żmudzinów oznacza „niedźwiedź".

Cóż, hrabia o przyjemnym białoruskim nazwisku Michał Szemiet był przypadkiem ekstremalnym, a to nie każdemu się przytrafia. A co słyszałeś o skromnych szeregowych niedźwiedziach, które względnie niedawno zamieszkiwały naddźwińskie lasy? Mniej więcej sto pięćdziesiąt lat temu myśliwi podczas udanej obławy ubijali do dziesięciu misiów, częstując się po niej niedźwiedzimi podrobami i polędwicą.

Te historyczne reminiscencje wprawiają cię w smutny nastrój, więc zwracasz się do rzeczy przyjemniejszych, na przykład, do menu niedźwiedzia brunatnego. Jeśli dobrze sobie

przypominasz, w odróżnieniu od twego kolegi Mbamby niedźwiedź jest przeważnie roślinożerny, spożywa jagody, orzechy, owies, żołędzie, co nie budzi twoich zastrzeżeń, tym bardziej, że w niedźwiedziej diecie są i bogate w witaminy produkty pochodzenia zwierzęcego: owady, żaby, gryzonie, ryby, parzystokopytne. Czyż nie przyjemnie posilić się, ku zazdrości Francuzów, świeżą, zimną żabką, zakąsić garść błękitno-różowych dżdżownic jakimś młodym susłem, wrzucić na ruszt parę słodkich sielawek albo ślizów, a na niedźwiedzi Dzień Niepodległości upolować sarenkę, dzika, a kiedy się poszczęści, to i coś bardziej oryginalnego...

W ślad za niedźwiedzim jadłospisem przywołujesz w pamięci związane z tym historie, przeżyte i zasłyszane. Przecież tuż obok twego Połocka rozciąga się Berezyński Park Narodowy, a tam niedźwiedzi jest więcej niż w całej Unii Europejskiej.

Pierwsza z historii związana jest ze starym, wiejskim nauczycielem biologii. Chłopina miał słaby wzrok i bzika na punkcie mrówek, którymi opiekował się niestrudzenie, bo uważał je za najbardziej pożyteczne istoty. Kroczy więc belfer leśną dróżką i widzi, że jakiś przygłup rozgrzebuje mrowisko. Postanowia podejść tego przygłupa znienacka i tak przestraszyć, by na długo to zapamiętał. Podkrada się więc z tyłu i z wrzaskiem „Co robisz, popaprańcu jeb..y?” daje mu kopa w tyłek. „Popapraniec” pada na pysk i nie rusza się, a w powietrzu unosi się jakaś dziwna woń. Nauczyciel przeciera szkła i o mało sam nie robi w gacie: obok mrowiska w kupie gówna leży wielki niedźwiedź z łapą w gębie i nie oddycha. Podjadł sobie kwaskowatych mrówek co się zowie...

Albo inna historia. Zbiera człowiek grzyby i nagle słyszy, że się coś w gęstwinie szamoce. Podchodzi bliżej i widzi, że to niedźwiedź chowa pod suchymi gałęziami dopiero co upolowaną sarenkę, by puściła soki, bo jako smakosz lubi mięso z zapaszkiem. Grzybiarz w okamgnieniu włazi na drzewo. Niedźwiedź tymczasem starannie przykrywa zdobycz, zadowolony z siebie sika na młodego borowika i rusza do swych niedźwiedzich spraw. Człowiek na drzewie dochodzi w międzyczasie do siebie i rzuca w stronę zwierzęcia: „Me-e-e”. Niedźwiedź zawraca, odgrzebuje zdobycz, obwąchuje, obraca kilka razy i uspokojony znowu przykrywa ją gałęziami. Po kilku krokach znowu słyszy „Me-e-e”. Miś wraca i już wyraźnie zaniepo-

kojony powtarza swoje czynności z sarenką, potem cicho się wycofuje. Kiedy grzybiarz po raz trzeci powtarza swoje „Me-e-e", niedźwiedź daje takiego drapaka, że aż drzewa trzeszczą.

Trzeba przyznać, że nie za bardzo wierzysz w te historie o niedźwiedziej płochliwości. Prawdopodobnie ludzie wymyślili je, żeby podtrzymać siebie na duchu. Jeśli jednak trafiają się wśród twoich przyszłych braci tchórze, to są wśród nich także osobniki obdarzone nie byle jakim męstwem i samozaparciem, jak choćby bohater trzeciej opowieści.

W pewnej wsi koło Lepla wyszedł gospodarz na ganek i ujrzał, że w sadzie, na wprost chałupy, siedział na jabłoni niedźwiedź i zajadał dojrzałe malinówki. Wieśniak był chłop na schwał, nie przestraszył się, a wrzasnął do intruza: „Wynoś się, ch...u!" Ale trafił swój na swego. Niedźwiedź wybałuszył oczy ze zdumienia, ale dalej wcinał jabłka. Wkrótce cała rodzina zgromadziła się na ganku, prześcigając się w najwymyślniejszych wyzwiskach pod adresem gościa, ale ten po prostu odwrócił się do nich tyłem, jakby im chciał powiedzieć, żeby mu nie przeszkadzano w kolacji. Dopiero kiedy gospodarz wypalił z dubeltówki w powietrze, twój potencjalny leśny pobratymiec raczył, jeśli można to tak ująć, nawiązać dialog z człowiekiem. Zaryczał, otrząsnął całą jabłoń, zeskoczył z drzewa i zaczął obrzucać dom jabłkami, wybijając wszystkie szyby. Ten incydent dementuje pogłoski, że niedźwiedzie niedowidzą. Scena zbiorowa z dzielnym misiem na jabłoni jest na tyle wyrazista, że z trudem wymazujesz ją z ekranu pamięci.

W międzyczasie przypomina ci się jeszcze jedna historia zasłyszana w dzieciństwie. Jak „Lokis", jest zupełnie książkowa, ale za to o wiele bardziej wstrząsająca. Wszak u Prospera Mérimée mamy do czynienia ze zwyczajnymi, swojskimi misiami, jakkolwiek z pewnymi anomaliami. W naszych stronach, od dawna upodobanych przez wilkołaki, nie było w zasadzie nic nadzwyczajnego w tym, że niektóre niedźwiedzie mogły uprawiać seks z hrabiną albo przemienić się w człowieka i na odwrót.

W ósmej klasie przeczytałeś w poplamionym tomiku fantastyki opowiadanie, które wstrząsnęło tobą tak głęboko, że jak w dzieciństwie nie chciałeś zostawać w domu sam, bałeś się ciemności i omal nie zacząłeś znowu sikać do łóżka. W opowiadaniu była mowa o tajnym leśnym laboratorium,

w którym uczeni stworzyli niedźwiedzie wyposażone w potężny intelekt. Te stworzenia rozwiązywały zadania z wyższej matematyki i opracowywały programy obronne z łatwością, z jaką ty łuskasz ziarnka słonecznika. W rzadkich chwilach relaksu misie w arcymistrzowskim stylu wygrywały partie szachowe ze swymi profesorami, a później z prawdziwymi szachistami, których zaczęto przywozić do laboratorium na treningi. Potem od tego rozumu u doświadczalnych niedźwiedzi zaczęła wypadać sierść, na łbach pojawiły się nieomal ludzkie łysiny, a jeszcze później, po opanowaniu ludzkiej mowy, czworonożni intelektualiści zjedli swych mądrych profesorów o wysokich czołach, wypili w barze laboratorium całą whisky za spokój ich dusz i zakąsili ochroniarzami. Na deser zdążyli akurat przyjechać arcymistrzowie, którym niedźwiedzie zaproponowały rozegrać turniej o życie, i chociaż szachiści zgodzili się dobrowolnie, nikt z nich nie miał szans. Zwycięzcy turnieju rozbiegli się po okolicznych lasach w celu zawarcia bliższej znajomości z ludnością tubylczą, ale wkrótce poczuły dyskomfort, bowiem tubylcy źle grali w szachy, nie znali wyższej matematyki i nie mogli sprostać intelektualnym wymaganiom byłych zwierząt doświadczalnych, co u tych ostatnich wywołało zrozumiałe rozdrażnienie i nie sprzyjało racjonalnemu odżywianiu.

W czasie, gdy przywołujesz w pamięci zmory z dzieciństwa, w atmosferze zoo zaczyna się coś dziać. Nieomal fizycznie odczuwasz wokół siebie jakiś niepokój, trwogę i napięte do ostateczności wyczekiwanie.

Zaczyna się karmienie zwierząt.

Twój sąsiad, wyskubany paw, otrzymuje trzy garście kaszy. Niedźwiedziom przynoszą rybę w brudnej miednicy. Wygląd i wielkość racji żywnościowej od razu przywodzą na myśl nadużycia finansowe.

Niedźwiedzie wstają z uczuciem upokorzenia, jeden z nich z obrzydzeniem odwraca głowę. Ty również patrzysz w drugą stronę, ale z innego powodu. Dlatego, że jedzenie to bardzo osobista sprawa. Jakże muszą cierpieć stworzenia zmuszane codziennie jeść na oczach tłumu gapiów. (W przypadku Maszy było tak samo, tyle że udało się ograniczyć zgraję ciekawskich do jednego widza.) Pyton jest w lepszej sytuacji: posili się i następny obiad dopiero za miesiąc.

Z pewnością jedzenie to intymna rzecz. Nie bez powodu mężczyzna zaprasza kobietę na wspólną kolację: od wspólnego stołu niedaleko do wspólnego łóżka. Gdy z kimś jesz, stajesz się dla niego niemal jak brat. Gdybyś razem z niedźwiedziami zjadł Maszę, też mógłbyś położyć się pod skałą, bo stałbyś się dla nich swoim. Albo gdybyś w niedźwiedziej kompanii odwiedził na Radaunicę* wiejski cmentarz, gdzie na każdej mogile stoi wódka z zakąską, którą od wieków lubią się częstować połockie niedźwiedzie, składając hołd pamięci ludzkich, a może i swoich przodków.

Zresztą na swojej drodze życiowej już miałeś sposobność podzielić się jedzeniem z niedźwiedziami.

Kiedy zamkniesz oczy i wystawisz twarz do słońca, możesz bardzo łatwo przywołać w pamięci poleski krajobraz, wartką Horyń i wasz pomarańczowy namiot na brzegu. Pod wieczór, po drugiej stronie głębokiej, ale wąskiej rzeki, z lasu wyszedł niedźwiedź. Wielki, schludny i dziarski, godnie reprezentował swą populację, udając się najpewniej do pobliskiej pasieki, z właścicielem której prowadził interesy.

Amator miodu w zadumie spoglądał na namiot i nietutejsze towarzystwo, które stanęło na jego drodze. Rozmyślanie trwało do czasu, zanim zza zakola rzeki nie ukazała się bucząca motorowa barka, która wówczas regularnie kursowała po Horyni. Niedźwiedź z ociąganiem wycofał się do przybrzeżnego lasku, ale o zmierzchu pojawił się znowu i demonstrując stateczność swoich zamiarów zbliżył się do wody i nawet zamieszał w niej łapą.

Zamiast okazać zrozumienie dla problemu leśnego brata, rozpaliliście obok namiotu wielkie ognisko, ale zapału, by zbierać i podrzucać do ognia drewna, starczyło wam jedynie do drugiej w nocy. Wtedy to, odurzeni źródlano-czystym powietrzem oraz czyściutkim jak łza trunkiem miejscowego wyrobu, zaczęliście zgodnie przysypiać. Niedźwiedź czekał ze stoickim spokojem i został nagrodzony: zanim bowiem wleźliście do namiotu, zdołaliście skorygować trasę misia pozostawiając na pniu jakieś sto metrów dalej bochen naraczańskiego chleba i kilka napoczętych konserw mielonki. Rano poczęstunku nie

* Drugi wtorek po prawosławnej Wielkanocy, kiedy czci się pamięć zmarłych.

znaleźliście, ale wilgotny przybrzeżny piasek zachował pięciopalczaste ślady, dziwnie podobne do ludzkich. Zdaje się, że ktoś z was przypomniał wówczas legendę o tym, że niegdyś niedźwiedzie były ludźmi, a może i na odwrót.

W świetle dzisiejszych zdarzeń ta przygoda wygląda zupełnie inaczej. A jeśli wówczas straciłeś unikalną okazję do spotkania się twarzą w twarz ze swoim przyszłym wcieleniem, po którym mógłby dokonać się radykalny zwrot w twoim życiu i nastąpiłaby reinkarnacja...

Wreszcie ostatnia ze znanych ci niedźwiedzich opowieści, dotycząca pedagoga podobnie jak i pierwsza, ale tym razem nauczycielki języka rosyjskiego skierowanej do katolickiej wsi w zachodniej Białorusi. Ta skromna służebnica na niwie oświaty ludowej niosła temu zacofanemu pospólstwu światło swego „wielkiego i potężnego języka". Niosła kaganek oświaty ofiarnie i z pełnym zaangażowaniem, ale krótko. W zimną noc Bożego Narodzenia, na śniegu w białoruskim lesie, po nauczycielce języka rosyjskiego pozostały jedynie upstrzone dwójami uczniowskie zeszyty i ciepła, orenburska chustka. Później dzielna nauczycielka stanie się bohaterką ballady popularnego rodzimego barda, ale w piosence, jak zresztą w każdym utworze literackim, są co najmniej dwie drobne nieścisłości. W rzeczywistości nauczycielkę przysłano nie z Bijska, lecz z Wołokołamska, i zjadły ją na świąteczną kolację nie wilki – nacjonalistycznie nastawieni sanitariusze lasu, ale patriotyczne niedźwiedzie. Ten fakt konstatujesz z uczuciem głębokiego smutku, bo mimo woli dostrzegasz pomiędzy nauczycielką języka rosyjskiego i rosyjską dziewczynką Maszą jakąś z lekka mistyczną więź.

Wzmianka o przybyłej z daleka nauczycielce bratniego języka przywodzi na myśl podróże, które na razie, w twoim obecnym ludzkim wcieleniu, zajmują poczesne miejsce w twojej hierarchii wartości. Pewnie dlatego, że jeden z twoich przodków należał do wędrownego, cygańskiego plemienia. (Zresztą według wspomnianej wcześniej poleskiej legendy, to Cyganie byli wcześniej niedźwiedziami, albo też niedźwiedzie Cyganami.)

Rodząc się w brunatnej skórze otrzymujesz zasadniczo inne możliwości wędrówek po świecie. Z jednej strony znika problem finansów, zaś z drugiej zmuszony jesteś podróżować na swoich czterech łapach, co zresztą sprzyja poznawaniu świata i jest korzystne dla zdrowia. To znaczy, że jeżeli wiosną wyru-

szysz z okolic Mińska, to przemieszczając się przeważnie pod osłoną nocy, Boże Narodzenie możesz spędzić gdzieś w okolicach Lizbony. Przy okazji zobaczysz, jak żyją twoi zachodnioeuropejscy pobratymcy i w międzyczasie sprawdzisz, jakim językiem się posługują: jednym niezależnie od tego, czy pochodzisz spod Dokszyc, czy też spod Genewy, czy też może w każdym kraju jest odrębny język i tylko w międzynarodowych kontaktach wykorzystuje się jakiś „niedźwiedzi English".

Ciekawe tylko, jak zamierzasz przekraczać granice państwowe, zwłaszcza pilnie strzeżoną zachodnią granicę twego państwa, patriotą którego pozostaniesz chyba nawet w niedźwiedzim wcieleniu? Perspektywa, że swoi chłopcy z zielonymi epoletami zastrzelą cię na granicy jako przebranego wroga, jest mało kusząca.

Pozostają podróże przez słabo strzeżone wschodnie rubieże kraju, gdzie warto by było na samym początku dokonać badań swojego dawnego terytorium etnicznego, które jak wiadomo na wschodzie sięga daleko poza Smoleńsk. Na północy droga też stoi otworem: z połockich lasów w ciągu tygodnia możesz bez zbytniego pośpiechu dotrzeć do muzealnego, puszkińskiego Michajłowska. Zatrzymasz się na kilka dni w tych romantycznych mieścinach, by spotkać swą muzę – jakąś miejscową Maszę lub w gorszym wypadku Arinę Rodionownę. Następnie ruszysz dalej na Ługę i Sankt-Petersburg, szlakiem, którego nie dał rady pokonać marszałek napoleoński Udino i który, w odwrotnym kierunku, przemierzał pieszo co roku twój znakomity rodak i krajan Jan Barszczewski. Barszczewski miał sentyment do niedźwiedzi i dlatego, sądząc po jego licznych i udanych wędrówkach przez leśne ostępy, podejrzewasz, że posługiwał się wydanym mu przez niedźwiedzie listem żelaznym.

Tak więc problem wiktu i ruchu bezwizowego masz z grubsza załatwiony, ale nieuchronnie pojawia się inny, nie mniej poważny – sen zimowy.

Niekoniecznie trzeba być jajkiem na patelni, by wyobrazić sobie, jak się robi jajecznica. Znasz potencjał swego ciała i ducha i korzystasz z niego, jak muzyk korzysta ze swego ulubionego instrumentu, którego możliwości zna na pamięć. Wyobrażasz sobie jak przychodzi wrzesień. Najadłeś się do syta poziomek, jagód, malin, twoich ulubionych łochyni. Rzecz jasna, zgodnie ze swą odwieczną niedźwiedzią tradycją nie zbierałeś

jagód osobiście, tylko czekałeś, dopóki kobiety nie napełnią swych wiader. Potem po gospodarsku straszyłeś pracowite wieśniaczki i posilałeś się uczciwie zarobionym obiadem, a kiedy ktoś nie godził się na takie zawłaszczenie, twój posiłek stawał się bardziej urozmaicony.

Nagromadzony w ciągu lata tłuszcz doszlifujesz jesiennymi orzechami i żołędziami, dziesiątkami tłuściutkich gryzoni, a jeśli dobrze pójdzie, to i czymś jeszcze, co pozostanie twoją słodką tajemnicą kulinarną. Wreszcie nadchodzi czas układania się do snu. Wyspać się w zimie jak należy – to prawdziwa rozkosz; w tym względzie niedźwiedzie brunatne mają wielką przewagę nad swoimi białymi kuzynami, bo w ojczyźnie tych drugich panuje taki ziąb, że nie za bardzo możesz pospać. A przecież dobry sen, jak pisał któryś z klasyków, to najlepsze danie podczas uczty życia, który znacznie przedłuża jej trwanie. Niedźwiedź żyje średnio około dwudziestu lat, ale jeżeli dba o siebie i miewa pełnowartościowy sen w przytulnym, wyścielonym mchem barłogu po podróżach, dziewczynkach Maszach oraz podobnych letnich zajęciach, to pewnie może dociągnąć i do trzydziestki.

W twych leśnych stronach każdy pies wie, że przecierać oczy i wychodzić po zimie do ludzi u niedźwiedzi zwykło się na Zwiastowanie, które według kalendarza gregoriańskiego przypada 25 marca. W ten sposób wychodzi podwójnie radosne święto, które po prostu wypada uczcić zjedzeniem na obiad czegoś konkretniejszego od susła.

Pozostaje jeszcze niesłychanie ważne pytanie: czy śpi z tobą twoja niedźwiedzica, a jeżeli tak, to ile razy budzicie się ze snu, by kosztem nagromadzonych kalorii oddać się miłosnym igraszkom, a potem w czułym uścisku znów odpłynąć na spokojne morze miodowego snu, gdzie oczekują na ciebie zielone wyspy obiecujące nieoczekiwane przygody i gęsto zamieszkałe przez różnorodną, pożywną faunę.

No właśnie, czy śpi obok ciebie twoja brunatna przyjaciółka z białą plamką na piersi?

Wiadomo, dlaczego milczą na ten temat encyklopedie radzieckiej epoki, kiedy seksu nie było ani w miastach, ani w siołach, ani też w bezkresnych lasach i niwach twojej szczęśliwej ojczyzny. Jednak gdy zajrzałeś do encyklopedii wydanych już w czasach niepodległości, to przekonałeś się, że ta kwestia

nadal jest otoczona jakąś zmową milczenia. Jeśli twoja niedźwiedzica istotnie w czasie snu zimowego ssie swoją łapę w samotności, nie jest to w porządku i masz się nad czym zastanowić. Oczywiście, z powodu abstynencji płciowej jeszcze nikt nie umarł, ale też nikt się nie urodził...

Wzdragasz się czując na swym ramieniu czyjąś ciężką rękę czy też łapę. Nie, to nie pan wybiegu, a jedynie pracownik zoo – pucołowaty chłopak z jeszcze nie całkiem fioletowym nosem. (Fizjonomika podpowiada ci, że w następnym wcieleniu ten typ może się urodzić jako chomik.)

Zamykają zoo? W takim razie masz małą prośbę: oto pieniądze. Niech jutro na obiad białe niedźwiedzie otrzymają jakieś dziesięć kilogramów mięsa dodatkowo. Prosisz go jeszcze o informację, o której godzinie odbędzie się karmienie, abyś mógł przyjść i uradować oczy widokiem tego posiłku.

I jeszcze jedno pytanie: dlaczego klatka niedźwiedzi brunatnych jest pusta? Były na kręceniu filmu? Dlaczego *były*?

Potencjalny chomik milczy w napięciu. Zdaje się, że jeszcze trochę i będzie słychać, jak w jego głowie kotłują się myśli. Wreszcie, zmieszany, mamrocze coś pod nosem o nieszczęśliwym wypadku z reżyserem. Tylko z nim. To znaczy, że czworonożni aktorzy oszczędzili operatora, żeby mógł nakręcić ostatnie kadry życia swego kolegi? To logiczne.

Jednak nie masz czasu na to, by analizować tę ostatnią pocieszającą nowinę. Jak nieuniknione chmura burzowa zbliża się moment, którego oczekiwałeś i obawiałeś się zarazem.

Trzymając w ręku piersiówkę, w której pozostał tylko jeden łyk, podchodzisz do grubych metalowych prętów ogrodzenia i twoje serce zaczyna padać w głęboką studnię. Bynajmniej nie ze strachu. Stary niedźwiedź podnosi się, przeciąga się z godnością i zbliża do ogrodzenia. Dwie dojrzałe śliwy jego oczu odnajdują twoje zamglone łzą spojrzenie i czas zatrzymuje się w miejscu.

Żegnaj, stary białasie! Najlepsze, co twój milczący rozmówca mógłby zrobić dla ciebie w tej chwili, to przeleźć przez ogrodzenie, abyś razem ze swoją rodziną mógł go zjeść. Być może tak się kiedyś stanie, na razie jednak właściciel szarej czapki i wypolerowanej piersiówki ma jeszcze na głowie parę spraw, które wymagają ludzkiego wcielenia przy ich załatwianiu. I jeżeli nie jest to owoc wybujałej fantazji, jeżeli w swym poprze-

dnim życiu naprawdę studiowałeś na Uniwersytecie Państwowym imieniem Lenina, to wiedz: biały człowiek stojący przed tobą nigdy nie zapomni ani smaku „Porto różowego mocnego" sączonego przez słomkę, ani Maszy, która po twojej bohaterskiej śmierci w boju z afrykańskimi maoistami otrzymała zwolnienie ze swego przyrzeczenia, ani tego, że Mbamba był dobrym synem i nigdy, nawet po trzeciej butelce, nie grał lekkomyślnie, jak jego biali koledzy z roku, w karty o spodnie, bowiem dobrze pamiętał przykazanie swego ojca, bohatera wojny antykolonialnej i amatora ostrych przypraw, że tylko spodnie odróżniają człowieka wykształconego od dzikusa...

Metalowa brama zoo zamyka się za tobą z przyjemnym skrzypieniem. Czujesz, że chciałbyś powiedzieć twym dwunożnym braciom coś ważnego. Chciałbyś powiedzieć im, aby zawsze pamiętali o jednym: opuszczając ogród zoologiczny cieszcie się, że możecie tu powrócić nie tylko jako zwiedzający.

2002

Przełożył Konstanty Bondaruk

SŁONIE HANNIBALA

Ta historia zaczęła się wtedy, gdy na twojej ulicy w Połocku był tylko jeden telewizor i wieczorami na oglądanie go do Cymermanów zwalało się ze trzydziestu ludzi. Ale tobie bardziej podobało się chodzić do rejonowej biblioteki dziecięcej. To tam pewnego razu znalazłeś książkę pod zagadkowym i przyciągającym tytułem „Słonie Hannibala".

Prawdę mówiąc namalowany na okładce Hannibal był podejrzanie podobny do wujka Griszy Cymermana, który naprawiał obuwie na rynku. Ale wkrótce wyjaśniło się, że podobieństwo było całkiem przypadkowe. Ojca Hannibala nazywano nie Abrahamem, lecz Hamilkarem. Telewizora Hannibal nie posiadał, ale za to dowodził wojskami starożytnej Kartaginy, walczył przeciwko Rzymowi i razem ze swoimi słoniami bojowymi dokonał pamiętnego przejścia przez Pireneje i Alpy.

Tamtego lata wiele razy bawiliście się na trawiastych połockich ulicach w wojnę Kartaginy z Rzymem. W działaniach wojskowych po stronie Kartagińczyków brały udział także słonie bojowe. Słoniem zgadzał się być twój przyjaciel Wowa Cymerman, silny żydowski chłopak, który od piątej klasy ćwiczył nie grę w szachy, a zapasy w stylu wolnym i woził cię na plecach tak lekko, jakbyś ważył tyle co kot.

Od tamtego czasu przeminie całe życie, w którym Kartagina nie zagości ani razu wśród twoich najdroższych marzeń. Nawet nie będziesz wiedzieć, o jaką wizę należy się postarać, by trafić do rodzimego miasta sobowtóra wujka Griszy Cymermana.

Jednakże pokrętna fabuła twojego życia sprawi, że pierwszym zakątkiem Afryki, który odwiedzisz, będzie Tunezja, gdzie z radością się dowiesz, że władca groźnych słoni rósł i mężniał tuż obok placu centralnego stolicy tego kraju.

Pośród niezliczonych portretów ojca narodu Bena Alego, który na niezliczone prośby pracujących Arabów i Berberów kieruje państwem już chyba ponad trzydzieści lat, znajdziesz ogłoszenie z zaproszeniem do odwiedzenia Kartaginy, a przeliczając swoje denary, na jednym z banknotów w profilu Hannibala z radosnym zdziwieniem rozpoznasz semickie rysy wujka Cymermana.

Pół godziny później, owładnięty słodkimi wspomnieniami dzieciństwa, będziesz szedł po zacisznych kartagińskich ale-

jach, gustownie ozdobionych małymi sarkofagami z prochami niemowlaków ofiarowanych bogu Baalowi. Na fenickich kolumnach na razie portretów Bena Alego nie będzie. Odpoczywając od ryzykownych politycznych analogii skierujesz obiektyw swojego aparatu fotograficznego na jakąś architektoniczną atrakcję, ale ledwie zdążysz pstryknąć, jak zza rozłożystego kaktusa błyskawicznie pojawi się posępny dwumetrowiec w cywilu, który bez żadnych tłumaczeń naświetli ci kliszę. Trochę później zauważysz pojazdy opancerzone za siatką maskującą i żołnierzy w zielonych hełmach i pomyślisz ze znużeniem, że wszyscy władcy są do siebie podobni i w ten sam nieunikniony sposób pragną zapewnić sobie nieśmiertelność: jeden oddaje na wieczne zachowanie swoją konstytucję z autografem, drugi buduje pałac obok starożytnego cmentarzyska Tofel.

Odwrócisz się tyłem (tym wyższym i niższym) do rezydencji Tunezyjczyka nr 1 i na szafirowym morskim tle znienacka ujrzysz dziarską platynową blondynkę o niemal swojskim imieniu Auszra, co po litewsku znaczy Jutrzenka.

Będziecie rozmawiać w języku nie za bardzo dla ciebie obcym. Auszra studiuje historię i wie, że osobliwością kartagińskiej kultury jest to, iż nie pozostawiła ona po sobie literatury pięknej. Zauważysz, że Auszra jest nieco wyższa od ciebie, ale ta niepokojąca okoliczność nie przeszkodzi twojej natchnionej wyobraźni, która obficie rozkwitnie śmiałymi fantazjami.

Ale akurat w tym momencie podejdzie do was niewysoki, ubrany w skóry Europejczyk, w wieku dziadka twojej rozmówczyni. W zielonych oczach obiektu twoich rozkwitłych fantazji błyśnie lekkie zmieszanie i Auszra wytłumaczy ci, że to jej chłopak z Hamburga.

Chłopak ruchem właściciela obejmie twoje niespełnione marzenie w szczupłej talii i poprowadzi je ku termom cesarza Antoniusza. Patrząc za nimi od razu odnajdziesz w figurze Auszry parę istotnych niedoskonałości. Ale tego najwyraźniej nie wystarczy, żeby cię pocieszyć.

Przysiądziesz przy poobijanej kolumnie, zamkniesz oczy i wsłuchasz się w wiatr, a mądry antyczny wieczór, który pamięta doniosły marsz słoni Hannibala, ześle ci prawdziwe pocieszenie. Nagle zrozumiesz, że Kartagina przegrała z Rzymem i zginęła właśnie dlatego, że nie miała czegoś takiego jak kartagińscy pisarze.

To oznacza, że jeszcze nie wszystko stracone.

Szczególnie, gdy wziąć pod uwagę, że owe okresy historii ojczystej, które później nazwano „złotymi wiekami”, w twoim kraju powtarzają się regularnie co pięćset lat. Ostatni taki „złoty wiek” skończył się w XVI stuleciu, a tobie jeszcze przez jakiś czas przeznaczono pokręcić się po tym świecie i posiedzieć za biurkiem w XXI.

Maj 2001

Przełożyła Halina Maksymiuk

NIEBOSZCZYK SIĘ NIE POCI

BÓL

Jedyne, co ci się nie podoba w świecie antycznym, to stosowany przez starożytnych Greków idiotyczny zwyczaj rozcieńczania wina wodą pół na pół. Jesteś pewien, że gdyby Hellenowie spożywali czysty napój, ich wkład w rozwój cywilizacji byłby co najmniej dwa razy większy.

Na przykład przy opisywaniu zmysłów ludzkich Arystoteles niewątpliwie nie ograniczyłby się liczbą pięć, wywołując w ten sposób dysputę: jaki zmysł w zaproponowanym przez niego systemie ma prawo pretendować do szóstego miejsca? Zmysł czasu? Równowagi? Niebezpieczeństwa? Zakochania?

A może – bólu?

„Mamusiu! Auu! – krzyczysz uciekając spod krzaka agrestu, który pokłuł twoje rączki do krwi i masz wrażenie, że ściga cię jeszcze, by pokłuć i twój tyłeczek. – Auu!"

Masz dwa lata. „Auu!" – jedno z pierwszych wspomnień w twoim i pewnie nie tylko twoim życiu.

Wtedy „auu" było dowodem, że już żyjesz. Teraz przypomina, że jeszcze żyjesz.

Zagłuszając wszystko inne, ból jest w stanie doprowadzić cię do stanu bliskiego satori.

Ból ma dziesiątki, a może i setki epitetów: ostry i tępy, monotonny i błyskawiczny, kłujący i piekący, kąsający i tnący, drażniący i gryzący, jasny i ciemny, nieustanny i bezgraniczny...

Ostatni epitet jest nieprecyzyjny. Ból nie bywa bezgraniczny, jest dokładnie ograniczony twoim ciałem. Ciężko chory na gruźlicę kości Alphonse Daudet zanotował w dzienniku: „Każdy sam sprawia sobie ból, zaś cierpienia zmieniają się jak głos śpiewaka, w zależności od akustyki sali".

Ból dzieli ludzi na takich, którzy unikają go za wszelką cenę, nawet cenę życia, i na takich, którzy są zdolni porozumieć się z nim, znaleźć w nim ocalenie, zajrzeć w otchłań kłębiącą się od potworów i wznieść się na niebiosa ku aniołom.

Samobójstwo jako wyzwolenie od bólu nie do zniesienia można uważać za formę eutanazji (w szerszym sensie – także gdy potraktujemy ból jak samo życie). Z drugiej strony medy-

cyna zna też przypadki, gdy chory wybiera los *homini dolorosi* i rezygnuje z leczenia.

Ból jest twoim starym towarzyszem życia. Ból jest twoim nieodłącznym zwierzątkiem, czasem posłusznym i pocieszającym, ale najczęściej kapryśnym i okrutnym. Czasem udaje ci się go ugłaskać, ale zazwyczaj żadne przysmaki i trucizny nań nie działają.

Zwierzątko nieraz przeistaczało się w potwora, zmieniając twoje życie już nawet nie w czyściec, ale w piekło. Podejrzewasz, że w raju jest lepszy klimat, za to w piekle mają nieporównanie ciekawsze towarzystwo, jednak w takie dni zgodziłbyś się i na całkowicie bezludny, wychłodzony raj. W takie dni dokładnie rozumiesz siódmego prokuratora Judei, który marzył o kubku ciemnego, zbawczego napoju.

Na twoje życie wypadło tyle fizycznego bólu, że bez niego nie byłbyś samym sobą, tak jak stałbyś się kimś zupełnie innym bez swoich wrogów, przyjaciół i bliskich. Masz zamiar napisać esej o bólu, jednak na razie coś ci przeszkadza. Możliwe, że unikasz konfliktu z własnym bólem, któremu może nie przypaść do gustu rola badanego obiektu. Możliwe, że jeszcze nie dojrzałeś do wyznań tego rodzaju, bo ból jest jedną z najintymniejszych rzeczy. A może przyczyna jest prostsza: wycierpianego przez ciebie bólu wciąż jeszcze za mało do napisania tego eseju. To podnosi na duchu.

Mocne natury we wszystkich epokach starały się zapanować nad swoim bólem. Kant pokonywał go zdumieniem filozoficznym. Blaise Pascal wyczerpywał ciężki ból neurologiczny skomplikowanymi obliczeniami matematycznymi. Freud w ostatnich latach pracował nie zważając na cierpienia z powodu rakowatego guza w ustach.

Ty piszesz. To pomaga, choć nie zawsze.

Prawdopodobnie twój przyszły esej będzie się zaczynał od konstatacji, że można lekko znieść tylko jeden ból. Ból innych.

DOBRY DOKTOR ŁAPIDUCH

Sztuka medycyny, pisał Hipokrates, składa się z trzech elementów: choroby, chorego i lekarza. Nie widząc wielkiej różnicy między mądrością i medycyną, porównywał lekarza z filozofem.

Tobie podoba się bardziej inne porównanie – z detektywem. Chory zawiadamia o swoim bólu, a lekarz musi chwycić się tej nitki i dojść do kłębka, żeby zapobiec możliwemu zabójstwu.

Do tej pory nie spotkałeś lekarza, który dotarłby do twojego kłębka. Z drugiej jednak strony wysiłki „detektywów" dały pewne rezultaty – ich dowodem jest fakt, że siedzisz teraz przy biurku, a nie spoczywasz beztrosko w cichym zakątku Cmentarza Ksawieriańskiego w Połocku.

Jesteś na razie tutaj, podczas gdy niektórzy lekarze kurujący cię w przeszłości zdążyli już, jak mawiają Japończycy, zmienić światy. Ale to marna pociecha: być może właśnie oni, już nieobecni, mogliby uwolnić cię ze strzeżonej przez ból metafizycznej woliery, często kurczącej się do rozmiarów klatki.

O tych, którzy walczyli o twoje uwolnienie, już możesz napisać książkę przyzwoitej objętości, pełną uwielbienia i wdzięczności, zachwytu i rozczarowania, uszczypliwości i pogardy.

Wśród jej bohaterów znalazłby się lekarz, który stawiał cię na nogi w takim natchnieniu, że ocalenie ciebie od następstw jego kuracji zajęło jego kolegom kilka dobrych miesięcy. Natomiast Bóg szczodrze obdarował wspomnianego specjalistę talentem krasomówczym. Chorobę nazywał dramatem w dwóch aktach: pierwszy rozgrywa się w naszym jestestwie w głębokiej ciemności, bez żadnej aluzji do nieszczęścia, a dopiero w drugim zapalają się świece, zwiastunki pożogi, której czasem nie sposób ugasić.

Wśród twoich lekarzy trafiali się profesorowie, docenci, utalentowani praktycy i nie mniej utalentowani łgarze i nabieracze. Jeden z nich oprócz znajomości akupunktury posiadał głęboką wiedzę o klasycznej chińskiej filozofii. W gabinecie drugiego obok niemieckojęzycznych traktatów o zapaleniach nerek i zespołach nerczycowych stały na półce „Dzikie łowy króla Stacha" i „Korab rozpaczy"*. Trzeci lepiej znał się na koniach i woltyżerkach z cyrkowej areny niż na drobnoustrojach, walczyć z którymi przeznaczył mu los. (Jako szczególną indulgencję eskulap cytował powiedzenie, że jeśli chodzi o poziom precyzji, medycyna znajduje się zaraz za teologią.) Czwarty uważał za swój obowiązek szczegółowo poinformować cię o własnym bukiecie chorobowym, co na szczęście nie przeszkadzało

* Utwory białoruskiego pisarza Uładzimiera Karatkiewicza (1930–1984).

mu w używaniu życia z pokaźnym gronem kochanek, o których opowiadał równie chętnie i drobiazgowo. Piąty osiągał pewien efekt psychoterapeutyczny dając ci biały kitel i zabierając ze sobą na obchód do nieuleczalnie chorych pacjentów. Szósty błyskotliwie obalał twierdzenie Montaigne'a, że ponury medyk nie odniesie w swoim rzemiośle żadnych sukcesów...

Luminarz chirurgii laserowej opowiadał ci o swoich operacjach za granicą, gdzie cieszył się szacunkiem kolegów i uczniów i był rozchwytywany na przyjęcia i wycieczki po cudownym górzystym kraju leżącym na granicy słowiańskiego świata. Opowiadał, jak cieszył się zawodowym uznaniem i gościnnością gospodarzy i jak pewnego razu jego radość natychmiast przygasła, gdy przy stale spytano go, czy to prawda, że Białoruś jest jedynym krajem słowiańskim, którego naród nie mówi swoim własnym językiem...

Lekarze, a zdarzało się, że i lekarki, obmacywali cię i targali za różne części ciała, kłuli, rozgrzewali, masowali, czasami z tobą wypijali i znowu ciągali, kłuli i przepłukiwali. Przystawiano ci magnesy i pijawki oraz robiono akupunkturę, dzieki czemu przekonałeś się, że doktor Łapiduch, tak nie lubiany przez ciebie w dzieciństwie, w rzeczy samej jest bohaterem nie mniej pozytywnym niż doktor Dolittle.

Wysłuchiwałeś coraz to innych diagnoz, czasami podobnych do wyroków, i miałeś coraz większe przekonanie, że najbardziej niebezpiecznym lekarzem jest lekarz bez poczucia humoru.

Z KIM ŻYĆ, GDY NIE MA BAKTERII

Istnieje humor różowy i czarny. Żydowski i żołnierski. Odeski i angielski. Istnieje humor wisielczy.

I jest też humor lekarski.

Lekarz, któremu miejscowi pacjenci nie wiedzieć czemu przynosili bombonierki jako honorarium, emigruje do USA, otwiera prywatny gabinet na Brighton Beach i umieszcza na drzwiach wywieszkę: *Czekoladek doktor nie pije*.

Ileż to razy po obejrzeniu wyników twoich analiz kierownik laboratorium podchodził w zamyśleniu do okna i formułował niełatwą wypowiedź: „Wie pan, każdy lekarz ma swój prywatny cmentarz"...

W uznaniu dla pacjenta z ogromnym stażem dyrektor centrum diagnostycznego po zakończeniu wizyty zaprasza cię do firmowej sauny, ale tylko pod warunkiem, że na wszelki wypadek weźmiesz ze sobą telefon komórkowy. Sauna wita cię gustownie inkrustowaną w drewnie konkluzją z wieloletnich eksperymentów diagnostycznych: *Nieboszczyk się nie poci.* Tajesz w saunie razem z komórką, rozmyślając nad tym, kogo byś chciał mieć teraz na jej miejscu, gdy nagle twoja Nokia ożywa. Zatroskany głos doktora pyta: „Panie Arłou, czy pan się spocił?"

Oznajmiając, że w twoim organizmie nie znaleziono żadnej infekcji, profesor rzuca uwagę, że cieszyć się z tego powodu nie wypada. W odpowiedzi na twoje strwożone spojrzenie sława ojczystej urologii konkretyzuje tonem nieomal tragicznym: „A z kim pan teraz będzie żył?"

WYBIERASZ DIANĘ

Synonimów do słowa „doktor" (włączając w to postaci literackie w rodzaju doktora Judyma) można uzbierać ze dwie dziesiątki. Pielęgniarki pod tym względem są pokrzywdzone. Mówiąc między nami, bez nich, sióstr, medycyna już dawno wyciągnęłaby kopyta.

To one fachowo robią zastrzyki i z lubością wykonują lewatywy. Wieczorem pocieszają beznadziejnie chorych, a w nocy zamykają się z godnymi zaufania lekarzami w salach zabiegowych i pokojach ordynatorów. Zaglądają na twoją salę, żeby przekonać się, że jeszcze żyjesz, i proszą o poczytanie nowej książki Frédérica Beigbedera. Występują jako bohaterki w romansach i thrillerach medycznych.

Cienkawa pięknotka Maryna przed wstrzyknięciem ci nowej dozy rzekomo pożytecznego medykamentu skarży się, że mąż ma do niej pretensję o jej chudość i tygodniami ignoruje wykonywanie swych małżeńskich obowiązków. A dokładniej, pielęgniarka podejrzewa, że te obowiązki są wykonywane gdzieś poza domem. Dajesz Marynie przyjacielską radę, by odpłaciła wiarołomcy pięknym za nadobne. Siostrzyczka odpowiada, że się boi. Co drugi jest chory. Możliwe, że oczekuje jakiejś pomocy od ciebie. Mówisz niepewnie o gumkach. Ale po pierwsze Maryna z gumką nic nie czuje. A po drugie, gumki nie dają żadnej gwarancji.

Małodusznie powstrzymujesz się od dalszych rad i podstawiasz swój skłuty igłami tyłek w barwach ukraińskiej flagi narodowej.

Niebieskooka Diana, podłączając cię do kroplówki, uprzedza, że będziesz leżeć pod nią (kroplówką) przez godzinę. Gdy równo po godzinie siostra wraca, z buteleczki sączy się ostatnia kropla.

Wiśniowooka Milana również obiecuje godzinę „odjazdu", ale jej kroplówka może wystarczyć zarówno na 50 jak i 70 minut.

Nefrytowooka Żanna zostawia cię z wbitą w pośladek igłą, nic nie mówi, a gdy leki się kończą, musisz naciskać guzik od dzwonka w pokoju pielęgniarek.

Żanna jest ładniejsza od Diany, a Milana od Żanny, ale w razie czego wybrałbyś Dianę. Podobają ci się kobiety wyczuwające czas: nie spóźniające się i nie przychodzące za wcześnie. Nawet kiedy rzecz dotyczy kroplówki.

Skoro już mówimy o oczach pielęgniarek, twoim najdroższym wspomnieniem są zielone, badawczo smutne oczy dziewczyny, która pobierała twoją krew do specjalnej analizy w centrum onkologicznym, i te same oczy, ale już migotliwie promienne, z bursztynowymi iskierkami, gdy dziewczyna oznajmiała ci, że wynik jest ujemny. Do tej pory pragniesz ujrzeć te iskierki z bliska. Wystarczy tylko wstąpić do centrum onkologii...

SIEROTKA NADZIA

Niegdyś znałeś szarooką, podobną do drobnej kotki lub pokaźnej myszy pielęgniarkę, która na szczęście nie zdążyła zrobić ci żadnej analizy i zastrzyku, bo w przeciwnym wypadku twoje życie mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej albo i w ogóle skurczyć się do myślnika pomiędzy dwoma datami na nagrobku.

Historię siostry noszącej wspaniałe imię Nadzieja opowiedział ci znajomy ordynator, do którego mysz przyszła pracować po ukończeniu szkoły pielegniarskiej.

Nadzieja rosła bez matczynej miłości w domu dziecka i być może dlatego garnęła się szczególnie do chorych kobiet, z którymi lubiła prowadzić długie i szczere rozmowy. Jednej pacjentce Nadzia z perlącą się rosą na drżących rzęsach poradziła powiedzieć dzieciom, żeby nie przynosiły do szpitala pomarańczy, a oszczędzały pieniądze na zbliżającą się stypę po mamie. Druga kobiecina dowiedziała się od Nadziei, że ma

w nerkach nie kamienie, a raka w ostatnim stadium. Trzecia po rozmowie z myszą dostała histerii i pobiegła do ordynatora.

Ordynator postanowił działać ostrożnie i przeprowadził atestację personelu średniego szczebla. Nadzi dano do zrozumienia, że wszyscy wiedzą o jej poufnych rozmowach z chorymi. Dalsze wydarzenia rozwijały się z niewiarygodną szybkością i pieniły się szekspirowskimi namiętnościami.

Nazajutrz po atestacji ordynator wrzasnął z bólu, gdy zrzucił po pracy szpitalne obuwie i wsunął stopy do własnych pantofli. Czyjeś troskliwe rączki położyły do każdego pantofla termometr.

Stopy doktora nie zdążyły się jeszcze wygoić, gdy spotkała go nowa straszna niespodzianka. Ordynator osobiście robił płukanie pęcherza moczowego środkiem antyseptycznym dla wysokiej szychy. Ledwo zabieg się rozpoczął, gdy pacjent z rozdzierającym jękiem zerwał się z tapczanika i rzucił się na oślep rozbijając wszystko po drodze. Jedynie ogromne doświadczenie pomogło lekarzowi zrozumieć, że zamiast roztworu srebra wpompował choremu przygotowany przez skrzętną siostrzyczkę jod o takim samym kolorze.

Nazajutrz, gdy z sali dla VIP-ów wciąż dolatywały jęki ledwo odratowanej ofiary, ordynatora wezwał lekarz naczelny szpitala, któremu Ministerstwo Ochrony Zdrowia przesłało list napisany na pięciu stronach okrągłym, żeńskim charakterem pisma. Z tamtego listu twój znajomy dowiedział się, że najskrytszym marzeniem Nadzi z domu dziecka było leczenie ludzi i że na tym życiowym szlaku czekały sierotę nieludzkie katusze. Najstraszniejszą z nich było spotkanie z nim, doktorem, który w tym samym dniu, w którym pokazał młodej pielęgniarce oddział, gdzie miało urzeczywistnić się jej marzenie, bezceremonialnie i brutalnie posiadł ją na fotelu ginekologicznym. Od tamtej pory praca Nadziei przekształciła się w niewolnictwo seksualne, od którego nie było ratunku, za przeproszeniem, i w czerwone dni jej kobiecego kalendarza, kiedy potwór w białym kitlu wymagał zaspokajania swojej żądzy w nieludzki, zagraniczny sposób.

Twój znajomy jest teraz ordynatorem w innym mieście. Jak potoczył się los sierotki Nadzi – nie wiadomo, ale nie możesz wykluczyć, że nadal pielęgnuje chorych w zakładach opieki zdrowotnej twej cierpiętniczej Ojczyzny i być może w tej chwili przygotowuje jakiś skuteczny preparat do injekcji lub płukania.

POWIEDZMY ZINAIDA

Kiedyś choroby przychodziły i odchodziły, a teraz jedna zmienia drugą. Tak to zgrabnie ujął Adam Hlobus*. Ale to było powiedziane nie o tobie.

Wiele byś dał, żeby zamiast jednej dolegliwości rzeczywiście przychodziła inna. Nadawałbyś im swojskie i egzotyczne żeńskie imiona, pieszczotliwe i trochę pobłażliwe ksywy i ksywki. Rozmawiałbyś z każdą: rankiem prosząc o łagodność w stosunku do ciebie, a wieczorem – jeśli nie o czułość, to przynajmniej o litość. Potem następowałby moment pożegnania: bez zbędnego żalu i nawet po przyjacielsku; gdyby którejś z nich zachciało się wrócić, wiedziałbyś już, do czego jest zdolna i jak z nią postępować.

Ale stałeś się wybrańcem tylko jednego choróbska i od razu po zawarciu znajomości z nim nie wiedzieć czemu postanowiłeś: nazwę cię Zinaida. Chętnie byś zdradził posiadaczkę tak poważnego i fajnego imienia z jakąś anginą, jednak Zinaida posłała wszystkie swoje rywalki w diabły albo jeszcze dalej i uczepiła się twojej osoby jak rzep psiego ogona.

Ale wystarczy o tym, bowiem Antoni Czechow – jako medyk i jako twój podwójny towarzysz, pisarz i chory – całkiem słusznie zauważył, że człowiek lubi pogadać o swoich chorobach, a to w jego życiu jest najmniej ciekawe.

Co prawda, ty mówisz tylko o jednej swojej współtowarzyszce, dlatego możesz pozwolić sobie na stwierdzenie, że tylko dzięki niej zrozumiałeś słowa Camusa o chorobie jako nie tylko krzyżu, ale i ostoi. Rzeczywiście, można ją uczynić schronieniem, które daje siłę.

NAJZDROWSI NA ŚWIECIE

Tak mawiano o radzieckich chorych, co było świętą prawdą.

Niegdyś pisarz rosyjski i były więzień łagrów Lew Rozgon opowiadał ci, jak francuski tłumacz wypytywał go o życie w Gułagu. W szczególności o to, na czym Rozgon zdołał pisać w takich warunkach. Na czym popadło, odpowiedział kolega. „Mój Boże! – żachnął się Francuz. – Pisał pan na papierze toaletowym!”

* Współczesny pisarz białoruski (ur. w 1958).

Mniej więcej takie wyobrażenia ludzie na Zachodzie mieli i o radzieckich szpitalach. Znasz kilka zabawnych historyjek o cudzoziemcach, którzy w czasach pierestrojki lekkomyślnie porzucili własne pielesze i trafili do naszych zakładów opieki zdrowotnej. Ale niech te opowieści grozy zapełniają strony utworów literackich za zachodnią rubieżą twojego kraju. Tobie wystarczą rodacy z ich hartem nabytym w radzieckich szpitalach, który nierzadko pomaga pacjentowi dociągnąć do wypisu także w suwerennej Białorusi.

Gdybyś zamierzał poświęcić książkę nie tylko lekarzom, ale i pacjentom, to koniecznie zarezerwowałbyś w niej miejsce dla elektromechanika Sieroży, wesołego chłopaka, który w beztroskiej młodości w Czerwieniu wstrzyknął pod skórę swego przyrodzenia cztery strzykawki parafiny.

Po owym „wyekwipowaniu" dziewczęta w Czerwieniu i okolicy po prostu oszalały od kobiecego szczęścia. Legendy o mechaniku zasługującym na miejsce w księdze rekordów Guinessa przekazywano zachwyconym szeptem z ulicy na ulicę i z sielsowietu do sielsowietu. Ale, jak napisała poetka, „dziwną baśnią przeminęła młodość" i uszczęśliwione córy historycznej krainy czerwieńskiej nagle straciły zapał i zaczęły znikać z horyzontu Sieroży całymi watahami. Pewnego ranka elektromechanik spuścił majtki przed lustrem i w bezlitosnym świetle dnia ujrzał wyjaśnienie: twardy i zawsze gotowy do natarcia przyrząd przekształcił się w okropny, krótki i pękaty kikut, który z uwagi na parafinę można było porównać do stopionego ogarka grubachnej świecy.

Podczas pierwszej szpitalnej nocy z łóżka Sieroży dolatują szlochy. Leżysz i myślisz, że płacz, jak i śmiech, odróżnia człowieka od zwierząt. U bobrów też mogą się toczyć łzy z oczu, ale to nic więcej niż funkcja odpowiednich gruczołów. Płacze tylko człowiek. Z tych głębokich rozważań wynika, że Sieroża jest człowiekiem. No więc badź i ty człowiekiem, myślisz i po chwili zawahania wyciagasz z szafki napoczętą butelkę czerwonego chilijskiego wina ze wspaniałym bukietem, nalewasz po brzegi graniastą szpitalną szklankę i korzystając z praw weterana sali proponujesz Sieroży „zaaplikowanie".

Sąsiad wychyla wino jednym haustem, a ty widzisz w przyćmionym świetle, jak jego twarz wykrzywia się z rozczarowania. „Kompot" – mówi pogardliwie Sieroża, ale przestaje płakać

i natychmiast chrapiąc zasypia. Za to zaczyna się ruszać twój sąsiad z drugiej strony, budowlaniec Enver z Turcji, który ożenił się w Mołodecznie z Białorusinką i pewnie dzięki słoninie i innym niezwykłym pokarmom wyhodował w nerkach ogromny kamień.

Enver oznajmia ci, że picie w szpitalu „wzbronone". „Milcz, mahometaninie" – odpowiadasz mu i nalewasz sobie szklankę chilijskiego wina. „Wzbronone" – upiera się przy swoim Turek.

Łyk po łyku nawilżasz winem swoje receptory, wyobrażając sobie wierzchołki Andów, filomata Domeykę, siwiutkiego i cherlawego Augusta Pinocheta i – nieoczekiwanie – smutnookiego Kurda Kanada, lekarza-stażystę w waszym szpitalu.

Jest po pierwszej w nocy, twoje zmysły chcą uderzyć w kimono, więc zaczynasz dociekać, czy Enver wie, kto go będzie operować. Dla Envera to zagadka, a ty wszystko wiesz: doktor Kurd. Turek podrywa się z łóżka jak oparzony. „Kurd to ne człowek! Kurd gorszy od szakala!" Sieroża budzi się i mruga głupawo oczami puchacza. Enver szybkościowo mówi coś w swoim języku. Chyba się modli. Nie chce ci się więcej wina, ale demonstracyjnie nalewasz jeszcze jedną szklankę i obiecujesz Enverowi, że jutro opowiesz o wszystkim doktorowi Kanadzie, żeby wyciął mu nie kamień, a coś innego.

Do sali przez okno zagląda zółta pełnia, podobna do dojrzałej gomółki sera, którym z przyjemnością zagryzłbyś swoje przepisane dwie szklanki. Sieroża znowu zaczyna szlochać, ale jeśli liczy na drugą porcję „kompotu", to nie pomoże mu nawet rozpaczliwe zawodzenie. „Wszystko w porządku – pocieszasz sąsiada – na tamten świat powinni przenosić się chorzy, a nie zdrowi".

Były bohater Czerwieńszczyzny mazgai się nadal. Pytasz Envera, czy płaczą Kurdowie, gdy ich, na przykład, palą napalmem? „Kurdy to szakale" – twardo odpowiada Turek. Zasypiasz z błogą myślą, że i w szpitalu masz szczęście do ciekawych, współczujących ludzi.

Po śniadaniu Sierożę zabierają na operację. Zupełnie ci go nie żal. Dzisiaj w nocy określiłeś jednoznacznie swój stosunek do posiadaczy parafinowych penisów, tak jak wcześniej – do właścicielek silikonowych piersi. Możliwe, że jesteś niegodziwym i złym człowiekiem. A może po prostu jesteś za uczciwą grą na równych zasadach.

Na miejscu Sieroży kładą weterynarza z Łahojszczyzny, wiernego czytelnika „Narodnej woli" i zwolennika Zianona Paźniaka*. W wyniku tej zmiany na sali zaczyna dominować język białoruski. Wręczasz jeden z numerów „Woli" Enverowi i groźnie tłumaczysz, że nadszedł czas uczyć się języka narodu, który dał mu schronienie. Wśród innych argumentów występuje i twój mityczny znajomy Kurd, który mówi po białorusku lepiej niż większość autochtonów. Enver najwidoczniej nie chce być głupszy od Kurda. Wkrótce robi pierwsze postępy: „Co to *pierszy*?"

„*Pierwyj*!" – wesoło wykrzykuje łahojski konował. Ma charakterystyczny, długi nos, od którego, jak się wydaje, możnaby bez problemów przypalać papierosa – to konsekwencja tradycyjnych rozliczeń za weterynaryjne usługi.

Krowi doktor chwali się młodszym bratem, biznesmenem, który ma na Sierabrance luksusowe pięciopokojowe mieszkanie i żonę nie puszczającą żebrakowatego szwagra nawet na próg. „Kurwa" – stwierdza bez złości weterynarz. „Ne wolno przeklinać" – wtyka swoje trzy grosze Enver.

Na poniedziałek wyznaczacie Turkowi pierwsze zaliczenie z waszego języka. Temat: „Znajomość z Białorusinką". Ale do poniedziałku trzeba dożyć. Ta sztuka nie udaje się, na przykład, dziadkowi z siódemki. We czwartek dziadek się nie budzi, pozostawiając w lodówce wam, żywym, pełną torbę wiejskiej polędwicy, kiełbasy i salcesonu.

W piątek w sali pojawia się z pękiem bananów brat-biznesmen z Sierabranki. Wydziela starszemu bratu $10 na weekend. Weterynarz prosi młodszego brata, aby zamienił je od razu na białoruskie ruble. Braciszek wyciąga banknot 20-tysięczny i weterynarz podaje mu otrzymany przed chwilą zielony dziesiątak. Biznesmen w porywie hojności zostawia go bratu, najpewniej popełniając fatalną pomyłkę, bo wypuszczony na weekend weterynarz nie wraca ani w poniedziałek, ani we wtorek.

W miejsce konowała pojawia się niepokaźny, podobny do charta major milicji, młody rencista z kolką nerkową. Przez calutki dzień, nadrabiając zaległości nagromadzone przez lata służby, major czyta książki. Kryterium wyboru lektur mimo-

* Polityk białoruski, od roku 1996 na emigracji.

wolnie rzuca się w oczy: „Towarzysz generał", „Dowódca batalionu" i „Sprawa majora Kostina" zupełnie ci nie znanych autorów, „Kapitan Fracasse" Theophila Gautiere'a i „Odyseja kapitana Blooda" Rafaela Sabatini. Po weekendzie przynosisz „Nikt nie pisze do pułkownika" Gabriela Garcii Marqueza, co zostaje przyjęte z wdzięcznością.

Tymczasem od sali do sali chodzi kulawy, częściowo sparaliżowany i zupełnie niewidomy chłopak, tłustawy niechluj, który opowiada wszystkim chętnym do słuchania, jak na dwa tygodnie przed wyjściem do cywila dopadły go za żołnierską palarnią „koty", z początku walnęły czymś ciężkim w tył głowy, a potem zaczęły go obrabiać butami.Wysłuchujesz tej historii przez kilka kolejnych dni i za każdym razem, patrząc na upstrzone łupieżem brudne włosy kaleki, nie możesz się opędzić od myśli: Co musiał wyprawiać „stary" z „kotami", żeby tamci z bestialskim okrucieństwem odbili mu nerki, wątrobę i wzrok?

Zresztą, z „kotami" też nie wszystko jest proste. W sąsiedniej sali leżą trzej młodzi żołnierze, przypominający na pierwszy rzut oka wypuszczonych „na chemię" drapieżnych zeków, na których napatrzyłeś się do syta na Syberii, gdy pracowałeś w studenckich oddziałach budowlanych. Przez cały dzień „koty" człapią jak w jednym zaprzęgu po szpitalu, bezustannie coś przeżuwają i piją, a wieczorem w ciemnej stołówce poją winem niezbyt rozgarniętą salową z niepewnym uśmieszkiem na dziecięcej twarzy. Upijają dziewczynę, a potem po kolei prowadzają do jej pokoiku z kanapą, żeby rano przechwalać się, kto ile razy ją „dmuchnął". Oprócz tych nocnych działań robią mniej więcej świadomie jeszcze dwie rzeczy: przed wypisem strzygą jeden drugiego na zero (bo tylko taka fryzura jest dozwolona w ich brygadzie komandosów) oraz starannie przemalowują napisy „droga ewakuacyjna" na szpitalnych tabliczkach na wersję: „droga ejakulacyjna".

KIEDY WYJĄ WILKOŁACZYCE

Przed ciszą nocną odwiedzasz beznadziejnie chorego artystę malarza na onkologii. Znana jest mu zasada Hipokratesa, według której przy dwóch źródłach bólu cierpi się tylko od mocniejszego, który zupełnie „zagłusza" ten słabszy, dlatego też ar-

tysta podwija rękaw, wyciąga z kieszeni elegancką zapalniczkę w kształcie rusałki i wykrzesuje płomyczek... Włoski na przedramieniu natychmiast się spalają, skóra nadyma się pęcherzem, opada i przypieka się. Nieznośny ból w żołądku ucisza się, artysta bierze papierosy (miga rysunek zrobiony wiecznym piórem na pudełku lekkich marlboro), obaj wychodzicie na korytarz.

Malarz miał własne wystawy, wyjeżdżał za granicę. Ale nigdy o tym nie wspomina. Mówi wyłącznie o swoich kobietach. Z jakiegoś powodu chce, abyś się dowiedział, że jedna z nich zamierała po orgazmie i początkowo malarz się obawiał, czy nie przestało bić jej serce. Inna dygotała jak w febrze, a jeszcze inna przed zapadnięciem w błogostan wyła jak wilczyca, strasząc go nie mniej niż tamta, która nieruchomiała. Pewnie była wilkołaczycą, myślisz sobie.

Nie powiesz, żebyś znajdował upodobanie w takich rozmowach. Ale słuchasz spokojnie i cierpliwie: tam, gdzie wkrótce przeniesie się malarz, mogą być kłopoty ze znalezieniem słuchaczy. Najpewniej kobiety, a nie wernisaże i albumy z reprodukcjami, były najważniejszą sprawą w życiu twego rozmówcy. Możliwe, że w tych kobietach, w ich pamięci, artysta będzie żył dłużej niż w swoich dziełach.

Prawie cała ręka malarza pokryta jest oparzeliznami. Zerkasz na nią i rozumiesz, że życie, nawet to z cierpieniem nie do wytrzymania, też ma swoją wartość – do ostatniego tchnienia.

Masz teraz możliwość przyjrzeć się, co przedstawia rysunek na biało-złocistym pudełku. Pewna ręka profesjonalisty nakreśliła na nim skomplikowaną kompozycję z kobiecych ciał przelewających się w siebie. Rysunek ma wyraźnie erotyczny charakter, ale czegoś mu brakuje do „ożycia." Czujesz lekki ucisk w sercu: na rysunku nie ma mężczyzny.

Myślisz, że przy całej swej naturalności i banalności śmierć może rzeczywiście nabrać cech tragizmu – kiedy twórca umiera wcześniej od swego talentu.

Twój rozmówca opowiada, jak pewnego razu, porządnie podpity, zapytał się bezceremonialnie nieznanej ślicznotki w windzie: „Chcesz się p...ć?" A ona krzyknęła w odpowiedzi: „Chcę! Chcę!" Akurat na tej klatce był właz na strych...

Po jednej historyjce idzie następna. Zaczyna cię to interesować: a co byś sam mówił w jego sytuacji?

Siostra Diana, która bezbłędnie przewiduje, kiedy ma się skończyć kroplówka, przypomina ci, żebyś po obiedzie przygotował się do przedoperacyjnej lewatywy i nic nie jadł. Ponadto okazuje się, że masz ogolić swoje najbardziej intymne okolice.

Problem nie jest na tyle elementarny, jakby się komuś mogło wydawać. W przeżytym półwieczu nigdy się samodzielnie nie goliłeś (jeśli pominąć porzuconą w młodości szarpiącą golarkę elektryczną „Charkiw", która popsuła się od razu po wetknięciu do niewłaściwego gniazdka, ale za to zaczęła porządnie odbierać pierwszy program radiowy). Lęk przed żyletkami masz w genach, bo ojciec ci opowiedział, jak w 1944 roku na Węgrzech jego nalepszego przyjaciela zarżnął żyletką właściciel zakładu fryzjerskiego, zwolennik Horthy'ego.

Przekazujesz tę historię Dianie i namawiasz ją, żeby choć przez chwilę pobyła fryzjerką, tyle że mniej radykalną od owego węgierskiego golibrody. Apel o jej współczucie łączysz z próbą materialnego pobudzenia tego ludzkiego uczucia – obiecujesz jej honorarium według stawek obowiązujących w elitarnych salonach piękności albo zaproszenie na kolację do cichej kawiarni z „antycznym" wystrojem pasującym do jej imienia. Diana obiecuje to przemyśleć, ale wieczorem (być może w międzyczasie dostała bardziej interesującą propozycję i nie wykluczone, że ktoś zabierze ją do kawiarni już dzisiaj, akurat wtedy, gdy ciebie zabiorą na lewatywę) zawiadamia cię, że siostry golą jedynie sparaliżowanych pacjentów. Po tym okrutnym werdykcie wręcza ci nożyczki, parę przyprószonych rdzą żyletek „Sputnik" i przedpotopowy stojak.

Zamykasz się w łazience, stajesz przed lustrem i medytujesz, że każdy mężczyzna, który brał żyletkę do ręki, z pewnością choć raz pomyślał, jak łatwo można przerwać srebrną nić żywota. Wyobrażasz sobie, w którym miejscu spotkanie żyletki z twoim ciałem byłoby najbardziej efektywne i estetyczne, i przekonujesz się, że myśl o samobójstwie jest potężnym środkiem uspokajającym.

Przez następne pół godziny ścinasz i potem zeskrobujesz swoją najintymniejszą fryzurę tępymi nożyczkami i jeszcze bardziej stępionymi żyletkami (ale na tyle ostrymi, żeby pozostawić kilka piekących zacięć).

Ktoś uparcie stuka do drzwi. Siostra uważnie sprawdza wyniki twojej pracy. Stoisz przed nią jak Akteon przed Dianą-Artemidą, która przemieniła antycznego myśliwca w jelenia. Suche, ciepłe i stanowcze palce pielęgniarki wywołują w twoich ogolonych organach pewne zmiany...

„A teraz lewatywa!" – oznajmia zadowolona Diana.

POD ŻAGLEM PRZEŚCIERADŁA

Winda, którą wiozą cię zupełnie gołego, przykrytego jedynie prześcieradłem, na piętro operacyjne, wywołuje najbardziej nieoczekiwane skojarzenia.

Leżąc na stole operacyjnym łapiesz się na tym, że nawet tutaj zapach świeżej bielizny budzi w twoim ciele lekki, przyjemny dreszczyk. W zgięciach prześcieradła kryje się niepowtarzalna rajska rześkość – jednoczesny ekstrakt z niewinnych wspomnień dzieciństwa i grzesznych pamiątek wieku dojrzałego. Ściskasz brzeg prześcieradła zmarzniętymi palcami, zamykasz na chwilę oczy i wyobrażasz sobie, że to żagiel. Przeniósł cię z niebytu do życia, a kiedyś uderzy weń inny wiatr i odpłyniecie w nowy niebyt.

Następna myśl zabarwia się innymi emocjami: a czym ty sam za pięć minut będziesz się zasadniczo różnić od tych, którzy już odpłynęli? Chyba tylko plastykowymi kapciami, które można bez problemu zdjąć. Dalej robi się jeszcze ciekawiej – na myśl przychodzi ci znajomy opozycjonista z prowincji, który cierpi na wrzód żołądka, ale uparcie odmawia pójścia na operację, przekonany że w takim wypadku niechybnie spotka go los zaszlachtowanego stalinowskimi eskulapami towarzysza Frunze.

Widząc chirurga wzdrygasz się. Możliwe, że taki sam wyraz twarzy miał ostatni doktor, którego widział w swoim heroicznym życiu towarzysz Frunze. Tymczasem chirurg, którego poznałeś dopiero wczoraj, kładzie na twoje bezbronne kolano ciężką rękę w gumowej rekawiczce i pyta, jak się prawidłowo pisze słowo *zmahańnie* – z miękim znakiem czy bez? Anestezjolog zaczyna podawać narkozę, czasu na wyjaśnienie problemu dwóch pisowni już nie ma, więc przed pogrążeniem się w ciemnych odmętach niepamięci udaje ci się jedynie naiwnie pomyśleć, że jeśli nie wrócisz, jeśli ockniesz się w innym wymiarze, twoja sprawa tutaj nie

zginie, bowiem i największy w kraju specjalista chirurgi laserowej interesuje się problemami białoruskiej ortografii.

SKRZYDŁA NABIERAJĄ MOCY W LOCIE

Leżysz pod narkozą jak topielec, wygodnie, głęboko na dnie, a ze wszystkich stron pełzną do ciebie perłopławy i ciągną się „rusałczane warkocze", żeby cię opatulić, opleść, ułożyć jeszcze przytulniej. Nieoczekiwanie do twojego zacisza, gdzie po raz pierwszy od kilku lat nic nie boli, dolatuje z ogromnego oddalenia słaby głos: „Jak się pan nazywa?"

Dlaczego kogoś obchodzi, jak się nazywasz? Dobrze ci tu i bez imienia. A jeśli przypomnisz sobie swoje imię i tym samym podpowiesz bólowi, gdzie ma cię szukać, żeby znowu wczepić się w twoje ciało wszystkimi szponami i pazurami?

Ale daleki głos nie zostawia cię w spokoju – przybliża się, nabrzmiewa niecierpliwością: „Jak się pan nazywa?" Zdajesz sobie sprawę, że głos stamtąd, znad powierzchni, należy do kobiety – możliwe, że ta właśnie okoliczność zmusza cię do wytężenia pamięci.

Głos już nie pyta, lecz rozkazuje. Chcesz wciąż zostać tam, gdzie nie boli, jednak „rusałczane warkocze" niebytu – jak nieczyste siły od porannego piania koguta – wyraźnie tracą moc. Odpadają bezsilnie i pełzną precz perłopławy, które już zaczęły zagnieżdżać się wygodnie na twoim ciele...

Kobieta woła, chce znać twoje imię, więc próbujesz – dla niej – wymówić go: U-ła... Na więcej nie starcza ci sił, ale zakamarkiem pamięci przypominasz sobie, że tak – po prostu Uła – nazywa cię przyjaciel. Ale kobieta pewnie o tym nie wie, więc poruszasz nieposłusznymi wargami: „U-ła-dzi-mier". Każda sylaba jest szczeblem rzuconej w twoją otchłań drabinki, po ktorej pniesz się w górę. „Jeszcze raz!" – żąda kobieta. „Uładzimier" – powtarzasz, czując już ciepło jej ręki. Kobieta ma na sobie zielony fartuch, ale ta zieleń jest inna od tamtej na dnie. Ma słoneczny odcień, podobnie jak jej rude włosy, które wystają spod zielonego czepka.

Kobieta niegdyś wypchnęła cię z nieistnienia. Teraz, z niepamięci, wyciągnęła cię inna kobieta, która twoim imieniem związała nić łączącą cię ze świadomością. To prościutkie rozważanie wyczerpuje cię i zapadasz w sen.

We śnie już wiesz, jak cię zwą. Od czasu do czasu się budzisz, ale każde następne zasypianie jest już spokojniejsze. Może dlatego, że i tam, w dalszych ciągach twego snu, niezmiennie występuje kobieta podobna do lolitki. Albo idzie ulicą ku tobie uśmiechając się szczęśliwie od ucha do ucha, albo pochyla się nad tobą muskając ustami czoło – jak motylek to przysiadający na nim, to trwożliwie wzlatujący w górę.

Wreszcie sen osiąga trzeźwą jasność i przezroczystość. O parapet bębni deszcz, a ty leżysz w ogromnym wygodnym łóżku z dziewczęcą kobietą, która witała cię na ulicy uśmiechem od ucha do ucha, robisz z nią to, czego chcesz sam i czego pragnie ona, opowiadasz jej, co z nią robisz teraz i co będziesz robił potem, prosisz ją, by opowiedziała o tym, czym jesteście zajęci, opowiedziała nazywając rzeczy po imieniu. Z początku jest zmieszana, ale zgadza się i zaczyna mówić gorącym, pachnącym (chciałbyś powiedzieć – lipcowym) szeptem, znajdując własne słowa – niezwykle czułe i niewiarygodnie nieprzyzwoite, które rodzą nową falę pieszczot, wyrzucających cię w końcu na brzeg rzeczywistości.

Na tym brzegu, gdzie zostawiła cię jasna fala snu, czeka cię przerażające odkrycie. Dopiero co, na olbrzymim łóżku w deszczowy dzień, używałeś swego ciała jak młody antyczny bóg, a teraz zmieniłeś się w obrzydliwe stworzenie, unieruchomione na łóżku przez rurki i rureczki, które rzekomo mają ci pomóc. Na przykład, za przeproszeniem – w wysikaniu się.

Doktor uspokaja: to tylko na dobę, najwyżej dwie. Inaczej będzie bardzo bolało. Ale już wieczorem nie wytrzymują ci nerwy. A jeśli przez noc rurki zapuszczą korzenie i na zawsze wrosną w twoją istotę? Wzdrygasz się od strachu i obrzydzenia, od czego robisz się podejrzanie nieważki. Błagasz doktora o usunięcie tych wszystkich obcych urządzeń ze swego ciała. Będzie bardzo bolało, powtarza doktor. Bardzo. Masz świeżą ranę. Nie ustępujesz i doktor się poddaje.

Po chwili stoisz o własnych siłach nad sedesem i sikasz krwią i bólem. Przypominasz ulubiony tytuł redaktora gazety, w której kiedyś zarabiałeś na życie – „Skrzydła nabierają mocy w locie". W pewnym punkcie swego „lotu" niemal tracisz przytomność, ale widok krwi dodaje ci otuchy. Krew dowodzi, że żyjesz.

Stoisz nad sedesem i czujesz się prawie szczęśliwy. Twoje ciało znów należy do ciebie.

UMRZEĆ, ŻEBY ZMNIEJSZYĆ WYDATKI

Czasem myślisz, że wszystkie aforyzmy to tylko piękne kłamstwa. Szczególnie aforyzmy o śmierci. Choćby ten: „Szlak do królestwa cieni jest zewsząd jednaki"(Markus Tuliusz Cyceron). Czy rzeczywiście jest jednaki dla wodza Hunów Atylli, który zstąpił prosto do piekieł z gorących objęć swej chutliwej Ildiko, i dla tego starego, który umiera za przepierzeniem – nie ogolony, z zapadniętymi niemal do środka czaszki oczyma, z węźlastymi rękami, które kurczowo czepiają się niklowanej poręczy łóżka. Widząc taki spektakl Horacy niewątpliwie zrozumiałby, że palnął głupstwo – powiedziało mu się, że śmierć puka do wszystkich jednakowo. A Jules Renard pewnego razu doszedł nawet do stwierdzenia, że gdybyśmy się stali nieśmiertelni, to z rozpaczy próbowalibyśmy każdego dnia popełnić samobójstwo.

Twój zdrowy sceptycyzm wynika chyba z tego, że tobie już się zdarzało przechodzić od abstrakcyjnych rozważań o śmierci do żywych i pełnych wzajemnego zainteresowania dialogów ze wspomnianą damą.

Przypomina ci się, że Seneka radził myśleć o śmierci każdego dnia, żeby pokonać strach przed nią. Sentencja dosyć wątpliwa, ale w podjęciu dysputy z wychowawcą cesarza Nerona przeszkadzają krzyki zza przepierzenia.

Wołasz pielęgniarkę, która odmawia przyjść i w zastępstwie posyła salową. „Nie rób hałasu, dziadku – mówi owa kobieta za przepierzeniem. – Nie możemy ci pomóc. Nie hałasuj". Niewykluczone, że są to ostatnie słowa zarejestrowane przez świadomość starego. Na korytarzu młoda, wyczerpana salowa dodaje bez złości: „Obmierzliście wszyscy, skurwysyny".

Ktoś zauważył, że umrzeć oznacza przestać umierać – życzysz tego z całej duszy znoszącemu piekielne męki sąsiadowi. W twojej sali nie ma teraz nikogo i po raz pierwszy po operacji pozwalasz sobie na pociągnięcie pięciu łyków wina zamaskowanego jako cola.

Na dnie plastykowej butelki znajdujesz najmądrzejsze powiedzenie o śmierci, które kiedykolwiek słyszałeś: umrzeć, żeby zmniejszyć wydatki. O ukończeniu ziemskiego szlaku trzeba pisać nie tylko z powagą, ale i humorem. W każdym razie chcesz, żeby o twoim zejściu tak mianowicie napisano.

Na razie jesteś zbyt słaby i alkohol dość szybko uderza ci do głowy. Dlatego wymyślony przez ciebie nagłówek do tekstu podpisanego przez „Grupę kolegów" i poświęconego twojemu zgonowi trudno nazwać arcydziełem – „Już więcej nie wypełni deklaracji podatkowej".

POCAŁUNEK GOŁOWĄSA

Diana przynosi kroplówkę z antybiotykiem i glukozą. Co się stanie, jeśliby do tego koktajlu dodać sto gramów wytrawnego francuskiego wina? Pielegniarka nie odpowiada i w ogóle zachowuje się surowo i nieprzystępnie. Jak gdyby to nie ona wykonywała niezapomniany przegląd po twoim goleniu przed operacją i to nie jej utalentowane rączki robiły ci lewatywę (po której zrozumiałeś, jak czuł się biblijny Adam, gdy już został stworzony, ale jeszcze nie zdążył niczego zjeść).

Ty też z przyjemnością zrobiłbyś Dianie lewatywę albo jakiś inny zabieg leczniczy, ale na razie musisz gromadzić energię, spędzając czas z obrzydłym, nieskomplikowanym przyrządem.

Zresztą, nie masz racji co do kroplówki. Ona przypomina klepsydrę. Różnica jest w tym, że gdy buteleczka się opróżni, z powrotem nic do niej z siebie nie nakapiesz. Twoje jestestwo wchłonie godzinę czasu razem z przezroczystymi kropelkami, które ją odmierzały i zrodzi myśl, że godzin zostaje coraz mniej, ale – co przeczy elementarnej logice – ich wartość wcale nie rośnie. Jest nieporównywalnie mniejsza niż w młodości. Wówczas od jakiejś godziny mogła zależeć linia losu. Coś mogło fatalnie się nie wydarzyć, nie urzeczywistnić. Teraz od jeszcze jednej pustej godziny wyciekłej do nieruchomej sadzawki, jak i od wielu innych, w zasadzie nic nie zależy. Niczego w życiu już nie zmienisz, nie otworzą się przed tobą żadne nowe możliwości. Oto przyjdzie Diana, wręczysz jej czekoladę z orzechami, odwrócisz się do ściany i spróbujesz zasnąć.

Zdobyłeś sobie prawo do trwonienia czasu, do nie wykorzystywania go do maksimum, odzywa się w tobie ktoś zmęczony i mądry. Ale nieoczekiwanie pojawia się dosyć energiczny oponent tego kogoś. Oto wróci Diana, szepcze oponent, a ty zapro-

ponujesz jej złamanie sportowego regulaminu. Czy jest coś złego w wypiciu szklanki wina podczas nocnego dyżuru z chorym, który z każdym dniem staje się coraz mniej podobny do zdechlaka?

W twojej klepsydrze sączą się ostatnie krople. Minęło równo 60 minut i na korytarzu rozlegają się kroki pielegniarki. Zanim otworzą się drzwi, nie po raz pierwszy przemyka ci myśl, że taka kobieta nie będzie się spóźniać na spotkania.

Diana ma nadal niedostępny wygląd, ale tym razem to działa jako bodziec. Gdy pielęgniarka wyciąga igłę z twojej żyły, ostrożnie kładziesz swoją dłoń na jej ręce i strosząc wąsy zaczynasz: „Czy wie pani, że pocałunek mężczyzny bez wąsów jest jak zupa bez soli?..”

KANIBALE SĄ Z NAMI

Kiedy następuje poprawa?

Kiedy pośród nocy budzi cię jakaś zachcianka.

Kiedy prosisz o przyniesienie z domu nowego notesu i zaczynasz przepisywać z wyświechtanego starego adresy i telefony znajomych.

Kiedy chcesz, jak w dzieciństwie, schować ubranie pod łódką przewróconą do góry dnem i przepłynąć Dźwinę tam i z powrotem.

Kiedy zaczyna cię korcić podróż do Barcelony lub gdzieś na Sycylię.

Kiedy pragniesz wypić butelczynę albo i dwie wina rzadko spotykanego na twoich szerokościach geograficzmych. Południowoafrykańskiego – z gorzkawym, wytrawnym smakiem prozy Josepha Coetzee i fantazjami o lwach kochajacych się wśród winnic. Nowozelandzkiego – wyobrażając sobie przy tym, że akurat takim winem tubylczy Maorysi, wyrafinowani smakosze-kanibale, popijali pieczone polędwice z kolonizatorów. Ale najlepiej byłoby przepłukać swoje jestestwo kilkoma szklankami australijskiego – wspominając jedyną znaną ci mieszkankę południowej półkuli, która z rzadka wysyła do ciebie listy i zdjęcia (na razie nie różniące się katastroficznie od oblicza utrwalonego na zawsze w twojej pamięci) i prosi, byś i ty pisał do niej, bo inaczej zapomni wśród kangurów i dziobaków

języka, którego kiedyś ją nauczyłeś, niezmiennie kończąc każdą lekcję zajęciami praktycznymi.

Poprawa przychodzi, kiedy korci cię zaproponować toast za namiętność jako najlepsze wino dla młodych serc.

Kiedy ciągnie cię do pisarskiego stołu, na którym wydarzyło się i jeszcze się wydarzy tyle niewiarygodnych rzeczy...

Luty 2004

Przełożył Jan Maksymiuk

II



Dziś nie będziemy rozmawiać ani o poecie, którego już prawie rok trzymają w więzieniu za lekkomyślny wierszyk, ani o czyichś spalonych portretach, ani o nowych aresztowaniach.

Wyobraź sobie, że tam, za oknem, mamy typową dla Europy spóźnioną wiosnę. Opowiem ci jakąś zajmującą historię, coś takiego, o czym mężczyzna i kobieta, którzy poczuli do siebie sympatię i od paru ładnych lat czują ją także do dobrego czerwonego wina, mogą gawędzić przy kawiarnianym stoliku gdzieś tam, gdzie rachunki reguluje się koronami albo kartami kredytowymi.

Na przykład?.. Na przykład, jeśli zacząć *ab ovo*, posłuchaj, kim chciałem zostać w dzieciństwie.

Co prawda, wyraziłem się nie dość ściśle. Marzenia wyrastają na fundamencie jakiegoś życiowego doświadczenia, nawet zupełnie niewielkiego, ja zaś zamierzam mówić o swoich pierwszych latach, gdy dopiero zaczynałem odróżniać siebie od otoczenia, gdy dorośli dopiero zaczynali zabierać mnie do kina (telewizorów na naszej ulicy, jak zapewne i w całym mieście, wtedy nie było), a książka jeszcze na długo pozostawała dla mnie tajemnicą za siedmioma pieczęciami. W takiej sytuacji, zgodzisz się, mamy do czynienia nie z uświadomionymi marzeniami, a raczej ze swoistymi snami na jawie...

Prosimy o butelkę lambrusco. Co jeszcze? Dwa kieliszki i popielniczkę.

Tak, właśnie sny na jawie, które powinniśmy tłumaczyć wychodząc nie z ich sensu dosłownego, a jak sny zwyczajne, w których złapana ryba oznacza nie wędkowanie, a ciążę, zaś pożar zapowiada pieniądze.

Gdy dorośli pytają takie dziecko, kim chce zostać, rozmawiają z jego podświadomością, dlatego też trochę mnie dziwi, że adepci psychoanalizy nie poświęcili należnej uwagi dziecięcym odpowiedziom na to sakramentalne pytanie.

Kelnerowi się nie śpieszy, więc za twoim pozwoleniem zacznę od tego, że doskonale pamiętam nie tylko to, kim chciałem zostać, ale także, kim w żadnym wypadku nie chciałem. Na dodatek ten antywybór, w odróżnieniu od wyboru ze znakiem plus, nierzadko, jak to się zdarza i w świecie dorosłych, był uzasadniony o wiele lepiej. Wytłumaczyć, dlaczego jakiś człowiek

nam się nie podoba, jest zawsze prościej, niż podać przyczyny swojej sympatii do kogoś.

A zatem, poczynając od lat dwóch i pół byłem pewien, że żadna siła nie zmusi mnie do zostania oficerem śledczym.

Śledczym był wujek Czaglej, który mieszkał w naszym drewnianym domku za ścianą.

Wujek Czaglej przyjechał do Połocka z Syberii, ale tamtego dnia, gdy chwycił mnie swymi włochatymi rękami pod pachy i uniósł ponad głową, a ja z tej wysokości obsikałem jego błyszczącą łysinę, jeszcze się nie domyślałem ani pochodzenia naszego sąsiada, ani też istnienia jego dalekiej ojczyzny, a mój silny i celny strumyczek zrodził się nie pod wpływem jakiegoś genetycznie odziedziczonego szczególnego uczucia do Sybiraków czy do śledczych milicji, a jedynie z powodu przepełniającej moją dziecięcą istotę radości.

Tym niemniej po tym niewinnym incydencie wujek Czaglej poczuł do mnie niechęć trwającą aż do końca jego dni. Chociaż razem z ciocią Kławą, którą wszyscy zwali Czaglejową, nie doczekał się własnych dzieci, to jednak nigdy nie poczęstował mnie ani cukierkiem, ani lodami, ani w ogóle niczym, oprócz wiecznie zachmurzonego i kłującego spojrzenia, którym po raz ostatni obdarował mnie z trumny po swojej przedwczesnej śmierci na chorobę o śmiesznej nazwie „rak".

Przedstawiając tę sytuację psychologiczną, mógłbym dodać niezliczoną ilość innych szczegółów, jednakże główną rolę w mojej niechęci do zostania śledczym odegrały nie pijaństwa Czagleja i nie obrzygane przez niego żółte georginie przed naszym oknem, a grzybki-lisiczki, które mama smażyła z cebulą i których nasz sąsiad z zasady nie jadał. Utrzymywał, że u nich w Syberii taki smakołyk uważany jest za niejadalne świństwo i zbiera się tam tylko prawdziwki. Mszcząc się na syberyjskich dzikusach za nasze lisiczki, postawiłem na profesji śledczego wieczny krzyżyk.

Następnym zajęciem nie do przyjęcia pod żadnym warunkiem było fryzjerstwo. W tym przypadku moja nieugięta pewność wynikła z ojcowskich opowieści o frontowym koledze, który w pewnym węgierskim miasteczku, podczas gdy mój tata lejtnant pozował przed obiektywem aparatu fotograficznego, wstąpił do zakładu fryzjerskiego i... przepadł. Potem tato razem z „naszym" patrolem znalazł martwego kolegę w spiżarni

– nad miednicą pełną krwi i z gardłem poderżniętym od ucha do ucha.

Do piątej klasy kategorycznie odmawiałem chodzenia do naszego zakładu fryzjerskiego „Konwalia" i rodzice musieli kupić maszynkę do strzyżenia i skracać moje szorstkie kędziory obok kuchennej płyty. Wypełniona ciemną krwią miednica najwidoczniej zapisała się w mojej pamięci genetycznej, bo nigdy w życiu nie stałem przed dylematem – nosić brodę czy nie, nigdy też nie spróbowałem, co to znaczy ogolić się u fryzjera.

Jednak najbardziej zawzięcie nie chciałem – tylko się nie dziw – zostać kompozytorem. Bałem się tego wprost panicznie, bo w rozmowach rodziców i ich znajomych kompozytor był niezmiennym pośmiewiskiem. Na ławeczce przed domem albo przy stole podczas jakiejś biesiady, pomiędzy świeżymi ploteczkami z miasta oraz sekretami marynowania ogórków i pomidorów, ktoś obowiązkowo wspominał „naszego kompozytora" i niebawem obecni padali ze śmiechu, wciąż i wciąż powtarzając sobie tę historię i ozdabiając ją coraz to nowszymi malowniczymi szczegółami. Kobiety wskazywały na dzieci i kiwały na mężów palcami, ale te przestrogi były zbyteczne: chociaż brzdące w moim wieku zanosiły się śmiechem do wtóru z dorosłymi, to nie były w stanie połączyć w jeden ciąg informacji o jakiejś kochance, pieczątce szkoły muzycznej odbitej na czułym miejscu i mężowskim pistolecie, od kuli którego kompozytor mógł zginąć, ale miał na tyle sprytu, by umknąć i ukryć się gdzieś w Mińsku.

Ale oto i wino. Może być? No to wypijmy za twoje słuchanie.

Rozwój wspomnianych wydarzeń w całym ich zmitologizowanym tragikomizmie pojąłem dopiero w klasie ósmej, kiedy w muzycznej audycji radiowej wymieniono nazwisko znanego kompozytora i przez niedomknięte drzwi podsłuchałem, jak skomentował tę wiadomość mój ojciec, człowiek na ogół surowy i mało rozmowny, ale z niewątpliwym talentem opowiadacza.

Człowiek, którego nazywano kompozytorem, w latach mego dzieciństwa pracował jako dyrektor miejskiej szkoły muzycznej, pisał muzykę do piosenek ze słowami miejscowych poetów i miał romans z żoną oficera. O ile zrozumiałem, stałym miejscem ich schadzek był gabinet dyrektorski, w którym na takie okazje stała, jak wyraził się mój ojciec, dyżurna kanapa. Pewnego razu, na tamtej kanapie, dyrektor postawił służbową

pieczątkę swojej namiętności w miejscu, gdzie plecy przechodzą w bardziej kuszącą część ciała.

Trudno powiedzieć, co za impuls skłonił go do tak niecodziennego kroku: może nagle doszedł do głosu instynkt posiadacza, albo też może pieczątka, jak owa sławetna strzelba Czechowa, musiała „wystrzelić" tylko z tej jednej przyczyny, że znajdowała się na miejscu zdarzeń. W każdym razie w owym specjalnym miejscu na ciele wybranki kompozytora pojawił się fioletowy napis: „Dziecięca Szkoła Muzyczna w Połocku". Napis niewątpliwie musiał być wyraźnie czytelny, bo inaczej mąż oficer nie chwyciłby za rewolwer i opieczętowana pięknotka nie musiałaby telefonicznie uprzedzać kochanka o niebezpieczeństwie, a tamten nie musiałby salwować się ucieczką, by w rezultacie przeprowadzić się do Mińska, ukończyć konserwatorium, stać się prawdziwym kompozytorem i występować publicznie przez długi czas z obawą, że w sali może znaleźć się ów krewki wojskowy z pistoletem.

Krótko mówiąc, w dzieciństwie nie zgodziłbym się zostać kompozytorem za żadne pieniądze, nawet za te, których rodzicom wciąż brakowało, by kupić mi rower, na którym ku własnej hańbie nigdy nie nauczyłem się jeździć.

Za to nikt nie musiał mnie namawiać, żeby zostać nurkiem.

Zgoda, wypijmy za moje pierwsze marzenie.

Po raz pierwszy zobaczyłem nurków, kiedy w Dźwinie utonęła dziewczynka z sąsiedniej ulicy.

Przyjechali z rana samochodem z migaczami i powoli, jak na zwolnionym filmie, wyładowywali na brzeg swój skomplikowany sprzęt. Mój największy zachwyt wywołały buty z grubachnymi, ołowianymi podeszwami, których nie mogliśmy nawet ruszyć z miejsca, oraz okrągły hełm z oczyma wielkimi jak iluminatory.

Trzeciego dnia nurkowie wyciągnęli dziewczynkę z dna rzeki, owinęli w brezent i gdzieś ją powieźli.

Strażnik wypożyczalni łódek, wujek Mojsza, twierdził, że za każdego znalezionego topielca dają wielką premię. Poszły słuchy, że z tego powodu nurkowie sami topią ludzi, przywiązując im do nóg kamienie, a potem „znajdują" ich w oznaczonych miejscach.

Temu nie wierzyłem. Byłem pewien, że topielców w Dźwinie nie zabraknie i wyobrażałem sobie, że jak dorosnę, będę na-

ciągać ciężkie buty i hełm z iluminatorami, do których pod wodą będą podpływać dźwińskie szczupaki i patrzeć mi prosto w oczy. Będę dobrym poszukiwaczem topielców, więc często będą dawać mi premie, po których z godnością będę rozściełać na trawie gazetę, niespiesznie kroić na niej słoninę, bez mrugnięcia okiem pić wódkę z butelki z malinowym korkiem i maczać zielony szczypior w kupce soli. Wychyliwszy ostatni kieliszek i przeżuwszy szczypior, zapalę papierosa i jak starszy nurek wujek Kola zanucę zagadkową frazę: „Para-pa-babam, para-pa-babam..."

Oprócz topielców na dnie rzeki powinienem znaleźć jeszcze i metalową skrzynię z pieniędzmi. Ciekawe, że topielcy nigdy mi się nie śnili, podczas gdy skrzynię z pieniędzmi widziałem we śnie wiele razy i dokładnie wiedziałem, jak ta znaleziona przeze mnie będzie wyglądać: porośnięta perłopławami i oblepiona wodorostami, z pudową zardzewiałą kłódką i białą czaszką ze skrzyżowanymi piszczelami, akurat taką, jaką umieszczano na transformatorowych kolumienkach i nie wiedzieć czemu nazywano „iwanem iwanowiczem".

Topielcy nie zdążyli mi się przyśnić, bo po tym, jak wujka Czagleja zawieziono na cmentarz, pojawił się u nas nowy sąsiad, a wraz z nim nowe marzenie.

Sąsiada, który został lokatorem w mieszkaniu żony śledczego Czagleja, nazywano wujkiem Żenią. Wujek Żenia pracował jako anatomopatolog. Wymówienie tak skomplikowanego słowa i nie mniej trudnej pierwszej litery jego imienia przekraczało moje możliwości, więc mówiłem, że kiedy dorosnę, będę jak „wujek Zienia".

U wujka Żeni nie podobało mi się tylko jedno – jego absolutnie niepojęta niechęć do zabrania mnie choć raz do swojej pracy.

Wszystko inne strasznie mi się podobało.

Podobało mi się, że od tego sąsiada nieprzerwanie płynął zapach wody kolońskiej, co naprowadzało na myśl, że tam, gdzie wujek pracuje, produkują właśnie taką wodę.

Podobała mi się jego żona, ciocia Tania, która latem codziennie kupowała mi lody.

Podobały się nawet niezbyt życzliwe rozmowy, które obracały się wokół ich rodziny.

Dorosłych nie wiadomo czemu obchodziło, że wujek Żenia i ciocia Tania byli gdzieś „niezapisani".

Moim zdaniem, nie było nic złego w tym, że byli „niezapisani”, jak również w tym, że aby jechać na urlop w przedziale we dwoje, wujek Żenia kupował nie dwa, a cztery bilety.

I jeszcze podobało mi się, że gdy ciocia Tania zapraszała moich rodziców na święta do siebie, na stole naszych sąsiadów stało wino, a nie wódka.

Oboje byli wysocy, zgrabni i smagli. Wujek Żenia nosił ładne czarne wąsy, u cioci Tani nad górną wargą też przebijał się ciemny puszek, który z czasem obiecał przekształcić się w porządny wąsik. Sądziłem, że to może z tego powodu Czaglejowa mówiła o swoich lokatorach „moi Żydzi”.

Pewnego razu rodzice gdzieś wyjechali i powierzyli pieczę nad moją osobą żonie wujka Żeni. Gdy poszliśmy na obiad do stołówki miejskiego Domu Oficerów i gdy ciocia Tania zamówiła niebiańsko smaczne danie z egzotyczną nazwą „sznycel”, a potem spotkała znajomych, którzy zapytali jej, czy nie jestem jej synem, a ona odpowiedziała, że tak i zapytała, czy nie jestem do niej podobny – poczułem się zmieszany wcale nie dlatego, że w ten sposób ja sam zostałem także zaliczony do „Żydów”. Odczuwałem lekki wstyd z tego powodu, że gotów byłem wyrzec się własnych rodziców i nic na to nie mogłem poradzić: jeśli na anatomopatologów biorą tylko „Żydów”, gotów byłem zostać „Żydem”.

Wszystko na tym świecie się kończy, przy czym w dzieciństwie odbywa się to znacznie szybciej.

Może wpłynęła na to tajemniczość przesyconej wodą kolońską profesji wujka Żeni, a może też zakiełkowało ziarno sowieckiego patriotyzmu zasiane filmami o „naszych” wywiadowcach, ale pewnego razu obudziłem się z mocnym postanowieniem zostania szpiegiem.

Wypijmy za naszych szpiegów!

Pociągał mnie nie tyle romantyzm, ile konkretyka tego zajęcia.

Mnie i towarzyszącą mi radiotelegrafistkę powinni byli zrzucić na spadochronach nad Ameryką, żebyśmy się dostali do głównego amerykańskiego sztabu i wykradli główny plan bombardowania Związku Radzieckiego. Wątpliwości co do wyboru mojej towarzyszki nie było: radiotelegrafistką zostanie moja pierwsza męska namiętność – Ludoczka, córka dyrektora szkoły, w której pracowała mama. Z Ludoczką spotkałem się po raz pierwszy cztery lata wcześniej na noworocznej choince.

Nasza wzajemna sympatia okazała się tak mocna, że solidarnie zsikaliśmy się w majtki, a potem przez rok żądałem od mamy, żeby zawiązywała mi chusteczkę, bo chcę być Ludoczką. (Ten szczegół warto odnotować: zanim zapragnąłem zostać nurkiem, chciałem pobyć kobietą.)

Po zrzucie mieszkamy z Ludoczką w małym, brudnym pokoiku zimnego i ponurego amerykańskiego drapacza chmur. Jak i dorośli, śpimy w jednym łóżku i w celach konspiracyjnych mówimy wyłącznie po amerykańsku, a także nie kupujemy ananasów, żeby Amerykanie nie pomyśleli, że u nas ich nie ma. Przy pomocy pewnego głodującego, bezrobotnego Murzyna udaje mi się przekraść do sztabu, zastrzelić z automatu osiemnastu amerykańskich pułkowników i wykraść plan bombardowania Moskwy oraz całej naszej wielkiej i potężnej Ojczyzny, po czym wrócić do zimnego pokoiku w drapaczu chmur. Moja radiotelegrafistka Ludoczka leży w łóżku z nieznajomym Murzynem. Nie rozumiem, dlaczego w dzień są przykryci kołdrą, ale czuję, że chociaż amerykańscy Murzyni nas popierają, to dzieje się tu coś nieczystego, więc z rozkoszą pakuję serię z automatu w nieznajomego Murzyna. Z łóżka lecą czerwone bryzgi, ale Ludoczka nie płacze, lecz opatruje mi rany i zwija radiostację, bo wysłany po nas samolot jest już w powietrzu.

Medale i ordery wręcza nam sam „nasz" główny Chruszczow, którego dorośli nazywali familiarnie Nikitą i klęli za jakąś kukurydzę i za brak chleba w sklepach. Ja wprost przeciwnie, byłem wdzięczny Chruszczowowi, bo wystarczyło tylko wyjść za furtkę na ulicę, jak z kolejki wijącej się wokół sklepu z pieczywem rzucało się kilka ciotek i szarpiąc mnie każda w swoją stronę namawiało do postania w kolejce razem z nimi. W rezultacie tego prostego manewru sklepowa dawała ciotce dodatkowy bochenek chleba, a ja dostawałem dwieście gramów zlepionych irysków albo cukierków „poduszeczek".

Oczywiście rozumiesz, że pragnąłem być szpiegiem tylko i wyłącznie radzieckim.

Pewne wątpliwości w tym względzie przebudziły się w mojej duszy dopiero po wielu latach, gdy stałem w zacisznym kątku berlińskiego przedmieścia, na mostku przez strumyk na granicy wschodniego i zachodniego sektora, gdzie dwa systemy wymieniały swych spalonych agentów.

To chyba wszystko. To lato, gdy chciałem zostać radzieckim szpiegiem, było ostatnim przed pójściem do szkoły, w której nasze marzycielskie i niewinne dusze zostały bez reszty wplątane w szeroko zastawione sieci dążeń i idei zatwierdzonych bez naszego udziału.

Ale to już zupełnie inna historia.

Mówisz, że masz synka. W takim razie możesz mieć nadzieję, że jeśli teraz chce zostać nurkiem, anatomopatologiem albo szpiegiem, ma wielkie szanse stać się białoruskim pisarzem.

Ostatnio znowu mi się zachciało zostać szpiegiem. Nie wiesz, co by to mogło znaczyć?

1997

Przełożył Jan Maksymiuk

RYBA I INNI

Jest milion sposobów, jak zacząć tę opowieść.

Zacznę ją tak.

Wyobraźcie sobie majowy poranek w mieście oraz mgiełkę pachnącą czeremchą i chemikaliami. Wśród białego kwiecia na brzegu rzeki po raz ostatni rozlega się trel słowika, odurzonego tym aromatem. W pobliżu jego kryjówki, nad parterowymi mieszczańskimi murowankami z końca ubiegłego stulecia, wznosi się odrapany biały sobór z pordzewiałymi kopułami, a trochę dalej – niegdysiejsza kircha z czerwonej cegły. Jest jeszcze bardzo wcześnie i na nabrzeżnej ulicy można dostrzec jedynie wymiętą postać niewyspanego wędkarza.

Niegdyś po tej ulicy biegał z wędką młody Franciszek Skaryna*. Usadowiwszy się na ciepłym jak palenisko ojcowskiego pieca kamieniu, spluwał na robaka albo po prostu spluwał do wody, w zamyśleniu patrząc ponad Dźwiną na klasztor bernardynów, gdzie mnisi uczyli go łaciny. Niegdyś mniej więcej w tym miejscu, przed wielką wyprawą w świat po nauki, przyciskał dziewoje do płotu gołowąsy młodzian, którego później z szacunkiem będą nazywać Symeonem Połockim**.

Jednak wyrostek w wytartych spodniach z wąskimi nogawkami i w jasnej kurteczce z niewyraźną podobizną Johna Lennona, brnąc w porannej mgle pustą ulicą z pozamykanymi okiennicami, nie szuka spotkania z cieniami przodków. Dzisiejszej nocy nie zmrużył oka z innej przyczyny. Jego ręka ściskająca scyzoryk drży ze zmęczenia, a powieki kleją się do oczu jak muchy do żółtego lepu w szkolnej stołówce, gdzie pewnego razu dla zakładu zjadł trzydzieści pączków, popijając je osiemnastoma szklankami brudnoszarego kisielu.

Szkicując tę poranną scenkę pominąłem jeden istotny szczegół. Całe miasto było oklejone plakatami z zawiadomieniem, że

* Franciszek (Francysk) Skaryna (1486?–1540?) – twórca białoruskiego piśmiennictwa i drukarstwa. Przełożył na język starobiałoruski i wydrukował w Pradze (1517–1519) 23 księgi Biblii.

** Symeon Połocki (1629–1680) – pisarz i działacz religijny, gramatyk i poeta, autor pierwszych wierszy sylabicznych w literaturze rosyjskiej. Pisał po starobiałorusku, cerkiewno-słowiańsku, polsku i łacińsku.

jutro nastąpi tu otwarcie mistrzostw ZSRR. Chłopiec ze scyzorykiem rozpoczął swój skomplikowany obchód o północy i przekradając się od jednego plakatu do drugiego obszedł niemal wszystkie ulice. Z każdego ogłoszenia o mistrzostwach wyciął dokładnie jedną literę.

Nieprzerwane nocne zajęcie stępiło czujność i chłopiec nie zauważył, że już od dawna został namierzony. Milicja zauważyła go już przy pomniku Lenina, któremu wtedy nawet w najkoszmarniejszych snach nie mogło się przyśnić, co się stanie z jego nosem po dwudziestu latach.

Dwaj milicjanci przeczytali zredagowane przez chłopaczka obwieszczenie, spojrzeli po sobie znacząco i pozwolili młodocianemu przestępcy działać dalej. Byli w dobrym humorze: w całym kraju trwała kampania walki z pijaństwem i wczoraj wieczorem komendant milicji miejskiej powierzył im honorowe zadanie wywiezienia dwóch dziesiątków miejscowych moczymordów do zadźwinskiego lasu „na rozstrzelanie". Milicjanci postanowili schwycić przestępcę na gorącym uczynku wtedy, gdy pierwsi „rozstrzelani" dowloką się z powrotem do miasta. Do tego czasu, według ich oceny, chłopiec powinien już obejść wszystkie plakaty.

Gdy wędkarze wyciągnęli pierwszego sennego śliza, a po tamtej stronie rzeki, gdzie sterczały ponad lasem kominy miejscowego giganta petrochemii, pojawiła się na moście bezładna gromadka „rozstrzelanych" pijusów, chłopak ze scyzorykiem bezsilnie zatrzepotał i zawisł na rękach milicjantów, schwytany przy ostatnim poprawionym plakacie. „Jeśli ugryziesz, szczeniaku, walnę po nerkach – na wszelki wypadek uprzedził go niezłośliwie sierżant. – I przez całe życie będziesz sikał na różowo".

Po kilku godzinach w jednej z połockich szkół zwołano ogólny apel.

Bohater minionej nocy siedział w pierwszym rzędzie obok dosyć młodej kobiety w mundurze. Była to dobrze znana w okolicy inspektorka milicyjnej izby dziecka Luiza Stiepanowna. Niedawno występowała przed starszymi klasami z odczytem o profilaktyce przestępstw, podczas którego uczeń dziewiątej klasy Wołodia Popowicz podniósł rękę i zapytał, czy można zarazić się tryprem przez pocałunek, za co od razu wciągnięto go do milicyjnej kartoteki.

Ciepłe promienie słońca padają na szkolną propagandę wizualną, ukazującą wyposzczone oblicza budowniczych komunizmu. Przez szeregi pionierów i uczniów przelatuje nowina: „Capnęli Rybę". Za co – nikt na razie dokładnie nie wie. Jedni mówią, że Ryba – bo takie właśnie przezwisko miał nocny złoczyńca – napisał na pomniku Lenina krótkie nieprzyzwoite słowo, inni gotowi byli przysiąc, że to on w minionym tygodniu na topoli przed gabinetem dyrektora powiesił kota z przyczepioną do ogona karteczką „Ukarany za pomaganie partyzantom". Sam Ryba siedzi z nosem spuszczonym na kwintę. Jego duża, ostrzyżona pod miskę głowa opada na pierś. Spod kurtki spoziera na salę namalowany przez szablon koguci profil Lennona. „Kto to jest?" – zapytał pewnego razu dyrektor, złapawszy Rybę za ucho na schodach. „Lennon" – lakonicznie odpowiedział Ryba. „Jakoś niepodobny do Włodzimierza Iljicza" – powątpiewająco stwierdził dyrektor, ale puścił Rybę wolno, bo człowiek z niewielką nawet wyobraźnią mógł dopatrzyć się na wyliniałym wizerunku nie tylko Lenina, ale nawet Mao Tse Tunga.

Tymczasem pedagogom udaje się okiełznać salę i w drzwiach pojawia się dyrektor szkoły Iwanowicz.

Jego rodzicie mieli inne nazwisko. Inne nazwisko nosił do niedawna i sam dyrektor, ale po ostatniej wojnie na Bliskim Wschodzie napisał gdzie trzeba podanie, że nie chce mieć z agresywnymi rodakami nic wspólnego, nawet nazwiska.

Osoba rozpatrująca podanie litościwie pozwoliła Kiperwasserowi stać się Iwanowiczem, ale z imieniem mu się nie udało. Możliwe, że potężni ludzie podejmujący decyzje odnośnie takich podań po prostu całą swą spragnioną duszą szanowali starego Icka, który jeszcze w minionym roku nalewał piwo koło rynku do szczerbatych kufli, a w odległych latach dwudziestych nazwał swego syna Abrahamem. Możliwe też, że owi potężni ludzie rozumowali jakoś tak: wczorajszego Kiperwassera niebezpiecznie jest wpuścić do stawu razem z innymi Iwanowiczami, Iwanowymi i Iwanowskimi, lecz należy go, jeśli można tak to określić, zaobrączkować, żeby w odpowiednim momencie nie męczyć się za długo z sakiem. Oto więc macie Iwanowicza, ale – Abrahama.

Abraham Izrailowicz przechodzi wśród uczniów, trzymając się za serce i rzucając swemu zastępcy zagadkowe frazy: „Gdyby to chociaż były mistrzostwa obwodu albo nawet republiki... Ale ZSRR..."

Popiwszy wodą jakieś tabletki, dyrektor wychodzi na podium. Jego nieodłączny znaczek ze studiów na myszatym garniturze przekrzywił się z podniecenia. W rękach Abraham Izrailowicz trzyma duży rulon papieru. Na wysokim dyrektorskim czole, które niezauważalnie przechodzi we wspaniałą łysinę, zastygły trzy głębokie zmarszczki podobne do trzech mew lecących jedna nad drugą.

– Nie mam słów – zaczyna dyrektor po dramatycznie przedłużonej pauzie.

Luiza Stiepanowna poprawia fryzurę i szarpie Rybę za rękaw – chłopak mruga oczyma nic nie rozumiejąc, jak puchacz wyciągnięty z dziupli na słońce.

– Słuchaj, paskudo – głośno szepcze inspektorka.

– Nie mam słów – powtarza Abraham Izrailowicz.

Ale jednak znajduje słowa.

– Dzisiaj w nocy milicja aresztowała ucznia naszej szkoły Rybczyńskiego – mówi dyrektor grasejując. – Zatrzymano go na miejscu przestępstwa. Sprawa nabiera wydźwięku politycznego.

Abraham Izrailowicz podnosi tajemniczy rulon papieru do sinego wygolonego podbródka i powoli rozwija go. Sala zamiera. Mewy na dyrektorskim czole smutno opuszczają skrzydła.

– No i co w tym takiego? – daje się słyszeć w napiętej ciszy zdziwiony głosik primadonny szkolnego kółka dramatycznego Niny Maroz.

Przez następne kilka minut sala trzęsie się od dzikiego rechotu. Nauczyciel wychowania fizycznego Michaił Karpowicz Epsztajn ciągnie Wołodię Popowicza za ucho do wyjścia. W drzwiach wyrasta stróż szkolny Charytonowicz, który za Stalina pracował jako kierowca „czarnego kruka" i, jak wieść niesie, pewnego razu zawiózł własnego ojca na rozwałkę przez NKWD.

Na podium góruje postać dyrektora. Teraz dyrektor nieco przypomina widzianych w telewizji protestujących Murzynów, którzy walczą o coś przed Białym Domem. W ręku Abraham Izrailowicz trzyma plakat:

AKADEMICKIE MISTRZOSTWA ZSRR
W SKAKANIU DO WODY

W miejscu literki S w drugim rzędzie znajduje się wycięte okienko, przez które widać znaczek dyrektora.

Primadonnę Ninkę, która na szkolnej scenie wykonywała rolę Uli Gromowej*, długo jeszcze dręczono pytaniem, czy uczestniczyła w akademickich mistrzostwach ZSRR w owym właśnie rodzaju sportu. Można się jedynie domyślać, jak trudno było to znieść jej różowiutkim uszkom o odcieniu perłowej macicy ze szmaragdowymi kropelkami kolczyków.

To właśnie Ninka była autorką sławetnego powiedzenia: „Będę należała tylko do swego męża".

Możliwe, że na moralnym obliczu Ninki odcisnął piętno fakt, że była córką komendanta milicji w mieście. Tego właśnie, który wymyślił zadźwinskie rozstrzeliwanie pijaków.

Wynalazek był genialnie prosty. Zebranych na ulicach i w parku ochlajów od razu sortowano. Leżących wieziono do izby wytrzeźwień, a chodzących gromadzono na zamkniętym milicyjnym podwórzu obok klatek ze służbowymi psami. Do pijaków wychodził ojciec Ninki.

– Towarzyszu pułkowniku, co z nimi zrobimy? – surowo pytał dyżurny, kiwając na pijany kontyngent. – Może poszczujemy psami?

Na te słowa psy służbowe zaczynały przeraźliwie ujadać, a pijusy zauważalnie trzeźwieć.

– Zabrać psy!

Na podwórku zapadała cisza, w której wypowiadane niedbałym tonem słowa komendanta milicji brzmiały jak wystrzały z pistoletu:

– Rozstrzelać wszystkich co do ch..., żeby nie zaśmiecali naszego socjalistycznego miasta.

Po tym wyroku nieszczęśników zapychano do suk, wywożono jakieś dziesięć kilometrów od miasta i „rozstrzeliwano" na leśnej polanie z pistoletów załadowanych ślepą amunicją. Milicja odjeżdżała, a „rozstrzelani" (wielu z nich z mokrymi spodniami) wlekli się szosą przez całą noc do domu. Ludzie bali się skarżyć na Maroza, ale cała sprawa wyszła na jaw i ojca Ninki wysłano do Moskwy na studia do Akademii Milicyjnej.

„Będę należała tylko do swego męża" – słyszał od Ninki każdy, kto odważył się zrobić jej nawet najbardziej niewinną propozycję. Pewnego razu, będąc już w dziesiątej klasie, na-

* Ula Gromowa – jedna z młodocianych bohaterek „Młodej Gwardii" A. Fadiejewa, powieści należącej do ścisłego kanonu literatury radzieckiej.

tchniony widokiem jej wysmukłych i smagłych nóg, które zdawały się rosnąć aż do samych uszu, a także aksamitno-brunatnym pieprzykiem wielkości kopiejki na lewym policzku, pokonałem wrodzoną nieśmiałość, podszedłem do Ninki na przerwie i z uśmiechem zakochanego pajaca wydusiłem z siebie kilka idiotycznych słów, żeby też usłyszeć pozbawione chociaż cienia nadziei na jakąkolwiek wzajemność słowa „Będę należała...”. Jak gdybym zaproponował jej oddanie się od razu na ławce szkolnej albo w szatni po zajęciach, a nie pójście na wieczorny seans filmowy do kina „Kosmos”, gdzie zgodnie ze swoim desperackim planem miałem tylko położyć rękę na jej doprowadzającym do szaleństwa krągłym kolanie.

Moje młodzieńcze uczucie dumy zostało zranione na tyle głęboko, że zaprzysięgłem właścicielce cudownych nóg, iż napiszę na ścianie jej domu: „Tu mieszka Ninka, która będzie należeć tylko do swego przyszłego męża”, a w dole dodam: „Ale z tym się jeszcze zobaczy”.

Taką samą tablicę pamiątkową można też było zawiesić na naszym mińskim akademiku, bowiem mieszkała w nim Wiera Kropielka. Oprócz porządnie pisanych konspektów, cudownego warkocza (sięgającego do miejsca, gdzie plecy Wiery traciły swoją dumną nazwę) oraz mnóstwa innych pozytywnych przymiotów Wiera także miała punkcik odnośnie tego, komu będzie przynależeć z prawami wyłączności, a w dodatku jego sformułowanie słowo w słowo powtarzało postanowienie Ninki, co dawało podstawę do podejrzeń o plagiat w stosunku do obydwu.

O tym, co się stało z kobiecym credo Niny Maroz, opowiem trochę później. Zaś Wiera Kropielka dzięki innemu mieszkańcowi naszego akademika trafiła do nieoficjalnych annałów wydziału historycznego.

Mieszkaniec ten nazywał się Julek Kanapacki. Zanim dotarł do czwartego roku, pod przemożnym wpływem kolegów z pokoju przeobraził się z pilnego studenta, słuchającego profesorów z otwartym dziobem, w swoje przeciwieństwo i częstokroć, siedząc na samym szczycie amfiteatralnego audytorium, zamiast słuchać wykładu, obciągał przez słomkę jedną albo i dwie butelki niemarkowego wina.

W słynnym pokoju, gdzie przegrałem w karty swój lewy but i potem wykupiłem go za połowę stypendium, rej wodził Witia

Kiszko. Całkiem możliwe, że był potomkiem potężnego białoruskiego rodu magnackiego Kiszków, który wsławił się swoimi ochmistrzami, hetmanami, dyplomatami i mecenasami sztuki.

Witia był szczodrze obdarzony innymi talentami. Zaproponowane przez kogoś przezwisko Magnat od razu odkleiło się od jego osoby. Przyczyny należy szukać nie tylko w tym, że Witia akcentował rodowe nazwisko na francuską modłę.

W tamtych czasach na wydziale historycznym zaczął się ukazywać samizdacki almanach literacki „Miławica". Jeden z przyszłych koryfeuszy krajowej archeologii zamieścił w pierwszym numerze wiersz:

Z głębiny czasu dawno minionego,
Z egipskiej ziemi nad wodami Nilu,
Legendy do nas doszły o jabolu,
Co lud ów pił po trochu od małego.

Słowa te nie dotyczyły Kiszko.

Przehulawszy w ciągu kilku dni ówczesne trzydziestorublowe stypendium co do kopiejki, Witia w dzień leżał na łóżku, wpatrując się w zakurzony sufit z pajęczyną w kątach i wsłuchując się w swoje dziewięćdziesięciokilogramowe ciało. To coraz mocniej domagało się jedzenia. Witia spuszczał nogi z łóżka, wkładał białą nylonową koszulę, wzuwał czarne lakierki, zawiązywał wygrany w karty krawat i z głodnym blaskiem w oczach błąkał się po akademiku, prosząc o słoninę. „Może być i pożółkła" – mówił potulnie potomek magnackiego rodu.

Kiedyś w naszym pokoju poczęstowano Witię plastrem słoniny z wyraźnie odciśniętym na niej gazetowym zdjęciem Breżniewa. Potomek królewskich ochmistrzów położył słoninę z portretem na kromkę chleba i przeżuł to z godnością, nie zeskrobując sekretarza generalnego. Zamiast podziękowania obiecał, że następnym razem złoży na nas doniesienie i wszystkim nam zrobią sprawę polityczną.

Wziąwszy patronat nad Kanapackim, Witia Kiszko dochował się ucznia, który przewyższył nauczyciela – jeśli nie w jabolowych sesjach, gdzie utrzymywała się pewna równowaga, to przynajmniej w kartach, bowiem Julkowi udało się wygrać u Kiszko obie pary jego spodni. Odegrawszy jedną parę, Witia przyczaił się i czekał na dzień zemsty.

Ten dzień nadszedł wraz z wypłatą stypendium, gdy Julek około północy wrócił do akademika najwyraźniej jeszcze niedopity.

– Macie siarę? – zwrócił się do Witii Kiszko.

– Znajdzie się – odpowiedział tamten czujnie.

Julek wyciągnął pomięte banknoty z kieszeni.

– Schowaj te śmiecie – z godnością wartą swoich średniowiecznych przodków rzekł Witia i postawił warunki. – Jeśli przebiegniesz się na golasa do babskiego prysznica i z powrotem, stawiam trzy bełty.

– Nie p...?

– Niech zdechnę! – obrażony Kiszko walnął się kułakiem w pierś.

Julek nie wahał się, poprosił tylko o pozwolenie przykrycia się ręcznikiem. Ręczniki w akademiku były niewiele większe od figowego listka, przykryć się nim można było tylko z jednej strony, więc Witia litościwie się zgodził. Kanapacki widocznie liczył na to, że było już późno i nikogo nie spotka w swoim cwale po korytarzu pierwszego piętra do dziewczęcego prysznica. Zrzucił koszulę, spodnie i stojąc w kąpielówkach zażądał od Witi pokazania bełta. Witia postawił na stół trzy ciemnozielone butelki „Agdamu".

Julik ściągnął kąpielówki i przymierzył ręcznik – musiałby być ze trzy razy dłuższy, żeby można go było okręcić wokół jego potężnych bioder.

– Zaczekaj – życzliwie przyhamował go Kiszko, gdy Kanapacki dotknął klamki. – Łyknij sobie dla natchnienia. – Podsunął do Julka jedną z butelek.

Podczas gdy Julek zdejmował zębami plastykowy korek i pociągał z gwinta, podstępny Witia jak wicher przemknął po korytarzu, stukając do każdych drzwi i oznajmiając, że Kanapacki na golasa pobiegnie pod babski prysznic.

Gdy Julek, zasłaniając się z przodu ręcznikiem, wyszedł na korytarz, ten był pełen gapiów. Schodzili się nawet mieszkańcy innych pięter. Ku chwale Kanapackiego trzeba powiedzieć, że nie skrewił. Wciągnął pełne płuca powietrza, nadął się i runął do przodu z dzikim okrzykiem: „No, ćwoki, kurwa, trzymajcie mnie!"

Tak się złożyło, że pod prysznicem, dokąd z prędkością torpedy mknął Julek, akurat kąpała się wspomniana już Wiera

Kropielka. Właściwie to wkładała włochaty szlafroczek na swoje rozgrzane wdzięki i otwierała drzwi dokładnie w tej samej chwili, gdy w pełnym pędzie i bez zgubionego po drodze ręcznika dopadał ich wielbiciel jaboli.

W następnej chwili cały akademik usłyszał rozdzierający wrzask Wiery. Kropielka nie zdążyła już powiedzieć Julikowi, że będzie należała tylko do męża, bowiem cicho, z wywróconymi ze strachu oczyma, osunęła się po ścianie na brudne linoleum.

Niewiarygodne, ale po tej północnej przebieżce Kanapackiego nie wywalono z akademika. Uratowało go zdobyte przez jego kochankę pielęgniarkę zaświadczenie, że się przemęczył podczas sesji i chwilowo sfiksował.

Po tej przebieżce dokonała się w Julku jakaś metamorfoza. Na ostatnim roku ograniczył jabolowe seanse i ożenił się z córką prorektora politechniki. W rezultacie stał się doktorantem, coś tam obronił i wkrótce objawił się nam jako szacowny wykładowca naukowego komunizmu na uczelni teścia. Pewnego razu, gdy sentyment po raz kolejny zaciągnął mnie w progi Alma Mater, na korytarzu spotkałem Julka w połyskującym trzyczęściowym niebieskim garniturze. Kiedy spoglądałem na jego skórzaną dyplomatkę z zamkiem szyfrowym, pomyślało mi się, że mógłby w niej zmieścić ze sześć butelek „Agdamu". Moje niewinne pytanie, kiedy według niego zbudujemy wreszcie świetlaną przyszłość, Julkowi tak się nie spodobało, że natychmiast postawiłem następne: czy przebiegłby się na golasa po naszym piątym piętrze historyków od żeńskiej do męskiej ubikacji za skrzynkę koniaku.

– Wsadź się na ch... – ściszonym głosem odciął wykładowca naukowego komunizmu.

Teraz wydaje mi się, że bieg na golasa pod kobiecy prysznic jest niezbędnym etapem w karierze każdego wykładowcy naukowego komunizmu. Takie wyczyny nie idą na marne.

Trzeba przyznać, że życie Kanapackiego po spotkaniu z wykąpaną Wierą Kropielką ułożyło się znacznie lepiej, niż los Julkowego współspacza z akademika, Artura Zawaliszyna, po randkach z wykładowczynią historii średniowiecznej Rusakową.

Podczas jednej z zimowych sesji Arturek zaliczał u niej jako jeden z ostatnich. Młoda docentka przyjrzała się rosłemu blondynowi ze znaczkiem zawodnika pierwszej klasy w klapie, w zamyśleniu popatrzyła przez okno, za którym gęstniał fiole-

towy zmrok, wpisała zaliczenie do indeksu i poprosiła studenta o odprowadzenie jej do domu, ponieważ mieszkała na słabo oświetlonym osiedlu.

Na tymże ciemnym osiedlu świeżo rozwiedziona docentka wzięła Arturka pod rękę i nie puściła go aż do progu swego mieszkania, a za progiem przed studentem pojawił się najpierw koniak, a potem i wykładowczyni – tym razem w czymś zwiewnie przezroczystym.

Drugi akt zaliczenia przeszedł na tyle udanie, że Zawaliszyn zaczął znikać z akademika na całe dnie, nosić modne koszule i palić marlboro. Na wszelkie bliższe dociekania odpowiadał, jak miał przykazane, że przebywa na zgrupowaniu sportowym.

Jednakże szczęśliwy uczestnik zgrupowań sportowych, który już nigdy nie powinien był mieć kłopotów z opanowaniem historii wieków średnich, nie upilnował swego szczęścia. Rozpił się, zaczął się chwalić swoimi sukcesami sportowymi przed kolegami i pozwalać sobie na wypowiedzi w stylu: „Idę ruchnąć swoją starą".

Zawistnicy i złośliwcy zrobili swoje. Na egzaminie u docent Rusakowej Arturek dostał tak niewzruszoną lufę, że nie zdołał jej poprawić ani u swojej „starej", ani przed komisją, dlatego też z początku musiał przenieść się na studia zaoczne, a potem w ogóle gdzieś przepadł.

Niedawno jeden z naszych byłych kolegów z roku ponoć rozpoznał Zawaliszyna jako szefa gangu wymuszającego dolary od rodaków po polskiej stronie granicy. Jeśli to rzeczywiście był niegdysiejszy ekspert historii średniowiecza, to na swojej śliskiej ścieżce ma znakomitą okazję napotkać podpułkownika białoruskiej milicji Wiktora Kiszko. O podpułkowniku Kiszko natomiast wieść niesie, że swojej drugiej gwiazdki dorobił się za pełną sukcesów walkę z tymi, co po koniec lat osiemdziesiątych wymachiwali biało-czerwono-białymi flagami na wiecach, organizowanych między innymi przeciwko nauce wykładanej przez Julka Kanapackiego.

Wiera Kropielka, według jednych, wyszła za mąż za księcia z Madagaskaru, według innych zaś, za technika rolniczego z Lepla. Miejmy nadzieję, że w każdym przypadku – czy to w madagaskarskim hamaku z materacem ze strusiego puchu, gdy patrzy w ciemne jak dziegieć niebo Południa z obcymi gwiazdozbiorami, czy to na twardym lepelskim łóżku wyprodukowanym przez

izraelsko-białoruską firmę noszącą odrodzeniową nazwę „Pahonia”*, z którego widać tylko niski sufit w standardowym bloku – Wiera należy wyłącznie do swego męża. Możliwe, że przy tym z nostalgią wspomina przyszłego (i zarazem byłego) wykładowcę naukowego komunizmu Julka Kanapackiego, który jak duch czystego piękna wyrósł przed nią na progu ubogiego, ozdobionego jedynie arabeską pleśni prysznica w akademiku. Możliwe, że to właśnie wspomnienie w ciemnościach parnej madagaskarskiej nocy najmocniej łączy Wierę z jej daleką i chłodną ojczyzną.

Wiadomości o Ninie Maroz są bardziej pewne. Została żoną oficera-czołgisty, którego posłano do Afganistanu, by wypełnił tam swój internacjonalistyczny obowiązek.

O mężu opowiedziała mi sama Nina, gdyśmy się spotkali w mieście naszego dzieciństwa i wstąpili do kawiarni „Bociany”. Dowiedziałem się, że mąż przyjeżdżał dwa razy na urlop i przywiózł jej cały magazyn afgańskich kożuszków i japońskiej elektroniki. A także to, że mąż, zdaje się, bierze narkotyki, śpi z afgankami o marksistowskiej orientacji i chce ją, Ninę, rzucić, a sam po prostu zginąć – wylecieć w powietrze na minie podczas jakiejś karnej operacji albo zanurkować zestrzelonym helikopterem w zasnutą mgłami dolinę.

Po kawiarni słuchaliśmy muzyki na przywiezionym z Afganistanu magnetofonie i to, co kiedyś nie udało mi się w kinie „Kosmos”, teraz stało się jakoś mimowolnie. Moja ręka opadła na ciepłe i, w odróżnieniu od twarzy Niny, jeszcze nie postarzałe kolano, lekko powędrowała w górę.

– Chcę na podłodze – powiedziała Nina, patrząc gdzieś w bok.

Kochaliśmy się na puszystym, pewnie również zdobycznym dywanie, pod zieloną nocną lampą. Jej wielka plamka na lewym policzku kłuła trzema podstrzyżonymi włoskami, jej ręce i nogi umiejętnie mnie obejmowały, a usta szeptały nie zasłużone przeze mnie tkliwe słowa. W zielony krąg światła lampy wszedł perski kot i spokojnie się nam przyglądał, a moje spojrzenie raz po raz natrafiało na krzywe kindżały pozostawione przez czołgistę na urlopie. Nie mogłem uwolnić się od myśli, że takimi właśnie nożami dobijano gdzieś pod Heratem mojego najlepszego szkolnego przyjaciela Jurkę.

* Pogoń (*biał.*).

Od tego wieczora, kiedy nam z Niną przyświecała zielona stojąca lampa, minęło jeszcze niemal dwa lata do skasowania nauki głoszonej przez Julka Kanapackiego, a wodzowi mas pracujących przed naszą szkołą ktoś odbił nos. Ryba nie miał z tym nic wspólnego, bowiem wtedy pracował jako sekretarz partii w zamkniętym mieście w Kazachstanie, skąd coś dokądś startowało, i pewnie gorzko żałował ideologicznych grzechów dzieciństwa, które nie pozwalały mu piąć się w górę szybciej niż tego pragnął.

Jeśli chodzi o nos Włodzimierza Iljicza, to dolepiono mu nowy, ale podczas zimowych mrozów odpadł sam, co złośliwcom dało okazję do przypominania o wstydliwej chorobie wodza. W końcu władze miejskie utworzyły komisję, która wydała orzeczenie, że pomnik posiada niską wartość estetyczną. W specjalistycznej ocenie figurowała pamiętna fraza: „Pomnik utracił nos".

Krótko mówiąc, po Włodzimierzu Iljiczu, jak trzydzieści lat przedtem po Józefie Wissarionowiczu, który stał po drugiej stronie szkoły, pozostała tylko zarośnięta trawą podstawa.

A szkoda, bo niechby sobie wodzowie stali.

1995

Przełożył Jan Maksymiuk

MOLEKUŁA

Może też znacie nowelę Somerseta Maughama o rudym żebraku ze spalonych słońcem zaułków i placów Veracruz. Fabuły mają tę właściwość, że się powtarzają, ale w mojej historii nie będzie ani ogromnych czarnych sępów, ani wypchanej portmonetki, ani też uprzejmej kastylijskiej formy odmowy *Dispense Usted por Dios*, a Maugham został tu przywołany tylko dlatego, że wyciągnięta ręka żebraczki spod Spasowskiego Monasteru w Połocku będzie dokładną kopią przedstawionego przez mego angielskiego poprzednika ptasiego szponu, w który zamieniła się ręka niezrealizowanego pisarza.

Bywając w Połocku zazwyczaj odwiedzam to miejsce, żeby się przekonać, że choć cokolwiek na tym świecie zmienia się na lepsze, bowiem teraz w soborze Podniesienia Krzyża Pańskiego pachnie dymem kadzidła, podczas gdy w czasach mego dzieciństwa okoliczni mieszkańcy porobili w zapuszczonej świątyni kojce i trzymali w nich świnie. Co prawda, nie jest to niepodważalny dowód takiej zmiany, dlatego że dawniej na porośniętych trawą schodach soboru nie czuwało ze dwudziestu żebraków z czapkami albo rozpłaszczonymi pudełkami od obuwia obok nóg.

Krogulczy szpon należał do żebraczki pod sześćdziesiątkę. Mimo że panował lipcowy upał, ubrana była w straszliwie brudne jesienne palto, które dawno już zapomniało, co to są guziki. Włosy żebraczki, niemyte od co najmniej kilku miesięcy, miały zagadkowy kolor, taki sam zresztą, jak i oczy, które korciły człowieka nazwać je też niemytymi.

Trudno mi dawać jałmużnę żebrakom przy świątyniach. Co innego w przejściach podziemnych – tam łatwiej, może dlatego, że uliczni żebracy liczą jedynie na moją szczodrość, nie szantażując mnie powinnością wobec Wszechmogącego. Wszedłem po schodach w chłodną pustkę soboru z mało dobroczynnymi myślami, ale przy kiosku ze świeczkami coś zmusiło mnie do odwrócenia się i popatrzenia na żebraków.

Kiedyś już widziałem takie dwie malinowe plamki na szyi...

Kiedyś wiedziałem, co mi przypominały.

Podłoga pod moimi nogami zatańczyła.

Kiedyś... całowałem te plamki...

Przez kilka chwil pamięć działała jak odtwarzacz wideo, przewijający kasetę do tyłu. Potem ujrzałem Dźwinę, w której razem z soborem Świętej Sofii przeglądała się wtedy jeszcze nie zburzona barokowa katedra Świętego Stefana.

W tamtych czasach nie można było wyobrazić sobie Dźwiny bez wariatki Julki z Zadźwinia, która latem ciągała wiadra wody z hydrantu na brzeg, „żeby nasza rzeczułka nie wyschła". Umordowawszy się, siadała na trawie i spoglądając bojaźliwie na wędkarzy, zaczynała swoją ulubioną piosnkę o Lili.

Na brzegu siadywała Lila,
A obok niej kapitan był... –

zaciągała Julka cienkim głosikiem, jedynym, na jaki mogło się zdobyć jej wysuszone ciało. Potem piosnka robiła się smutna:

Już minął rok bez marynarza,
A Lila chodzi wciąż na brzeg...

Nikt z nas wtedy nie wiedział, że Julka zwariowała jeszcze przed wojną, po przesłuchaniach w dawnym klasztorze bernardynów – nie wytrzymała i podpisała coś strasznego na swego ukochanego chłopaka, którego wywieziono „czarnym krukiem" donikąd tej samej nocy, kiedy Julkę zwolniono do domu. W czasach naszego dzieciństwa dorośli nie byli zbyt skłonni do takich wspomnień, ale nad Julką litowali się i nie pozwalali jej umrzeć z głodu.

Finał śpiewki był tragiczny:

Pięknotka Lila utonęła,
Nie widział jej już więcej nikt.

Julkę spotkał ten sam los, co i bohaterkę jej piosenki. Pewnego razu wędkarze poczęstowali śpiewaczkę wódką i Julka, wcieliwszy się ostatecznie w postać Lili, rzuciła się przy moście kolejowym do Dźwiny.

Pusty Julczyny domek, z oknami zarośniętymi pokrzywami i krzakami zdziczałych porzeczek, straszył swym wyglądem na początku tej samej ulicy, przy której mieszkała Ania Szadurka, najładniejsza dziewczyna w mojej klasie.

Z tą Anią to oczywiście tylko tak mi się wydawało, bo kiedy teraz oglądam pożegnalną fotografię naszej klasy 8A, to znajduję buzie znacznie ładniejsze. Na przykład Świetka Timofieje-

wa, ta sama Świetka, którą po bez mała dwudziestu latach spotkałem przed mińskim hotelem „Planeta". Uradowany, zaproponowałem jej wspólne posiedzenie w jakimś miejscu, na co moja była koleżanka klasowa odpowiedziała, że może ze mną posiedzieć, a nawet poleżeć, ale to będzie kosztowało trzydzieści dolców, biorąc pod uwagę zniżkę dla starego kolegi.

Rzecz w tym, że w klasie Ania była pierwszą dziewczyną, która przeistoczyła się w kobietę – z krągłymi jak dojrzałe jabłuszka piersiątkami, cienką talią, smukłymi, zawsze opalonymi nogami oraz zielonymi oczami, w głębinie których kryło się coś, co raz po raz sprowadzało ich właścicielkę do moich snów.

Ania była gimnastyczką, kandydatką na mistrzynię sportu. Cały czas spędzała na jakichś sportowych zgrupowaniach albo zawodach, po których na szkolnych apelach nazywano ją naszą dumą, a nauczyciele bez oporów wystawiali jej trójki na okres, bowiem Ania nie miała czasu ślęczeć nad podręcznikami. Pewnego razu nie zdążyła wyjechać na kolejne mistrzostwa i trafiła na klasówkę z historii, podczas której z rozłożonego na kolanach podręcznika przepisała do zeszytu, że znaczenie powstania na pancerniku „Potiomkin" było w tym, że marynarze poddali się władzom rumuńskim.

W ósmej klasie Ania miała piątki tylko z wychowania fizycznego i rysunków. Dlaczego z rysunków, zrozumieliśmy, gdy zobaczyliśmy Anię siadającą za szkołą na motocykl naszego nauczyciela plastyki. Niebawem jednak zdolności plastyczne opuściły Anię i piątki zmieniły się w zwykłe tróje. Uczeń technikum spółdzielczego, Miszka Jeżewicz z mego podwórka, nie posiadał co prawda motocykla „Jawa", ale za to miał magnetofon z dobrymi nagraniami Beatlesów i Stonesów oraz polski pomarańczowy namiot dwuosobowy, który, jak nam wyniośle oznajmił sam właściciel tego skarbu, raz na zawsze rozwiązywał problem wolnej chaty.

Po tamtych letnich wakacjach wróciłem do szkoły mając już pierwsze męskie doświadczenia. Pomijając zbędne szczegóły powiem, że moją nauczycielką była przyjaciółka stryjecznej siostry, Zinka z zadartym noskiem, mieszkanka miasta Leningrad, którą co roku przywożono do babci na wieś, i z którą od lat dziecinnych myliśmy się wspólnie w łaźni stryjenki, póty pewnego razu nie zauważyliśmy, że w tym myciu coś nam zaczyna przeszkadzać. Lekcje Zinki rozpoczęły się właśnie w tej łaźni,

na suchej ławie oblepionej brzozowymi listeczkami i powtarzały się codziennie, dopóki stryjenka niemal nas nie nakryła na gorącym uczynku, kiedy wybrała się do łaźni pędzić samogon.

Teraz już patrzyłem na Anię zupełnie innymi oczami. Nocami dręczyły mnie sny, w których dotykałem jej piersi i głaskałem jej opalone i pokryte złocistymi włoskami nogi, a potem całowaliśmy się do utraty tchu i kochali, raz na ławie w łaźni, kiedy indziej w naszym gabinecie biologii, bacznie obserwowani przez dwa kościotrupy w szafach. Zawsze mnie interesował jeden problem (nie we śnie, a na jawie) – czy były to sztuczne szkielety, czy też może kiedyś należały do żywych ludzi, którzy tymi właśnie kośćmi jedli, pili i obejmowali się w łóżku. Ponadto, o ile sobie przypominam, próbowaliśmy dociec, jakie istotne różnice występują między szkieletem żeńskim a męskim.

Budząc się po takich snach dawałem sobie słowo, że jeszcze tego samego dnia zaproponuję Ani spacer do parku, żeby obejrzeć nową atrakcję pod nazwą „Pętla Niestierowa", ale w drodze do szkoły podstępnie wypływała jakaś niepoprawiona trójka z algebry albo czwórka z historii i data rozpoczęcia zdecydowanych działań znowu się odsuwała.

Anię cechowała kobieca intuicja i wszystko skończyło się tak, że pewnego razu na przerwie sama poprosiła mnie, bym pozostał po zajęciach w klasie. Na ostatniej lekcji geografii niemal nie słyszałem nauczyciela, myśląc, jak zaproszę ja do parku, zapytam, czy czytała Emila Zolę, i powiem, że jej znamiona swoim kształtem przypominają Nową Zelandię.

Gdy w gabinecie biologii oprócz nas pozostały tylko szkielety, mój scenariusz został beznadziejnie przekreślony. Ania, w krótkiej żółtej sukieneczce z cienkim zielonym paskiem, wzięła mnie za rękę i powiedziała, że jestem równy chłop, więc dlatego powinienem jutro przyjść do nich do domu, matki nie będzie, bo pojechała do Stawropola, a ojciec nigdy nie chodził na wywiadówki i mnie nie zna, dlatego łatwo uwierzy, gdy powiem, że mój starszy brat dostał powołanie do wojska i w sobotę zapraszamy ją, Anię, na pożegnanie, a moja mama prosiła powiedzieć, że na swoją odpowiedzialność pozwala Ani u nas zanocować, bo mieszkamy aż w RFN (w naszym ówczesnym żargonie tłumaczyło się to jako Republika Federalna Nowosiółki i oznaczało najodleglejsze peryferie Połocka).

Nigdy nie miałem ani starszych, ani młodszych braci, ale nazajutrz dotarłem do domu Ani o dokładnie umówionej godzinie, bo nareszcie zaczęła się dyfuzja moich snów i rzeczywistości: moje usta wciąż palił jej wczorajszy pocałunek z lekkim ukąszeniem, podarowany mi w obecności kościotrupów i smakujący niezwykłym smakiem szminki, a mętna świadomość tego, że wykorzystywano mnie jako chłopca na posyłki nie była w stanie przemóc słodko-grzesznego uczucia dorosłej męskiej rozwiązłości, zrodzonego obietnicą wynagrodzenia mnie przez dziewczynę od razu po weekendzie. Pożądałem jej i nic mnie nie obchodziło ani to zmyślone pożegnanie przed pójściem do wojska i zmyślony brat, którego zwali Miszką Jeżewiczem, ani też wulgarność jej obietnicy, ani nawet ostrzeżenie, że na podwórku mają złego psa, który okazał się spasionym wilczurem i omal mnie nie ugryzł, gdy ratowałem się ucieczką do furtki.

Ojciec Ani był makaroniarzem. Wówczas Włosi trafiali się u nas na tyle rzadko, że makaroniarzami nazywano wyłącznie chorążych armii radzieckiej. Mrugając do mnie konspiracyjnie, Ania okiełznała rozbestwionego wilczura i zawołała ojca. W wielkiej sieni pachniało myszami i jakimś produktem jadalnym. Przy ścianie piętrzyła się sterta pudełek, na jednym z nich było rzeczywiście napisane: makarony. Tam właśnie, w sieni, chorąży Szadurka – zza pleców którego Ania wszechstronnie pomagała mi spojrzeniami – wysłuchał mojego starannie przygotowanego kłamstwa i w milczeniu wycofał się w głąb domu. Ania zamknęła drzwi i chichocząc przytuliła się do mnie. Spróbowałem poszukać jej ust, ale w domu dały się słyszeć kroki, żałośliwe pomiaukiwanie, po czym chorąży ze słowami „Łap myszy, kurewko!" wyrzucił do sieni ciężarną kotkę.

Nagrodę odebrałem w poniedziałek, w mieszkaniu przyjaciółki Ani z sekcji gimnastycznej.

Ania spotkała mnie w przywiezionej z zagranicznych zawodów szmaragdowej sukience ze złocistymi zamkami błyskawicznymi na rękawach i kieszeniach. Magnetofon wciągał i rwał taśmę. Klnąc pod nosem Ania pstryknęła włącznikiem ostatni raz i odwróciła się do mnie. „A czy ty chociaż umiesz?" – zapytała, potrząsając jasnymi włosami podstrzyżonej rusałki. „Co?" – zapytałem bez sensu. „Dżygi-dżygi" – zaśmiała się ściągając sukienkę przez głowę.

Pod sukienką nie miała nic oprócz dwóch trójkątów: oślepiająco białego trójkąta nieopalonej skóry i tego mniejszego – gęstego kłaczka rudych, kręconych włosków.

Myślę, że nawet bezceremonialna pomoc Ani nie uchroniłaby mnie – spalającego się ze wstydu i nienawiści do swego bezradnie wyciągniętego na kanapie ciała – przed zupełną klapą, gdyby intuicja nie podpowiedziała mi zamknąć oczy i wyobrazić siebie na ławie w łaźni razem z leningradzką bezwstydnicą Zinką. Tam, na ławie, wszystko wychodziło automatycznie. Wyobraziwszy sobie tamtą scenerię, poczułem nawet zapach brzozowych miotełek i twardość desek pod nogami. „Tylko nie od razu, wytrzymaj, wytrzymaj...” – zaszeptała ucieszona Ania, gdy już nie bałem się otworzyć oczu. Wygięła się tak, że znamiona na skórze znalazły się akurat naprzeciwko moich ust. Z pewnym lękiem musnąłem te plamki ustami i jeszcze zdążyłem się zdziwić, że były chłodne jak okienne szyby.

Kiedyśmy się ubrali, z męską pewnością siebie dotknąłem tych plamek, przesunąłem po nich palcami i nareszcie podzieliłem się swoim geograficznym odkryciem: „Wiesz, są podobne do Nowej Zelandii”. „Ale wymyślił – odpowiedziała Ania i kiwnęła na stadko porcelanowych słoników na kredensie, za którymi stał budzik. – Zwijamy się, bo mama Lenki może wrócić wcześniej”. Wyprowadzając mnie z mieszkania, moja druga kobieta ostrzegła: „Jeśli Miszka się dowie – nawet spod ziemi cię wydostanie”.

We wtorek nie poszedłem na zajęcia. Pragnąłem, by stało się jedno z dwojga: albo Ania będzie ściągała sukienkę przede mną codziennie, albo niech ją zabiorą na zawsze do reprezentacji gimnastycznej Związku Radzieckiego gdzieś w Moskwie.

We środę matka wypędziła mnie do szkoły, gdzie się okazało, że Szadurka rzeczywiście wyjechała na jakieś zawody i w całym mieście o naszej tajemnicy wiedziały tylko dwa kościotrupy, które z tego powodu budziły we mnie niemal tkliwość.

Ania wróciła kilka dni przed zimowymi feriami. Jej pojawienie się w klasie zrobiło wrażenie nawet na cichym debilu Dimie Czykinie, którego nie wysłano do szkoły specjalnej tylko dlatego, że jego ojciec był dyrektorem zakładu naprawy samochodów. Ania, co wcześniej jej się nigdy nie zdarzało, po kolei obchodziła wszystkie stoliki i zupełnie ignorując dziewczęta, witała się z każdym z chłopaków po imieniu. „Cześć, Wowa – odezwała się do mnie tonem tak obojętnym i bezbarwnym, że

zrobiło mi się nieswojo. – Cześć, Dima, przywiozłam ci gumy do żucia...” Ten dziwny rytuał przerwało dopiero wejście naszego fizyka Juliana Ludwikowicza, przezywanego Kulombem.

Dalej wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Kulomb jeszcze nie zdążył nikogo wywołać, gdy Szadurka podniosła rękę. „Co chcesz, Aniu? – zapytał fizyk, tak jak i my absolutnie przekonany, że Ania może chcieć wszystkiego, tylko nie pójścia do tablicy. „Julianie Ludwikowiczu, ja widzę molekuły” – z przejęciem obwieściła Ania. Przez klasę przeleciał stłumiony śmiech, zmieniający się w napięte milczenie. „Siadaj, Szadurka, to nie jest śmieszne” – powiedział Kulomb i pióro w jego ręce popełzło dalej po spisie w dzienniku.

Ania usiadła, ale natychmiast podniosła rękę znowu. Jak pierwszoklasistka, której śpieszno dostać piątkę za wyuczony wierszyk, podnosiła ją coraz wyżej i wyżej. „Co jeszcze, Szadurka?” „Julianie Ludwikowiczu, ja już widzę atomy – powiedziała Ania przepełniona radością. – Słowo honoru. O tam, latają...” Wybiegła zza stolika na przejście między rzędami i pokazała palcem w powietrze.

„Normalka” – rzucił któryś z tylnych rzędów i gwizdnął. Kulomb ostrożnie wziął Anię pod rękę i wyprowadził z klasy.

Leczono Anię przez całą zimę i wiosnę: początkowo w byłym klasztorze bernardynów, gdzie przed wojną wyciągano zeznania z Julki, a w latach pięćdziesiątych otworzono obwodowy szpital psychiatryczny, potem – gdzieś koło Moskwy.

W dziesiątej klasie nasza para kościotrupów znowu ujrzała Anię. Nigdy do nikogo się nie odzywała. Nie wołano jej do odpowiedzi, zwolniono z egzaminów końcowych. Nie jeździła na zgrupowania i mistrzostwa i wyraźnie się zaokrągliła. Między sobą ze współczuciem nazywaliśmy ją Molekułą. Wiedzieliśmy już od dawna, że na ostatnich w życiu Ani zawodach zgwałcili ją pijani trenerzy. Trzech czy czterech potem za to posadzono.

Jeśli nawet Ania widziała molekuły i atomy jak przedtem, to postanowiła o tym milczeć. Jedynym człowiekiem, z którym mogła się podzielić swoją tajemnicą, był Miszka Jeżewicz, który, co było dziwne, nie przestał się z nią spotykać i czasem czekał na nią po lekcjach, siedząc na ławce koło szkolnego ogrodu. Widziano ich razem z pomarańczowym namiotem to na brzegu Dźwiny za Sofijskim Soborem, to wśród młodniaku przy kolei, gdzie rok temu znaleziono wyrzucony z moskiew-

skiego pociągu plastykowy wór z trupem nietutejszej kobiety. Starsi chłopcy z naszego podwórka mówili, że Miszka urządził się jak król: pieprzy głupią i głowa go o nic nie boli.

Gdy po roku przyjechałem z Mińska do domu, ujrzałem Miszkę Jeżewicza z młodą żoną i dziecięcym wózkiem. Molekuły w mieście nie było. Jej ojca makaroniarza chcieli posadzić za kradzieże, więc sprzedał dom i przeniósł się do Stawropola. Razem z nim wyjechała i Ania, która do tego czasu pracowała jako sprzątaczka w zakładzie fryzjerskim „Konwalia," tym naprzeciwko obecnego pomnika Franciszka Skaryny.

Jakieś dziesięć lat po tych wydarzeniach Miszka Jeżewicz założył spółdzielnię produkującą paski dla kobiet i zbudował sobie piętrowy dom przy spokojnej, zamożnej ulicy. A dziesięć lat później opowiadano mi, że pewnego razu Miszka nie wrócił wieczorem do domu i rano milicja zawiozła jego żonę do lasu pod Leplem. Rozpoznać Miszkę w zwęglonym trupie, wyciągniętym ze spalonego volkswagena, udało się jej po złotych zębach w górnej szczęce.

Na ponury pogrzeb Miszki rzuciły cień dwa inne straszne zdarzenia. Po pierwsze, fotografowie w żaden sposób nie mogli zrobić nagrobnego zdjęcia: po powiększeniu na pierwszy rzut oka dobrych fotografii twarz niezmiennie wychodziła czarna. Ktoś poradził zrobić nagrobny wizerunek ze zdjęcia w paszporcie, ale wyszło jeszcze gorzej: w miejsce oczu pojawiły się czarne kręgi, a na szyi widniał biały pasek, jakby sznur. Drugie zdarzenie było jeszcze upiorniejsze: gdy szykowano się opuszczać trumnę, do mogiły spróbowała się rzucić nikomu nie znana pijana żebraczka, zbierająca puste butelki na cmentarzu.

W finale mojej historii Maugham znowu zostanie przywołany tylko z powodu owego ptasiego szponu.

Nie zapytam tej starszej ode mnie o dwadzieścia lat istoty, czy pamięta Miszkę. Nie znajdę przy sobie większego banknotu, by położyć go w wytartą męską oprychówkę z obrazkiem Świętej Eufrozyny. A gdyby nawet śniadym od brudu palcom zechciało się zgnieść mój dolar w małą kulkę, by połknął ją ptak, to sępy i tak pozostały w Veracruz, a tu, na nie zamiecionych schodach, skakały jedynie syte monasterskie wróble.

1995

Przełożył Jan Maksymiuk

REQUIEM DLA PIŁY MOTOROWEJ

Pewnej dawno już minionej jesieni spotykałem się z kobietą, która zaczęła mi zarzucać, że za często milczę, a wtedy jej się wydaje, że jest mi potrzebna tylko do jednej rzeczy. Znakomicie przyrządzała grzane wino i miała jeszcze kilka innych rzadkich zalet, dlatego też, żeby uniknąć zbytecznych usprawiedliwień, na ogół starałem się nie milczeć.

Trzeba przyznać, że metafizyczne rozważania o sztuce jako usankcjonowanej halucynacji albo o śnie jako enklawie śmierci, w której uczymy się przyszłego doskonałego snu, nie wzbudzały przypływu jej zainteresowania, więc żeby wypełnić przerwy pomiędzy zajęciami bardziej istotnymi, wynalazłem sposób prostszy i bardziej niezawodny. Opowiadałem jej różne zajmujące historie. Z początku ich bohaterami byli znajomi, potem wykładowcy z uniwersytetu i koledzy z roku, a ponieważ jesień była dżdżysta i chłodna, a nasze młode ciała wciąż pożądały grzanego wina, retrospekcje szybko sięgnęły obszarów dzieciństwa i moja przyjaciółka usłyszała o Jurce Wiesiełowie.

W odróżnieniu od innych ta historia nie miała zakończenia. Po tym wszystkim, co się z nim wydarzyło w Połocku i Mińsku, Jurka trafił do Afganistanu, skąd nie powrócił ani żywy, ani w ocynkowanej trumnie, mimo że pijany komisarz wojskowy wręczył jego rodzicom medal „Za Odwagę". Wkrótce potem w Połocku zjawił się młodo wyglądający mężczyzna w garniturze z grempliny, ostatnim krzyku mody w tamtym czasie. Przedstawiał się jako korespondent gazety w Moskwie, który zamierza napisać szkic o Wiesiełowie, a w tym celu najpierw chciał uzyskać informacje, jakie miejsce w życiu Jurki zajmowały kobiety i trunki. Nic temu „korespondentowi" nie powiedziałem, chociaż wiedziałem absolutnie dokładnie, że kobiety (a dokładniej, kobieta) oraz trunki (a mianowicie butelka białego wytrawnego wina) odegrały rzeczywiście fatalną rolę w życiu Jurki Wiesiełowa.

Kiedy owej jesieni delektowałem się aromatycznym gorącym napojem, nawet przez myśl mi nie przeszło, że po kilku latach w Cleveland, stan Ohio, poprzez znajomych Białorusinów zostanę zaproszony do domu człowieka o angielskim imieniu i nazwisku i oczach koloru chabrów z jego kwietnika pod

oknem, do człowieka, który otworzy butelkę whisky ręką bez dwóch palców, pośle swoją Peggy do kuchni, nagle przejdzie z angielskiego na rosyjski i bez najmniejszego akcentu zapyta, czy przypadkiem nie słyszałem, skoro jestem z Połocka, o swoim krajanie Wiesiełowie, a kiedy na dnie butelki nie pozostanie już ani kropli bursztynowego napoju, historia Jurki otrzyma fatalne zakończenie, dzięki czemu dzisiaj mogę opowiedzieć ją wam przy kubku grzanego wina od początku do końca. Niewykluczone, że w waszym gronie znajdzie się również kobieta z tamtych dżdżystych, jesiennych dni, która przypomniała mi się z powodu podobieństwa jej nóg do nóg mieszkanki Cleveland Peggy.

Jeśli mam opowiedzieć wszystko po kolei, to pewnie trzeba zacząć od tego, że gdzieś w Rosji jest miasto Guś Chrustalnyj, a w nim – sławetna huta szkła. Mógłbym obejść się zupełnie bez tej geografii, gdyby przed moim pójściem do szkoły nie wybudowano huty szkła także w Połocku i gdyby z owego miasta Guś Chrustalnyj nie przyjechali do nas rosyjscy specjaliści. Krótko mówiąc, jak głosi jedna z białoruskich pieśni ludowych lat trzydziestych XX wieku, „Moskwa przyszła nam na odsiecz".

Nie wiem, jaką korzyść z tych specjalistów miała nasza huta, ale ich dzieci, które mieszkały w naszym bloku i uczyły się w naszej szkole, pozostały na zawsze w połockiej historii jako specjaliści w sprawach całkiem innych.

Chłopaki z Guś Chrustalnyj mówili czysto po rosyjsku, „okali"* i nie rozumieli, co znaczy *burak* i *kurmiel***, ale wrażenie, że są to istoty z innego kraju, powstało z zupełnie innego powodu. W porównaniu z nami, rodowitymi połockimi malcami, „gąsiory" były jakieś dzikie. Nie powiem, żeby ci przybysze nas unikali albo żeby byli niecywilizowanymi prostakami. Wręcz przeciwnie, w naszym dziecięcym świecie „gąsiory" wyraźnie wyróżniały się bezczelnością, sprytem i okrucieństwem.

Nie chcę przez to powiedzieć, że myśmy przypominali obrzydliwych maminsynków. Jednak nasze psoty, zemsty i porachunki miały, jeśli można to tak ująć, piętno tutejszości, mia-

* Wymawiali „o" nieakcentowane jako dzwięk *o*, a nie *a*, jak wymaga standard literacki języka rosyjskiego. W języku białoruskim „akanie" jest obowiązkowe, zarówno w wymowie, jak i pisowni.

** Po białorusku: *burak* i *śliz*; odpowiednie rosyjskie słowa to *swiokła* i *golec*.

ły miejsce zawsze po tej stronie dosyć dobrze wyczuwanej granicy, podczas gdy „gąsiory" z samego początku działały po drugiej stronie.

Mszcząc się za pociętą kuchennym nożem i wyrzuconą za furtkę futbolówkę mogliśmy wielką strzykawką wpompować wiadro wody emerytowi Akimowiczowi przez dziurkę od klucza, ale żaden z nas nie odważyłby się na nalewanie wody do baloników i zrzucanie jej z dachu naszego czteropiętrowego bloku na przypadkowych przechodniów, od czego człowiek o słabych nerwach mógł na miejscu umrzeć z przestrachu. Kryjąc się w krzewach głogu na alei Karola Marksa podrzucaliśmy na chodnik stary portfel na żyłce albo znoszoną damską torebkę, ale do głowy by nam nie przyszło, jak Witii Bojcowowi z naszej klasy, żeby zdjąć spodnie i, za przeproszeniem, narobić do tej torebki. My też nie lubiliśmy nauczyciela prac ręcznych, który podczas lekcji potrafił prawie każdemu uderzyć po karku swoją ciężką dłonią, ale długi gwóźdź w krzesło nauczyciela wbił nie kto inny, a „gąsior" Igor Goraczow, który już w ósmej klasie trafił do poradni wenerycznej z podejrzeniem rzeżączki. My, podobnie jak „gąsiory", lubiliśmy także pomyszkować po piwnicach, ale nie muszę chyba specjalnie podkreślać, kto wymyślił swoisty sposób na wyłączenie oświetlenia w piwnicy. Jak się okazało, wystarczyło nasikać do matowej osłonki na żarówkę, potem ostrożnie przykręcić ją z powrotem i pstryknąć włącznikiem.

Już w pierwszej klasie „gąsiory" wprowadziły zwyczaj rozbijania kałamarzy o ściany szkoły przed pójściem na wakacje. To oni też przywiązywali puszki z kamykami do kocich ogonów oraz smarowali terpentyną kocie podogonia. Wydaje mi się, choć za to ręczyć nie mogę, że to oni przy pomocy tłuczonego szkła wyprawili na tamten świat starą żółwicę Tortillę z gabinetu biologii, o której nasz biolog mawiał, że urodziła się jeszcze przed wojną.

Trzeba oddać „gąsiorom" należne – chociaż na ogół unikano z nimi zadrażnień, jako nowi przybysze na obcym lądzie, niezmiennie trzymali się razem i zawsze byli gotowi do natychmiastowego rzucenia się sobie z pomocą w razie potrzeby. Oprócz już wspomnianych Igora Goraczowa i specjalisty od damskich torebek Witi Bojcowa do „gęsiej' gromady należał Walerka Okarkow, zwany Okarkiem.

Walerka był o rok starszy od swoich kolesiów i połączył się z nimi w klasie 5A, zostając na drugi rok z czterema dwójami. Przyniósł ze sobą jeszcze jeden przydomek nieznanego pochodzenia – Dagestaniec. Możliwe, że otrzymał go w związku ze swoją śniadą cerą i cygańskimi oczyma. Pierwszy przydomek, bardziej familiarny, przeznaczony był do użytku wewnętrznego wśród „gąsiorów”, inni zaś, jeśli chcieli uniknąć nieprzyjemności, musieli nazywać Walerkę Dagestańcem. (Teraz biorę rewanż, nazywając go wyłącznie Okarkiem.)

Okarek od razu zajął miejsce przywódcy w trójce „gąsiorów”. Do tego predestynowała go i jego gitara, i błatniackie piosenki, a także to, że był już nałogowym palaczem. Dodam, że był przy tym najładniejszym chłopakiem w klasie i kiedy zaczęliśmy organizować klasowe wieczorki, które wtedy nazywano „błękitnymi ognikami”, dziewczyny ustawiały się w kolejkę, żeby zaprosić Okarka do białego tańca, tym bardziej, że nie deptał po palcach i dobrze tańczył nawet walca, który dla mnie pozostał nieosiągalnym szczytem.

Chłopaki bali się Okarka i starali się nie wchodzić mu w paradę. Jeśli chodzi o mnie, to znienawidziłem go z całych sił od wakacji po ukończeniu trzeciej klasy, gdy po raz pierwszy pojechałem na obóz pionierski.

Obóz mieścił się koło Połocka w szkole z internatem, którego wychowankowie wyjeżdżali na lato do domów. Ci, co nie mieli gdzie jechać, zostawali i nie uznawali żadnych zasad, we wszystkim narzucając własne zwierzchnictwo prawem gospodarzy. Walerkę Okarkowa uznali za swojego i właśnie jemu powierzyli egzekucję nad nami, gdy nasz najmłodszy zastęp zaprowadzono do kąpieli. Gospodarze wpadli z dzikim wrzaskiem pod prysznic, zakręcili ciepłą wodę, spędzili nas do jednego kąta, a Okarek z dwóch węży z rozkoszą biczował naszą przerażona gromadkę lodowatymi strumieniami. Niektórzy z chłopaków nie wytrzymali i zaczęli beczeć, ja zaś trzymałem się ostatkiem sił i drżąc z zimna wspominałem opowiadanie nauczycielki, jak to faszyści w obozie koncentracyjnym polewali ze szlauchów radzieckiego generała Korbyszewa na mrozie pod gołym niebem. Jak gdyby czytając w moich myślach, ktoś wykrzyknął słowo „faszyści” i nasza gromadka podchwyciła: „Faszyści! Faszyści!” Z zemsty banda z internatu przyniosła z szatni i przemoczyła na wskroś nasze ubrania.

Z biegiem lat zabawy Okarka i jego „gąsiorów" stawały się coraz bardziej niebezpieczne i nieraz miewały kryminalny posmak. Nawet nie wypada wspominać takich drobiazgów jak ściąganie kopiejek na bułki z cudzych kieszeni podczas lekcji wychowania fizycznego albo wyniesienie przez Okarka za pazuchą tomiku O'Henry'ego z księgarni „Świetacz". W siódmej klasie „gąsiory" obrobiły aptekę. Tym razem instynkt stada z jakichś powodów nie zadziałał: nie podzieliwszy ukradzionych 56 rubli, trójka pobiła się w ciemnej bramie i została pojmana na miejscu przez milicyjny patrol.

W ósmej klasie posłano nas do kołchozu na wykopki. Tam „gąsiory" znowu się wyróżniły. Ich malownicze trio – szeroki w barach i zwalisty Goraczow, cyganowaty Okarek i chudzielec Bojcow – solidarnie zajęło wyorane kopaczką skiby z ziemniakami jak najdalej od rachmistrza i wykonało normę zebranych wiader dwa razy szybciej od innych. Po kilku dniach odkryto sekret: każdy z „gąsiorów" wypiłował z dykty drugie dno do swego wiadra.

W tej samej ósmej klasie młodziutka i skłonna z byle powodu do oblewania się malinowym rumieńcem nauczycielka historii otrzymała na lekcji zapiskę z propozycją wieczornego spotkania na szkolnym strychu. Żeby rozwiać wszelkie wątpliwości co do celów spotkania, zaproszenie zaopatrzone zostało w kilka poglądowych rysunków. Dochodzenie przeprowadzone przez wychowawcę klasy nie dało żadnych rezultatów, jeśli nie liczyć listu przysłanego pocztą do nauczycielki z obietnicą zaszycia jej piczki i obcięcia cycek. Trudno mi było wyobrazić sobie, co można było obciąć u naszej historyczki, ale nie miałem wątpliwości, że za tą groźbą stał Okarek.

Wątek ze strychem i piczką skończył się tym, że w naszej szkole pojawił się nowy historyk. Pewnego razu przyszedł na lekcję z rozpiętym rozporkiem, a gdy „przerabialiśmy" Wielką Rewolucję Francuską, nagle zaczął nam opowiadać o blokadzie Leningradu: jak tam zjadano ludzi i jak jego rodzina przetrwała jedynie dlatego, że babcia pracowała w Smolnym jako sprzątaczka i miała pozwolenie na zabieranie ze stołów i śmietniczek nadgryzionych kanapek z kawiorem, plasterków wędzonej kiełbasy, ciastek i innych partyjnych ogryzków. To było po prostu niewiarygodne, ale nasz nauczyciel usiadł przy stole i zapłakał, rozmazując łzy pięściami. Domyśliliśmy się, że jest pija-

ny i prawie uwierzyliśmy w jego niewiarygodną historię. Wkrótce historyka wyrzucono ze szkoły za pijaństwo albo też za tego typu wspomnienia– znalazł sobie posadę w sklepie spożywczym naprzeciwko, gdzie ostatecznie pogrążył się w alkoholizmie.

Możecie zapytać – a co to wszystko ma wspólnego z Jurką Wiesiełowem?

A to, że i on przyjechał do Połocka z Guś Chrustalnyj, jednak pozostawał wśród swoich ziomków jako biała wrona.

Na początek powiem, że w przeciwieństwie do innych „gąsiorów" rodzice nie wypisali Jurki z lekcji języka białoruskiego. Otrzymanie zwolnienia z tych lekcji w owych czasach było równie proste jak kupno porcji lodów za dziewięć kopiejek: niektórzy zwalniani urodzili się w rodzinach wojskowych, inni w podmiejskich wsiach, ale w dokumentach zapisani byli z jakichś powodów jako Rosjanie, a jeszcze inni uważali siebie za Białorusinów, ale w opinii swoich rodziców tak bardzo męczyli się na innych lekcjach, że na język białoruski już nie mieli dość siły. W naszej klasie mającej trzydziestu uczniów mowy ojczystej uczyło się tylko ośmiu, a wśród nich – Jurka Wiesiełow, który przez długi czas nie potrafił nauczyć się wymawiania „u krótkiego" i regularnie mawiał „kawnier" i „nastawnik"*.

Za chodzenie na lekcje białoruskiego Okarek i spółka pogardliwie ochrzcili Jurkę kołchoźnikiem. To nie był jedyny powód ich niechęci. W czasach, gdy gąsiory dopasowywali klucze do apteki i dzielili 56 rubli na trzech, Wiesiełow czytał Conan Doyle'a i Prospera Mérimée. Podobnie jak i ja, Jurka miał do wyrównania stary rachunek z Okarkiem; zdaje się, że wtedy na koloniach to on pierwszy wykrzyknął słowo „faszyści!" pod lodowatymi strumieniami wody z węży.

Nie powiem, byśmy byli przyjaciółmi. Odłączony od początku od „gęsiego" stada Jurka nie przyłączył się do żadnej z naszych paczek. Nie za bardzo rwał się do przyłączania do kogokolwiek, bo miał charakter typowego indywidualisty. Kiedy te-

* „U krótkie" – specyficzna głoska (półsamogłoska) języka białoruskiego oznaczana w białoruskim alfabecie cyrylicznym jako *ў*. Wymawiana jest podobnie jak polska głoska „u" w słowach *auto*, *kosmonauta*. W podanych przez autora przykładach słowo *kaunier* (*каўнер*) oznacza *kołnierz*, a *nastaunik* (*настаўнік*) znaczy *nauczyciel*.

raz staram się ujrzeć tego wysokiego, chuderlawego wyrostka ze schludną fryzurą i cienkimi, jak gdyby splecionymi z samych żył mocnymi rękami, którymi z zadziwiającą lekkością wspinał się po linie aż pod sam sufit sportowej sali, nie widzę obok niego nikogo. Do dziewiątej klasy, dopóki nie pojawiła się u nas Łarysa Żyłkina, nawet w ławce Jurka siedział sam. Jednak bycie zupełnie samotnym w takim wieku jest chyba niemożliwe, bo w końcu można zwariować.

Przewrażliwione poczucie godności osobistej nie pozwala mi na stwierdzenie, że to Jurka Wiesiełow wybrał mnie. Powiedzmy, wybór był obopólny, choć faktem jest, że to właśnie Jurka podszedł do mnie na przerwie i bez mrugnięcia swoich szarych oczu nieoczekiwanie zapytał, czy zgodziłbym się wypróbować swoją odwagę.

Co można odpowiedzieć na taką propozycję w wieku lat czternastu?

Po lekcjach znaleźliśmy się pod mostem na Dźwinie.

Jurka wytłumaczył mi, że rzekę można przejść po moście nie tylko górą, ale i dołem, gdzie na wypadek wojny pozostawiono przejście dla saperów.

Pamięć o intensywnych przeżyciach tamtego dnia przetrwała w moich leukocytach i erytrocytach do dziś.

W ślad za Jurką wspinałem się po chwiejnych metalowych drabinkach z brakującymi szczeblami, przeciskałem się brudnymi przejściami w betonie i przeskakiwałem niebezpieczne przerwy między blokami, skąd ciągnęło wilgotnym strachem.

Najbardziej niebezpiecznym okazał się odcinek długości kilku metrów na podejściu do trzeciego filaru. Można go było pokonać jedynie po dwóch deskach przerzuconych pomiędzy betonowymi blokami.

Deski, chociaż dość szerokie i grube, wyraźnie się uginały. Nad jakimś strumykiem przeszedłbym po nich z zawiązanymi oczami, ale tutaj, daleko w zionącym chłodem dole, płynęła jesienna Dźwina. Moja podgrzewana domieszką cygańskiej krwi wyobraźnia natychmiast namalowała przede mną wiry i odmęty pełne oblepionych muszelkami topielców. Potem mieszkańców dźwińskich głębin zamienił obraz linoskoczka z rozłożonymi nad otchłanią rękami. Tak właśnie, rozstawiając ręce, ruszył do przodu Jurka. Niebezpieczeństwo kryło się jeszcze i w tym, że deski były różnej grubości i sprężynowały pod nogami nie-

jednakowo. Zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie, jak Jurka razem z deskami spada w dół. Mignęła myśl, że jeśli będę miał dużo szczęścia, jakoś przeżyję. Pewnej zimy, przebijając betonową balustradę, z mostu spadła wywrotka, ale lód wytrzymał i kierowca doznał jedynie wstrząsu mózgu. Po wyjściu ze szpitala napił się jak dorożkarz i zaczął rozrabiać na ulicy, a do milicjantów wykrzykiwał, że jest radzieckim kosmonautą i że kosmonautów nikt nie może zamknąć.

Gdy po chwili otworzyłem oczy, Jurka stał już po drugiej stronie przepaści. Kusiło mnie, by opaść na cztery łapy i przepełznąć te kilka metrów na czworakach. Choćby nawet tysiąc drzazg wpiło się w moje ręce i kolana – wyciąganie ich będzie rozkoszą w porównaniu z tą potworną chwilą.

Most padał w powietrzną otchłań, a wnętrzności podchodziły mi do gardła. Tymczasem Jurka wyciągnął z kieszeni klucz, odwrócił się do mnie plecami i spokojnie zaczął nim coś wydrapywać. Jakiś wicher poderwał mnie z miejsca i przeniósł do Jurki. Obejrzałem się i zobaczyłem, że deski rozsunęły się i teraz stamtąd mógł przedostać się do nas chyba tylko kot.

Na ciepłej, chropowatej powierzchni filaru Wiesiełow wydrapał swoje imię. Ja też wyciągnąłem klucz i obok „Jurki" pojawił się napis „Wowa". Jurka zastanowił się i dodał datę naszej wyprawy.

Mylicie się, jeśli sądzicie, że po tej próbie odwagi staliśmy się przyjaciółmi. Trzeba było jesiennych i na dodatek zimowych ferii, żeby Jurka znowu się do mnie odezwał, prosząc o pozwolenie obejrzenia u nas w mieszkaniu hokejowych mistrzostw świata.

Ówcześni kibice pamiętają, że hokejowe złoto dzieliły między sobą wyłącznie drużyny Związku Radzieckiego i Czechosłowacji. Kibicowaliśmy tak zawzięcie, że poczynając już od świąt noworocznych przygotowywaliśmy grzechotki i witaliśmy dzikimi okrzykami i wrzawą każdą bramkę zdobytą przez naszą drużynę. Co prawda, gdy Jurka Wiesiełow zasiadł obok mnie przed czarno-białym „Niomanem", wyrośliśmy już z grzechotek. Na progu lat siedemdziesiątych i mecze naszych z Czechosłowakami nabrały politycznego podtekstu. Po wielu latach na Staroměskím Náměstí w Pradze znajomy Czech opowie mi, że u nich się wówczas mówiło: oni nas czołgami, a my ich kijami hokejowymi.

Skłamałbym mówiąc, że miałem jakiś osobisty stosunek do radzieckich czołgów przy Moście Karola. Zdrowego sceptycyzmu, który zdołał już zakiełkować w mojej duszy, wystarczało jedynie na to, żeby wyłączać telewizor, gdy pojawiała się plansza zapowiadająca wiadomości. Ojciec kręcił gałkami naszego dobitego radia z adapterem „Biełaruś" niemal co wieczór, a ja nastawiałem odbiornik na „wrogie radiostacje" wyłącznie z powodu sobotnich audycji muzycznych.

Tak więc my – ja, Jurka i ojciec – oglądaliśmy mecz z Czechosłowakami: klaskaliśmy, chwytaliśmy się za głowy, zrywaliśmy się z miejsca i nerwowo chodziliśmy po pokoju. Jeśli nie liczyć grzechotek, wszystko szło jak zwykle, jak rok i dwa lata temu, ale trzecim okiem zauważyłem coś jeszcze. Ojciec klaskał jakoś nie w porę, a chwytając moje spojrzenia, szybko spuszczał wzrok. Pod koniec pierwszej tercji byłem pewien – ojciec kibicuje Czechosłowakom. Jakby tego było mało, z pewnych oznak było widać, że i Jurka jest po jego stronie. Ale i to było nie wszystko: odczułem z zakłopotaniem, że jakiś podstępny wirus antypatriotyzmu zbuntował też moją duszę. Ja także przyłączyłem się do zmowy. Skończyliśmy oglądać mecz w napiętym milczeniu, bojąc się wymieniać nawet spojrzenia. Doskonale pamiętam, że nie bacząc na naszą zdradę, „nasi" wygrali. Wymieniliśmy uściski dłoni i po męsku, wstrzemięźliwie, pogratulowaliśmy sobie zwycięstwa.

Hokej dokonał tego, czego nie udało się mostowi na Dźwinie: na wiosnę zaprzyjaźniliśmy się z Jurką naprawdę.

To wydarzenie miało wiele konsekwencji.

Po pierwsze, otrzymałem dostęp do biblioteki Jurki, w której rzuciłem się na ośmiotomowe wydanie dzieł Conan Doyle'a, a potem zabrałem się do zielonych foliałów *Historii powszechnej*.

Po drugie, dowiedziałem się, że Jurka marzy o karierze korespondenta zagranicznego i o podróżach do różnych krajów. (Wyznając tę tajemnicę, Jurka wymusił na mnie pisemną przysięgę milczenia.)

Po trzecie, dzięki Jurce po raz pierwszy napiłem się wina. Mój debiut odbył się w dniu ukończenia dziewiątej klasy. Siedzieliśmy z Jurką w jego pokoju z książkami, a on bez żadnych wstępów wydobył długą butelkę węgierskiego rieslinga zza opasłych tomów *Historii powszechnej*.

Piliśmy kwaśnawy riesling z kieliszków do koniaku, zagryzając świeżym chlebem i rodzynkami. W butelce wciąż jeszcze pozostawało wino, a ja, bez przyzwyczajenia, już zacząłem widzieć Jurkę jak przez szkło akwarium. Jurka powiedział, że jest trzeźwy jak książki na półkach, bo każdego lata jeździ do krewnych do Zakarpacia, a tam zaczynają pić wino od lat przedszkolnych. Ja nie miałem krewnych na Zakarpaciu, dlatego też po kilku dalszych kieliszkach z szafy z książkami mrugnął do mnie wyraźnie brodaty portret Hemingwaya. Przeląkłem się i zaproponowałem spacer. Jurka po głębokiej rozwadze oznajmił, że w taki dzień chciałby popatrzeć na rzekę, więc ruszyliśmy na Górny Zamek.

Tam nad Dźwiną, która była świadkiem naszej odwagi, powiedziałem mu o lochach tworzących w średniowieczu podziemny labirynt pod Połockiem, a Jurka solennie obiecał, że gdy zostanie dziennikarzem, przywiezie tu międzynarodową ekspedycję archeologiczną. Już zaczynałem przeczuwać, co znaczy męska przyjaźń – to zdarza się wtedy, gdy można napić się wina i wyznać przyjacielowi każdą tajemnicę.

Na Górnym Zamku usłyszałem, że Jurce podoba się nasza nowa koleżanka Łarysa Żyłkina, a na wiszącym moście nad Pałatą język mu się rozwiązał ostatecznie i dowiedziałem się dalszej części sekretu – Łarysa też nie pozostaje obojętna wobec Jurki. Oboje wyjeżdżają na wakacje, żeby wypróbować swoje uczucia w rozłące, a jesienią Jurka, jak się wyraził, powinien okazać się mężczyzną do końca, bo to, oprócz innych rzeczy, było niezwykle ważne dla przyszłego dziennikarza. Przyznaję, że postanowienie Jurki wywołało u mnie pobłażliwe poczucie przewagi, bo chociaż nie próbowałem do tej pory wina, to smak innych zakazanych owoców już znałem.

Łarysa nie była w moim guście, ale ta szczupła, bez żadnego kantu lub wystającej kosteczki, zgrabna i giętka jak łasica dziewczyna z krótką kasztanową grzywką, spokojnymi liniami prawidłowej twarzy i zaskakująco figlarnymi muszkami w wielkich orzechowych oczach mogła podobać się nie tylko Jurce. Patrząc na to z historycznej perspektywy, myślę, że mogłaby z nich być dobrana para. Wyobrazić sobie Jurkę obok Łarysy jest zadaniem całkiem prostym – jedyne wolne miejsce w klasie było właśnie przy jego stoliku. Warto dodać, że wybranka Jurki nie bardzo wiedziała, co to dziewczęca nieśmia-

łość. Na wieczorku pożegnalnym przed wakacjami to ona zaprosiła sąsiada ze swojej ławki do białego walca (zrehabilitowało ją to w moich oczach za poprzednie tango z Okarkiem) oraz sama zaproponowała Jurce odprowadzenie jej do domu.

Magicznym słowem wskrzeszającym główne wydarzenia tego lata z jego barwami i zapachami pozostanie dla mnie na zawsze Odessa. Spędziliśmy w tym mieście z ojcem dwa sierpniowe tygodnie, mieszkając w hotelu „Pasaż" na Derybasowskiej, skąd przywiozłem do Połocka dobrze schowany zeszyt z wierszami o brązowych iluminatorach, szklistych oczach meduz, tramwajach na Arkadię i falochronach na plażach Lanżeronu.

Większość ze wspomnianych rymowanek miała groźną dedykację – GB, co jednak tłumaczyło się zupełnie niewinnie: Gali Bielawskiej. Pierwszego dnia w Odessie wsunąłem obsadkę za kąpielówki i popłynąłem do odległej boi, którą wybrałem, by uwiecznić imię mojej miedzianowłosej kochanki. Zamokłe wieczne pióro odmawiało pisania, ale po uporczywej walce z falami w końcu udało mi się wypisać drogie imię na czerwonej powierzchni ruchliwej boi. Potem, w tajemnicy przed ojcem, popiłem solidną porcję połkniętej morskiej wody szklanką białego wina z beczki na plaży i w szczęsnym upojnym osłabieniu zasnąłem na gorącym grubym piasku pod palącym słońcem.

Ponadto każdego wieczora chodziliśmy na spacer po Derybasowskiej z jej wielojęzycznym tłumem miejscowych i marynarzy o wszystkich kolorach skóry, oczu i włosów, z staroświeckimi wagami, które pokazywały nie kilogramy, a pudy i funty, z wyskalowanymi w pudach i funtach siłomierzami w kształcie okrągłych pluszowych poduszeczek ze schowanymi w nich sprężynami (chętni walili w poduszeczki gołymi i owłosionymi kułakami, a po metalowej listwie ze skalą podskakiwały ruchome mosiężne ramki ze strzałką, aż do czasu, gdy pewnego razu po ulicy przeszedł się Murzyn, który sam jeden metodycznie rozprawił się ze wszystkimi siłomierzami – zamiast pięści używał wygolonej głowy w kształcie jajka, w wyniku czego skali na listwach nie wystarczało i ramki leciały gdzieś w listowie białych akacji). Spacerowaliśmy po Derybasowskiej, gdzie pijaczyna akrobata w kapeluszu i ortalionie na gołym ciele chodził wokół rozesłanego na chodniku płaszcza na rękach, podczas gdy jego małpka zbierała do kapelusza pieniądze, żeby potem dopomóc swemu właścicielowi w wypiciu butelki taniego wina na

skwerze; chodzilismy po Derybasowskiej, która dla mojej ówczesnej romantycznej natury wydawała się być jakąś filią Zurbaganu i Gel-Giu z nowel Aleksandra Grina...

Pragnąłem, żeby to wszystko mógł zobaczyć i odczuć mój przyjaciel Jurka. Pod koniec sierpnia siedzieliśmy nad brzegiem Pałaty nieopodal starego cmentarza i po kolei obciągaliśmy z gwinta upojne młode wino przywiezione przez Jurkę z Zakarpacia.

Z kilku ostrożnych słów rzuconych przez Jurkę wynikało, że jego uczucie do sąsiadki ze szkolnej ławy wytrzymało próbę czasu. Niezbyt mnie to ucieszyło. W ostatnich dniach już dwa razy widziałem Łarysę z Okarkiem.

Pierwszy raz była tylko obecna wśród podwórkowej publiczności słuchającej piosenek Walerki przy akompaniamencie gitary. Przechodząc przez altanę usłyszałem jego przyjemny czysty głos:

Ma taki mały, całkiem mały fejs,
I usta ma czerwone niby maki,
Z powrotem rusza nasz kapitan w rejs,
Kochając swą dziewczynę z Nagasaki...

Drugi raz nie był taki niewinny. Gdy nagraliśmy się w karty na dachu naszego bloku aż do otępienia, poszliśmy do kina „Ojczyzna". Za nami polazł syn alkoholików z pierwszej klatki Wania Szpakow, uczeń czwartej klasy, znany szerszemu ogółowi z podejrzanych upodobań. Wania już był notowany w milicyjnej kartotece – za to, że poodkręcał złączki w autobusie z uzbeckimi artystami, którzy występowali w Połocku po znanym trzęsieniu ziemi w Taszkiencie.

W kinie pokazywano jeden z niezwykle popularnych wśród mieszkańców naszego miasta filmów indyjskich, ale był to seans dzienny, więc rozsiedliśmy się wygodnie w pierwszych rzędach wypełnionej do połowy sali. Gdy bohaterowie filmu zaczęli się całować, czwartoklasista Wania radośnie wykrzyknął: „Patrzcie, liżą się!" Bileterka zawołała dyżurnego strażaka, który wypędził krzykacza, a wraz z nim i naszą ferajnę, na ulicę. W drzwiach obejrzałem się – w pustym tylnym rzędzie siedziała Łarysa z Okarkiem.

Pierwszego września zamiast na zajęcia znowu skierowano nas na dwa tygodnie do kołchozu do kopania ziemniaków. Na

polu wychowawca w pierwszej kolejności sprawdził wiadra „gąsiorów". Tym razem obeszło się bez wynalazków, ale niebawem babuleńka, u której mieszkał Okarek i spółka, poskarżyła się, że z jej szafy ukradziono piętnaście rubli i butelkę wina, więc „gąsiorów" wyprawiono do domu. Ja tęskniłem do swojej Gali i po cichu zazdrościłem Jurce, który taszczył wiadra Łarysy, przynosił jej słodkie gruszki z cudzych sadów i zbierał liliowe bukieciki wrzosów w zagajniku koło ziemniaczanych zagonów.

Ta idylla musiała mieć ciąg dalszy. Gdy wróciliśmy do miasta, Jurka odkrył karty: w sobotę rodzice pojadą na daczę i Łarysa przyjdzie do niego na butelkę wina, która czekała w już znanym mi schowku. Jurka poprosił mnie o radio tranzystorowe „Okiean", żeby złapać audycję muzyczną „Głosu Ameryki".

Od owej soboty w losie Jurki rozbrzmiała tragiczna nuta. Rankiem po dniu „X" zatelefonowałem do niego, ale usłyszawszy mój głos Jurka odłożył słuchawkę i więcej jej nie podnosił. Pomyślałem, że Łarysa wciąż jeszcze przebywała u niego, więc postanowiłem pozostawić przyjaciela sam na sam z nowymi uczuciami i przeżyciami.

W poniedziałek jego miejsce w klasie pozostało puste. Co się wydarzyło, gdy powinien był „okazać się mężczyzną do końca", dowiedziałem się na ławce nad Dźwiną dopiero po tygodniu. Przez te wszystkie dni Jurka siedział w domu i nie odbierał telefonów. Oczy Jurki były zapadnięte, nos się wyostrzył i upodobnił do dziobu siwego gawrona. Pamiętam, że wszelkie moje naiwne domysły krążyły wokół dwóch głównych wersji: impotencja i wstydliwa choroba. W rzeczywistości zaszło coś zupełnie innego.

Czekając na Łarysę w tamtą sobotę, Jurka z przerażeniem odkrył, że schowek za ciemnozielonymi tomami „Historii powszechnej" był pusty. Któreś z rodziców znalazło butelkę i zabrało ze sobą na daczę. Pieniędzy na jeszcze jedną butelkę Jurce nie wystarczyło. Honor nie pozwolił mu ani otworzyć drzwi przed Łarysą, ani pojawić się w klasie. Gdy mi to opowiadał, trząsł się jak w gorączce. Do tej pory się dziwię, że w ogóle był w stanie opowiedzieć o swoim dramacie.

Nie wymyśliłem nic lepszego niż wyśmianie go i stwierdzenie, że osobnicy z takim poczuciem honoru zdarzają się raz na milion. To był straszny błąd z mojej strony, ale, dalibóg, do dzisiaj nie wiem, jak powinienem był się wówczas zachować.

Tam, na naszej ławce nad rzeką, powiedziałem jeszcze coś więcej – że Łarysa wszystko zrozumie, że on, Jurka, jest wyjątkowym człowiekiem, że wierzę w ich miłość i naszą przyjaźń. Gdy napotkałem jego wzrok, wzdrygnąłem się – jego twarz zmieniła się w trupiobladą pogardliwą maskę. Jurka wstał i lekko się kłaniając powiedział: „Jest pan wolny". Jeszcze dzisiaj widzę, jak Jurka, wysoki i przygarbiony, z podniesionym kołnierzem brunatnego płaszcza, wolnym krokiem odchodzi wzdłuż brzegu w zmierzch, oddalając się ode mnie na zawsze, a za nim biegnie zdziczały burek, obczepiony kolcami łopianu.

W poniedziałek nasz wychowawca powiedział, że rodzice przenieśli Wiesiełowa do innej szkoły.

Potem spotykaliśmy się wyłącznie przypadkowo i nigdy nie rozmawialiśmy. Zresztą, co mogłem mu powiedzieć? Że Łarysa chodzi z Okarkiem i że Okarek zajął w klasie miejsce Jurki obok środkowego okna? Albo że gdy graliśmy z Okarkiem w ping-ponga i ja, będąc z nim sam na sam, z zimną nienawiścią w sercu zapytałem pozornie obojętnym tonem, co go łączy z Żyłkiną, a ten z bezczelnym spokojem, badawczo nicując mnie wzrokiem i rozciągając słowa, odpowiedział: „Pierdolę ją. Wypierdolę do końca i wyrzucę. A jeśli zechcesz – oddam ją tobie".

Po tej odpowiedzi powinienem był rzucić się na Okarka z pięściami, ale wiedziałem, że chodzi wszędzie ze scyzorykiem. Drugi „gąsior", Igor Goraczow, ten sam, który w ósmej klasie zachorował na trypra i nadział nauczyciela prac ręcznych na gwóźdź, już siedział za gwałt zbiorowy na czterdziestoletniej kobiecie z huty szkła, którą gwałciciele, takie same wyrostki jak Igor, złapali przed nocną zmianą, zakleili jej usta plastrem i zaciągnęli do baraku budowlańców. Podczas rozprawy Igor odgrywał bohatera i nie przyznał się do winy twierdząc, że nic nie zrobił, bo jedynie trzymał „kobitę" za nogę.

W kwietniu Łarysa urodziła dziecko.

W naszej szkole to był już drugi taki wypadek. Zeszłego roku dziesięcioklasistka Irka Klepacka urodziła malutkiego Japończyka – ojcem był któryś z cudzoziemców montujących urządzenia w rafinerii. Moja Gala powiedziała mi, że Łarysa urodziła siedmiomiesięcznego wcześniaka i że chociaż mogło się to wydawać dziwne, tak było lepiej, niż gdyby dziecko przyszło na świat miesiąc później.

W odróżnieniu od Irki, która już na porodówce zrzekła się maleństwa i zdawała egzaminy końcowe razem z rówieśnicami, Łarysa zatrzymała dziecko przy sobie i do szkoły już nie wróciła. Podczas egzaminów można ją było zobaczyć z wózkiem w parku kultury i odpoczynku „50-lecia Wielkiego Października". Szczęśliwy ojciec już wtedy odsiadywał wyrok, bowiem w tradycyjnym sobotnim mordobiciu pod topolami koło placu do tańców puścił w ruch swój nożyk i nie zdołał umknąć przed milicyjnym patrolem. Kiedy spotykałem Łarysę z maleństwem, zawsze nawiedzała mnie myśl, że gdy jej syn wyrośnie, pokroi kogoś nożykiem i pójdzie w ślady ojca na zonę.

Dalsze informacje o Jurce Wiesiełowie są niepełne.

Też studiował w Mińsku, ale nie dziennikarstwo na uniwersytecie, jak marzył, lecz architekturę na politechnice, więc się nie widywaliśmy. Za wyjątkiem jedynego razu, gdy zaniosłem mu przekazane z domu pieniądze.

Wszystkie łóżka w pokoju akademika, w którym mieszkał Jurka, były zajęte: na czterech spali odziani młodzieńcy, a na piątym, wczepieni w siebie jak kocięta, leżeli zupełni nadzy Jurka i ruda dziewczyna o tak wulgarnym wyglądzie, że nie można jej było nazwać inaczej niż babą. Na stole zasłanym gazetą stały dwie patelnie z zastygłym tłuszczem i trzy albo cztery puste butelki po wódce. Udało mi się jakoś dobudzić Jurkę, a on, mimo mojej świeżo zapuszczonej brody, jakimś cudem mnie rozpoznał. Ledwo poruszając językiem wytłumaczył, że dzisiaj jest święto – Dzień Ptaków – i nie wstając z łóżka wskazał palcem na ścienny kalendarz młodego przyrodnika. Jego przyjaciółka przewróciła się we śnie na drugi bok i dopiero wtedy, z trudnością łowiąc moje spojrzenie, Jurka pogładził ją po białym tyłku i przykrył go wraz z jej innymi wdziękami kołdrą. „A tobie tyle!" – podsunął mi pod nos figę i skrył się pod kołdrą.

Przed odejściem zdążyłem zauważyć, że jeden z towarzyszy Jurki spał przywiązany do łóżka mocnym sznurkiem. Nie zadałem sobie trudu, by rozsupłać jego marynarskie węzły.

W tamtych czasach prowadziłem dziennik, gdzie wrażenia ze spotkania z nowym Jurką wylały się w obraz (jak sądzę, nie bardzo udany i adekwatny) zepsutego zegarka.

Z pewnością kalendarz młodego przyrodnika, według którego żył pokój Jurki, miał wiele świąt, bo po jakimś czasie doszły

do mnie wieści, że ratując się przed skreśleniem z listy studentów Jurka wziął urlop dziekański.

Życie już od dawna umieściło nas na tak odległych orbitach, że gdy na ostatnim roku otrzymałem list z wojskową pieczątką, uwierzyłbym prędzej w to, że o mojej osobie raptem przypomniał sobie sam minister obrony narodowej, niż że mógł do mnie napisać Jurka Wiesiełow.

Pieczątka była moskiewska, ale list przyszedł z Afganistanu.

Można się było jedynie domyślać, w jakim potrzasku samotności i beznadziejności znalazł się Jurka, jeśli (z jego charakterem) nazwał mnie w liście jedynym swoim przyjacielem.

Połowa tekstu na dwóch kartkach ze szkolnego zeszytu w kratkę znikła pod nieprzeniknionym atramentem z pióra cenzora. Najbardziej istotnym w ocalałym fragmencie było wspomnienie o Walerce Okarku. Jurka napisał, że gdy przyszło mu po raz pierwszy strzelać do Afgańczyka, wyobraził sobie przed sobą Okarka.

Do tej pory mam wyrzuty sumienia, że nie odpowiedziałem Jurce. Mogłem przecież napisać do Afganistanu, przemilczając powrót Okarka z zony, jak również i to, że po powrocie mieszkał u Łarysy, dopóki po kilku miesiącach znowu nie wysłano go pod konwojem gdzieś do Mordwy, po czym Łarysa zwąchała się z jakimś podejrzanym typem z Zadźwinia i zaczęła sprzedawać piwo koło domu kultury huty szkła.

Więcej żołnierskich listów – ani z moskiewskim, ani z jakimkolwiek innym stemplem – nie dostałem.

Zakończenie tej całej historii mogę skonstruować jedynie ze słów mieszkańca Cleveland z dwoma urwanymi palcami, dlatego też moja próba będzie niewątpliwie naznaczona subiektywizmem. Ale wyobraźnia maluje ostatnie chwile Jurki na tyle wyraźnie, że nie waham się przedstawić swojej wersji na papierze. (Prawdopodobnie występuje tu także egoistyczne pragnienie pozbycia się syndromu piły motorowej, bo po wieczorze w Cleveland nie jestem w stanie spokojnie słuchać jej warkotu, a lepiej nie wspominać, co się ze mną działo, gdy ostatnio ścinano stary wiąz na naszym podwórzu.)

Zamykam oczy i widzę wieczorną przełęcz górską w okolicach Heratu. Bitwa ustała niedawno, w powietrzu wciąż jeszcze unosi się zapach prochu. Jurka z ciasno skrępowanymi rękami leży na plecach w fioletowym cieniu ostrej dwugłowej skały,

podobnej do otwartego drapieżnego dzioba. W nogi wpija mu się cienki sznurek, ale ani uciekać, ani nawet pełznąć ze zmiażdżoną golenią Jurka nie może.

Zmęczony dowódca afgańskich partyzantów, błyskając węglami agatowych oczu, zna cenę każdego słowa i otwiera usta nie więcej niż pięć razy. „Chcesz żyć – przechodź na islam" – pogardliwie przekłada tłumacz. Jurka nie odpowiada, patrząc w wypłowiałe od skwaru niebo, w którym, jak źrenica w bezkresnym obojętnym oku, zawisł sokół.

Dowódca odzywa się znowu, ale teraz tłumacz milczy i pod skałą pulsuje oczekiwanie nieuniknionego przeznaczenia. Do Jurki przypada młody partyzant w brudnym zielonym turbanie, pod którym oczy błyszczą nietutejszym chabrowym błękitem. „Zgódź się, Wiesiełow, słyszysz, zgódź się... – szepcze ów po rosyjsku, zachłystując się i połykając słowa. – Obrzezałem się i nic... Żarcie normalne... a baby tu takie... można odlecieć..." Jurka poznaje sierżanta ze swojej kompanii, który przepadł podczas akcji miesiąc temu. Tamten, obniżając głos jeszcze bardziej i lękliwie spoglądając kątem oka na dowódcę, namawia: „A potem, słyszysz, machniemy przez Pakistan na Zachód... Byłbym skurwysynem, gdybym... Nie bój nic... Nie my pierwsi, nie my ostatni... Pierdolenie, cały ten ich islam..."

Jurka milczy. Możliwe, że widzi Dźwinę i naszą wyprawę pod mostem. Możliwe, że zbiera bukiecik wrzosów dla Łarysy. A może, patrząc na Afgańczyków, wspomina Okarka...

Ale – najprawdopodobniej – bezlitosny ból w nodze nie pozwala mu skupić się na niczym, więc pragnąc jak najszybciej zapaść się w zbawienną nieświadomość, po prostu patrzy bezmyślnie na wysokiego chuderlawego Afgańczyka starannie zakładającego długi skórzany fartuch i do ostatniej chwili nie rozumie, po co tamten uruchamia zdobyczną piłę motorową...

1995

Przełożył Jan Maksymiuk

WOWA CYMERMAN

Błogosławieni są ci, którzy mają na tym świecie dom, gdzie wypowiedzieli swoje pierwsze słowo, nauczyli się chodzić od rodzicielskich rąk do stołu, potem doszli aż na ganek, spadli ze schodów i pochlipując ze strachu i bólu raczkowali na stłuczonych kolankach do furtki.

To miejsce, gdzie niegdyś stał nasz komunalny drewniany dom w Połocku, już dawno zostało zajęte przez betonowy sześcian domu kultury fabryki włókien szklanych. Czasem wstępuję do tej znienawidzonej budowli, błąkam się po pustych korytarzach i próbuję sobie przypomnieć, gdzie znajdowało się nasze mieszkanie w tamtych latach, kiedy w kosmos poleciał Jurij Gagarin i naszą ulicę nazwano jego imieniem.

Dom stał chyba w tym miejscu, gdzie dzisiaj znajduje się szatnia. A w miejscu dzisiejszej toalety, pod podłogą sali widowiskowej, być może ocalała garść popiołu z roznieconego pod moją ulubioną jabłonią-papierówką ogniska, w którym spaliliśmy portret Józefa Wissarionowicza Stalina, uprzednio wydłubując mu oczy. Miałem wtedy dziewięć lat, a Wowa Cymerman, który razem z nami brał udział w tej karnej operacji, był o półtora roku młodszy, ale ten wyrośnięty pucołowaty chłopak z policzkami przypominającymi dwie różowe piłeczki mógł z łatwością pokonać każdego z nas.

Statystyki podają, że w roku 1885 na każdą setkę połocczan przypadało 65 Żydów, a na początku XX wieku Żydów była dokładnie połowa. W latach mego dzieciństwa proporcje ogólne najpewniej się zmieniły, ale nie dotyczyło to naszej dzielnicy. Dokoła nas mieszkali Szefowie i Hofenszeferowie, Liwszycowie i Epsztajnowie, Rafajłowicze, Sraliowicze i Hercykowicze, a trochę dalej – Bermantowie, Bernsztajnowie, Kacowie, Kacmanowie i Kacnelsonowie. W trakcie swoich późniejszych badań historycznych zauważyłem, że niektórzy przedstawiciele tych sławetnych rodów uparcie dochowywali wierności profesjom przodków. Na przykład obaj dorośli Sraliowicze pracowali w miejskiej drukarni – co prawda nie byli właścicielami jak ich dziad, a jedynie zecerami z wiecznie uczernionymi ołowiem i farbą drukarską palcami. Bermant i Bernsztajn, podobnie jak ich krewni przed „wielkim październikiem”, utrzymywali się z fotografowania.

Czym zajmowali się sto lat temu Hercykowicze – nie zdołałem się dowiedzieć, ale syn starego Załmana, Ajzik, który pracował w naszej szkole jako zastępca dyrektora do spraw dydaktycznych, niewątpliwie zasłużył się w walce z bujną fryzurą przyszłego pisarza białoruskiego Wincesia Mudrowa, a siostrzeniec Ajzika Załmanowicza, Arkasza Kacman, kierował popularną sekcją aerobiku. Po zajęciach grupowych w zacisznej sportowej sali zazwyczaj zostawał z jedną ze swych podopiecznych, żeby jeszcze z pół godzinki poćwiczyć indywidualnie, a potem pojawiałem się ja, zaczynaliśmy z pasją grać w ping ponga, podczas którego proponowałem Arkaszy, żeby zmodyfikował nazwę sekcji, dodając sylabę „jo" przed literą „b". Grając ze mną na pożegnanie w przeddzień wyjazdu do Los Angeles, Arkasza Kacman wyrzekł sakramentalne zdanie: „Nie mogę skapować, Wołodia – wyrosłeś wśród Żydów, a nijak nie możesz załatwić sobie porządnego mieszkania".

Ale to wszystko wydarzyło się wiele lat później, a w owych szczenięcych czasach, kiedy mieszkałem wśród sąsiadów nazywających się Chaimami, Abramami, Izraelami i Mojszami, szczerze się dziwiłem, dlaczego mój tata ma takie nietutejsze imię Aleksiej.

Dom moich rodziców na ulicy pierwszego kosmonauty otaczały budynki różnych instytucji, w których po osiemnastej pozostawali jedynie strażnicy i portierzy, dlatego też wieczorem było u nas pusto i cicho. Za to za naszym ogrodem zaczynały się od razu trzy ludne i gwarne ulice, noszące nazwy Robotnicza Pierwsza, Robotnicza Druga i Robotnicza Trzecia. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek mieszkali tam jacyś robotnicy. Na tych ulicach mieszkali Żydzi i słychać było rozmowy w języku jidysz, przynajmniej wśród starszej części mieszkańców.

W ciepłe letnie wieczory mieszkańcy wychodzili z drewnianych domków, siadali na ławeczkach przed ogródkami, w których rosły bzy, „rozbite serca" i żółte georginie, statecznie gwarzyli w niezrozumiałym języku. Po zarośniętych trawą ulicach, gdzie samochody pojawiały się jedynie w przypadku czyjegoś zgonu, chodziły kozy i kury, biegały nierasowe koty i psy różnej maści, a myśmy razem z żydowskimi dziećmi grali w „pikara" i „kalim-bam-ba".

Grubachna jak kopa siana ciotka Róża Salomonowna lubiła częstować nas agrestem i malinami. W święta pulchną dłonią

podawała kawałek żydowskiego miodowego piernika pod egzotyczną nazwą „tejgełech”. Ciotka Róża pracowała jako kasjerka w wesołym miasteczku w parku nad Dźwiną i do swoich sąsiadów mówiła po swojemu: „Drajsik kopikies bilet”. Ode mnie pieniędzy nigdy nie brała. Po jakimś czasie domyśliłem się przyczyny tej dobroczynności: mój tata był prokuratorem, a jej syn Fima odsiadywał wyrok za zarżnięcie żony. Ta zbrodnia pozostawała dla mnie czymś niezwykle zagadkowym, bo to właśnie przyszły zabójca Fima dał mi do przeczytania „Małego księcia” i mnóstwo innych ciekawych książek.

Fima dostał niewielki wyrok, bowiem dokonał zabójstwa, jak powiadali dorośli, „w afekcie”. Moja dziecięca próba dowiedzenia się, co to był za „afekt”, spełzła na niczym. I co z tego, że zastał żonę z innym? – zastanawiałem się nad usłyszanym wyjaśnieniem. Z tego powodu można zarżnąć przecież wiele żon, zbyt wiele. A w dodatku nie było jasne, dlaczego – jeśli zastał ją z innym – zarżnął mianowicie ją, a nie tego innego.

Rzecz jasna, nasi sąsiedzi nie tylko sprzedawali bilety w wesołym miasteczku czy zarzynali żony. Carski generał Michaił Biez-Korniłowicz, który w 1855 roku wydał książkę „Wiadomości historyczne o znakomitych miejscach na Białorusi”, napisał o połockich i na ogół naddźwinskich Żydach w sposób następujący: „Przedsiębiorczy, ciekawi świata, przenikliwi. Z góry potrafią przewidzieć zyski, jakie może przynieść zamierzone przedsięwzięcie; z początku obliczają wydatki i dopiero potem przystępują do interesu. Unikają wyczerpujących zawodów: znajdziecie między nimi wielu krawców, szewców, czapkarzy, szklarzy, cynowaczy, blacharzy, rytowników pieczątek, złotników, rzadko zaś spotkacie kowala, cieślę albo pilarza. W wierze są wytrwali, jednomyślni, chętnie pomagają swoim współwyznawcom, szczególnie gdy ci ucierpią od pożaru”.

To wszystko prawda.

Mąż ciotki Róży, Izrail Mojsiejewicz, też unikał brudnych i „wyczerpujących” zajęć i zarabiał na chleb nocnym stróżowaniem w wesołym miasteczku. Choć imię tego dzielnego człowieka w pamięci połocczan zatarł już czas, jeden jego sławetny wyczyn na zawsze wszedł do miejskich annałów. Kiedy w parku zainstalowano atrakcję pod nazwą „Pętla Niestierowa”, dwaj milicjanci z nocnego patrolu szturchańcami obudzili Izraila w jego stróżówce i zażądali przejażdżki. Mąż ciotki Róży po-

słusznie wcisnął guzik i poszedł na stróżówkę dosypiać noc. Milicjanci wykonywali pętle w blaszanym samolociku aż do świtu. Wydostano ich stamtąd nieprzytomnych i ledwo dychających. Na szczęście jeden z „pilotów" tuż przed utratą przytomności zdołał wyciągnąć pistolet i opróżnić magazynek w kierunku stróżówki, czym przerwał beztroski sen Izraila Mojsiejewicza. (Przed wyjazdem do Izraela mąż Róży Salomonowny utrzymywał co prawda, że owej nocy w wesołym miasteczku nie zmrużył oka ani na chwilkę.)

I o pożarze też prawda. Kiedy Hercykowiczom spaliła się połowa domu, ze wszystkich ulic Robotniczych przyniesiono im tyle rzeczy, że stary Załman był wprost wniebowzięty i chwalił się, jakoby w odbudowanym domostwie używał sobie ze swoją Simą nie w dwóch, jak przed pożarem, a w czterech łóżkach.

Jeszcze jedna Sima – Simoczka Muzykantka, córka inspektora miejskiego wydziału oświaty – mieszkała niedaleko nas w zaułku z głęboką kałużą, w której przeglądały się podwiązane niebieskimi wstążkami malwy zza płotu. Smagła, z gęstym malinowym rumieńcem i migdałowymi oczyma, Sima przez długi czas była królową moich erotycznych fantazji i samotnych ukojeń. Jeszcze i dzisiaj, gdy czytam „Najwyższą pieśń Solomona", widzę lekko opalone nogi Simy, złotawe, z niebieskawymi żyłkami.

Wystarczyło wyjść za próg i przebiec najwyżej sto metrów, żeby trafić jakby do innego kraju, z odrębnym językiem, innymi twarzami i imionami, niezwykłymi zwyczajami, a nawet potrawami.

Nieodłączną częścią tej krainy, nad którą wiały gorące wiatry, był wujek Grisza Cymerman, siadujący na ławeczce przed schludnie utrzymanym, pomalowanym na brunatno domkiem i patrzący w zamyśleniu wyblakłymi lawendowymi oczyma na stuletnią topolę.

W dzień ojciec Wowy Cymermana pracował jako szewc w budce koło pierwszego w Połocku sklepu samoobsługowego. Wieczorami, zanim wyszedł ze swej przesiąkniętej zapachem skóry i kleju klitki, żeby popatrzeć na przydomową topolę, też zajmował się szewstwem. Imponowała mi szczególna zręczność wujka Griszy, z jaką wypluwał maleńkie gwoździki i jednym celnym uderzeniem młotka wbijał je na właściwe miejsce.

Na wojnie służył w artylerii i był ranny; każdego roku u schyłku lata mącił mu się umysł. Stawał się gadatliwy, zaczynał opowiadać jak pił z marszałkiem Żukowem i spotkał się na pierwszej linii z samym Stalinem, a gdy nerwy mu puszczały na dobre, wykrzykiwał artyleryjskie komendy. Wtedy wujka zabierano na miesiąc za Dźwinę, gdzie w byłych murach klasztoru ojców bernardynów mieścił się dom wariatów. Chorych leczono tam nie tylko lekami, ale także psychoterapią. Na przykład, kiedy lekarzom potrzebne były cegły, rozebrano babiniec klasztornego kościoła, a kości pochowanych tam nieboszczyków porozrzucano pod nogami pacjentów.

Po podleczeniu wujek Grisza tracił wojowniczość do następnego sierpnia, stawał się pokorny i łagodny i co wieczór zajmował swoje stałe stanowisko naprzeciwko topoli. Jego stosunek do tego drzewa przywodzi mi na myśl pułkownika Aureliana Buendía i kasztan, pod którym bohater Marqueza pożegnał się na zawsze ze światem.

Kiedy w latach „rozwiniętego socjalizmu" zburzono domy, sklepiki i ogródki na Ulicach Robotniczych, ścięto topolę i zawleczono ją gdzieś buldożerem, a Cymermanowie otrzymali mieszkanie w dziesięciopiętrowym bloku, zbudowanym obok ich byłego podwórza, wujek Grisza co wieczór siadał przy oknie na piątym piętrze i do zmierzchu wpatrywał się w to miejsce, gdzie niegdyś szeleściła liśćmi jego topola. Myślę, że w takich momentach wydawało mu się, że siedzi jak dawniej na wyślizganej ławeczce przy ciepłej, brunatnej ścianie swego domu. W nowym mieszkaniu nikt już nie usłyszał od niego ani wspomnień o Żukowie, ani artyleryjskich komend. Nie doczekawszy się kolejnego sierpnia wujek Grisza pewnego razu otworzył okno i stąpił za parapet.

Ale wyprzedzam bieg wypadków. Do zdarzenia z oknem, przez które ojciec Wowy wrócił do utraconego świata, pozostawała jeszcze połowa dzieciństwa.

Przechodziliśmy z klasy do klasy, zaczynaliśmy czytać braci Strugackich i Bradbury'ego, pisać liściki miłosne i ściskać ich adresatki w szkolnej szatni. Podobała mi się pulchniutka koleżanka z klasy Pola Kruglak. W szóstej klasie kilka razy odprowadziłem ją do domu i zaproponowałem, żebyśmy zaczęli ze sobą chodzić. Pola czerwieniła się, spuszczała oczy i cicho odpowiadała, że może się zgodzić jedynie na poważny związek.

Nie miałem pojęcia, co oznacza poważny związek, więc tylko smętnie patrzyłem na oddalające się krągłe nogi Poli, które przypominały litrowe butelki po mleku.

Poli oczywiście wiele brakowało do Simoczki Muzykantki, ale Simoczka razem z rodzicami wyjechała do Izraela. Wielu naszych sąsiadów także wyjechało do swojej historycznej ojczyzny. Wyjechali Szefowie z synem Iliuszą, moim rówieśnikiem, który nosił niezbyt pasujące do obywatela izraelskiego przezwisko z pewnym arabskim posmakiem – Mustafa Jagło-Jagło. Wyjechali Kacnelsonowie ze swoim Miszą, którego przezwisko (nadane mu, notabene, przez mordercę Fimę) było o wiele dłuższe, wykwintniejsze i dziwniejsze – Mobutu Czombe Leo Pinzia Skoworodkin.

„Żydzi rzedną, rządy żydzieją" – ze złością zaprzysięgłego antysemity mawiał nauczyciel przysposobienia obronnego Iwan Kiryłowicz, uczący nas od najmłodszych lat posługiwania się maską przeciwgazową, którą pewnego razu nazwał tajemniczym słowem „kondom". Nie rozumiałem tej jego złości. Szkoda mi było kolegów i koleżanek z klasy, którzy na zawsze znikali z mojego życia razem ze swoimi przezwiskami, rodzicami, braciszkami i siostrzyczkami. W szóstej klasie oficjalnych Żydów pozostała tylko trójka – Pola Kruglak, Mark Altbregin, któremu zazdrościłem, bo miał w domu aż dwa telewizory, oraz Boria Gasil.

Bori nie zazdrościłem. Wykonując pionierskie zadanie, pomagałem mu podciągnąć się z matematyki.

Podciąganie Bori odbywało się w dosyć szczególny sposób. Siadywaliśmy na kuchni, gdzie stale unosił się zapach smażonej cebuli, przy stole zasłanym białą ceratą w błękitne kraty. Muszę powiedzieć, że z moich wyjaśnień Boria nic nie rozumiał i nie starał się rozumieć, cały czas proponując zagrać w cymbergaja. Z matematyki miał stabilną lufę, ale ja uparcie do niego przychodziłem. Wracając do domu, oprócz zeszytu z tłustymi plamami zawsze niosłem w kieszeni garść drogich cukierków w rodzaju „Miszka na Północy" jako niezasłużone honorarium od matki Bori. Do tego gra w cymbergaja. Plus kędzierzawa siostra Bori Firka, która burzyła spokój mego ducha w stopniu nie mniejszym niż Pola Kruglak.

Podczas naszych zajęć Fira zazwyczaj siadała na stołeczku obok i pożerała mnie wypukłymi jagnięcymi oczyma, dopóki nie zaczynałem plątać się w liczbach. Gdy to zauważała, obda-

rzała mnie zadowolonym uśmieszkiem i potrząsając kędziorkami płynnie wychodziła z kuchni, przesadnie kręcąc biodrami i pozostawiając mnie w słodkim, gorącym rozmarzeniu. W takich momentach przed moimi oczyma niezmiennie pojawiał się obrazek z niedalekiej przeszłości, kiedy chodziłem do czwartej klasy, a Fira do trzeciej. Powtarzający piątą klasę Wasia Szujski zaproponował Firce za porcję lodów, żeby poszła z nim w zarośla łopianów za rowem i pokazała mu, co ma pod majteczkami. Kiedy Fira wróciła, otrzymała taką samą propozycję, ale już za pięćdziesiąt kopiejek, od przyjaciela Waśki, Walerki Okarkowa, na którą również przystała. Powiadają, że później, w ziemi przodków, Fira rozpoczęła karierę od gabinetu masażu, bardzo szybko poszła w górę i teraz kieruje ogromną siecią takich gabinetów w całym kraju, w co ja, wspominając owe dziecięce kuchenne rozmarzenia, chętnie wierzę.

Z jednej książki o Griszce Rasputinie dowiedziałem się, że jego sekretarzem był mozyrski Żyd Simonowicz. Pewnego razu genialny dworski naciągacz postanowił podarować swemu pomocnikowi złotą tacę z napisem. Rasputin własnoręcznie nagryzmolił na kawałku papieru napis grawerowi – „Najlipszemu z żyduw".

Gdyby w dzieciństwie kazano mi podarować tacę z takim napisem komuś z moich znajomych Żydów, bez wahania wybrałbym Wowę Cymermana.

W szkolnych latach byliśmy nierozłączni. Razem hodowaliśmy przywiezionego przeze mnie z babcinej wioski zająca Kolę i razem, roniąc łzy, grzebaliśmy jego kości w pudełku po obuwiu, gdy nieszczęsnego Kolę rozszarpał brytan sąsiada Dunaj. Razem otrząsaliśmy jabłonie w cudzych sadach, a w swoich, które otrząsali chłopaki z sasiedztwa, piekliśmy w ognisku ziemniaki. Razem straszyliśmy dziewczęta zaskrońcami, które łowiliśmy w maju w podmiejskich stawach i przynosiliśmy do szkoły za pazuchą.

Moja matka karmiła nas plackami ziemniaczanymi, nadziewanymi kluskami i tradycyjnym połockim daniem – zimnymi gotowanymi ziemniakami z borówkowym chłodnikiem. Matka Wowy Cymermana, nauczycielka nauczania początkowego Maria Abramowna, częstowała rybą fisz, farszmakiem i cymesem. Jedyne, co mi się nie podobało w jej kuchni (zapewne z powodów genetycznych), to maca.

Wspólnie z Wową po raz pierwszy przepłynęliśmy tam i z powrotem Dźwinę i poruszeni do głębi naszym wyczynem przysięgliśmy sobie wierność uroczystą przyjacielską przysięgą, którą napisaliśmy w dwóch egzemplarzach na kartkach z zeszytu. Przysięga była po męsku lapidarna – „Przyjaźń do grobu" – a podpisaliśmy ją krwią z naszych palców rozdłubanych agrafką, która służyła mi jako guzik u rękawa zielonej (zapamiętałem kolor z powodu podniosłości okazji) koszuli.

I wiele jeszcze innych wydarzeń przeżyliśmy z Wową.

Nie zdołała nas poróżnić nawet wojna izraelsko-arabska w 1967 roku, po której wielu połockich Żydów szybciutko pozmieniało imiona i nazwiska, przekształcając się z Izraila w Ilię, z Abrahama w Aleksandra, z Maksa Mojszewicza w Marka Michajłowicza. Wowa Cymerman zupełnie nie obrażał się z powodu moich dowcipów, z gatunku tego o facecie, który po drodze do domu słyszy w radiu, że Żydzi zbliżają się do Kairu, a gdy przekracza próg, oni już tam są.

Poróżniła nas – o banalność życia! – białoruska dziewczyna Natalia Uswajska z mojej byłej dziesiątej klasy. Pod koniec szkoły niepozorna chudzinka o szczudłowatych nóżkach, ucząca się na czwórki i piątki, niezauważalnie stała się ładną panną z trójami, wokół której zaczęli się kręcić nawet piloci z zadźwińskiego leśnego lotniska. Obserwowałem Natalię z oddalenia, w nocy oddawałem się rojeniom, a w dzień przygotowywałem się do egzaminów na uniwersytet w Mińsku, marząc o chwili, gdy spotkam się z Uswajską już jako student.

Pierwszymi osobami spotkanymi przeze mnie po powrocie z Mińska byli Wowa Cymerman i Natalia. Na moje dumne oświadczenie, że jestem już studentem, Wowa położył rękę na kibić (a dokładniej mówiąc, trochę niżej) damy mego serca i teatralnie unosząc w górę wzrok zadeklamował najwstrętniejsze ze wszystkich znanych mi strof:

Natalio, moja Natalio,
Koisz mnie sobą nad i pod talią...

Przed Natalią stał student uniwersytetu, a ona chichotem wyrażała uznanie jakiemuś parszywemu dziesięcioklasiście. W milczeniu odwróciłem się i z nieznośnym poczuciem osamotnienia w duszy poszedłem precz, wracając na drogę wiedzy

i robiąc krótki odpoczynek w barze „Przylaszczka", gdzie po raz pierwszy w życiu wypiłem koktajl alkoholowy „Luna".

Kochanka moich snów koiła Wowę Cymermana niedługo. Podczas zimowych ferii z mściwą satysfakcją dowiedziałem się, że mój rywal nie wytrzymał konkurencji z jednym z zadźwińskich lotników, który niebawem zrobił Natalii dziecko i sprytnie załatwił przeniesienie na inne leśne lotnisko w naszym nieobsiężnym kraju.

W mojej duszy znów ożyły przygasłe przyjacielskie uczucia, jednak teraz poruszałem się po innej trajektorii niż Wowa i mogłem go obserwować tylko z daleka.

Docierające do mnie wiadomości jedynie potwierdzały mój wcześniejszy wniosek, że przyjaciel mego dzieciństwa był nietypowym przedstawicielem swego narodu.

Objawiało się to między innymi tym, że Wowę Cymermana nie interesowały szachy, jak większość jego sportowo usposobionych rodaków, a zapasy w stylu wolnym, w których osiągnął klasę mistrzowską.

Po ukończeniu szkoły nie zdawał na uczelnię, a poszedł do technikum po drugiej stronie ulicy i potem pracował w zakładach remontowych przy różnym żelastwie.

Wowa mógł sporo wypić, w tym także na swój koszt.

W odróżnieniu od wielu współplemieńców Wowa poszedł służyć do armii radzieckiej. Co prawda, nie skakał tam ze spadochronem i nie budował BAM-u, lecz grał na bębnach w orkiestrze. Początkowo zgrana wojskowa rodzina spróbowała przygotować Cymermanowi specjalne powitanie. Dwóch starych wojaków poprosiło Wowę po próbie orkiestry na poważną rozmowę za murami koszar „Słuchaj, parchaty żydowinie" – wskazując na swoje buty powiedział jeden ze starych, pochodzący skądś spod Rostowa – przed zaprawą będziesz wylizywał do blasku nasze gównostępy". Drugi, bardziej wyrafinowany i wykształcony, ponieważ wychowywał się w „kolebce rewolucji", dodał inteligentnie: „ W przeciwnym razie, panie żydzie, zagramy na waszych genitaliach szóstą symfonię Szostakowicza". Po tym wstępie Wowa pokazał swoim interlokutorom kilka zapaśniczych chwytów i już do pożegnania z rodzimą jednostką dwaj starzy zwracali się do niego publicznie tak jak mieli nakazane – „panie Cymerman".

W dodatku Wowa był wybitnym ekspertem w sprawach damsko-męskich. Do krążących pogłosek mogłem dorzucić także jedną własną obserwację. Kiedy po ukończeniu uniwersytetu pracowałem w miejskiej gazecie, otrzymałem zadanie napisania reportażu o tym, jak mieszczuchy pomagają ludziom ze wsi. Gdy razem z fotografem dotarliśmy pod wieczór do kołchozu, zastaliśmy wszystkich miastowych pomocników na seansie filmowym w klubie. Po każdej wyświetlonej szpuli kinooperator straszliwie długo zakładał następną i w sali zapalano światło. Podczas jednej z przerw dostrzegłem z przodu wielką ostrzyżoną głowę i strome bary Wowy Cymermana, który obejmował jakąś młódkę. Po paru minutach zadymiona papierosami i zaśmiecona łuskami od pestek sala usłyszała przyciszony, niemniej wyraźny bas Cymermana: „Słuchaj, Zinka, mam już dość. Chodźmy lepiej się pieprzyć!" „Cicho!" – syknęła Zinka i dwie sylwetki ruszyły do drzwi.

Ze smutkiem muszę odnotować, że wtedy widziałem Wowę po raz ostatni. Wkrótce potem Wowa spróbował zatrudnić się w przedsiębiorstwie nowopołockim noszącym nazwę „Miernik", ale oddział kadr zwrócił mu papiery. „Nie spodobał się im mój nochal" – żartem wyjaśniał Wowa znajomym. Ale w głębi duszy poczuł się obrażony i zaczął się zbierać do Izraela...

Między dniem, gdy zacząłem spisywać te wspomnienia, a tym, gdy je ukończyłem, była też noc, kiedy przyśnił mi się Połock. Z jakiegoś powodu moje miasto bardzo przypominało Nowy Jork ze znanego filmu „Pewnego razu w Ameryce", a ja z przyjaciółmi – wyrostkami, którzy stali się gangsterami, przez całą noc hasaliśmy po ulicach, zabijaliśmy, rabowaliśmy i gwałciliśmy, strzelając do ostatniej kuli do ścigających nas policjantów.

Obudziłem się od tej strzelaniny.

Leżałem i ucieszony myślałem, że dzięki Bogu nikogośmy z Wową Cymermanem nie zgwałcili, nie obrabowali i nie zadźgali. Dlatego też pozostały nam niewinne i czułe wspomnienia, którymi nie żal podzielić się z innymi.

1993

Przełożył Jan Maksymiuk

To oczywiście patologia, ale muszę wyznać, że zrewidowałem swoje wspomnienia i upewniłem się ostatecznie: ani w dzieciństwie, ani później nikomu niczego nie zazdrościłem.

W trzeciej klasie byłem pochłonięty marzeniem o osiedleniu się z koleżanką klasową Wieroczką na własnym atolu, ale z jakichś powodów nie zazdrościłem amerykańskim miliarderom, którzy mogli sobie kupić cały archipelag gdzieś na Oceanie Indyjskim. Mając skłonności do fatalizmu od wczesnego dzieciństwa, nie zazdrościłem chorobliwie chłopakom, którzy chodzili z dziewczętami ładniejszymi od moich sympatii. Poza tym ani razu (czego w ogóle nie daje się wytłumaczyć) nie pozazdrościłem swoim kolegom literatom żadnego popełnionego przez nich arcydzieła.

Ale nie śpieszcie się z ubolewaniami nade mną za brak jednego z najmocniejszych, najosobliwszych i najjaskrawszych ludzkich uczuć. Wiedziałem co to zazdrość nie gorzej, a może nawet lepiej, od najzawziętszych zazdrośników. Ich emocje kierowały się ku osobnikom do nich podobnym, podczas gdy moje pasmo odczuć było nieporównywalnie szersze: obiektami zazdrości były dla mnie rzeczy, rośliny, zwierzęta...

Zazdrościłem pierwszemu telewizorowi na naszej ulicy i chętnie przemieniłbym się w niezgrabny i z dzisiejszego punktu widzenia po prostu ubogi czarno-biały „Nioman”, przed którym wieczorami zbierało się nie mniej ludzi, niż w małej sali kina „Ojczyzna”. Wcześniej czułem piekącą zazdrość do sumów w Dźwinie, które żyły tak niepojęcie ciekawym i tajemniczym życiem, że w porównaniu z nim moja lądowa egzystencja wydawała się całkowitą niedorzecznością. Nie miałbym nic przeciwko przemianie w samochód osobowy albo w pierwszą książkę otrzymaną w prezencie, „Witeziowie Rusi”, albo w ciepły skórzany fotel w gabinecie mego ojca. Każda z tych zazdrości miała swoją historię, wartą opowiadania albo i noweli.

Ale nikomu i niczemu nie zazdrościłem tak mocno, jak psu. A mówiąc dokładniej, suczce.

Nazywała się Łajka. To ona, jeśli ktoś pamięta, była pierwszym radzieckim kosmonautą.

Łajkę wystrzelono w kosmos jesienią, gdy w naszym sadzie opadały ostatnie antonówki, słodkie niemal jak papierówki, a u sąsiadki Chwiedorowny, która mieszkała o jeden sad od nas, naciągały gorzkawą słodyczą grona kaliny. Krzew kaliny i trzy wiśnie wyznaczały początek włości sąsiadki; płotów pomiędzy sadami nie stawiano i gdy Chwiedorowna spuszczała z łańcucha łaciatego kundla Dunaja, pies mógł czuć się nie tylko gospodarzem, ale i obszarnikiem.

Co prawda jego obszar kurczył się katastrofalnie w porównaniu z tym, nad którym panowała ogoniasta kosmonautka.

Wystawałem na jesiennym chłodzie z zadartą głową, usiłując dojrzeć w prześwitach między chmurami kosmiczną budkę z wielkimi, już rozpoznawanymi przeze mnie literami ZSRR. W budce leciała bliska mi aż do bólu istota.

O, jakże pragnąłem choć na jeden dzień znaleźć się w jej skórze, żeby pędzić nad Ziemią, naciskać łapami przyciski sterowania, radośnie szczekać na gwiazdy i do woli jeść konserwowe kilki w sosie pomidorowym, w które – jak byłem święcie przekonany – Łajkę hojnie zaopatrzono do końca jej kosmicznej wyprawy.

„Marsz do domu! Dość wypasania obłoków!" – krzyczała mama.

Autorką drugiego zdania była nie mama, a moja babunia Eugenia, mieszkająca w naddnieprzańskiej wsi koło Szkłowa, do której odwożono mnie w maju na całe lato.

Latem wypasanie obłoków było bardziej przyjemne. Kładłem się na podwórku na wiązce szeleszczącego siana, przy moim boku wykładał się kot (babunia nigdy nie nadawała imion swoim kotom, a nazywała ich po prostu Kotami albo Kotkami) i wpatrywaliśmy się godzinami w puszyste, białe obłoki, przypominające krocie dmuchawców na łące. Zza krzaków agrestu i porzeczek ciągnął miodny zapach koniczyny, głowa i cała rozgrzana słońcem dolinka przyjemnie płynęły w przestrzeni, bezimienny kot śnił o smakowitych tłustych myszach i błogo pomrukiwał, raz po raz targając ogonem, przyciętym za nieprzejednaną krnąbrność... Drzemka podkradała się i do mnie, ale wtedy boleśnie szczypałem się w szorstkie łydki bojąc się, że gdy przysnę choć na chwilkę, wówczas na jednym z miękkich jak wzbita pierzyna obłoku przepłynie nad babcinym podwórkiem Bóg.

Babunia Eugenia w owym czasie zdążyła już nie tylko na wpół legalnie ochrzcić mnie w cerkwi w Kopysiu, ale i wtłoczyć mi do głowy Ojcze Nasz. Wiedziałem, że „ojcze nasz" to nie kto inny jak Bóg, a „na niebiesiech" oznacza na niebie.

Wytłumaczenie, co znaczy „święć się imię twoje", babunia uznała za zbędne, spodziewając się widocznie na pojętność wnuka. Wychodząc naprzeciwko tym oczekiwaniom, chciałem podejrzeć, czym „ojcze nasz" się pożywia. Może kilką w sosie pomidorowym i ziemniakami w mundurkach?

Pamiętam doskonale, że zazdrości do Boga – nawet gdyby ów żywił się wyłącznie moim ulubionym miastowym przysmakiem – nie miałem w swojej maleńkiej duszy ani odrobiny. Jeśli wtedy jeszcze nie rozumiałem, to przynajmniej odczuwałem, że nasze losy są najzupełnie różne. Bóg był już bardzo stary i miał, bez względu na dobre odżywianie, wkrótce umrzeć, podczas gdy mnie przepełniał animusz nieśmiertelności. On był wielkim naczelnikiem, podczas gdy ja nie zamierzałem zostać naczelnikiem w żadnym razie. Oprócz wszystkiego innego straszliwie bałem się wysokości i mój narząd równowagi był bardzo zawodny: wystarczały dwa okrążenia na karuzeli, by moje usta wypełniły się ohydną słodkawą śliną i zaczęło mi się zbierać na wymioty.

Wówczas, na jesieni, gdy szukałem na niebie kosmicznej budki, którą radio mądrze nazywało sztucznym biologicznym satelitą Ziemi, zupełnie zapomniałem o niedostatkach swego układu przedsionkowego, bo chyba byłem podświadomie przekonany, że gdy przeistoczę się w psa, natychmiast pozbędę się wszystkich ludzkich słabości.

Podczas gdy Łajka latała, a ja wypasałem wśród chmur swoje rojenia, na ziemi odbywały się różne wydarzenia związane z kosmosem.

Pierwszym bezpośrednim następstwem lotu Łajki u nas stała się bohaterska śmierć Dunaja.

Wsadzony do ukradzionej z browaru pustej beczki, pies sąsiadki wyruszył w kosmos ze starej czerwonej stacji pomp nad brzegiem Pałaty.

Na aparacie latającym kosmonauty Nr 2 też widniał napis ZSRR i dodatkowo kilka krótkich, często spotykanych na ścianach i płotach słów, których znaczenie w owych czasach pozostawało dla mnie zagadką.

Tragiczne lądowanie Dunaja, muszę przyznać, wywołało we mnie więcej radości niż smutku. Nie w tym rzecz, że od urodzenia byłem chłopcem niegodziwym i złym. Po prostu miesiąc wcześniej burek Chwiedorowny zjadł na podwieczorek przywiezionego mi ze wsi zająca Kolę, który parę tygodni pomieszkał w skrzynce po jabłkach, a potem zwiał i ze trzy dni oddychał wolnością, gryząc kapustę i marchew w ogrodzie.

Wystrzelenia Dunaja dokonali Iljusza Szef i Witia Bundiel. Chodzili już do szkoły i zaczynali rozwijać talenty, które później zaprowadzą ich obu do więzienia. Witia obrabuje mieszkanie w Leplu i dostanie pierwszą odsiadkę w dziesiątej klasie, a Iljuszę zapuszkują za coś już w Izraelu, dokąd wyjedzie z rodzicami i swoim mahometańskim przezwiskiem Mustafa.

To dzięki Iljuszy po raz pierwszy docenię siłę słowa poetyckiego.

Pewnego wieczora ojciec przyprowadzi na kolację rewidenta z obwodu, a mama, by pochwalić się synem przed gościem, poprosi mnie o zadeklamowanie jakiegoś wierszyka. Wysunę jedną nogę do przodu, założę ręce do tyłu i zawadiacko wydeklamuję czterowiersz wyuczony na pamięć pod kierownictwem Iljuszy:

Oto tryumf jest nauki,
Co wysyła w kosmos suki,
Sławiąc wśród niebieskich sfer
Twoją mać kapezeter.

Ojciec zmieni się na twarzy i nie odrywając oczu od twarzy gościa wyciągnie pasek ze służbowych prokuratorskich spodni. Ale gość wybuchnie śmiechem, poradzi mi powstrzymać się od deklamacji tych strof w przedszkolu i zupełnie rozładuje napięcie nalewając do kieliszków.

Wybiegając w czasie nadmienię, że sukcesy ZSRR w podboju kosmosu bedą w moim życiu nadal związane z twórczością poetycką – bądź ludową, bądź moją własną.

Po locie Tiereszkowej na tablicy w naszej klasie pojawi się nowy utwór nieznanego autora. Wielkimi literami i bez pomyłek czyjaś ręka nakreśli cztery całkiem profesjonalne strofy:

Walentynie Tiereszkowej
Za przelot kosmiczny
Gensek Chruszczow podarował
Ch.. automatyczny.

Nazwa podarunku Chruszczowa dla kosmonautki, oczywiście, była wypisana w pełnym brzmieniu.

Ojciec znalazł ten wierszyk w moim zapisanym do końca zeszycie do arytmetyki. Wtedy nosiliśmy woreczki z kałamarzami przywiązane do tornistrów i pisaliśmy stalowymi piórami w drewnianych obsadkach. Owe pióra wiecznie drapały, plamiły i bryzgały, więc starannie przepisany przeze mnie utwór o tematyce kosmicznej przyozdabiało z pół tuzina kleksów.

Źródła historyczne zaświadczają, że w czasach Wielkiego Księstwa Litewskiego warta graniczna ojczyzny naszych przodków stosowała następującą metodę w celu utrwalenia przebiegu linii granicznej w pamięci obywateli. Miejscowych wyrostków szczodrze smagano bizunami dokładnie na rubieży państwowej. Podobnie jak taka chłosta zostawiała w świadomości aż do śmierci „sfotografowane" pod bizunami graniczne kamienie i drzewa, ciężka ojcowska ręka z rzemieniem na zawsze wydrukowała gdzieś we mnie stronę z nieprzyzwoitym słowem i gromadką kleksów podobnych do nieznanego gwiazdozbioru.

Mój własny wierszyk ułożony z okazji okrążenia kuli ziemskiej przez pierwszy trójosobowy statek kosmiczny Woschod wyróżniał się dziewiczą niewinnością ideologiczną i leksykalną. Ale o tym trochę później. Wróćmy do jesieni, nad którą unosił się odgłos szczekania sławetnej radzieckiej suczki.

Z ludzi, na których jej lot zrobił najgłębsze wrażenie, pamiętam przede wszystkim inną naszą sąsiadkę, Różę Salomonownę Hercykowicz, często wpadającą do mojej mamy na pogawędkę, by poskarżyć się na swoją synową, żonę jej syna Fimy, że „się łajdaczy", oraz uparcie nazywającą mnie Bobem, a nie Wową. A tu jeszcze prosto z nieba zwalił się nowy temat.

Gruba jak dwie albo nawet dwie i pół mamy ciotka Róża Hercykowicz nie lubiła rozmawiać stojąc i majestatycznie opuszczała swoją tuszę na naszą zieloną kanapę, która pod raptownym ciężarem zapadała się i jęczała żałośnie jak żywe stworzenie. Usadowiwszy się wygodnie, matka Fimy zaczynała opowiadać niestworzone historie. Słyszała jakoby, że wkrótce wystrzelą w kosmos sputnik z muchami, komarami, karaluchami i pluskwami. Mama reagowała na to mówiąc, że karaluchów i pluskiew, dzieki Bogu, nie mamy. Puszczając nietaktowną uwagę mimo uszu ciotka Róża Hercykowicz eksploatowała ko-

smiczne złoże dalej. Według niej, w ślad za owadami w przestrzeń międzyplanetarną wystartuje satelita z kotami, a potem, jak powiadała, „smyrgną" kozę.

Nieśmiało pytałem o rybki akwariowe. „Woda się rozchlapie" – opędzała się sąsiadka i po kozie przepowiadała lot krowie.

Wyczuwałem w jej słowach pewną sprzeczność, bo jeśli wysyłać na orbitę wszystko po kolei, to logicznym byłoby zacząć nie od Łajki, a rzeczywiście od komarów czy nawet bakterii. Ale sąsiadkę takie niuanse nie deprymowały. Przepowiadała, że po krowach zaczną „smyrgać" w kosmos kryminalistów.

Ciotka Róża nie wiedziała, że za kilka lat jednego fatalnego wieczora Fima przyłapie żonę z kochankiem i zarżnie zdrajczynię nożem kuchennym, dlatego też nie powstrzymywała swojej wyobraźni i twierdziła, że kryminaliści w kosmosie zostaną poddani różnym eksperymentom: będą ich karmić tylko kukurydzą albo czosnkiem z cukrem; ustalać, ile dni człowiek może wytrzymać bez jedzenia, a ile bez picia; moczymordów będą trzymać przy życiu na samej wódce, a gwałcicieli będą na statkach kosmicznych wieszać za jaja.

Mroczna wyobraźnia sąsiadki penetrowała coraz to nowsze obszary i następnego dnia do poprzednich okropności dodawała szczegół, że statki kosmiczne z kryminalistami będą służyć jako cele lotnikom radzieckim albo że ona, Róża Hercykowicz, napisze gdzie trzeba, żeby do kryminalistów na orbitę wystrzelono jej synową w celu przeprowadzenia jakichś niezrozumiałych dla mnie badań.

Niestety, czy może na szczęście, przepowiednie matki Fimy nie sprawdziły się. Po Łajce w kosmos poleciały nie muchy czy kozy, a Biełka i Striełka. Koty, krowy i kryminalistów też pominięto i od razu umieszczono na orbicie człowieka.

Pewnego razu na kilku domach na naszej cichej uliczce zmieniono tabliczki z nazwą. Teraz i nasz dom, i szkoła, gdzie chodziłem do pierwszej klasy, znajdowały się na ulicy noszącej imię pierwszego radzieckiego kosmonauty i dlatego, jak mawiała nasza pani, powinniśmy być z tego dumni i tego warci.

Być może dlatego, że wycięte z pisma „Ogoniok" zdjęcie Łajki wciąż jeszcze wisiało nad moim łóżkiem, niesprawiedliwość słów nauczycielki odczułem szczególnie ostro. Otrzymałem pierwszą lekcję oficjalnego kłamstwa. Wszyscy przecież doskonale wiedzieli, że pierwszym kosmonautą była Łajka.

(Ponieważ motyw zazdrości służy w naszej opowieści jako kontrapunkt, zauważę, że myśląc o Juriju Gagarinie znowu nie znajduję w sobie ani ociupinki wspomnianego uczucia. Z tego samego powodu czułem głęboką ludzką sympatię do ciotki Róży Hercykowicz. Jej opowieści poświęcone kosmonautom świadczyły niezbicie, że nasza sąsiadka też ani razu nie odczuła zazdrości w stosunku do bohatera z kosmosu i nigdy nie zapragnęła jego losu dla swego ulubieńca Fimy.)

Latem otrzymałem dodatkowe argumenty – od swego stryjecznego dziadka, a maminego wujka Griszy dowiedziałem się, że Gagarin nie był pierwszym kosmonautą i wśród ludzi.

Poprzednio dziadek Grisza odwiedził rodzimą wieś, gdy jeszcze nie był żadnym moim dziadkiem, bo mnie nie było na świecie, a mój tato nie mieszkał z mamą, a z pierwszą żoną, która jeszcze wtedy nie chorowała na nieuleczalne suchoty. Dorośli mówili, że dziadek Grisza jest „utajniony", a żeby się o tym przekonać, wystarczyło zobaczyć paczki, jakie nam przysyłał z Moskwy przed każdym Nowym Rokiem. Spałaszowawszy przysłaną przez dziadka potężną rybę o mięsie mieniącym się kolorami tęczy, na cały miesiąc zapominałem o kilkach, a ogromne rodzynki w wyśmienitej czekoladzie obok ocukrzonych cukierków poduszeczek wyglądały jak pozdrowienie z innej planety, która wyprzedziła naszą w rozwoju nie o stulecie, a na zawsze.

Dziadek Grisza był całkiem łysy. Lubiłem przyglądać się jego dyniowatej głowie, poprzecinanej niebieskimi, czerwonymi i zielonymi żyłkami i mocno przypominającej globus. Kuzyni mówili, że o swojej moskiewskiej pracy dziadek nie piśnie ani słowa i w dzień Sądu Ostatecznego. W mojej pamięci odcisnęło się, jakim surowym wzrokiem popatrzył dziadek na moją ciotkę, a swoją bratanicę Olgę, która słysząc w radiu popularne wówczas zapewnienie o doścignięciu i prześcignięciu Ameryki, potwierdziła, że owszem, dościgniemy, bo bosym biec lżej. Ale zapamiętałem dobrze i to, jak pewnego razu dziadek odtajnił się troszeczkę przed babcią Eugenią, wyznając jej, że ma do czynienia z kancelarią niebieską.

Po raz drugi dziadek Grisza odtajnił się przede mną, gdy słuchając audycji radiowej o Gagarinie walnął raptem bez zagrychy szklankę babcinego samogonu, przedestylowanego dwa razy, i cicho powiedział, a dokładniej, załkał: „Ach, Wowa,

ilu chłopaków przed Gagarinem spalono na próbnych startach...” I dorzucił parę słów, których uczono mnie nigdy nie powtarzać.

Przeżyłem chwilę, którą nazywają chwilą prawdy. Moja dziecięca dusza zrozumiała, że łzy w dziadkowych oczach bez rzęs na powiekach zakręciły się nie od mocnego babcinego samogonu, a dlatego, że dziadek nie tylko że znał tamtych „chłopaków”, ale i sam – strach pomyśleć – ich palił...

Dziadek Grisza przeląkł się swojej szczerości i poprosił, żebym zapomniał o tym, co usłyszałem, bo inaczej mogą go wyrzucić z pracy albo nawet posadzić do więzienia. Chciałem dalej dostawać przed Nowym Rokiem paczki z Moskwy, dlatego też dałem mu swoje słowo honoru, wzmacniając go tym, że przeżegnałem się przed ikoną Mikołaja Cudotwórcy, jak uczyła babula.

Paczki ze smakołykami przychodziły jeszcze przez pięć lat. Wróciwszy z pogrzebu dziadka do wsi, ciotka Olga oznajmiła, że na stypę po nim przywieziono skądś dwa autobusy generałów.

Ani wówczas, ani później, gdy latali Bykowski z Tiereszkową i gdy ciotka Róża Hercykowicz twierdziła, że wystrzelono ich w celu kosmicznego rozpłodu i przepowiadała nieuniknione pojawienie się potworków, ani na moment nie poczułem najmniejszej chęci zostania kosmonautą. Tym niemniej, ulegając powszechnej psychozie po pierwszym locie załogowym w kosmos, napisałem swój pierwszy utwór mową wiązaną:

Pędzi trójka, pędzi chyżo
We wnętrzu Woschodu,
Wiedzie statek pewną ręką
Kapitan do przodu.
Tam inżynier jest pułkownik,
Lekarz i uczony,
Ojczyzny wierne dzieci,
Wokół ziemskiej kuli
Statek z nimi leci.

Później dowiem się, że cała kohorta znanych zagranicznych polityków, włącznie z jednym byłym prezydentem Stanów Zjednoczonych, w ogóle nie wierzyła w realne istnienie niektórych statków kosmicznych z serii Woschod, traktując je jako zwyczajną ideologiczną brednię.

Niedługo po wystrzeleniu Woschoda z trójosobową załogą Fima Hercykowicz zarżnął żonę. Widocznie od związanych z tym przeżyć coś się popsuło w mechaniźmie biologicznym, który regulował krągłość ciotki Róży, bowiem zaczęła ona przybierać kilogramy z katastrofalną prędkością. Z takim samym efektem jak ciotka mógłby chyba siadać na naszą nieszczęsną kanapę żelazny Lenin sprzed dworca. Krótko mówiąc, kanapa, nie oglądając się na ogromne sukcesy ZSRR w podboju kosmosu, wyzionęła ducha, a na nową rodzice nie mieli pieniędzy.

Gdy w czasie testowania statku transportowego Sojuz zginął kosmonauta Komarow, ciotka Róża Hercykowicz już nas nie odwiedziła. Ciotka nie czytała historyka Fernanda Braudela, który kiedyś sformułował swój słynny postulat, że „gdy Żydzi przybywają do jakiegoś kraju, to oznacza, że żyje się tam dobrze albo że będzie się żyło jeszcze lepiej, a kiedy wyjeżdżają, żyje się źle albo ma się zmienić na gorsze". Matka Fimy po prostu doczekała się powrotu syna z więzienia i emigrowała z nim do Izraela.

Moja ciotka Olga, ta sama, która kiedyś wypowiedziała się tak aforystycznie o naszym wyścigu z Ameryką, nie miała gdzie emigrować, dlatego chcąc nie chcąc musiała uczestniczyć w ogólnokrajowych, ciągnących się miesiącami rozmowach o losie kosmonauty Komarowa.

Chodziły słuchy, że dowódca Sojuza wcale nie zginął przy lądowaniu, a jedynie się zranił. Jedni spotkali ludzi, którzy na własne oczy widzieli, jak Komarow wylądował na polu koło Nowosybirska, wylazł z kapsuły i poprosił o piwo. Inni przysięgali, że słyszeli o tym samym z „wrogiej radiostacji"...

Byłem pewien, że wobec wydarzenia takiego kalibru nie pozostanie obojętna i spadkobierczyni starego i zacnego połockiego rodu Hercykowiczów w ojczyźnie swoich przodków. Wyobrażałem sobie smagłych mieszkańców z okolic Betlejem (notabene, bardzo podobnych do naszych niedawnych sąsiadów), którzy słyszą z miodopłynnych ust ciotki Róży, że jeśli nawet Komarow ocalał, to i tak go złapią i zabiją albo w najlepszym wypadku gdzieś zapuszkują, żeby nikt nie pomyślał, że radzieckie gazety, radio i telewizja skłamały radzieckiemu narodowi.

Pogląd ciotki Olgi w tej całej sprawie był jeszcze bardziej bezkompromisowy. Zaciskając usta jak święta na ikonie, siostra mamy powiadała, że Bóg zaczął nareszcie karać pilotów, którzy

narobili dziur w niebie i zepsuli pogodę oraz życie na ogół. Zauważę mimochodem: z ciotką solidaryzowała się większość kobiet z jej wsi Kopyścino w rejonie szkłowskim, która rozkwitała pod słońcem ustroju kołchozowego w odległości trzech kilometrów od wówczas jeszcze nikomu nieznanej wioszczyny Aleksandria, której mieszkańcy pędzili nie gorszy samogon niż ludzie w Kopyścinie i nie podejrzewali, że za ćwierć wieku jeden z ich ziomków zasłynie na cały świat*.

Nie, żadnemu z nich – ani temu niegdysiejszemu mieszkańcowi Aleksandrii, ani pierwszemu białoruskiemu kosmonaucie Klimukowi, ani drugiemu, Kowalonkowi, któremu w debiutanckim locie coś nie wyszło i nazajutrz z chaty jego matki zabrano przywieziony uprzednio telewizor – nie zazdrościłem. Niech skonam, jeżeli łżę.

Jeśli jakaś kropelka zazdrości zatruła moją duszę, to z powodu zupełnie nie naszego kosmonauty, Neala Armstronga. On rzeczywiście odbył lot co się zowie. Można to porównać do sytuacji, w której wokół nieziemskiej piękności kręci się krocie zalotników: całują rączki, przynoszą prezenty, ktoś uszczypnie ją w bok, ale nic więcej, a potem pojawia się ten, który spędza z nią noc i staje się pierwszym odkrywcą.

Gdzieś w zakamarkach duszy tli się marzenie – jeśli znowu trafię do Ameryki, to chciałbym odnaleźć starego Neala i zapytać go, co takiego zobaczył albo poczuł na Księżycu, w owym Morzu Spokoju, że potem, jak powiadają, na zawsze skończył z kosmosem, ukrył się przed ludźmi i żyje jak samotnik.

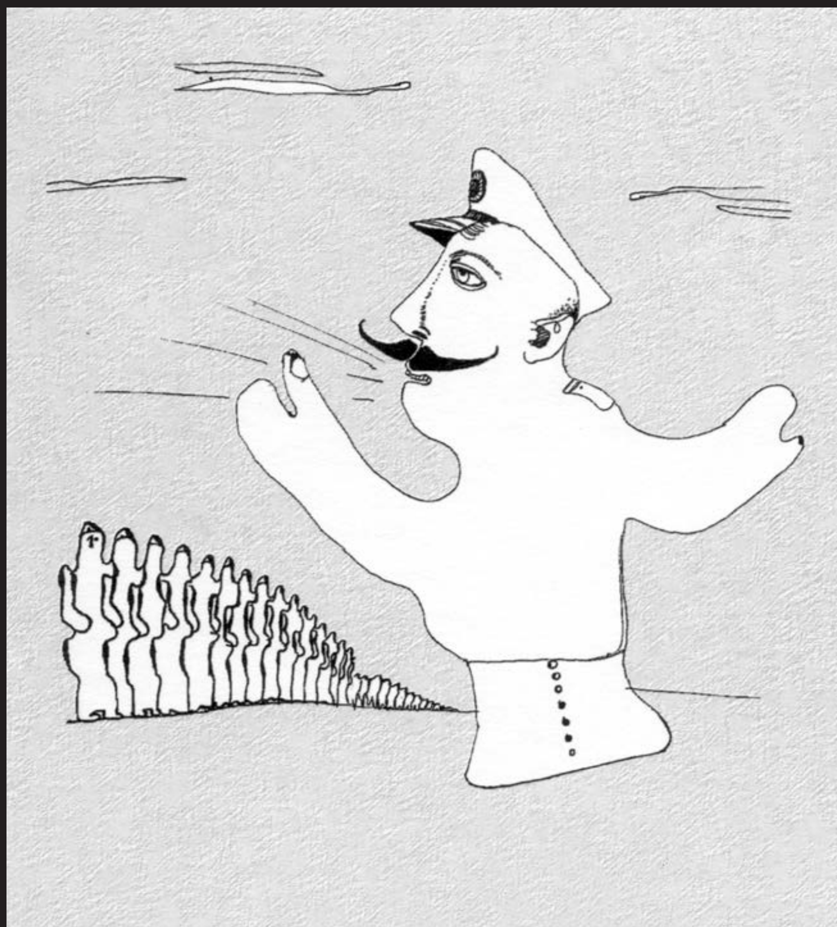
Rozumiem, że szanse na uzyskanie odpowiedzi są bliskie zera. Ale lubię sobie myśleć, że gdyby jeszcze żyła babula Eugenia, stary Neal mógłby, zamiast tej ich niewydarzonej whisky, łyknąć ze mną czystego jak dziecięca łza samogonu i, jak niegdyś dziadek Grisza, pęknąć i posłać całą tę kosmonautykę w diabły...

1997

Przełożył Jan Maksymiuk

* Mowa o prezydencie Białorusi Aleksandrze Łukaszence, który spędził dzieciństwo we wsi Aleksandria koło Szkłowa.

III



ŁASKA KSIĘCIA HIERONIMA

My, urząd magistratury w Kryczowie, wysłuchawszy stron obu, ustalamy, że wyżej wymienieni watażkowie przez roki cztery całe włości buntowali, ordynansów Jaśnie Wielmożnego Księcia Radziwiłła nie uznawali, a gubernatorów i postawionych przez nich na folwarkach podstarościch wyganiali, bili i mordowali, majętność ich rabowali i sobie na pożytek zabierali, i na koniec na ludzi pana swego litościwego Jaśnie Wielmożnego Księcia Hieronoma Radziwiłła, podczaszego Wielkiego Księstwa Litewskiego, dwakroć, koło Kryczowa i koło Cerkiewiszcz, zbrojnie wystąpić poważyli się.

Przeto w zgodzie z prawem pospolitym w rozdziale I artykule 3 Statutu z roku 1588 o takich kupach samowolnych srogo stanowiącym, na pieczy mając, by dalej takowego nie czynili, wyrokujemy i rozkazujemy zbójców Iwana Karpacza, Stesia Boczkę, Wasyla Wiatra, Mikitę z Borówki, Iwana Trusa, Nauma Bujana, Andreja Kostkę, Wasyla Poczajonka i Waśkę Kościna żywymi na pal wbić; Iwana Dokukę, Zacharka Siemaszkę, Jana z Barankowa, Mikitę z Tupiczyna na szubienicy powiesić; a Szymonowi Woronie, Ignacowi Małunionkowi, Iwanowi Krywuli, Janowi Golonce głowy uciąć.

Sprawę tę przed burmistrzami, jako też rajcami, ławnikami i całą magistraturą kryczowską wyżej wymienionym buntownikom i zbójcom ogłoszono i do ksiąg magdeburskich wpisano Roku Pańskiego 1744, lutego 22 dnia.

Musicie wiedzieć, że dzień i dwie noce przed straceniem mości książę Hieronim Radziwiłł powiedział do mnie: „Posłuchaj, Karpacz, a kiedy pięciu twoich kumotrów wichrzycielskich ułaskawić każę, to dogadamy się?" Od razu nie połapałem się, o jaki to geszeft mu się rozchodziło, a książę: „No dobrze, chcesz się targować – bierz jeszcze trzech". Powiedział – jakby rzucił mi te trzy dusze jak pejsaty Lejba rzuca na wagę trzy śledzie w swoim kramie przy ratuszu. „Pięciu i jeszcze trzech. Równo połowa. Rusz głową, harmatniku".

Dał mi książę noc na rozmyślenie i ta noc była straszniejsza od bitwy pod Cerkiewiszczami. Pułkownik Piastrzecki rozbił pod Cerkiewiszczami naszą brać, ale dalibóg, tam mi było snadniej, bo tam żołdacy księcia zabijali nas, a my żołdaków, tam w polu wszystko było proste, a tutaj mogłem uratować połowę

swoich pobratymców, ale gwoli temu musiałem zostawić na pohybel drugą połowę, a oni przecie też ludzi do powstania burzyli, a teraz karmili swoją krwią wszy ciemniczne i czekali na bliską śmierć.

A było tak. Pod wieczór, kiedy Szymon Worona facecję akurat opowiadał, jak Cygan poszedł do spowiedzi, otworzyły się w naszej więźnicy drzwi i krzywonosy porucznik, co go do nas postawiono, od progu niczym trąba jerychońska ryknął:

„Karpacz, psi gnacie! Przed księciem Hieronimem masz stanąć!" Przeto pobratymców na wypadek, jakbyśmy na tym świecie już nie spotkali, objąłem i poszedłem na książęce pokoje. W zamku jeszcze nas jakiś szlachetka w dolmanie na lisim podbiciu zatrzymał. Zaczął wygrażać, że rychło i samego Woszczyłę pojmają i nad wałem za .... powieszą, a potem u żołdaka pochodnię wyrwał i chciał mi brodę podpalić, ale porucznik nie dał – musi bał się, że książę pan nie pochwali, jakby ode mnie jak od smalonego wieprzka woniało.

Mówić ze mną książę Hieronim począł dobrotliwie i nie po polsku, a po naszemu, po białorusińsku, i omal się nie jąkał, co znaczyło, że tęgo już sobie pociągnął – tyle lat supliki chłopskie do niego wożąc, dobrze się w tym wyznawałem. Wiedziałem i to, że pomyślunku u jego książęcej mości wino nigdy nie zamąci, nawet gdyby i całą beczkę wychlał.

– No co, kogucie holenderski? – pyta. – Ciągiem ty do mnie w gości przyjeżdżałeś, a teraz ja ciebie odwiedziłem.

A sam w czuhaju z pawimi piórami na kanapce spoczywa, a prawdę rzekłszy, nie na kanapce, a na kolanach swojej podściółki jak kocur się umościł. Kędzierzawa taka i odpasiona, ślepiami osowiałymi na niego błyska i rączką po łysinie gładzi. Będzie ze dwa roki, jak mości księcia nie widziałem. Jeszcze i trzydziestka mu nie stuknęła, ale już bliżej księciu do starca niż do młodzieńca. Łysina przez całą głowę, lico czy to od wina, czy to od jakiego choróbska poszarzało jak śnieg w marcu, tusza się rozlała, tylko oczy mu zostały dawne, ostre, aż się człowiek boi, żeby go nie pokaleczyły. Nie, myślę, książę nie ot tak sobie po mnie posłał.

– Spóźniła się wasza mość w gości – odpowiadam – a to chudoba już dawno by siano przez wasze żebra smykała.

Książę się nie gniewa, a rechocze i dziewkę swoją podszczypuje od ukontentowania.

– Zmyślnie mówisz, harmatniku! Lubię cię za dowcip, dalibóg, lubię. A dwoje ludzi rozumnych może i interes ubić, ha? Na dodatek, gdy znają się od dawna. A my z tobą, Karpacz, znamy się już ze dwadzieścia roków. Od czasu, kiedy mateńce mojej nieodżałowanej przyniosłeś pierwszą suplikę od kryczowskich chamów. Pamiętasz? Chociaż byłem wtenczas mały, dobrze cię zapamiętałem.

– To było – zapytuję – kiedy wasza książęca mość kota pod stołem czawiła?

– Ano, ano! – ucieszył się. – A ty, duszo żałościwa, tegoś kota ode mnie zabrał.

Tu mnie od jego wesołości złość brać zaczęła.

– To musi wtedy – powiadam – wasza mość na kotach się praktykowała, żeby potem ludzi tak chwytać.

A książę:

– Aj, zuch, aj, jak ja cię lubię! I za dowcip lubię, i za śmiałość!

Wtedy przez to, że nijak nie mogłem się dorozumieć, dokąd książę rozmowę kieruje, zezłościłem się na dobre.

– A wiesz waszeć – pytam się – że tamtego razu, gdyś z kota ducha wypuścił, ja twoją książęcą matkę w pole wyprowadziłem?

I opowiedziałem mu, jak nosiłem suplikę na dzierżawców Wołkowyckich. Owi zdziercy przez dwa roki ze starostwa kryczowskiego sto tysięcy złotych ponad spisane inwentarze wycisnęli i sobie do kapsy położyli. Księżna pani wtenczas przy mnie uniwersał do dzierżawców pisała i tęgo im wygrażała. Nie wiedziała dobrodziejka nasza, że onegdaj uczyłem się ja w szkole brackiej trivium i quadrivium, choć i nie douczyłem się. Jakby wiedziała, toby nie tykała w ten uniwersał palcem z pierścionkiem, bo nie groźbę w nim słała do Wołkowyckich, a rozkazywała im przysłać jej miodu pitnego i soku z żurawiny. Chciała mnie wokół palca owinąć, ale sama figę z makiem zjadła, bo potem woziłem ten jej uniwersał po siołach i czytałem nie o żurawinach, a o tym, że księżna pani rozkazuje nam bunt przeciw arendatorom podnieść i jak najrychlej ją o tym powiadomić.

Książę wysłuchał i aż nogami przytupnął.

– Aj, zuch! Aj, mateńka nieodżałowana!

A potem raptem spoważniał i zlazł z kolan swej dziewki.

– Dosyć – powiada – bo przez te krotochwile ze sprawą się nie uładzimy. Co tam o tobie w dekrecie zapisano? Na pal?

– Na pal – odpowiadam.

– Ale musi nie bardzo się chce, ha?

I jemu, powiada, posyłać mnie na śmierć się nie chce. I niedrogo za moją głowę poprosi. Powiedział i coś z sekretarzyka wyciąga. Popatrzyłem, a to jakby ten sam kajet, w którym kuśnierski syn Kuźma według nakazu Woszczyły wszystko o naszym powstaniu zapisywał.

I prawda, otworzył książę kajet i czyta: „Pisał Kuźma, syn Stesia".

– Oj – woła – trzymajcie mnie! I jak się te bazgroły mają nazywać? Może Ewangelia według Kuźmy? Cha, cha, cha! A kto robił za Chrystusa? Waśka Woszczyła? Czemuż nie poszedł za was na krzyż? Dobry Chrystusik! Wziął nogi za pas, a majętność swoją zawczasu na Ukrainę przeprawił. Wszystko na odwrót. Tamten przyjął śmierć za ludzi, a za tego wy przyjmiecie.

– Nie za niego – mówię – a za to, że wolności chcieliśmy. Jakby nie było Woszczyły, kto inny by się znalazł. I waszeć nie bluźnij i Chrystusa z Woszczyłą nie porównuj. Człowiek to nie święty i w Boga mocniej za nas z waszecią nie wierzy, ale że pamiętać go dłużej od waszej mości będą, mogę dać za to głowę. Gwoli temu Kuźma pisał swój diariusz, albo lepiej powiedzieć, historię, bo spisano ją na pamiątkę naszym wnukom.

A książę aż się trzęsie od rechotu:

– Mamy nowego Herodota! Cha, cha, cha!

Kto był ten Herodot, nie wiedziałem, choć imię takie jakby kiedyś słyszałem. Tedy o Herodocie dysputować nie zechciałem, ale mówię:

– Wasza mość nie ciesz się za bardzo, bo Kuźma w obozie pod Cerkiewiszczami swoją historię jeszcze do innego kajetu przepisał i kajet ten jest teraz z nim daleko.

Radziwiłł szczerzy zęby: Kuźma nie dalej jest niż piekło, a co przepisał, to takoż jemu, księciu, na zachowanie zostawił. I wyciąga z sekretarzyka jeszcze jeden kajet. Patrzę: ten sam, w brązowych okładkach. Taki gniew mnie wtenczas chwycił za serce, że książę, gdy oczy na mnie podniósł, pistolet zza pasa wyciągnął.

– Oj – mówię – doczeka się wasza mość, kiedy Woszczyła wróci.

A książę pistolet w ręku obraca:

– Ja chcę, żebyś i ty, Karpacz, doczekał się jego drugiego zejścia. Moja cena niewygórowana. Te oto bazgroły – książę kiwa

na kajety Kuźmy – schowamy naszym potomkom na pociechę, a ty nową historię napiszesz. Napiszesz, jak dobrze wam pod moją władzą się żyło. A potem, rzeknijmy, przyszli buntownicy zza granicy, a ja was, sierotki, z miłosierdzia swego broniłem, a wy sami buntowników owych zagranicznych moim żołnierzom chwytać i rozstrzeliwać pomagaliście. A pod Rokiem Pańskim 1744 napiszesz, że w mieście Kryczowie był wielki fest, bo ukarał książę Radziwiłł zbójcow i ich pomocników, a tych, co przy prawdzie obstawali, wszystkich wynagrodził. I że nigdy w takiej szczęśliwości nie żyliście, bo świat nie widział jeszcze władcy mądrzejszego i sprawiedliwszego niż Hieronim Radziwiłł.

A potem, ma się rozumieć, ja, Iwan Karpacz, swoje imię pod tym postawić muszę, żeby i mnie razem z książęcą mością lat przez trzysta albo i pół tysiąca wspominano jako człowieka do jego wielmożności bliskiego.

Posłuchałem i mówię:

– Waszeć wybaczy, ale ja z nim dzisiaj na jednym polu i s... nie siądę, a waszeć chcesz, abym ja przez lat trzysta do jego komilitonów należał.

Książę jak gdyby słów moich nie słyszał. Pełną swobodę, mówi, mi da, jak tylko przepiszę naszą historię. Jeśli zechcę, to i do Moskali z całą majętnością wyjechać mogę, wypuści.

– A czego ja tam – pytam – nie widziałem? Jak powiadają, na Podolu pierogi wschodzą w zapolu, a kiedyśmy przyjechali, batów jenośmy skosztowali. Tu mamy choć skibkę chleba czym posolić, a tam ludzie i soli nie mają. Po kiego diaska mam tam jechać, kiedy stamtąd do nas uciekają? Tam – mówię – kiedy o córce Piotrowej, co na tronie siedzi, albo o tym Niemiaszku, którego sobie wypisała na zmianę, słowo nie takie powiesz, język wyrwą i na Sybir poślą. A kiedy modlisz się nie tak, jak patriarcha Nikon przykazał, nawet z mogiły wykopią i psom na strawę rzucą. Lepiej już w swojej ziemi spocznę, choć i po niej siła plugastwa pełza.

Ale moje mówienie do księcia było jak rzucanie grochem o ścianę. Niewolić nie będzie, jeno żebym kajety Kuźmy przepisał, a potem, jeśli do Moskali nie chcę, mogę przy jego książęcej mości żyć jak u Boga za piecem.

– Jeśli chcesz – mówi – to każdej nocy nową dziewkę posyłać będę.

Harem ma, powiada, nie gorszy niż u tureckiego padyszacha. A jeśli będzie ochota, to i ze szlachciankami poigrać można.

– Jeśli chcesz, to bierz ją chociażby i dzisiaj – pokazuje na swoją podściółkę, a dziewka szczerzy zęby, bo po naszemu musi ani krzyny nie łapie.

Książę zagadał do niej jakby po niemiecku, a ona, suczka chutliwa, do niego się łasi, nie wie, że dopiero co ją chciał mnie oddać. Nie rozumiałem z początku, o czym tam szwargotali, ale raptem skrzywiło tę Niemeczkę jak od smrodliwego powietrza i słyszę, że pytluje po łacinie: margaritas ante porcas. Znaczy się, perły przed wieprze rzucać. Prawdę rzec, książkę po szkole trzymałem w ręku nieczęsto, ale z tuzin różnych łacińskich mądrości, co nas onegdaj mnich Józefat z bazylianów na pamięć klepać uczył, zaczepił się w głowie na cały żywot. Ruszyłem dowcipem i powiadam:

– Nie z wieprzów nasz ród, a z kryczowskich harmatników, którym sam król Stefan Batory wolności wielkie darował i którzy moskiewskich ludzi sprawie harmatniej przyuczali. I po łacinie waszej zafajdanej mości to i owo powiedzieć zdołamy. Non bene pro tota libertas – mówię – venditur aura.

Nie kupczcie, znaczy się, wolnością za żadne złoto.

Oni oczyma łypią, a mnie serce z radości skacze, że wszysto tak składnie wyszło. Oto masz, książę, moją odpowiedź. A teraz rozkaż z powrotem do ciemnicy zaprowadzić, pójdę gotować się na poczęstunek do Abrahama.

Radziwiłł pociemniał na licu i z pistoletem igra. No, myślę, jeśli wypali teraz, to i całkiem dobrze będzie, nie będę musiał jak straszydło na palu sterczeć. Nie przeczuwała jeszcze moja dusza, jakie katusze były jej sądzone. Zrobiło się tak letko, jakby umrzeć – wszystko jedno, co Soż latem przepłynąć.

I w tej akurat chwili książę powiedział:

– Posłuchaj, Karpacz, a kiedy pięciu twoich kumotrow wichrzycielskich ułaskawić każę, to dogadamy się?

A potem dodał:

– Bierz jeszcze trzech. Niech będzie równo połowa.

Tutaj moja dusza zachwierutała się, a książę, widząc to, za pióro chwycił i pogania: dawaj mu rychło imiona tych, kogo pojutrze z pala i z szubienicy chcę zdjąć.

– Osiem żywych dusz – mówi – w twoje ręce oddaję. Pójdziecie na wszystkie cztery wiatry. Zrobicie, co zechcecie – mo-

żecie żyć bez gwałtu, albo na Sicz się udać, albo i tutaj, w starostwie, kozacczyznę wszcząć. Miarkuj, Karpacz!

Nie wiedziałem, co robić, i żeby zyskać na czasie, poprosiłem książęcego pozwolenia na zapytanie się u pobratymców swoich w ciemnicy.

– Blekotu się najadłeś, harmatniku? – rechocze. – O co będziesz się ich pytać? Kto z was chce żyć, a komu ten świat obmierznął?

Książę mówił prawdę. Ale jakże to, myślę, jednych uratować, a drugich na śmierć osądzić? Jam nie Bóg, a człek grzeszny, nikt takiej mocy mi nie dawał.

– Jak ja potem – pytam – do oczu spojrzę sierotom i wdowom po tych, kogo na śmierć zostawię?

– A po co – mówi książę – patrzeć im do oczu? Do majoratu cię zabiorę, do Białej. Tam, harmatniku, mam sześć tysięcy infanterii, husarię z kawalerią i oddział muszkieterów, jak u francuskiego króla. Zrobię cię jenerałem albo nad harmatami głównym postawię.

– A sumienie? – pytam.

A książę:

– Gdzie jest to sumienie? Widziałeś go kiedy albo może rękami szczupałeś?

Powiada, że ma jednego lokaja, który lubi się przechwalać, że za swoje sumienie siedem kóz kupił.

– A ja tobie, Karpacz – śmieje się – lepszą cenę daję – żywot. I nie jeden, a razem z twoim całych dziewięć żywotów. – Znowu chwyta za pióro i nagli, bym dawał mu imiona do reskryptu.

– Czy wasza mość naprawdę myśli – odpowiadam – że z takim ciężarem na duszy można żyć? Przecie moi pobratymcy nie uratowani nie tylko że do Białej, ale i na koniec świata do mnie każdej nocy przychodziliby.

Zadumał się książę na chwilę i Niemeczkę swoją zmitygował, bo akurat znowu szwargotać zaczęła.

– Dobrze, harmatniku – mówi – jeśli masz tak delikatną duszę, możesz nie ośmiu, a dziewięciu swoich wichrzycieli uratować. Pojmujesz? Ten dziewiąty na twoje miejsce stanie, a ty na jego.

Męczyłem się, jak wędrowiec w klechdzie na rozstajnych drogach. I taka mnie rozpacz chwyciła, że choćbym zawył jak wilk albo zawrzasnął jak ze skóry obłupiany, i tak do nikogo bym się

nie dokrzyczał. Musiałem swoją drogę wybrać sam. A książę, bodajże go w smole gotowali, widzi na wskroś, co się w mojej duszy wyprawia. Przebiegł się po pokoju i znowu do swojej Niemeczki kędzierzawej na kolana, jak kot marcowy, wskoczył.

– Miarkuj – mówi – Karpacz. Albo przepiszesz, albo wszystkich na tamten świat zabierzesz. Tertium non datur, skoroś taki uczony, że i łacinę znasz. Idź. Masz noc na pomyślenie.

Wróciłem do lochu i zwaliłem sie na słomę w swoim kącie, bom był zmordowany, jak po mękach najsroższych. Wszyscy wokoło się podsunęli i Szymon Worona pyta: „Znowu nad węglami rozpalonymi wieszali?" – „Gorzej" – powiadam i milknę, nic więcej powiedzieć im nie mogę. Oni, pobratymcy moi, którzy mnie za pierwszego po Woszczyle uznawali, też milczeli, niby wiedzieli, co mi Radziwiłł powiedział, niby wiedzieli, że kiedy zechcę, to każdego z dwóch przy życiu zostawić mogę. Niektórzy nawet bliżej się przysiedli, niby mi chcieli powiedzieć, żebym o nich też nie zapomniał. Popatrzyłem na nich wszystkich i czuję, jak mi serce pęka.

Wśród moich pobratymców różni ludzie byli. Dwaj lub trzej z nich zawżdy patrzyli na mnie krzywo, bo nie mogli pomiarkować, czegom chciał. W komorze skrzynia pełna słoniny, drągi od kiełbas i szynek się uginają, a w polu i w oborze wszystko rodzi i nie marnieje. I młyn z foluszem trzyma, i przywileje Karpaczowie od króla mają, i burmistrzem go wybrali. Czego mu jeszcze brakuje? To prawda: i młyn miałem, i w spichlerzach myszy od głodu nie marły, a w piwnicy grzybów i soków różnych było w bród. Ale jak takiemu, co nie każdego dnia chleba próbuje, wyłożyć, że nie ten smak ma to wszystko, kiedy na swojej ziemi przedwiecznej jak obcy żyjesz, żadnej władzy nie mając? Kiedy nawet język, w którem nasze prawa spisano, od nas zabrano i w magistraturach oraz sądach wszystko do cna po polsku. No bo czy letko wyłożyć głodnemu, że chcę tego, czego w komorze na zimę się nie soli? Naszemu narodowi Bóg tę ziemię dał, znaczy się, władza nad nią też nasza musi być. Kiedy mnie jeszcze nie było na świecie, mój dziad Dymitr i ojciec Ilja z mieszczaństwem kryczowskim żołnierzy z chorągwi Grzegorza Ogińskiego, chorążego Wielkiego Księstwa Litewskiego, która w starostwie na postoju stała, strzelali i szczupaków w Sożu nimi karmili. Musi takiego ducha wolność miłującego w cały ród nasz tchnięto...

Był wśród tych szesnastu, co razem ze mną śmierci czekali, mój imiennik, Iwan Krywula. Kiedyśmy zamek kryczowski brać poszli, Iwan sam jeden trzech grenadierów położył. Ale pewnikiem już taką naturę człowiek ma niegodziwą, że zamiast o męstwie jego pomyśleć na samym początku, przypomniałem sobie, jak pięć lat temu Iwan trzysta złotych ode mnie pożyczył i do tej pory nie oddał. Ale czyż mogłem go za owe złote na śmierć osądzić?

Był jeszcze ze mną w ciemnicy człowiek, który kiedyś dziewczynę mi odbił i za żonę sobie wziął. Ale przecie nie mogłem człowieka zgubić jeno za to, że na żonę jego i teraz jeszcze grzesznym wzrokiem spoglądałem, osobliwie po tym, jak moja Domna nieszczęsna pomarła, niemocy piersiowej nie odoławszy?

Byli też tacy, którzy bez żadnej ku temu przyczyny nie bardzo do mnie poszanę mieli, a ja ich nielubość czułem i sam się do nich nie garnąłem. Ale żeby za to śmiercią karać... Nie dostałbym wtenczas przebaczenia ani od Boga, ani od siebie samego.

Nie mogłem ich na pohybel oddać, a było tych pobratymców moich dokładnie ośmiu. Cóż zatem czynić: ich uratować, a tych, co bliżej sercu, na szubienicę? Wasyl Wiatr gardło mi ocalił, gdy koło wału zamkowego husarzy mnie otoczyli i wiązać poczęli. Szymon Worona – wesołek, który i ze stryczkiem na szyi jeszcze facecję opowie – to mój sąsiad, w powstaniu był od pierwszego dnia. Z Andrejem Kostką wyrośliśmy na jednej ulicy. Ignac Małunionek chował mnie przez trzy miesiące w sąsieku, kiedy arendatorzy Ickowicze rozkazali mnie wydostać choćby spod ziemi i duszę moją wyjąć.

Kogo ratować, o Boże? Już się chyliłem ku temu, żeby cenę książęcą przyjąć. Niech, myślałem, chociaż połowa z nas ocaleje, chociaż garść ziarna dla nowej wiosny na siew zostanie. Posnęli pobratymcy już dawno, a ja ciągiem odmierzałem i tak, i owak. Zapomniałem i o chłodzie, i o wszach z pchłami, nie słyszę chrapania, nie czuję smrodu z cebra – jakbym nie na słomie przegniłej pod kożuszkiem się kręcił, a na wysokiej górze stał, otoczony ze wszystkich stron pomroką nieprzeniknioną.

I raptem jakby gwiazdeczka w tej pomroce się zapaliła. Powiem wszystko pobratymcom! Chcę, powiem im, żeby połowa z nas gwoli naszej sprawy świętej z lochu wyszła. Kto ma żyć, a kto umrzeć – Bóg rozsądzi! Kto krótką słomkę wyciągnie, zostanie, a kto długą – na wolność wyjdzie. Sam razem z nimi bę-

dę losy ciągnąć. Ci, którym żyć wypadnie, ludzi znowu podniosą i za wszystko odpłacą. I Radziwiłłowi, i swoim zdrajcom.

Ledwom o tym pomyślał, jak przed oczami Sawka Mowczun mignął. Oto kto pierwszy powinien zawisnąć! Prawdę mówią: kto cicho stąpa, ten gęsto miesi. Zamiesił Mowczun na naszej krwi sobie korowaj, jednak wnet się udławi. Ale co za dziw: moja dusza powinna była się radować, że rychło swojemu byłemu pobratymcowi znajdziemy gałąź na osice, a jednak nie – wspomniałem o Sawce i od razu jakiś kipciur po sercu drapnął, a radość jakby się rozpękła. Jednak nie zważałem na to, a ciągiem myślałem, jak znowu mieszczan i włościan przeciwko księciu podburzymy i czemuś byłem pewny, że sam długą słomkę wyciągnę.

Sam nie wiedząc kiedy zasnąłem i przyśnił mi się sen, jak kosimy z Mowczunem u nas na Łaszniewskim łęgu, a jaką porą – zrozumieć nie sposób, ni to wieczór był późny, a noc nie może nadejść, ni to świt, a słońce nie wstaje. Kosimy w tej dziwnej szarości, Sawka z przodu kosą macha, a ja ostatnie siły natężam, a nijak go dogonić nie mogę. A on kosę podostrzyć od czasu od czasu staje i pośmiewa się. Prawda, nie złośliwie, a jakby tak miętko, jak do swojego. Dociągnął Sawka do skraju łęgu i nowy pokos rozpoczął, mnie naprzeciw. Zrównaliśmy się, osełki zza cholew wyciągnęliśmy i zaczęliśmy kosy ostrzyć. Wtedy mówi do mnie Sawka: „Zamieńmy się na kosy". „Dobra" – odpowiadam, a sam w duchu się raduję, że teraz to już mu kroku dotrzymam. Zamieniliśmy się i faktycznie, sążeń za sążniem zacząłem go doganiać. Przystanąłem, żeby kosę podostrzyć, wytarłem ją trawą i widzę, że kosa Sawki we krwi. No, myślę, kaczątko się podwinęło albo jaki inny ptak trafił. Jeszcze raz wytarłem, ale krew dalej na kosie widać. Znowu ją wycieram, a krew z samiutkiego żelaza kroplami wypływa. Taki mnie strach wtenczas chwycił, że ręce zdrętwiały i siły nie mają, żeby tę kosę straszną w chmyzy wyrzucić. Spojrzałem na Sawkę, a on już nie w soroczce kosi, a w czerwonym kontuszu i z szablą przy boku. I wtenczas przypomniałem sobie we śnie, kto to był Sawka. Chcę jego kosę krwawą od rąk oderwać, a ona jakby przyrosła.

I na tym się pod swoim kożuszkiem obudziłem. Sen odleciał, a na mnie nawaliła się taka markotność, że radości i letkości, z jakimi zasypiałem, ni źdźiebka nie zostało. Myślałem o tym

dziwnym śnie – i czym dłużej myślałem, tym bardziej pojmowałem, że nie na darmo mi się Sawka Mowczun przywidział, nie na darmo.

Ten Sawka był chłopem pańszczyznianym szlachcica Hałyńskiego i kiedy powstanie się zaczęło, przebił swego pana widłami prosto na gumnie koło dworu, a potem do nas przystał. Wojował odważnie i do tego umiał z dębu harmaty wyrabiać: choć można z nich było jeno raz palnąć, moc pożytku z ich mieliśmy. Jakbyśmy mieli takich harmat więcej, to może byśmy i zamek kryczowski wzięli. A tak pułkownik Piastrzecki pod zamkiem pół tysiąca naszych ludzi położył, a koło setki wziął do niewoli i na śmierć osądził: połowę powiesić, a połowę na pal posadzić. Akurat stało się tak w owe dni, że kat kryczowski wieprzka zabijał i rękę sobie nadwerężył. Pułkownik przeto obwieścił, że jeśli kto z buntowników kata zastąpi, to żywot sobie zachowa. Jak tylko to powiedział, zgłosił się Sawka. Blisko pół setki jeńców z duszą rozłączył i pułkownikowi Piastrzeckiemu tak się spodobał, że ten rozporządził staremu katowi czterdzieści bizunów dać i zwolnić go, a jego posadę oddać Sawce.

A opowiedział nam o tym strażnik magistratury, który przybiegł z Kryczowa do nas pod Cerkiewiszcza. Strażnik przyniósł ze sobą księgę ratuszową ze wszystkimi miejskimi wydatkami, w której przeczytaliśmy, że magistratura nowemu katowi kupiła sukna czerwonego siedem łokci i ćwierć na kontusz i płótna na żupan i spodnie dziesięć łokci, do tego baranicę królewską, buty i pas wiśniowy, i za wszystko społu z szablą zapłacono złotych 50 i groszy 20. Woszczyła przykazał Kuźmie i to zapisać do jego kajetu.

Myślałem uparcie o Sawce i rozgryźć próbowałem, czemu to on we śnie pośmiewał się tak miętko i kosę mi oddał. Raptem usłyszałem znowu książęce obiecanki, ale nie prosto tak, a jakby przez śmiech Sawki przebijające. I wtedy z moich oczu jak gdyby zasłona opadła, zadrżałem i ujrzałem prawdziwą cenę książecej ugody, i zrozumiałem, że jeśli ją przyjmę, to nie Sawkę, a mnie pierwszego trzeba będzie na osice powiesić.

Nie mogłem już zasnąć na powrót tej nocy – leżałem, a przed moimi oczami cały mój żywot przepływał.

Oto niosę pierwszą suplikę do Nieświeża. Wtedy jeszcze nie rozumiałem, że Radziwiłłów z arendatorami ten sam czort podkuwał, myślałem, że książe się wstawi i obroni. Rychło tę praw-

dę rozgryzłem, ale i tak supliki ze starostwa woziłem, żeby książę choć trochę dzierżawcom ogon przydepnął, bo ci już swoją owieczkę nie tylko strzygli tak, że i skórę wystrzygali, ale i mięso żywcem zaczęli wykrawać. A przy braciach Ickowiczach żywot zupełnie niemożebny się stał.

Przyszło mi na pamięć, jak pierwszy raz w ich łapy trafiłem. Leżę rozciągnięty w katowni, a po obu stronach oni, Gdal ze Szmulem, w łapserdakach stoją i ślepiami błyskają. „To, glisto, za suplikę, coś do Mira woził! A to, że cię do księcia w Grodnie diabli ponieśli! A to, żeś z Kryczowa do chamów przebiegł, żeby bunty przeciwko nam wszczynać! A to za twoje atamaństwo!"

Gdal:

– Wycisnęliśmy z was milion złotych i jeszcze tyle wyciśniemy.

Szmul:

– A z ciebie, goju, i duszę wyciśniemy.

Gdal:

– Pomiarkuj się, Karpacz, bo żonę masz młodą, a dziatki ładne, malutkie...

A Szmul:

– Pomiarkuj się, goju, bo bywa, że dziatki zjedzą nie to co trzeba albo pójdą nad rzekę się kąpać i z płycizny do wiru niebacznie stąpią...

A ja zęby zaciskam, żeby nie jęczeć, i liczę bizuny: dziewięćdziesiąt, sto, sto dwadzieścia...

A Gdal:

– Komisarzy książęcych ci się zachciało! My za tysiąc talarów każdego komisarza razem z bebechami kupimy!

I kupowali. Albo, bywało, zamiast książęcych komisarzy swoich posyłali, jak tego Szymańskiego, który dwieście tysięcy kwitów czynszu spłaconego zebrał i przepadł jak kamień w wodę, a Ickowicze na powrót czynsz zbierać zaczęli. A jeśli trafi się wśród komisarzy książęcych taki, u którego sumienie jeszcze nie wywietrzało, to taką straż postawią, że co tam człowiek – kot się nie przesmyknie. Ale ja mogłem przejść przez każdą straż. Zakpiłem sobie z Ickowiczów setnie, kiedy otworzyli dla jednego takiego komisarza fasę z piwem, a stamtąd nie piwo się polało, a ja z supliką w garści wylazłem. Ale pomścili się mi za to tak, że i najgorszemu wrogowi bym nie życzył.

Długo w tę noc ciemniczną stałem przed brzozą, na której moja Katarzynka na swoim warkoczu wisiała. Poszła z małym

Tomaszem na poziomki, a z powrotem swoją córuchnę już posiniałą na rękach przyniosłem. Tomaszek wtenczas od ludzi Gdala we mchu pod wykrotem się zagrzebał i uratował, ale z tamtego dnia synowi memu jedynemu mowę odjęło...

Wszystkie moje czterdzieści roków przesunęło się w pamięci aż do tych dni, kiedy wzburzyły się sioła, budy i huty, kiedy całe starostwo za kosy, cepy i rusznice chwyciło, bo ludzie oziminy jesienią nie posiali – nie mieli czym siać – a wiosną słuchy się przetoczyły, że książę Hieronim znowu Ickowiczom dzierżawę zadeklaruje, nas na straszne męki i wygubienie oddając. A co od tego czasu się wydarzyło, stało u Kuźmy w jego historii, którą książę Hieronim na swój ład przepisać pragnie.

Musi i jego książęcej mości niewygodnie się tej nocy spało, bo jak tylko sagan z poranną polewką nam do ciemnicy przytaszczyli, wnet i porucznik się pojawił.

Książę w tym samym czuhaju z pawimi piórami mnie przyjął, jeno na swoją łysinę perukę z harcapem naczepił, jak to Niemcy się noszą, i podściółka przy nim nowa była – chuda i czerniawa. Jak tylko mnie zobaczył, odepchnął ją i mówi lokajowi: rychło nalewaj wina najlepszego dla drogiego gościa i dziczyznę podawaj. Jeszcze i ust nie zdążyłem otworzyć, a lokaj już cietrzewia smażonego na tacy podaje i gąsior z winem taszczy. A ja wczoraj nie wieczerzałem i dzisiaj ciemnicznej polewki nawet siorbnąć nie zdążyłem. No, myślę, książę, niech twoja dusza a moje wątpia się nacieszą. Sprzątnąłem tego cietrzewia w niecałą zdrowaśkę, winem popiłem i za śniadanie dziękuję. A jego książęca mość uśmiecha się i do mnie papier i kałamarz złoty z inkaustem podsuwa.

– No – mówi – harmatniku, będziemy z tobą historię dla potomków naszych spisywać.

Kiedyś, znaczy się, ją przyczytają i w Kryczowie przed ratuszem pomnik z kamienia albo spiżu mu postawią, jak w innych krajach od dawna się robi. I lico ma takie, jakby już na ten pomnik się patrzył.

Tutaj ja mu figę pod nos z jednej strony podnoszę:

– Oto waszej mości – mówię – historia.

I z drugiej strony figę:

– A oto pomnik.

Książę z początku na mnie oczy wyraczył i milczy, jakby mu język związali. A potem:

– Ty co, kogucie holenderski, blekotu się obżarłeś? Pisz, bo inaczej jutro na pal siądziesz! – I pistolet zza pasa targa.

A ja:

– Strzelaj, wasza mość. Sytemu i podchmielonemu umrzeć to igraszka.

Wtedy on usta zakąsił i pistolet nazad zatknął.

– Pisz – powiada. – Wszystkich wypuszczę. Wszystkich szesnastu, żeby twoja dusza delikatna nie męczyła się. Jeno więcej w moje ręce nie trafiajcie! Pisz: Roku Pańskiego 1744... Wszyscy na wolność wyjdziecie!

– Nic z tego – odpowiadam – nie na tego wasza mość trafiła. Kiedy ja tę historię przepiszę, Sawka Mowczun przy mnie jak aniołek wyglądać będzie. On przecie jeno żywym żywot odbiera, a książę chce, żebym ja wszystkim swoim pobratymcom – i żywym, i martwym – honor odebrał! Mnie potem za to ziemia nie przyjmie. Przecie nam już nic nie zostało kromie honoru. Kromie pamiątki, że nie bez rodu i mienia byliśmy, że i pod Grunwaldem i pod Orszą wrogów swoich bijaliśmy. Nie postawi na mnie wasza mość piętna diabelskiego. Umrę jutro z pobratymcami swoimi, żeby o nas dzieci nasze pamiętały i dzieciom swoich dzieci tę pamiątkę przekazały. Jak Bóg pozwoli, to i historię Kuźmy kiedyś znajdą i całą prawdę o powstaniu i mękach, któreś waszeć, okrutnik, czynił nad nami, Białorusinami, przeczytają.

Książę Kuźmowe kajety z sekretarzyka wychwycił i do ognia rzucił.

– Tam oto dzieci twoich dzieci ich znajdą!

I perukę z łysiny zerwał i też do ognia cisnął.

– Zakarbuj sobie – krzyczy – skoroś taki sprawiedliwy! Dopóki władza nasza na tej ziemi, według naszego rozkazu i historię waszą pisać będą. Jeśli zechcemy, noc czarną jasnym dniem nazwiemy, a wrogów waszych dobroczyńcami waszymi uczynimy. A wy, czerwie, już za roków pięćdziesiąt jenom to pamiętać będzięcie, co nam odpowiada. Jeszcze katom swoim pomniki stawiać będziecie. Nie chcesz pisać ty – znajdzie się inny. Mam pod ręką tysiąc takich, którzy za jedno moje słowo łaskawe matkę wiedźmą, a ojca antychrystem nazwą.

– Oni tedy – odpowiadam – niech waszej mości potrzebną historię i napiszą.

A on:

– To by było zbyt proste...

A potem jakby się opamiętał:

– Napiszą. I gwoli potomków, i gwoli dzisiaj żyjących to i owo mogą napisać. Od tego i śmierć nie oczyści, a piętno diabelskie na wieki zostanie.

– Krwi – mówię – ludzie więcej niż inkaustowi wierzą.

A on:

– Mylisz się, Karpacz. Ludzie słowu pisanemu wierzyć przyzwyczajeni. Rozkażę napisać, że to ty za tysiąc złotych żołnierzy moich pod Cerkiewiszcza sekretnie przywiodłeś... Ty przywiodłeś, a ja, według starego zwyczaju, zdradę przyjąłem, a zdrajcę – na pal... Wtenczas zobaczymy, czemu uwierzą – krwi czy inkaustowi.

– Nie boję się – odpowiadam – bo przed Bogiem i przed narodem duszę mam czystą.

A książę:

– Bóg, Karpacz, jest wysoko, a naród... Naród s..ł na ciebie! Może nakarmiłeś ten naród albo gorzałką go napoiłeś, żeby wszyscy pokotem legli? Tyle jeno, że jutro gawiedź pocieszysz, kiedy nad miastem zapiejesz. A żebyś piał jak najdłużej, każę cię nie w spodnim odzieniu na pal wbić, a w kożuchu i walonkach. Żebyś mógł oczy narodem napaść, a naród tobą. A ja przyjdę cię do raju odprowadzić. Patrzaj tylko, byś za rano tam nie odleciał.

Na tym rozmowa się skończyła.

Myślałem, że z letkim sercem do lochu wrócę, ale w duszy ciemno było, jak u czarta w bokówce.

Ledwo mnie żołnierze nazad przywiedli, a porucznik nasz krzywonosy już przybiegł po Szymona Woronę. Ten akurat facecję nam opowiadał, jak pana kwasem częstowali. Wypił, znaczy się, pan cały hlak i pyta się, czy jeszcze sporo takiej smakowitości zostało... Na tym Szymona wyprowadzili.

Wrócił nazad wesoły, usiadł na swoim miejscu i jakby nigdy nic, dalej facecję ciągnie: „A Michał odpowiada panu: Oj, panoczku, sporo. Wczora w kwasie pacuk się utopił i jak matuchna go wyjąć łazili, to po pępek im było”.

Porucznik w drzwiach stojący też facecji dosłuchał i Wasyla Wiatra do księcia powiódł, niby za to, że Wasyl głośniej od wszystkich się rechotał. Ale ja już się domyśliłem, co do czego. I Worona i Wiatr onegdaj ze mną w bazyliańskiej szkółce się uczyli. Widać Radziwił teraz za nich się wziął. Sam u Worony

o nic się nie pytałem, a tym, co zapytali, Szymon tylko ręką machnął: śniadać, powiada, księciu samemu się ckniło, więc on mu z tuzin facecji opowiedział, od czego jego mość się udławić raczyła.

Powiedział i bliżej do kaganka się przysiadł w kości pograć: więcej, powiada, nie ma o czym gadać.

Wiatra nie było dłużej i wrócił nie o własnych siłach, a żołnierze na rękach go przynieśli i jak wór do kąta rzucili. Wasyl był zbity na kwaśne jabłko, ale serce moje się radowało, bo połapałem się, że i tym razem jego mość jeno smakiem się obeszła.

Trzeciego, już przed samą nocą, wzięli Andreja Kostkę. Wśród nas jeszcze trzech piśmiennych było, ale po Kostce już nikogo innego nie wołali. Za to poczęstunek od księcia Hieronima dostaliśmy, że bodajże go tak każdego dnia częstowano. Dwaj hajducy przynieśli nam rzeszoto z bułeczkami i zaśmiewają się:

– Oto wam, wichrzycielom, jego książęca mość słodkich bułeczek posyła, żeby w ostatnią noc wam się lepiej spało!

Wzięliśmy po bułeczce, gryziemy i przeżuwamy. Bułeczki były naprawdę smakowite – słodkie i ciepłe jeszcze. Jemy, a tu ktoś z widniejszego kąta woła:

– Chłopy, słuchajta, a książęce rodzynki mają wąsy!

Przyjrzałem się i widzę, że to prawda: zamiast rodzynek karaluchy w cieście zapieczone. Musi wścieka się książę Hieronim, że nie po jego myśli wychodzi.

Tak oto nasza noc ostatnia nadeszła. Długo moi pobratymcy zasnąć nie mogli, każdy z boku na bok się przewracał i swoją dolę przemyśliwał. Pod wieczór Szymon Worona nijak się zmitygować nie mógł, dopóki go nie zakrzyczano: „Nadojadłeś, Szymonie, tymi swoimi pośmiewkami! Tyś samiutki jak palec na tym świecie przeżył, nic cię nie trapi, a nam baby z dziatkami wspomnieć trzeba i za nich przed śmiercią się pomodlić”.

Mnie też się moja Domna nieboszczka przypomniała z Katarzynką, przez pachołków Gdalowych zamęczoną, i pomyślało mi się, że jeśli prawdę w cerkwi o tamtym świecie mówią, to może jutro z nimi się spotkam. Jak powiadają, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. A potem łzy mi się w oczach zakręciły, gdy syna swego Tomaszka wspomniałem, co po tym przelęknieniu w lesie już pięć roków jeno meczy, a słowa wymówić nie może. Jak on, niemowa, sam w życiu poradzi?

A potem myśli znów do Szymona Worony i Andreja Kostki powróciły. Jeśli Andreja do księcia prowadzali, znaczy się, że ani Worona, ani Wiatr swojej zgody księciu nie dali. I Kostka dać nie mógł, człek nie z takich. Pod Cerkiewiszczami dwóch braci rodzonych kozacy mu na jego oczach lancami zakłuli i każdego z nich przed swoją niewolą Andrej jeszcze pomścić zdążył. Nie, on nie z takich.

Do tego doszedł do naszego lochu słuch, że husarzy jego żonę siłą wzięli i w pięciu ją męczyli.

Jednakoż cień jakiś ciągiem na mojej duszy leżał, bo jeśli człek nie w polu, na widoku u wszystkich, a sam na sam z tym wrogiem, co w nim siedzi, zostaje, wtenczas mu stokroć ciężej. Nie zdzierżyłem i szeptem Andreja zawołałem. Nie odezwał się, ale w tamtym kącie zrobiło się tak cicho, że pojąłem – nie śpi, ale mówić nie chce. Za to odezwał się Szymon Worona, choć zdawało mi się, że już dawno śpi jak zabity.

– Co, Szymonie? – pytam. – Nie śpi ci się?

– Ale skąd – odpowiada. – Śpi mi się. Ja z tobą stamtąd, ze snu, gwarzę. Jak chcesz, to i dykteryjkę stamtąd mogę ci opowiedzieć.

– Nie trzeba – mówię – śpij dalej.

Wasyl Wiatr, słyszę, postękał jeszcze czas jakiś i zachrapał, ale ci dwaj, jak i ja, bez snu leżą. Może i im Radziwiłł taką samą cenę obiecał i noc na pomyślenie zostawił? Może i oni teraz się męczą: kogo ratować? A o tym, czym za uratowane żywoty zapłacić trzeba, to nie myślą?

Znowu zawołałem Andreja i znowu nie usłyszałem odpowiedzi. Wtenczas do Worony zaszeptałem, ale i tym razem się nie ozwał. Pomyślałem sobie, że zdrajcę i tak słowem nie można powstrzymać, a silnej duszy prawda sama się odkryje, przeto pomodliłem się, żeby Bóg dał siłę ich duszom. Ale czuję, że mnie samemu tej siły zaczyna brakować, bo ocknęła się w duszy myśl: a czy zechcą mnie, Karpacza, druhowie moi uratować, jeśli już do tego dojdzie? Opędziłem się od tej myśli haniebnej, a tu już inna się pcha: a jeśli zechcą? Czy przyjmę żywot, cudzą zdradą okupiony? A jeśli otworzą drzwi na oścież i powiedzą: idź gdzie oczy poniosą. Co wtenczas zrobię?

Jeno nad ranem sen mnie zmógł i przyśniło mi się, że z Szymonem i Andrejem w Sożu na golasa się kąpiemy, jak drzewiej bywało, i raki na mieliźnie chwytamy. I słyszymy, że ktoś nas

woła. Patrzymy, a to książę Hieronim w czółnie płynie i swoją Niemeczkę kędzierzawą na kolanach trzyma. „Hej wy, wichrzyciele! – krzyczy. – Wszystkich na wolność puszczam!" Odrzyknęliśmy coś, ale co – nie zdążyłem rozeznać, bo drzwi ciemnicy zazgrzytały i na progu stanął porucznik z pochodnią, a za nim ciżba żołnierzy.

Poczęliśmy do śmierci się gotować, ale porucznik jeno Andrejowi zbierać się kazał. Spojrzałem Andrejowi w oczy, Szymon Worona też popatrzył się na niego uważnie, a i Wasyl Wiatr na słomie się uniósł. Nasz pobratymiec oczu nie odwrócił i do wszystkich nas na pożegnanie uśmiechnął się tak jakoś leciusieńko.

Długośmy już nie czekali. Andreja nazad nie przyprowadzono, a zamiast niego pułkownik Piastrzecki, wąsaty drągal, ze swoją zgrają w lochu się pojawił, a za ich plecami nowy kat kryczowski, a nasz były druh Sawka Mowczun się kręcił, akurat taki, jaki mi się przyśnił w noc wczorajszą – w czerwonym kontuszu, w baranicy i z szablą przy boku. Pułkownik przeczytał nam ordynans książęcy i podług tego ordynansu ja, Szymon Worona, Wasil Wiatr, Ignac Małunionek, który mnie onegdaj w sąsieku chował, i jeszcze czterech innych miało dzisiaj umrzeć, a pozostałym ośmiu i samemu Kostce rozkazywał Radziwiłł czekać i na jego litość mieć nadzieję.

Spojrzeliśmy z Woroną na siebie i w lot wszystko pojęliśmy. Z początku nawet się ucieszyłem, że sądzone mi umrzeć, a nie Kostkowej zdradzie za żywot wdzięczyć. Ale serce od razu mi się ścisnęło: a co z pobratymcami moimi, których Radziwiłł na wolność wypuści? Nie dowiedzą się nigdy, jaką cenę za ich żywoty zapłacono? Pułkownik już ręką machnął, żebyśmy w ośmiu już wychodzili.

Wtedy soroczkę na piersi rozerwałem i do tych, co na łaskę książęcą mieli czekać, krzyknąłem:

– Bracia moi! Słowo wam przed śmiercią chcę rzec. Sprzedał nas Kostka! I was, i nas, co na śmierć zaraz pójdziemy, i tych, co pod zamkiem i pod Cerkiewiszczami padli, i tych, komu Saszka Mowczun głowy odrąbał, i tych, co w lasach albo za granicą się schowali! Wszystkich sprzedał! Wiecie, że podług nakazu Woszczyły Kuźma, syn Stesia, wszystko o powstaniu zapisywał, żeby prawda o nas do wnuków i prawnuków doszła. Przeto wiedzieć też powinniście, że książę tę prawdę spalił, a Kostka ją na nowo zgodził się przepisać! Powinniście wie-

dzieć, że Kostka nazwie Radziwiłła naszym rodzicielem i obrońcą i prawa jego do naszej ziemi przedwiecznej potwierdzi! Za to was książę na wolność wypuszcza!

Pułkownik się wspamiętał i ryczy do mnie:

– Milcz, psie nasienie!

A do żołnierzy:

– Wiązać go!

– Bracia moi! – krzyczę. – Honor nam odbierają. Ostatnią...

Związali mnie i wiechciem słomy usta zapchali. A Naum Bujan, z tych ośmiu, którym kazano czekać, pyta się, jakbym ja mu mógł odpowiedzieć:

– A może ty łżesz, Karpacz? Chcesz, żeby ci weselej umierać było? Żebyśmy hurmą na tamten świat się przenieśli?

Meczę coś, a pułkownik i jego zgraja boki od rechotu zrywają. A tu raptem Szymon Worona kożuch z siebie zrzucił i zakrzyknął, że prawdę świętą im powiedziałem. Jego, Woronę, książę takoż mamił.

– Umrzemy, bracia, społu – Worona uderzył się w pierś – a honoru nie sprzedamy!

Szymonowi usta też słomą zatknęli, a Naum mówi:

– Widzicie ich, krzykaczy...

Ale już jakby bez wiary poprzedniej.

Wtenczas Wasyl Wiatr koszulę na sobie podciągnął i plecami się do nas odwrócił.

– Patrzajcie, bracia! – A całe plecy miał posiekane, aż strach patrzeć. – Patrzajcie! To za to, że księciu powiedziałem: choć mnie w d... waść pocałuj, a kłamstwa podług twojego rozkazu i tak nie napiszę. Karpacz prawdę mówi! Umrzemy wszyscy, a honoru nie sprzedamy! Niech nasza krew kłamstwo Kostki przeważy!

Żołdacy na Wasyla się rzucili i licem do ziemi przycisnęli.

– Wyprowadzać! – rozkazuje pułkownik.

W tej akurat chwili Naum zakrzyknął:

– Bracia! Wierzę Karpaczowi! Sprzedał nas Kostka! Nie chcę żyć z diabelską pieczęcią!

W ślad za nim i inni moi pobratymcy z uratowanych przez Kostkę krzyknęli, że społu z nami na śmierć pójdą. Pewnikiem nikt z nich nie chciał umierać, kiedy nadzieja na wolność zaświtała, ale teraz i w ich duszach coś się przebudziło. Pułkownika dziw taki ogarnął, że wąs na palec sobie namotał, ale co robić

dalej – nie wie. Posłał porucznika do księcia. Krzywonosy w mig wrócił nazad.

– No, psie nasienie – pułkownik tupnął nogą – niech będzie po waszemu. Chcecie wszyscy do piekła – to właźcie.

Szymon objął Wiatra za plecy, żeby mu pomóc iść, i ruszył do drzwi pierwszy.

– Pozwolisz, panie pułkowniku – przystanął koło Piastrzeckiego – że mu dykteryjkę na pożegnanie opowiem?

– A jakąż to, psie nasienie, masz dykteryjkę?

– A taką, niech waszeć wybaczy, że spał jeden człek przez trzy dni i trzy noce, póty go szwagier nie obudził. Ależ, bracie, powiada, i pospałeś sobie! A tamten: a tyś sobie myślał, że tamten świat to tuż pod bokiem? Czyżbyś na tamtym świecie był? A gdzież by indziej! I w raju byłem, i po piekle się przeszedłem. A co tam w piekle? Nie bój się, szwagrze, nikogo z naszych w piekle nie widziałem.

Szymon zamilkł, a Piastrzecki nie wytrzymał i pyta:

– A kogóż on tam, psie nasienie, widział?

A Szymon:

– Niech pan pułkownik wybaczy, ale jeno pułkowników tam widział. Calutkie piekło!

...Była to ostatnia Szymonowa facecja, bo głowa jego wnet potoczyła się po śniegu przed ratuszem, a w ślad za nią głowy Ignaca Małanionka i Iwana Krywuli, co onegdaj pieniądze u mnie pożyczył i oddać nie zdążył. I u każdego z nich Sawka Mowczun, przed tym jak toporem się zamachnąć albo pętlę na szyi zacisnąć, o darowanie prosił. Wszyscy się od niego odwracali, jeno Szymon mu w oczy popatrzył.

– Daruję, jeśli za nami i Kostkę na tamten świat wyprawisz!

Machnął Sawka toporem po raz ostatni, a potem nas do pali powiedli...

Hej, Wasyl Wiatr! Hej, Steś Boczka! Hej, Naum Bujan! Odleciały ich dusze, srogi mróz rychlej niż pal zabijał. Wszyscy moi pobratymcy odeszli, jenom ja się jeszcze życia chwytał, bo książę słowa dotrzymał – posadzili mnie na pal, żebym się dłużej męczył, w kożuchu i walonkach. Ale i mnie już niewiele zostało, mróz cisnął się pod przyodziewek i od chłodu ból nie do wytrzymania, który moje wątpia rozdzierał i na oczy ciemną chustą raz po raz zasłaniał, już powoli ustępował, jeno myśl nie ustępowała: czy przeważy nasza krew kłamstwo

Kostki? Czy nie zapomną nasze wnuki, jakieśmy męki za wolność cierpieli?

A dla Sawki Mowczuna i jego hyclów robota się jeszcze nie skończyła. Kiedy sprawili się z ludźmi, wzięli się dzwon z cerkwi Paraskiewy śmiercią karać za to, że dzwonił, gdyśmy zamek brać szli. Wyrwali serce z dzwonu, lico szablami posiekli i do przerębli pociągnęli, żeby na wieki na dnie bez głosu spoczął.

Tymczasem ludzie rozeszli się po chatach, żeby się ogrzać. A po nich i kozacy, co wokół nas z lancami skrzyżowanymi stali, do karczmy poleźli. Ci, co się spóźnili, mogli teraz całkiem blisko do pali podejść. I podchodzili, a ja każdemu z nich mówiłem: patrz!

Patrz, babo z rzeszotem blinów. Patrz, chłopcze! I ty, człeku bezpański w połatanym kabacie, też patrz! Nie każdego dnia burmistrzów kryczowskich na pal wbijają! Patrzcie wszyscy! Śmiejcie się, płaczcie, ale nie zapominajcie! Patrz i ty, kobieto brzemienna! Potem synowi opowiesz, jak umarliśmy. Może twój syn zechce kiedyś zostać gospodarzem na swojej ziemi. A jeśli nie syn, to wnuk. Popatrz i zapamiętaj!

Myślałem przez swój ból, że takie już pewnikiem prawo niepisane na tej ziemi: żeby ludzie nie zapomnieli, że są ludźmi, a nie czerwiami, ktoś musi iść na stos, na szubienicę, na pal. A jeśli ci, za których człek umiera, patrzą na jego męki z zadowoleniem, jak patrzyli onegdaj na Chrystusa na Golgocie, to i tak nie można ich nienawidzić, a trzeba wierzyć, że nie za bydło się umiera, a za ludzi. Trzeba ich miłować nie patrząc na nic – choćby za to, że przedłużą ród człowieczy i za lat dwadzieścia albo i za sto na tym miejscu będzie przed ciżbą umierać ktoś jeszcze inny.

Wtenczas, gdy już ani krzyny bólu nie czułem, a tylko zimno zostało, zobaczyłem, że idzie ku mnie książę Radziwiłł w futrze z gronostaja, a za nim pułkownik Piastrzecki z resztą świty. Do samego pala jeno Radziwił z pułkownikiem podeszli. Pułkownik wąs na palec namotał i milczy, a książę się pośmiewa:

– No co, Karpacz, jeszcześ nie na niebiosach? Widać i na niebie durniów nie potrzebują. Ty tu wrony straszysz, a twój druh historię przepisuje. Cieszy się, że sobie i jeszcze ośmiu duszom żywot od śmierci wybawił. Co tak patrzysz? Niech sobie pisze. Napisze, wtenczas i jego tu przyprowadzimy. A podpis twój postawi. Słyszysz, harmatniku? Twój!

Chciałem mu odpowiedzieć, że dzwon kryczowski można w rzece utopić, ale pamięć ludzką nie. Pamięć nie utonie, dopóty choć jedna dusza na naszej ziemi nieszczęsnej wolności pragnie. Chciałem odpowiedzieć, ale już nie zdołałem, bo mróz mowę mi odjął.

A Radziwiłł, jakby w moich myślach czytał, spojrzał w dół, na brzeg, gdzie Saszka Mowczun koło dzwonu się uwijał, i mówi:

– Patrz, Karpacz. Waszymi rękami i życie wam odbieramy, i honor. Tak było i będzie na wieki!

Odwrócił się i poszedł. I taka mnie rozpacz wzięła, że zacząłem śmierć przywoływać, choć i bez tego już blisko stała.

Nie mogłem już ruszyć ręką, od chłodu już myśli w głowie jedna za drugą zamierały, a ja cały jakbym w bryłę lodu wrósł.

Ostatnia myśl, co się w tym lodzie kołatała, była o moim synu. Czemu Tomasz, mój najdroższy niemowa, nie przyszedł ze mną się pożegnać? Czyżby i on obrócił się przeciw ojcu? Czyżby mnie przeklął za Katarzynkę i za swoją niemotę? Czyżby wszystkie nasze męki skończą się tym, że nas na palach albo szubienicach wygubią, a nasze dzieci zrobią niemowami i nas nienawidzieć nauczą?

Usłyszała śmierć, że ją wołam, i przyszła, ale w ostatniej chwili – nie wiem, co to było: jawa czy zwid – ujrzałem w dole swego Tomaszka. „Synku! – krzyknąłem do niego. – Synku!" Ale nie miałem już mowy, jeno usta trochę się poruszyły. Widzę, że i jego usta się poruszają – mój niemowa też coś krzyczy, a ja nie mogę usłyszeć.

Wtenczas objął Tomaszek pal, na którym konałem, osunął się na kolana i zatrząsł się od swego krzyku bezgłośnego. I wtenczas lód, który mnie ściskał, a może i nie lód, a samo sklepienie niebieskie się rozpękło, a ja usłyszałem:

– Taa-aato!!!

1987

Przełożył Jan Maksymiuk

KOCHANEK JEJ WYSOKOŚCI

Wadzimowi Łabkowiczowi

Po raz pierwszy zdarzyło się to własnie tutaj, na niedźwiedziej skórze, która teraz pieści jej bose nogi. Wspomnienie powraca przyjemnym dreszczykiem pomiędzy uwolnionymi nagimi piersiami i słodkim mrowieniem w stwardniałych sutkach.

Niedźwiedź był przeogromny: prawie czarna, z burymi, podpalanymi pręgami skóra zajmuje całą przestrzeń od alkowy do okna, za którym widać jedynie wezbraną po ostatnich nawałnicach Dźwinę. Wczoraj rzeka się zbuntowała, w ciągu godziny zerwała zbudowany specjalnie dla niej, imperatorowej, most powyżej Połocka i generał-gubernator rozkazał znaleźć bezpieczną łódź.

Caryca bierze z talerza czerwone jabłko, jakie od niepamiętnych czasów zwykła zjadać przed snem, i z apetytem wgryza się w nie zębami. Dopiero piąta godzina, ale imperatorowa wie, że już nie zaśnie, jej ciało wypełnia nie zmęczenie, ale pienista niby szampan lekkość, która szybko przywraca ostrość i świeżość doznań. Świece dawno już niepotrzebne, ale ona jakoś nie śpieszy się z gaszeniem nieomal przezroczystych płomyczków, jakby ich obecność w sypialni była jeszcze do czegoś potrzebna.

Imperatorowa próbuje określić swój stan wewnętrzny. Stan ten współbrzmi z widokiem za oknem: ten sam cichy poranek oraz bezsenna, gdzieniegdzie opatulona pasmami mgły fala wspomnień o zupełnie bliskiej i odległej przeszłości, nagle przywróconej przez kaprys pamięci.

Podoba się jej myśl, że preludium do tej nocy była burza, szalejąca nad Połockiem pierwszego wieczora.

Prawdę mówiąc, wszystkie przebyte tu dni zlały się w jeden długi dzień, poprzedzający dzisiejszą szczęśliwą (imperatorowa nie powinna tak myśleć, ale myśli teraz właśnie tak) noc, która pewną ręką zatarła obrazy i odczucia poprzednich połockich nocy.

Zdaje się jej, że to wczoraj wjeżdżała do miasta przy wtórze orkiestry, grającej obok wzniesionego na jej cześć łuku triumfalnego i przy huku armat rozstawionych na miejskich wałach. Jechała w szczodrym cieple majowego wieczoru, przez zalane

białym, różowym i żółtawym kwieciem sady, wśród polifonii dzwonów i tłumów poddanych, którym kłaniała się ze swej pozłacanej karocy z opuszczanymi oknami. Na przedzie, na pysznie przybranych koniach jechała najznakomitsza połocka szlachta, a za nimi pocztmistrz z pocztylionami i pikinierzy w pełnym rynsztunku. Za łukiem po obu stronach ulicy stali świątecznie ubrani rzemieślnicy z cechowymi sztandarami i bębenkami, a na placu, przed trybuną czekali urzędnicy w białych kamizelkach i czerwonych kaftanach na cielistej podszewce i z białymi guzikami.

Zdarzenia z trzech dni jej podróży do Połocka pojawiały się przed oczyma niby pstrokate, kolorowe obrazki z dziecięcej książeczki o innych krajach i narodach, którą czytała, kiedy jeszcze mówiła i śniła sny po niemiecku.

Katedra świętego Stefana, gdzie księża jezuici przygotowali bogato zdobiony tron... Stojąc przy nim po raz pierwszy w życiu słuchała katolickiego nabożeństwa i przyglądała się uroczystej procesji ze śpiewem Te Deum, po której hrabia Czernyszew przedstawił jej zakonnych nowicjuszy...

Wieczorem odbył się bal maskowy i całe miasto – rynek, ulice, klasztory – zalśniło od iluminacji. Przed jezuicką katedrą stały cztery drewniane piramidy zalane złotym światłem, dorównujące wysokością świątyni, a pod jej oknami piąta piramida z ognistym napisem „Postrach wrogów, opoka przyjaciół, miłość poddanych”...

I znowu w kalejdoskop wrażeń wdziera się noc.

Nie był zbyt hojny w komplementach; po tradycyjnych grzecznościowych formułkach jego wzrok zatrzymał się na niedźwiedziej skórze obok alkowy i nieoczekiwanie, jakby dopiero co wrócił z lasu i o niczym innym rozmawiać po prostu nie mógł, mężczyzna zaczął opowiadać o polowaniu na niedźwiedzie.

Po co jej, imperatorowej i kobiecie, wiedzieć, że tutaj w przydźwińskich lasach żyją trzy rodzaje tych zwierząt – mrówkowce, owsojady i ścierwiętniki – i że jeśli w ciągu jednej obławy myśliwi upolują mniej niż pięć niedźwiedzi, uważają to za niepowodzenie? Skąd mu przyszedł do głowy głupi pomysł, że niby zaciekawi ją, że niedźwiedzia nie tylko osaczają w barłogu ale także łowią w sidła albo żelazne pułapki przy barciach, kiedy miś wsadzi głowę do pszczół i potem nie daje rady wyciągnąć jej z powrotem?

Ale ten Lićwin, ten połocki myśliwiec, nie pomylił się: naprawdę ją to zainteresowało i gotowa była słuchać dalej – jak na dno specjalnej jamy stawiają misę z miodem wymieszanym z wódką i jak leśny łasuch zwabiony smakowitym zapachem odważnie „strzela kielicha", a potem słodko zasypia, stając się łatwą zdobyczą.

Jego niewysoki, twardy głos z przyjemną chrypką oczarowywał, budził w głębinach świadomości coś tajemniczego, niepojętego, pierwotnego i odwiecznego. Taki głos mieli pewno czarownicy, o których czytała w starych kronikach, jak wywoływali nieustające deszcze, kiedy dwieście lat temu Połock oblegał wielki książę i król Stefan Batory...

W pewnym momencie jej dusza się zbuntowała: zachciało się jej zrzucić siateczkę czarów i wziąć rozmowę w swoje ręce, ale...

Ale nie na darmo wspomniała czarowników: w następnej chwili jego oczy stają się szalone a ona nie zdążywszy zaprzeczyć ani słowem, ani ruchem, trafia w jego silne ręce, które ostrożnie, jednak z kategoryczną władczością przenoszą ją z alkowy na niespodziewanie miękką skórę, a po następnych trzech uderzeniach serca Lićwin owłada ją całkowicie, wtrącając w wir cierpienia, zachwytu i szaleństwa – odczucia, które można porównać jedynie z tymi, jakie kipią w duszy mężczyzny podczas polowania.

Skórę czuć zwierzem, skądś z zielonych ostępów donoszą się dźwięki rogów i szczekanie psów, dzikie leśne wonie zlewają się z upojnym zapachem jego potu... Zamyka oczy i w jakimś kąciku jej umysłu pojawia się szalona myśl, że ten Lićwin w rzeczy samej zdołał przemienić ich w parę niedźwiedzi. Żeby pozbyć się tej wizji otwiera oczy, widzi w świetle kandelabra swoje białe ręce i chce się jej śmiać z niedorzecznego strachu, ale śmiech grzęźnie w gardle i urywa się jak skrzek ptaka, bo ją, imperatorową, dogania i całkowicie przykrywa fala, ciągnie za sobą, zmusza do wyrywania się, do krzyku i wreszcie do jęku błogiego wyczerpania, do zachłyśnięcia się radością, nie, nie radością, a o wiele bardziej złożonym uczuciem, podobnym do krótkotrwałej śmierci, do błyskawicznej wyprawy w niebyt.

Z takiej podróży nie lubi wracać natychmiast. Ta sama fala, już spokojna i łagodna, powinna przynieść ją z powrotem i nie-

zauważalnie odpłynąć znajdując dla jej wydelikaconego ciała przytulne miejsce na bezludnym brzegu dźwięków, odczuć i dotyków, z których znowu odrodzi się, otrzymując ciało i krew, na krótko pozostawiony świat.

Tutaj, w staroświeckim drewnianym pałacyku nad Dźwiną, gdzie się zatrzymała, odmawiając noclegu w wilgotnych pokojach zakończonego w ostatnim dniu – to w jej imperium odwieczna norma – murowanego pałacu na rynku, wszystko wyszło inaczej.

Nie udało jej się podporządkować tego czarownika własnemu rytmowi i zmusić go do przeżycia zespolenia się z absolutem jednocześnie z nią. Połocki myśliwy nie nasycił się jeszcze, kierowała nim wciąż niepohamowana żądza, która nie pozwoliła jej schronić się do cichej przystani. Tylko na samym początku pozwolił jej poddać się tej chwili, ale w ostatnim momencie zatrzymał się, uczynił ją swą dziewką i szybko rozbudził jej pożądanie na nowo.

Ten Lićwin zmusił ją na początku do położenia się na stole, potem uklęknięcia na podłodze i ponownego podniesienia się. Jego ręce, usta, język pewnie i bezwstydnie wędrowały po całym jej ciele; wystarczyło jej opuścić powieki by mieć wrażenie, że dokazuje z kilkoma mężczyznami jednocześnie. Budził w niej głęboko skrywane pragnienie, które być może drzemie w zakamarkach świadomości każdej kobiety i być może nigdy nie wyrywa się na wolność – całkowicie, do ostatniego skrawka oddać się we władanie męskiej siły, odczuć na sobie gwałt, przeistoczyć się w zniewoloną nałożnicę.

Obchodził się z nią coraz bardziej bezceremonialnie, ale jej pożądanie od tego stawało się gorętsze, przenikając ją od stóp do głów. Sprawiał jej ból, ale ten ból nie wywoływał protestu, raczej wlewał do jej żył nową porcję upojenia, które ona stawiała ponad wszystko inne.

Imperatorowa, ulegle i z wdzięcznością wykonywała jego wysłowione i niewysłowione rozkazy. Mężczyzna rozkazywał a ona całowała twarde, gorzkawe sutki na jego mocnym niby z żelaza torsie. Mężczyzna rozkazywał a ona kąsała, gryzła czując jak i on rozpala się coraz mocniej. Mężczyzna rozkazywał a ona obracała się twarzą do nocnej rzeki opierając łokcie o parapet...

Raz po raz jęczała z rozkoszy, a potem... potem zmusił ją do zrobienia czegoś, co już od wielu lat robiła tylko z własnej wo-

li... Dopiero wtedy, wyczerpana jak łania po pogoni, zdołała się uwolnić i jak somnambuliczka dobrnęła do łóżka. Ale w tym połockim myśliwcu nie wykipiała jeszcze cała żądza, bo dogonił ją i jeszcze raz sprawił, że zalała ją fala, która ogłusza i zbija z nóg...

Nareszcie wyciągnął się obok niej niby zwierz, który umknął pogoni i teraz ma prawo odsapnąć i zaspokoić pragnienie pijąc z ciemnej, leśnej rzeczułki.

Pili bordo, które w oczach przywracało siły, milczeli...

Imperatorowa otwiera okno wpuszczając do pokoju strumyk porannej, wilgotnej świeżości, patrzy na rzekę. Po tamtej stronie z mgły wynurzyły się już żółte mury klasztoru bernardynów. Woda wzmacnia dźwięki, więc i koguty zza rzeki słychać tak dobrze, jakby piały tuż przy wartowni z gwardzistami.

Tam, za Dźwiną, leży inne państwo.

Państwo należące do mężczyzny, który kiedyś obdarowywał ją niemal takimi samymi dziwnymi i szalonymi nocami. Do mężczyzny, bez którego ona – jak i on bez niej – nie potrafiła wytrzymać do wieczora. Do mężczyzny, który nie będąc malarzem, pozostawił przyszłym pokoleniom jej najdoskonalszy portret. Ubrał jej oblicze w słowa i jeśli na tym świecie istnieje miłość, to właśnie ona kierowała jego piórem.

Już od tylu lat nie rozstaje się z jego podarunkiem, miniaturowym notatnikiem oprawionym w zielony chiński jedwab. Aby wskrzesić w pamięci owe natchnione wersy, nie potrzebuje przewracać stron o złotawym odcieniu. Imperatorowa zna swój portret zapisany przez byłego kochanka jak „Ojcze nasz". „Jest brunetką o olśniewająco białej płci. Brwi ma czarne i bardzo długie, grecki nos, usta, jakby proszące o pocałunek, rzec można, że jest wysoka, szczupła w talii, porusza się lekko, głos miły dla ucha i wesoły, podobnie jak i charakter, i śmiech. Lekko przechodzi od swawolnej zabawy do poważnej kolumny cyfr, której wcale się nie lęka..."

Wydaje się jej, że dzięki połockiemu myśliwemu wygląda dzisiaj tak samo, jak za tych dni, kiedy jej obraz uwiecznił Stanisław August. Ale gasi w sobie chęć podejścia do lustra w bogatej ramie, w którym mogłaby się ukazać w całej swej postaci, jak na płótnach nadwornych malarzy.

Wtedy w owej odległej dobie przed dwudziestu laty, ona była tylko wielką księżną, a on zaledwie posłem Saksonii i Rze-

czypospolitej, na początku nawet nie posłem, a sekretarzem poselstwa.

Nie było go obok niej wtedy, w czerwcu 1762 roku, kiedy na czele wiernych jej pułków jechała na koniu, w gwardyjskim mundurze, skrojonym jeszcze podle starej, Piotrowej mody, i w kapeluszu z zieloną dębową gałązką, do Peterhofu, gdzie w tym samym dniu miał pojawić się imperator, któremu los odliczał ostatnie dni. Jego, Stanisława Augusta, nie było przy niej w tym wielkim czasie, kiedy ona kroczyła na spotkanie z fortuną, żeby już nazajutrz uroczyście wjechać do Petersburga. Obok niej byli księżna Daszkowa, hrabia Nikita Panin, bracia Grigorij i Aleksiej Orłowowie, bożyszcza młodzieży, niedoścignieni mistrzowie w organizowaniu niebezpiecznych walk na pięści na obrzeżach stolicy...

Nie zapomniała nikogo z tych, którzy pomagali jej w przejęciu władzy i ryzykowali swym życiem lub karierą. Nikita Panin otrzymał ministerstwo spraw zagranicznych. Katarzynę Daszkową postawiła na czele Akademii Nauk. Grigorij Orłow po roku został generałem.

Nagrodziła wszystkich, ale najokazalszy podarunek przeznaczony był jemu. Najwyżej sięgnął on, Stanisław August Poniatowski. Na przeciągu dwóch lat caryca wmieszała się w walkę pomiędzy Czartoryskimi i Potockimi i uczyniła go królem i wielkim księciem litewskim, włodarzem Rzeczypospolitej.

Caryca uśmiecha się bezwiednie. Któryś z zagranicznych złośliwców podliczył, że kiedy przybyła do Rosji miała wszystkiego trzy sukienki, pół tuzina koszul i tyleż chusteczek do nosa. No, przypuśćmy, że sukienek było w jej garderobie trochę więcej, ale istoty rzeczy to nie zmienia. Teraz jest panią największego kraju na świecie i do jej imperium nieustannie przyrastają nowe ziemie. Osiem lat temu od państwa byłego kochanka odkroiła sobie Inflanty i obszar do Dźwiny, Druci i Dniepra.

Stanisław August jest dostatecznie mądry, by zdać sobie sprawę, że miniona miłość nie jest argumentem w grach politycznych. Ale dyplomaci informują, że nadzieja w jego naiwnym sercu nie wygasła, tylko trochę przyprószyła się popiołem...

Nie może powstrzymać śmiechu. Każdy trzeźwo myślący polityk widzi, że to tylko tymczasowa granica. Już niedługo te głośne koguty i na drugim brzegu Dźwiny będą budzić jej poddanych.

Nigdy dotąd imperium nie było tak potężne, a ona, jego władczyni, tak szanowana na całym świecie. Pisał do niej Voltaire. Korespondowanie z nią uważa za zaszczyt Denis Diderot. Co prawda, jej słynny francuski korespondent do tej pory widzi despotyzm i marzy o konstytucji, a na starość, jak powiadają, pozuje na republikana. Ileś lat temu przyjechał do Rosji i namawiał ją do zlikwidowania pańszczyzny. Cha, cha, cha...

Pobawiła się trochę wspomnieniami niby wesołymi cackami, ale zaraz spoważniała.

Wszystko, co proponują tacy mądrale, to leki dla Europy. Tu zaczyna się inny kontynent, inny świat. Petrarca składał już sonety, Botticelli malował „Wiosnę", a tutaj po wsiach i wioskach jeździli baskacy chana zbierając daninę.

Co prawda na Białej Rusi baskaków nie było, ale to nieistotne, bo ona przyłączyła tę ziemię do swego imperium.

Tam w Europie oni ze swoją „Encyklopedią" i republikańskimi ideami nigdy nie zdołają pojąć, że dla jej poddanych encyklopedie i konstytucje nie będą potrzebne jeszcze przynajmniej przez następne stulecie.

Jakiś prostoduszny Francuzik, któryś z uczniów Diderota, przysłał jej, największej arystokratce z europejskich władców, list z prośbą o darowanie jej portretu na znak jednomyślności z wolterowskimi ideami.

Roześmiała się wesoło.

Nie za takich uczniów wdzięczna jest dla monsieura Diderota, ale za coś zgoła innego. Pewnego szczęśliwego dnia zarekomendował jej ambasadorowi w Paryżu rzeźbiarza Falconeta. Jeszcze rok albo dwa i pierwszy rosyjski imperator na spiżowym koniu stanie nad Newą, na zawsze upamiętniając i ją, Katarzynę II.

Tutaj, niedaleko od pałacu, który ofiarował jej taki upojny nocleg, pokazali jej murowaniec z dwoma płaskorzeźbami nad wejściem, gdzie onegdaj zatrzymał się Piotr. Trzeba przyznać, że w Połocku mógł zachować się nieco rozważniej. To zabójstwo wikarego i unickich zakonników... W katedrze świętej Zofii i do tego podczas komunii... Ileż niepotrzebnych rozmów na europejskich dworach... I magazyn prochu w katedralnych podziemiach...

Może wiedząc, że za siedemdziesiąt pięć lat ona otrzyma od połockich bazylianów zaproszenie do odwiedzenia odbudowa-

nej katedry, imperator zachowałby się znacznie dalekowzroczniej. Wczoraj uważała, że lepiej wymigać się od wizyty, nie zapominając – lekko się uśmiechnęła – odegrać przy tym scenki niezadowolenia z prawosławnych zakonników z cerkwi Objawienia Pańskiego, za zupełnie przypadkowe oczywiście, przeciągnięcie nabożeństwa.

Nic dziwnego, że i połocki myśliwy wspomniał Piotra. Zresztą, nie za bardzo chciała myśleć o ich nocnej rozmowie.

Nasiąknięta zapachami i aromatami nocy poranna rześkość napełnia sypialnię, imperatorka narzuca na plecy stary, mięciutki szlafrok, który pamięta wiele podróży i tajemnic.

Do porannych raportów jeszcze daleko, siada więc za biurkiem, aby napisać do syna. Dobrze zaostrzone pióro śmiga po kartce z taką samą wesołą lekkością, jak kiedyś ona sama w czasach dzieciństwa, mknęła po zamarzniętej sadzawce, w holenderskich łyżwach na nogach, łowiąc wiatr w poły rozpiętego futerka.

„Pomiędzy moimi oknami a Polską jest jedna tylko, wcale nie aż tak szeroka Dźwina... Od czasu jak jestem tutaj, panuje tu ciągły zamęt. Przyjechały niezliczone rzesze mężczyzn i kobiet z najwyższych sfer Polski. Wszędzie błękitne lub czerwone wstęgi oraz najprzeróżniejsi duchowni. Wczoraj odwiedziłam jezuitów i jestem pod wrażeniem ich ogłady. Pozostałe katolickie zakony w porównaniu z nimi – to świnie. Szkoda tylko, że ci ludzie nie tańczą. Ich kościół jest tutaj najpiękniejszy. A jakie przewrotne fizjonomie trafiają się pomiędzy nimi!..”

Jej imperium to nie Europa, a zupełnie inny kontynent, ale właśnie jej, Katarzynie, – niezbadane są twe wyroki, Panie! – służy zakon jezuitów, skasowany przez Klemensa XIV we wszystkich katolickich krajach.

Odkłada pióro na bok i przed jej oczyma pojawia się cała, dotąd jeszcze nie napisana księga, warta pióra wytrawnego nowelisty.

Gdy dwugłowy orzeł rozpostarł skrzydła nad nowymi guberniami, rozkazała hrabiemu Czernyszewowi i w dzień i w nocy obserwować jezuitów, jako najbardziej podstępny zakon katolicki. Nie mogła nawet przypuszczać, że relacje z generał-gubernatorską kancelarią będą wywoływać w niej nie trwogę, ale coraz większy zachwyt? Że połoccy jezuici pierwsi złożą jej przysięgę i odprawią w katedrze świętego Stefana mszę z okazji jej imienin?..

Zyskała służby potężnego zakonu i sympatię wielu nowych poddanych katolików. Nie tracąc ani jednego rubla, zachowała na przyłączonych ziemiach jezuickie szkoły i kolegia, programy których przynajmniej na jedno stulecie wyprzedzają te w szkołach rosyjskich – nic dziwnego, że najznakomitsze rody z obydwu jej stolic zaczęły posyłać swoje dzieci na nauki nie byle gdzie, ale do Połocka, gdzie Towarzystwo Jezusowe prowadzi najstarsze kolegium na tych ziemiach.

Okręciła sobie wokół palca i samego papieża, demaskując jego agentów, którzy mieli publicznie obwieścić w Połocku o skasowaniu zakonu. Teraz na wszystkie obwinienia i groźby z Watykanu, połoccy jezuici, skromnie spuszczając oczy odpowiadają, że dla wykonania rozkazów z Rzymu gotowi są ofiarować nawet życie, ale nie pozwalają im na to świeckie władze rosyjskie.

Pozwoliła na otwarcie nowicjatu w Połocku, co oznacza, że jej graniczne miasto stało się światową stolicą Towarzystwa Jezusowego. Wieść szybko rozlała się po Europie i dotarła do Nowego Świata. Rektor kolegium powiedział wczoraj w wystąpieniu, że zakon zmienił brzegi Tybru na brzegi Dźwiny.

Teraz pod obronę prawosławnej imperatorowej, z paszportami od rosyjskiego ambasadora w Wiedniu jadą studiować przyjaciele zakonu z Italii i Francji, Niemiec i Szwajcarii... Na obiedzie – stół nakryty był na sto osób – przedstawiono jej dwóch profesorów z Sorbony i amerykańskiego milionera, który przebył ocean i dziesiątki krajów, aby ofiarować zakonowi swoje miliony. Był tam jeszcze śmieszny Włoch, który po drugim daniu deklamował własną odę do ryb rzeki Pałaty, wpadającej obok jej pałacu do Dźwiny.

Nie, na obiedzie myśliwca nie było. Po raz pierwszy ujrzała go na balu, na którym wczoraj wieczorem tańczyło pół tysiąca gości.

Nigdy nie zaliczała siebie w poczet wielbicieli balów i już od dawna nie pozwalała sobie na całkowite pogrążenie się w bezmyśnym wirze muzyki, szampana, fałszywych uśmieszków czy przejrzyście kłamliwych stwierdzeń i komplementów.

Żeby nie marnować czasu, jak zazwyczaj od razu dokonała przeglądu interesujących obiektów. Na początku było ich dwóch: książę Potiomkin i przypominający Hamleta Łański, którego w Petersburgu, trzymała całymi dniami pod kluczem, chroniąc go przed damami dworu i oszczędzając dla siebie.

Książę nie byłby sobą, gdyby nie wiedział, kto minionej nocy szeptał jej „gwiazdko" – tak musieli nazywać ją wszyscy faworyci, wykonując jej rozkaz.

Księcia jakby magnesem ciągnęło w stronę Łańskiego: kilkakorotnie brał z tacy po dwa kielichy, zagadywał młodego konkurenta, i raz imperatorowej udało się zobaczyć, a raczej odczuć z końca sali, ten mrożący uśmiech, jaki prześlizgnął się po książęcych ustach, ukazując na moment jego bezdenną nienawiść. Przed przeniesieniem uwagi na białoruskiego oficjała Posłowskiego spokojnie podsumowała: nie będzie w tym nic dziwnego, kiedy któregoś wieczoru petersburski Hamlet beztrosko wypije kielich tego wina, którego można skosztować tylko raz.

Ksiądz Posłowski zajął pozycję przy wysokich oknach, za którymi na iluminacyjnej wieży był widoczny jej portret utkany ze świateł. Do oficjała po kolei podchodzili wojewoda brzeski Jan Zyberg, kasztelan połocki Fadiej Żaba, litewski pisarz skarbowy Julian Szczyt, wojewoda lubelski Ignacy Twardowski... O czym mogli rozmawiać z oficjałem ci wyniośli Polacy i Litwini? Może wszyscy razem otrzymali od papieża nowe zadanie wpłynąć na niepokorny zakon? Niechże oficjał opowie im o skwaszonej minie ostatniego tajnego agenta wysłanego z Warszawy przez nuncjusza Archettiego, który nie zdążył zrobić na brzegu Dźwiny ani dwóch kroków, kiedy z mgły wyłonił się sam połocki horodniczy ze swymi ludźmi, którzy delikatnie posadzili nieproszonego wizytatora z powrotem do łodzi, przestrzegając, że następnym razem będzie musiał wracać wpław.

Twardowskiego zmienił starosta inflancki Józef Plater, a tego – kasztelan trocki Andrzej Ogiński... Była zadowolona, że bezbłędnie pamięta, kto jest kim w tej żywej mozaice twarzy, ale zauważyła zarazem, że żaden z rozmówców księdza Posłowskiego nie spojrzał w stronę okien, za jakimi jaśniał jej portret w otoczeniu herbów głównych miast imperium. Już miała uznać podkreślaną nieuwagę za polityczną demonstrację, kiedy jej wzrok zatrzymał się na gibkiej (powiedziałaby, że nazbyt gibkiej) postaci Stanisława Poniatowskiego, kuzyna i imiennika króla. *Ostatniego* króla i wielkiego księcia – dodawała zawsze myśląc o byłym faworycie.

Jednak jej zainteresowanie wywołał nie kuzyn – stwarzając tę osobę Bóg najwidoczniej się relaksował, ale przy okazji podrzucił jej niezłego partnera do gry w karty. Z rozbawieniem

skonstatowała, że pożądliwie spogląda na mężczyznę towarzyszącego Poniatowskiemu.

Od tej chwili nie interesował jej już ani beztroski Hamlet z szalonym księciem Potiomkinem, ani grupa Litwinów i Polaków, którzy kręcili się wokół oficjała jak osy koło zmurszałej gruszy (doczekają jeszcze czasów, kiedy jej portret będą zdobiły herby ich miast), ani cały rój młodych cudzoziemców jezuitów, posługujących się jednocześnie czterema lub pięcioma językami, i z lekkością cyrkowców przeskakujących z francuskiego na łacinę i z niemieckiego na angielski.

Wyglądał na wyższego o pół głowy od Łańskiego i pewnie był od niego o wiele starszy, chociaż nie można było poznać tego po jego postawnej figurze. Imperatorowa była pewna, że nie nosi on peruki, że to są jego własne, gęste i z wyglądu szorstkie włosy, jakie niezmiennie podobały się jej u mężczyzn. Jego prosto ciosane oblicze naznaczone było piętnem samotności. Zrozumiała, że ten mężczyzna, podobnie jak ona, nie poddał się świątecznemu zamętowi i pozostaje w jego wirze sam jeden.

Zapragnęła przyjrzeć się mu z bliska, usłyszeć jego głos, zobaczyć jego oczy. Marszałek gubernialny Korf, który nie oddalał się od niej nawet na trzy kroki, pochylił się do jej ucha i objaśnił: były sędzia ziemski województwa połockiego Kacper Bujnicki, potomek miejscowego starodawnego rodu, wdowiec i zawzięty myśliwy.

Marszałek dał znak i po chwili rodowity Lićwin stanął przed nią.

Co do włosów, nie pomyliła się: gęste, ciemnokasztanowe, ledwie muśnięte platynową siwizną – według starożytnych Greków świadectwo pochodzenia – kłóciły się z rudą brodą i wąsami hedonisty. Jego masywna postać urzekała spokojem i opanowaniem. Wyrazisty, duży, ale mieszczący się w klasycznych granicach nos wyrażał twardy charakter. Jednak pierwsze, co zauważyła kiedy ukłonił się na powitanie, może aż nazbyt swobodnie, to były zielone oczy, zupełnie młode, które to ciemniały i w mgnieniu oka robiły się brązowe, to znowu jaśniały aż po kolor majowych liści i niezależnie od tych szybkich zmian przez cały czas igrały w nich niebezpieczne ogniki.

Tak, już wtedy na balu powiało niebezpieczeństwem od jego bliskości. Jednocześnie imperatorowa poczuła siłę jego samczego przyciągania, którą umiała ocenić jak nikt inny.

Już wiedziała, kto jej dzisiaj szepnie „gwiazdko".

Ale pod tym względem pomyliła się: chociaż uprzedzono go o uświęconym tradycją życzeniu imperatorowej, nie nazwał jej tak ani razu.

Dopiero teraz zdaje sobie z tego sprawę i nie może nazwać tego odkrycia przyjemnym. Jej rozdrażnienie wciela się w cieniutkie bzyczenie komara, który zamierza zjeść śniadanie na jej szyi.

Imperatorowa pozbywa się komara, ale wciąż ma wrażenie, że przykry odgłos z sypialni nie znika. Ażeby odegnać zasępienie, wraca do pisania listu do syna.

„Ludność tutaj jest wielce zróżnicowana: bardzo często obok siebie żyją prawosławni, katolicy, unici, Żydzi, Rosjanie, Polacy, Finowie, Niemcy, Kurlandczycy, krótko mówiąc – nie zobaczysz dwóch jednakowo ubranych wieśniaków, którzy na dodatek mówiliby poprawnie w jednym języku; mieszanina narodów i języków przypomina biblijną wieżę Babel..."

Wspomina drogę z Petersburga: tłumy świątecznie ubranych niewolników pańszczyźnianych z chlebem i solą, korowody bab z ich prostackimi pieśniami... Czasami, żeby nacieszyć jej oczy, wzdłuż gościńca zbudowano tandetnie teatralne wioski: czyste, bogate chaty, krowy z wielkimi wymionami, które niezmiennie rozbudzały w niej pożądanie...

Jeden z owych tandetnych pacykarzy ogrzewał ją na ostatnim noclegu przed Białą Rusią. Skusił ją jego wzrost i postawa grenadiera, ale w łóżku jego męskie umiejętności wypadły raczej marnie. „Grenadier" najwyraźniej bał się jej, zwlekał, w najbardziej nieodpowiednim momencie ni z gruszki, ni z pietruszki rzucił się z podziękowaniami za ukaz, który pozwalał artystom za darmo chodzić do państwowych łaźni, aby na żywych modelach mogli studiować ludzkie ciało. „A dzisiaj, ojczulku, na władczyni naturę studiować będziesz" – zaśmiała się i bezceremonialnie sięgnęła do jego czułego miejsca. Ale wszystkie starania, by natchnąć pacykarza, skończyly się niepowodzeniem i musiała w końcu posłać po Łańskiego.

Imperatorowa przesuwa wzrok w stronę alkowy i jej oczy zasnuwa mgła.

Po raz drugi ten połocki czarownik i myśliwiec wziął ją na łóżku, zwalając na nią piramidę poduszek i poduszeczek. I znowu jego pieszczoty przypominały pieszczoty dzikiego zwierza. Znowu coś pierwotnego, rodem z leśnych ostępów, taiło się

w jego rękach błądzących po jej ciele bez żadnych przeszkód. Nie nazwałaby swoich odczuć przyjemnymi, ale zatajona trwoga, która pulsowała w każdym zakamarku ciała, niosła ze sobą niepowtarzalną słodycz.

Panem od pierwszej chwili ich zbliżenia, jak i wcześniej był on, i już wtedy uświadomiła sobie, że znalazł się w sypialni nie z jej woli, ale z własnym, nie całkiem dla niej zrozumiałym planem. Lecz był genialnym kochankiem, i to, co odbywało się pośród rozrzuconych poduszek, nie zostawiało miejsca na myśli, jakie momentalnie odpływały w dal w powodzi rozkoszy.

Rozmawiali ze sobą po francusku, jednak w pościeli z jego ust wyrwały się słowa w innym języku. To nie był polski, ale mowa jego dzieciństwa, mowa przydźwińskich łąk i puszcz. Nie pieszczoty i nie czułość zrodziły te słowa. Dźwięczała w nich, jak we wszystkim, co robił z jej ciałem, władcza brutalność, która na razie pozostawała bez kary, bo wpasowywała się w prawidła gry, które caryca przyjmowała nie pod przymusem a raczej z uciechą, całkiem podporządkowując się jego władzy, rytmowi jego oddechu i jego męskiemu crescendo.

Jej świadomość leciutko musnęło skrzydło zazdrości o te, które miłował przed nią i które będzie miłował po niej.

Krzyknęli jednocześnie.

Potem leżeli w przezroczystej ciemności, przesiąkniętej zapachem ich miłości i rozmawiali.

Rozmowa nie trwała długo, ale teraz imperatorowa ma wrażenie, że przegadali całą noc.

Iskierka rozdrażnienia, która błysnęła przy wspomnieniu upartej niechęci Lićwina do nazwania jej „gwiazdką", nie gasła, a wręcz przeciwnie – jarzyła się coraz mocniej i stawiała przeżycia minionej nocy w nieco innym świetle.

Wtedy, w przypływie kobiecej wdzięczności, wplotła swoje palce w gąszcz jego kędziorów, mierzwiła je i sennie myślała, jak dobrze byłoby wziąć połockiego myśliwego ze sobą w podróż: może do Mohylewa, gdzie czekało ją spotkanie z austriackim cesarzem Józefem, a może i dalej, do Petersburga... Wypowiedziane przez nią słowa nie były wynikiem przemyślanej decyzji, jedynie dalszym ciągiem odczuć napełnionego błogim zmęczeniem ciała, ale caryca nie wyklucza, że rankiem te rojenia mogłyby – ciekawa byłaby reakcja Potiomkina i reszty kompanii – stać się jawą.

„Chodź do mnie na służbę, Lićwinie. Zabiorę cię do stolicy.”

Przywracała sobie stanowisko pani, ale głos tchnął jeszcze czułością i teraz z tego powodu czuje zmieszanie.

Odpowiedzią był śmiech – wesoły, jak się wydawało, szczery i gęsty jak włosy jego właściciela.

Przestał się śmiać i powiedział „nie”.

„Umiem się odwdzięczyć...”

Miał odwagę jej przerwać.

„Wasza wysokość, możliwe, że to co powiem, będzie śmieszne – głos Lićwina nieprzyjemnie spoważniał, nie ocalała w nim ani jedna iskierka śmiechu. – Sentymentalny młodzian zmarł we mnie tak dawno, że nie pamiętam już, na jakich rozstajach go opłakiwałem. Ale równie dawno zrozumiałem, że nie zdołam żyć bez tej ziemi. Bez Dźwiny, bez moich lasów, bez grobowców mojego rodu. Bez tego wszystkiego, co ów symentalny młodzian zwał ojczyzną...”

„Teraz i na zawsze jest to część mojego imperium – odpowiedziała sucho. – Dla twoich dzieci i wnuków ojczyzną będzie Rosja”.

I znowu sypialnia rozbrzmiała śmiechem, ale innym: pobrzmiewała w nim już nie tylko odmowa.

„Wasza wysokość naprawdę uważa, że to takie proste? Dusza nie może pewnego cudownego poranka obudzić się jako poddana innego państwa”.

„Są różne dusze, Lićwinie. Przecież wiesz, że szlachta, która mi przysięgała, otrzymała pełne prawa rosyjskiego dworu.”

„Kiedy człowieka pozbawiają szlachectwa, to przecież nie przestaje on być szlachcicem.”

„Powinieneś zrozumieć, że i tamte ziemie – ukazała na okno, za którym szumiała nocna rzeka – też będą należeć do Rosji. Za rok, czy za lat dziesięć – dla historii to tylko mgnienie. Ludzie się rodzą, a ziemia nie. Ja pragnę, aby nasze wnuki były w równym stopniu Rosjanami i żyły jak jedna rodzina...”

Nawet nie zauważyła, jak przeszła na rosyjski. On zaś dalej odpowiadał po francusku.

„Pani, myślisz, że można zapomnieć...”

„Wszystko, – ucięła, – wszystko trzeba zapomnieć, Lićwinie. Dla pokoju, spokoju i miłości.”

„Dla miłości...”

Powtórzył ostatnie słowa niby echo i znowu sięgnął po nią.

Teraz czuła w nim nie tylko wybuchową mieszankę zwierza i myśliwego. Nie zdążyła swych odczuć zamienić w myśl, jednak wiedziała, że niezależnie od tego, czy Lićwin przysięgał dla rosyjskiego tronu czy nie, nie był jej poddanym. Wzbudzał w niej lęk, ale to tylko podniecało ją jeszcze mocniej. Na pewno coś podobnego czuł i on, czarownik, myśliwy, wróg...

A może, myśli imperatorowa, kierowało nią złudzenie? Może zbliżenie zostało nieświadomie wybrane jako główny argument w niespodziewanym sporze, mogącym wywołać senne zmory?

Nie protestowała, kiedy zdecydowanie ściągnął ją z łóżka na podłogę. Usta i ręce mysliwca znowu zamieniły się w dziesiątki rąk i ust, które obejmowały, pieściły ją bezbłędnie i ze znawstwem, ale w jej jestestwie rodził się protest. Z taką chłodną namiętnością, z takim samym mistrzostwem mógłby kochać się gdzieś pod stogiem z jakąś zubożałą szlachcianką z posagiem rzędu dziesięciu pańszczyźnianych dusz. A jednak pożądanie zwyciężyło i nie jakaś tam szlachcianka, ale ona, imperatorowa, musiała się hamować, odsuwać ten moment, kiedy już niezależnie od jej woli z piersi wyrwie się szczęśliwy jęk wyzwolenia...

Zbliżenie stało się nie finałem, czego się spodziewała, ale przerwą w rozmowie, do której nawiązał od razu, jak tylko ułożyli się w pościeli – jakby po prostu na jakiś czas wyszedł z sypialni i dopiero co powrócił.

„Wasza wysokość, mam dwóch synów i wątpię, aby mieli krótką pamięć..."

„Pamięć, Lićwinie, zawodzi, a historia zawsze kłamie. Wiesz, że jest mnóstwo określeń nauki Klio. Dla mnie najbardziej pasuje określenie: księga, którą piszą zwycięzcy."

Odpowiedział nie od razu.

„Historię jeszcze nazywają wcieleniem czasu. Ona umie się przeciwstawiać. Może być bronią."

Pragnęła szybciej skończyć rozmowę, która z każdą chwilą stawała się coraz bardziej nieprzyjemna, ale jednocześnie wiedziała, że trzeba wszystko powiedzieć do końca.

„Ludzie zawsze chcą słuchać pięknych bajek..."

Znowu odpowiedział nie od razu, ale miała wrażenie, że nie jest mu ciężko znaleźć odpowiednie słowa, a jedynie uważa, że wszystko zostało powiedziane już wcześniej.

„Tak, chcą. Ale nie wszyscy. Będą i tacy, którzy w bajki nie będą wierzyć."

„Tacy zawsze będą w mniejszości, Lićwinie."

Tym razem zareagował natychmiast.

„Ale zawsze będą, wasza wysokość. Niezależnie od czyjejkolwiek woli. I nigdy nie pogodzą się z losem, którego sami nie wybrali. Nigdy, wasza wysokość."

W jego głosie pobrzmiewał smutek. Jednak teraz, siedząc za biurkiem nad niedokończonym listem, zrozumiała, że się pomyliła.

Po raz trzeci myśliwiec zaśmiał się, kiedy zapytała, jaką nagrodę chciałby otrzymać na pamiątkę dzisiejszej nocy: ten niepowtarzalny, zbudowany specjalnie na jej przyjazd pałacyk, pieniądze, pierścionek z diamentem?..

Śmiech szybko się urwał. Wystarczą mu wspomnienia szczęścia, że dzielił łoże z imperatorową.

Nie była pewna czy w tych słowach nie było czegoś jeszcze, ale akurat po nich zdecydowała, że chce zostać sama...

Słońce już wzeszło. Zegar zawiadamiał, że do dzisiejszych raportów pozostała niecała godzina, a odjazd zapowiedziano na ósmą.

Caryca czyta jeszcze raz list do syna i jest niezadowolona. Ale brakuje czasu, by dopisać coś jeszcze – do sypialni lada chwila wejdą służący.

Żegnając się z nocą i rozpoczynając nowy dzień podchodzi do okna. Na Dźwinie, przy polskim brzegu pojawia się rybacka łódka.

Przez moment imperatorowa czuje się samotna i zmęczona. Ale jeszcze w dzieciństwie przyswoiła sobie zasadę, by nie poddawać się chwilowym słabościom, kiedy życie raptem wydaje się marnością.

Otrząsa się niby wielki ptak, podchodzi do biurka i dopisuje na liście datę: 22 maja 1780.

Czas wezwać służbę. Ozdobiony dwoma kupidynkami dzwonek w kształcie lilii stoi na konsoli obok wysokich, ciężkich drzwi. Imperatorowa podnosi go i jej ręka nieruchomieje.

Pod dzwonkiem leży srebrny sygnet.

Odkłada dzwonek i ogląda znalezisko. Jubiler był z tych lepszych: wizerunek konnego rycerza na pieczęci ma wszystkie detale – od ostróg do sześcioramiennego krzyża na tarczy. Wątpliwości co do właściciela sygnetu nie ma.

To oznacza, że odmawiając przyjęcia prezentów od niej, ten szlachcic czarownik miał śmiałość i czelność zostawić jej zapłatę...

Z głębin jej jestestwa wypływa piekące, ciemne pragnienie ukarania, pokazania Lićwinowi jego prawdziwego miejsca, udowodnienia, że jest on tylko robakiem chociaż jego ród liczy tysiąc lat. Takich jak on i nawet lepiej urodzonych są tysiące w jej imperium i do każdego któregoś dnia posłuszny jej woli los może się uśmiechnąc, a może i...

Tam, w Rzeczypospolitej przyzwyczajono się do bezkarności...

Jak paciorki w różańcu przebiera najbardziej wyrafinowane kary i nagle chwyta pozłacaną lilię i dzwoni.

Podczas wysłuchiwania porannych raportów o mieście i namiestnictwie pozwala sobie na nieuwagę.

Żyto kosztuje od rubla do półtora za korzec. Pud siana mniej niż dziesięć kopiejek... Mięso dwie kopiejki za funt...

Wszystko znacznie tańsze niż w guberniach wewnętrznych, odnotowuje caryca i wspomina, jakie niedźwiedzie występują w połockich lasach.

Mieszczanie są zadowoleni ze wszystkiego, skarżą się jedynie na brak miedziaków oraz niedostatek złotych i srebrnych monet na zamianę asygnat...

Nie zapomnieć zabrać tej niedźwiedziej skóry ze sobą...

Kamienne magazyny na zboże są gotowe, szpitale się budują, żebracy mieszkają w przytułku...

Trzysta rubli daruje żebrakom...

Był taki słodki...

Pięćset rubli na prawosławny klasztor Objawienia Pańskiego...

A potem słony...

Niedobór podatków wynosi wszystkiego dwadzieścia rubli...

Takie noce zdarzają się nieczęsto i władczyniom...

Sto rubli na miejskie szkoły...

„Ludzie chcą słuchać pięknych bajek..."

Odpędzając sen imperatorowa pociera wskazującymi palcami skronie i wachluje się.

W namiestnictwie spokojnie, nie ma ani jednego więźnia...

„Księga, którą piszą zwycięzcy..."

Pięć czerwońców na przytułki...

„Moi synowie nie zapomną..."

Senność znika i caryca dyktuje sekretarzowi pierwsze pole-

cenie: sporządzić we wszystkich przyłączonych miastach opisy umocnień w celu ich ulepszenia.

Dzisiejszej nocy on nie był jej poddanym. Tacy jak on, nigdy poddanymi nie będą.

Równo o ósmej imperatorowa opuszcza pokoje i wychodzi na pałacowy ganek. Miejskie cechy ze sztandarami, mieszczaństwo i Żydzi już stoją wzdłuż ulicy aż do łuku triumfalnego. Dzwonią dzwony. Armaty odpaliły pierwszą salwę.

Władczynie muszą być wielkoduszne.

Omiata wzrokiem tłum dworzan, szlachty i cudzoziemców. Kacper Bujnicki – nie musi się wcale wysilać, żeby przypomnieć jego imię.

Nie ma go.

Siada do karety i macha ręką na pożegnanie. Do pierwszej stacji pocztowej będzie miała czas na drzemkę.

W ciągu trzech dni kwiaty jabłoni w sadach prawie się osypały.

Co powiedział na pożegnanie?

„Wasza wysokość, życzę pani długiego życia i władania."

Akcent na słowie „długiego". Co to może oznaczać?

Przedtem mówił o tych, co nigdy nie pogodzą się z losem, którego sami sobie nie wybrali.

„Nigdy, wasza wysokość."

To oznacza... To oznacza władać długo, żeby się przekonać... Dożyć do czasu, kiedy oni chwycą za broń...

Dziękuję, Lićwinie. Ona naprawdę będzie żyć długo. Przeżyje byłego kochanka, zwanego Stanisławem Augustem. Kuranty historii już szybko odegrają jego królestwu requiem.

Ją, rosyjską imperatorową, będzie witać dzwonami i salwami armatnimi Wilno. A ich herb, taki jak na sygnecie, który leży u niej w kieszonce, pozostawi jemu, myśliwemu Lićwinowi, jako dodatek do jego mrzonek. Ale to będzie tylko miejski herb. Zamiast wcześniejszego, magdeburskiego, ze statkiem na niebieskim tle, na srebrzystej wodzie...

Sen nie wiedzieć czemu nie nadchodzi.

A po drodze jeszcze mijają siedzibę unickiego arcybiskupstwa, przed którego bramą stoi sam połocki biskup ordynariusz, natręt o antycznym imieniu Jason i śmiesznym nazwisku Junosza-Smagorzewski.

Teraz od wizyty u unitów wykręcić się nie da.

Ukłony, pochlebcze uśmiechy. A co za nimi? Jakie myśli dojrzewają w łepetynach tych grekokatolików, co zbudowali przy bramie dwie wieże podobne do minaretów, a rezydencję swojego biskupa otoczyli murem z dwunastoma kapliczkami, i oknami przypominającymi wykusze?

Po co im taka forteca?

Biskup ordynariusz, w odróżnieniu od prawosławnych biskupów, stołecznych nie wyłączając, mówi biegle po francusku, co ją rozdrażnia jeszcze bardziej.

Idą w stronę sadzawki o zielonych brzegach, do błękitnej altanki.

Imperatorowej znienacka ostro i boleśnie zachciało się do domu, do Petersburga.

Ciasteczka do kawy są zupełnie świeże.

Altanka, gdzie przygotowano stół, znajduje się nad samą wodą, skąd na nią, władczynię, nieruchomym wzrokiem patrzą złote rybki. Nie rybki, a wykarmione rybie stwory, uzbrojone w przesadnie wielkie oczy-teleskopy.

Głębia zaczyna się od samego brzegu, co jej się też nie podoba, bo przypomina o zerwanym przez powódź moście i konieczności przeprawy przez Dźwinę łodzią.

Ale ta głębia ma też zaletę: imperatorowa opuszcza rękę za poręcz i biskup ordynariusz nie zauważa, jak błyska w słońcu srebrny sygnet z pieczęcią i jak rybie stwory uważnie odprowadzają go wyłupiastymi oczyma.

1998

Przełożyła Halina Maksymiuk

PIĘCIU MĘŻCZYZN W LEŚNICZÓWCE

GLORIA VICTIS

Majowa burza nasyciła swą wiosenną moc i popłynęła dalej nad puszczą, ale deszcz nadal szemrał tak uparcie, że w jego szumie ginęło tykanie starych kurantów. W ciasnej leśniczówce panował półmrok, w powietrzu unosił się zapach suszonej mięty i jeszcze jakichś ziół wiszących w mroku zapiecka. Rozdarta poduszka z porozrzucanym wokół pierzem i pęknięte dwojaki w kącie wskazywały, że gospodarze opuścili swoje domostwo w pośpiechu i nie wiadomo kiedy wrócą.

Jednak ludzie tu byli. Dwóch całkiem młodych i dwóch starszych mężczyzn w jednakowych szarych kubrakach bez frędzli i w wysokich do kolan butach. Na pierwszy rzut oka można było wziąć ich za myśliwych, którzy od rana tłukli się po lesie, a teraz schronili się przed nawałnicą.

Ale to nie byli myśliwi. Przy zimnym piecu stały ustawione w kozioł sztucery wojskowe, z jakimi raczej nie chodzi się na leśną zwierzynę. Za pasem każdy z mężczyzn miał zatknięty pistolet lub rewolwer. Trzej rozsiedli się przy oknach i raz po raz niespokojnie przez nie wyglądali. Czwarty leżał na wznak na szynelu rozścielonym na leżach za piecem, wzdłuż głuchej ściany. Jego prawa ręka spoczywała na temblaku.

Był w leśniczówce jeszcze piąty mężczyzna, już ani na jotę nie przypominający myśliwego. Miał na sobie dobrze dopasowany, ciemnozielony mundur carskiej armii z czerwonymi epoletami kapitana.

Ten piąty był jeńcem.

Mężczyźni milczeli. Chociaż każdy milczał na swój sposób, widać było, że teraz zaprzątają ich jednakowe myśli.

Jeszcze kilka godzin temu szerokie trawiaste podwórze leśniczówki rozbrzmiewało gwarem ludzkich głosów i rżeniem koni. Potem zgiełk ucichł i przy studziennej cembrowinie zastygł w bezruchu szereg zbrojnych ludzi. Na omszałym zrębie studni, na krótkiej lancy wisiał wyświechtany biało-czerwono-biały sztandar dotykający rożkiem ziemi. Ludzie po kolei występowali z szeregu, całowali go przyklękając albo na stojąco, po czym znikali za ścianą wiekowych jodeł, które ciasno otacza-

ły polanę. Niektórzy z nich przed rozpłynięciem się w gęstwinie lasu zatrzymywali się na chwilę, wznosili okrzyki na pożegnanie, inni zaś bez oglądania się przyspieszali kroku i popędzali konie.

Tydzień temu oddział powstańców wszedł ciemną nocą do powiatowego miasteczka Hory-Horki na wschodzie Białorusi. Na miejskim placu oczekiwała nań grupa kilkudziesięciu studentów miejscowego Instytutu Rolniczego. Ci z nich, którzy nie mieli broni, otrzymali strzelby i sztucery.

Zaskoczony oddział warty wewnętrznej bronił się z determinacją, ale niedługo. Powstańcy opanowali bez jednego wystrzału instytut, zajęli arsenał, koszary i kasę. Najdłużej bronił się, strzelając z okien swej kwatery, dowódca wartowni, ale o brzasku, który przyspieszyła łuna pożarów, strzelanina ucichła i całe miasteczko przeszło w ręce powstańców.

Oddziałem powstańców dowodził ciemnowłosy mężczyzna o wysokim czole pod konfederatką. Mężczyzna miał krzaczaste brwi nad wąskimi oczyma i przyczesane do dołu wąsy. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat. Jedno jego ramię było wyższe od drugiego. Swoim ludziom kazał nazywać się Toporem. W pochmurny ranek wygłosił przemówienie do niewielkiej grupy spędzonych naprędce na plac i przelęknionych mieszczan. Pięciu czy sześciu ludzi w urzędniczych uniformach bezskutecznie próbowało wywołać owacje. Topór wzruszył ramionami, zeskoczył z dwukonnej bryczki i dał podwładnym rozkaz, by przygotowali się do ceremonii.

Niebawem mieszczanie, którzy pozostali w domach i zerkali zza zasłoniętych firanek i przez szczeliny w zamkniętych okiennicach, znów usłyszeli wystrzały. Powstańcy oddawali honory wojskowe swym zabitym towarzyszom. Grzebali ich pod młodymi brzózkami na wysokim brzegu rzeki. Nie było czasu na zbijanie trumien, więc opuszczali ciała do ziemi zawinięte w zarekwirowane perskie dywany.

Wieczorem powstańcy pozostawili ciężko rannych w dormitorium instytutu i na lekkich furmankach oraz wierzchowcach zarekwirowanych w miejscowej stadninie ruszyli w kierunku Kryczewa. Topór prowadził swoje sto pięćdziesiąt szabel i strzelb, by połączyć je z oddziałem Kosy. Powstańcy otrzymali rozkaz opanowania mohylewskiego parku artyleryjskiego i przebicia się na zachód.

Zajęcie Horek było ich pierwszym i jedynym zwycięstwem.

W ciągu sześciu dni paląc dokumenty w urzędach gminnych, wywracając słupy telegraficzne i konfiskując przesyłki pocztowe oddział przeszedł polnymi i leśnymi drogami ponad sto wiorst. W każdej wsi powstańcy zwoływali chłopów i odczytywali im manifest o nadaniu ziemi oraz likwidacji pańszczyzny. Jednak z każdym dniem ich marsz coraz bardziej przypominał miotanie się osaczonego zwierzęcia. Oddziały z Orszy i Kryczewa były już rozgromione, a dowódca orszan Budziłowicz czekał w twierdzy na rozstrzelanie. W okolicy wciąż krążyły plotki, jakoby pod dowództwem Topora nadal pozostawało około pół tysiąca uzbrojonych po zęby ludzi, z sąsiedniej Smoleńszczyzny wciąż słano do stolicy paniczne telegramy z prośbą o przysłanie dodatkowych wojsk, ale rzucone przeciwko oddziałowi cztery kompanie piechoty i dwudziestu kozaków z armatą coraz szczelniej zaciskały pierścień okrążenia. Aby odciąć buntownikom drogę za Dniepr, wszystkie promy i czółna zostały przeprawione na drugi brzeg. Rozstawiono przy nich chłopskie warty. Za pojmanie uzbrojonego powstańca chłopi otrzymywali od ojczulka-cara po pięć rubli, a za nieuzbrojonego trzy.

Wczoraj o świcie Topór wyprowadził prześladowców w pole, przeprawił się przez Pronię i spalił za sobą prom. Jednak nadzieja, że oddział przebije się do mińskich lasów, zgasła już nawet w najbardziej mężnych sercach.

Dzisiaj koło leśniczówki Topór, którego prawdziwe imię pozostawało pewnie tajemnicą i dla jego adiutanta, zwrócił się do powstańców z krótką przemową. Mówił urywanymi, prostymi zdaniami bez żadnego patosu. Walczyć do ostatniego to pójść obecnie na rękę carskim generałom. Powstańcy powinni oszczędzać siebie dla dalszej służby sprawie. Wydostać się z okrążenia można jedynie małymi grupkami. Kto nie ma w sobie dość woli do kontynuowania walki, niech się podda. Ci, którzy złożą broń nie później niż pojutrze, zostaną objęci rządową amnestią. W spokojnym głosie dowódcy nie było ani niepewności, ani przygnębienia. Tak przemawiać mógł tylko ktoś, kto bez reszty wypełnił swój obowiązek wobec swoich ludzi i teraz może umrzeć albo żyć dalej z czystym sumieniem.

Po rozwiązaniu oddziału koło leśniczówki, nad którą napływała czarna chmura burzowa z żółtawym podbrzuszem, razem

z Toporem pozostał jego adiutant Zdzisław Mitkiewicz oraz jeszcze dwaj inni: wolny słuchacz Instytutu Rolnictwa Sokołow z przestrzeloną ręką i dowódca już nie istniejącego pierwszego plutonu, student Józef Antonowicz. Pozostali nie dlatego, że byli przyjaciółmi. Jeśli nie brać pod uwagę przyjacielskich stosunków pomiędzy dowódcą i adiutantem, byli oni po prostu towarzyszami broni. Być może połączyło ich intuicyjne przeświadczenie, że dopóki są razem, ich oddział nadal istnieje. Był jeszcze jeden powód – jeniec, którego ani na krok nie odstępował Antonowicz. Kapitana artylerii Krynickiego wzięto do niewoli w nocy na poczcie, po zaciętej strzelaninie, w której jeden z powstańców zginął na miejscu, a drugiego, ciężko rannego w brzuch, trzeba było pozostawić w domu naczelnika. O losie jeńca, który w czasie strzelaniny nie został nawet draśnięty na razie nie zdecydowano.

Lekko zardzewiałe wahadło nie wiadomo przez kogo uruchomionego zegara wytrwale odkrawało od wieczności sekundę za sekundą, łączyło je w minuty, a deszcz padał i ani myślał przestać. Deszcz polewał słomiane strzechy chlewika i szopy, przy której stała porzucona przez powstańców furmanka. Moczył ciemne gałęzie zasadzonego tuż przy domu dębu, który jakby nie dowierzając pierwszemu wiosennemu ciepłu nie spieszył się z puszczaniem pąków. Deszczowe krople wbijały w ziemię młode dmuchawce.

Niebo nad leśniczówką było ciężkie i nieprzeniknione. Właśnie podczas takiej pogody przychodzą ludziom do głowy najbardziej beznadziejne i posępne myśli. Tym bardziej, że nieopodal czyha śmierć, a jednego z nich może odwiedzić już wkrótce, bowiem walczył przeciwko czterem pozostałym i zabił ich towarzysza, a może nawet dwóch, ponieważ ranny w brzuch powstaniec mógł nie przeżyć.

Milczenie stało się wręcz nie do zniesienia. Należało jak najszybciej przerwać tę dręczącą ciszę, coś zrobić albo przynajmniej coś powiedzieć. Chyba najostrzej odczuł tę potrzebę adiutant Mitkiewicz, przysadzisty mężczyzna z garbatym nosem, rudą brodą i bokobrodami oraz o zmęczonej z niewyspania twarzy. Pierwsze słowa po półgodzinnym milczeniu wypowiedział właśnie on, choć nie należał do rozmownych.

– Przypomniał mi się mój dziadek po kądzieli. Staruszek zwykł powtarzać, że w każdej sytuacji należy przede wszystkim się posilić.

Topór z lekkim uśmiechem skinął głową i adiutant otworzył podróżny kuferek. Na skraju nierównego stołu rozścielił serwetkę i wyjął na nią czarne suchary, kawałek słoniny i oplecioną rzemieniami manierkę. Teraz chyba wszyscy przypomnieli sobie, że od rana nie mieli nic w ustach. Odrętwienie minęło jak ręką odjął i wszyscy się ożywili, tylko jeniec siedział z poprzednią obojętnością na jedynym w domku krześle, niezgrabnej imitacji dworskich mebli. Kiedy jednak Topór ruchem ręki zaprosił go do stołu, oficer też się ożywił i ochoczo przysunął do pozostałych.

Dowódca i adiutant upili z manierki na siedząco i w milczeniu. Kiedy jednak kolejka doszła do Antonowicza, ten zerwał się na równe nogi, teatralnie uniósł manierkę i wzniósł gromki toast: „Za odrodzenie Ojczyzny!" Był to wysoki młodzian o szczupłej dziewczęcej figurze i łagodnej twarzy bez zarostu. Gdyby nie wielkie wiśniowe znamię na prawym policzku, na pewno uchodziłby za urodziwego. Antonowicz pił odrzucając jasnokasztanowe włosy do tyłu, na jego chudej szyi przesuwało się ostre jabłko Adama.

– Pan się zapomina, nie jesteśmy na przyjęciu – skarcił go dowódca, gdy Antonowicz oderwał się wreszcie od manierki. Na śniadym policzku młodzieńca pojawił się rumieniec. Jednak przemilczał uwagę dowódcy i podał manierkę rannemu. Sokołow niezgrabnie ujął naczynie zdrową ręką i tylko umoczył usta. Kiedy dwadzieścia lat temu rodzice tego adepta rolnictwa nazwali syna Apollem, to wyraźnie spudłowali. Jego szeroka nieładna twarz z rzadkimi, jakby wyskubanymi wąsami i niezgrabna figura tak dalece nie odpowiadała antycznemu ideałowi urody, że imię wywoływało powszechne kpiny. Tylko oczy Sokołowa były zaskakująco ładne. Poprzez ich głęboki błękit przebijała wrodzona dobroć i współczucie.

Topór ponad stołem podał manierkę jeńcowi.

– Niech żyje chrześcijańskie miłosierdzie – kapitan z ironią w głosie ujął naczynie. – Nakarmią człowieka, napoją, a potem...

Nie dokończył.

Kapitan Krynicki przekroczył trzydziestkę. Nosił krótko ostrzyżone włosy, miał spierzchniętą twarz o twardych rysach, szczere spojrzenie w brązowych oczach, wąskie usta, a nad nimi czarną szczoteczkę wąsów. Widać było po nim, że chyba żałuje swojego sarkazmu, bo teraz chrupał suchary z pewnym zażenowaniem. Antonowicz zerkał na więźnia spode łba, co nie

wróżyło nic dobrego. Sokołow spoglądał na kapitana ze zrozumieniem, a z kamiennych twarzy dowódcy i adiutanta niczego nie dało się wyczytać.

Po posiłku ranny znów zajął swoje miejsce na leżach za piecem. Topór i Mitkiewicz wrócili do okien, a student oparł się plecami o ścianę i zapadł w drzemkę. Sen wypogodził jego oblicze. W kącikach pełnych warg zagościł dziecięcy uśmiech.

Grzmoty znowu zaczęły się przybliżać – burza wracała. Nagle piorun rozdarł monotonny szum deszczu zupełnie niedaleko. Antonowicz ocknął się i otworzył oczy. Natychmiast zorientował się w swoim obecnym położeniu i uśmiech na jego twarzy zgasł jak płomyczek w podmuchu wiatru.

– Wiecie, co mi się przyśniło? – odezwał się po chwili milczenia. – Zdarzenie dokładnie sprzed roku.

– Nie powiedziałbym, że zrozumieliśmy, o co panu chodzi, – odezwał się dowódca nie przestając czyścić rozłożonego na kolanach rewolweru.

– Wiem, obywatelu Topór, że uznacie to za śmieszne, ale chciałbym o tym opowiedzieć. Będę opowiadać i też się śmiać – z jakąś chorobliwą werwą odrzekł młodzian. – Tak więc rok temu akurat o tej porze – ciągnął – urządziliśmy święto z manewrami. Co to był za ubaw, panowie! Zebraliśmy się na folwarku dwie wiorsty od miasta. Najpierw śpiewaliśmy, wygłaszaliśmy mowy. Potem ćwiczyliśmy strzelanie. Zgadnijcie, do czego strzelaliśmy?

Antonowicz powiódł po zebranych dumnym wzrokiem.

– To były rosyjskie herby. Strzelaliśmy do carskich herbów. Temu, kto z odległości pięćdziesięciu kroków dwoma strzałami trafił w obydwie orle głowy, panna Helena podawała puchar ze święconą wodą. Panna Helena też zresztą strzelała do tych orłów!

Na dźwięk tego imienia Sokołow poruszył się i zaczął coś spiesznie poprawiać przy rannej ręce. Jeniec zauważył jego reakcję i spojrzał nań z zainteresowaniem.

– A potem fajerwerki... – Student na chwilę zamknął oczy. – Ale najciekawsze było jeszcze przed nami. Po drodze do domu natknęliśmy się na pleciony parkan długi na piętnaście sążni, oddaliśmy salwę i w mgnieniu oka zdobyliśmy tę fortecę szturmem. Wyobrażacie sobie? A tu nagle jak spod ziemi wyrasta przed nami piskliwy grubas – inspektor Iwerson. *Wy niemiedlenno dołżny rozojtiś! Inacze wy isportitie wsiu swoju*

*żyźń!** Dopóki groził nam najstraszliwszymi karami ze strony dyrekcji, jakoś to znosiliśmy. Gdy jednak zaczął nam grozić w imieniu samego imperatora, poniosło nas. Może widzieliście kiedyś, jak prowadzą do obory narowistego barana? Koncza ciągnął Iwersona za krawat a ja popędzałem go z tyłu kijem... Po dwóch miesiącach przybyła do instytutu komisja śledcza, ale nie znalazła ani jednego świadka tego incydentu i pan inspektor pozostał nieusatysfakcjonowany. Co to była za zabawa, panowie! Gdybyż mogła trwać wiecznie...

– Niechby wiecznie trwał ten dzień, kiedy zdobyliśmy miasto – odezwał się ranny.

– Pamiętacie, jak nas przyjmowano u profesora Żabienki! – Antonowicz ochoczo podtrzymał studenta. – Jak panna Helena z siostrą tańczyły polkę...

– Sądzę, że wasz Iwerson doniósł również na nie – podkreślił dowódca.

– Zaledwie pięć dni temu! To naprawdę tylko pięć dni? – Antonowicz jakby nie słyszał ostatnich słów dowódcy. – Ten entuzjazm i zwycięstwo, i przekonanie, że jeszcze wszystko przed nami! Pięć dni... A teraz?..

– Życie nie sprzyja marzycielom, panie Antonowicz. Powiem więcej, życie dla nich jest okrutne. – Topór skończył czyszczenie rewolweru i odruchowo wetknął go za pas. – Nie jestem przeciwko miłym wspomnieniom, ale pamiętajcie, że nie jesteśmy sami.

Wzrok studenta skierował się w stronę jeńca i zapłonął nieskrywaną nienawiścią.

– Obywatelu Topór, nie rozumiem dlaczego dotąd nie wydał pan rozkazu... Przecież mamy prawo mścić się, a ja...

Twardy wzrok dowódcy powściągnął go, ale młodzieńcza porywczość z trudem dawała się okiełznać.

– A jednak nie na darmo chwyciliśmy za broń! Nie na darmo! – odezwał się Antonowicz. Widać było, że próbuje przekonać nie tyle swych współtowarzyszy, co siebie samego. – Własną krwią zakreśliliśmy granice przyszłej Ojczyzny!

– Panowie z rządu byliby z pana dumni– zauważył dowódca.

– Ani na Litwie ani w Polsce nasze oddziały nie zdobyły więcej żadnego miasta! – z wyzwaniem w głosie podkreślił Antonowicz, a ranny skinieniem głowy przyznał mu rację.

* Natychmiast się rozejść! Bo inaczej zmarnujecie całe swoje życie! (*ros.*)

– Mogę tylko powtórzyć, co mówiłem wcześniej – zmęczonym głosem odparł dowódca. – Zresztą w ogóle pana nie winię! W pańskim wieku człowiek chętniej reaguje na piękne słowa, aniżeli na głos rozsądku.

– Mnie do insurekcji przywiodły przekonania, a nie piękne słowa. – Antonowicz był wzburzony. Wstał i zaczął nerwowo przemierzać pokój do drzwi i z powrotem. – Nie było żadnych innych powodów...

– Jakich innych? – dowódca jakby od niechcenia podjął temat. Ranny poruszył się niespokojnie. – Pewnie wiecie, jak trafił do oddziału niejaki Orlicki! Teraz mogę wyjawić jego tajemnicę. Pewnego razu podczas postoju Orlicki w przypływie szczerości wyznał, że to jego narzeczona zażądała od niego dowodów męstwa.

– Brawo! Brawo! – nieoczekiwanie odezwał się rozbawiony jeniec. – Miłość jako źródło poglądów politycznych, albo jak pozbyć się natrętnego adoratora! Panowie, pozwólcie mi włączyć się do rozmowy! Możecie uznać to za moje ostatnie życzenie.

W słowach Krynickiego pobrzmiewał radosny, beztroski ton, a nawet chęć do żartów.

– Nikt nie może odmówić człowiekowi prawa do ostatniego życzenia – tym samym niefrasobliwym tonem odrzekł dowódca.

– Chciałbym zauważyć – wtrącił adiutant, zwracając się do studenta – że Orlicki szturmował arsenał tak, jakby niczym innym w życiu się nie zajmował.

Antonowicz skrzywił się z pogardą.

– Zawsze miałem wrażenie, że Orlicki w każdej chwili może zdezerterować i pobiec prosto na bal do Bieklamiszewa.

Piorun zagłuszył słowa młodzieńca, ale jeniec je dosłyszał.

– Panie Antonowicz! Właśnie wspomniał pan naszego gubernatora! Czy wiadomo panu, jak jego ekscelencja zrobił karierę?

– W policji – odrzekł student spoglądając gdzieś w bok.

– A czy wie pan o tym, że w młodości gubernator wyznawał ideologię Fourie'ra* i był zamieszany w sprawę Pietraszewskiego**?.. Oto co czas robi z gorącymi głowami...

* Fourier Charles (1772–1837) – myśliciel francuski, twórca jednej z głównych odmian socjalizmu utopijnego.

** Pietraszewski Michaił W. (1821–1866) – propagator idei socjalistycznych w Rosji; założyciel tajnych kółek młodzieżowych.

Student przystanął przed jeńcem, kładąc rękę na rewolwerze.

– To wygląda na kpinę... – rzekł groźnie.

– Obywatelu Antonowicz!

– Obywatelu Topór! – student zwrócił się w stronę dowódcy.

– Co jeszcze chce nam pan powiedzieć? – spokojnie zapytał dowódca.

– To... to, że nie bacząc na nic zwyciężymy!

Sztubackie zachowanie Antonowicza było tak żarliwe i wzruszające, że zimne spojrzenie dowódcy pociepłało.

– Możliwe – odrzekł dowódca niespodziewanie spokojnym głosem. – Ale nie teraz i nie tutaj. Tutaj już niczego nie osiągniemy. *C'est une affaire flambée**. Chłopi wierzą w cara i nie wierzą nam, a bez nich jesteśmy niczym. Ponadto panowie z Rządu Wileńskiego skasowali wszystkie dekrety czerwonych. Jeśli ktoś z tych „rewolucjonistów" trafi w moje ręce, to daję słowo, osobiście powieszę go na najbliższej gałęzi.

– Jednak w oddziale Kosy było dwudziestu chłopów – przypomniał Antonowicz.

– Tak, ale co się z nimi stało po dwóch dniach? – sucho zapytał Topór.

– Proszę sobie przypomnieć – nie ustępował student – jak odczytywał pan w cerkwi manifest, a chłopi całowali nas po rękach...

– Całowali, ale jeszcze tego samego dnia ostrzegli przed nami kozackie forpoczty – skrzywił się dowódca. – Chłopi chcą, żeby ziemia należała do nich, a nasi panowie boją się takiego powstania jak diabeł święconej wody. Tutaj cały ich patriotyzm ulatnia się. Nie dalej niż wczoraj spłacali swój dług wobec Ojczyzny pałętając się od dworu do dworu w konfederatkach i wznosząc toasty... – Zerkając na chuderlawą postać Antonowicza, który nie przestawał chodzić w tę i z powrotem, urwał myśl. – Natomiast dzisiaj siedzą w domu i piszą takie oto listy – dodał.

Topór wyciągnął z kieszeni zmiętoszoną kopertę.

– Znalazłem ją w worku z zarekwirowaną pocztą – wyjaśnił i z pogardliwym grymasem jął czytać.

„Do naczelnika policji trzeciej rangi Puciłło K. E. Wczoraj po powrocie do domu z gubernialnego miasta Mohylewa zastałem u siebie ludzi, którzy ograbili dwór, zebrali chłopów i obwieści-

* To przegrana sprawa (*franc.*).

li im jakąś nielegalną wolność... W związku z powyższym najuniżeniej proszę waszą ekscelencję..." I tak dalej. Podpisano: „Ziemianin August Minkiewicz."

Student z obrzydzeniem splunął do zapiecka.

– Jednak nie wszyscy są tacy! – Antonowicz uderzył pięścią w stół.

– Z nami są najbardziej wartościowi ludzie cesarstwa. – Ranny siadł na legowisku i opuścił nogi na podłogę. Na jego nieładnej twarzy wykwitł rumieniec.

Jeniec odwrócił się w jego stronę i powiedział ironicznie:

– Wnioskując z pańskiego stylu, przynajmniej jednego z takich ludzi mamy okazję oglądać w tej chwili.

– Z powstaniem solidaryzuje się wielu moich krajanów. Oto... – Lewą ręką Sokołow niezdarnie rozpostarł na kolanie pomięty i złożony po wielokroć arkusz papieru. – Ta odezwa krążyła niedawno w orszańskiego garnizonie.

Jeniec sprawiał wrażenie, jakby coś go rozbawiło. Podszedł do Sokołowa i spojrzał na papier.

– „Żołnierze i oficerowie! Nie plamcie swoich rąk krwią..." – przeczytał. – Tak, tak...

Odprowadzony ciężkim spojrzeniem Antonowicza oficer wrócił na swoje krzesło, ale z jego twarzy nie znikło dziwne ożywienie.

– Chcę powiedzieć, że ten dokument jest mi znany. Jeśli panowie pozwolą... – Krynicki pytająco spojrzał na dowódcę.

Topór skinął głową z aprobatą.

– Sprawa miała się tak. Mniej więcej półtora miesiąca temu do naszego pułkownika Muchina zgłosił się ogniomistrz i dwaj żołnierze z taką samą odezwą, którą pan, panie studencie, przepraszam, panie powstańcu, trzyma w ręku i która wzbudza w panu taki żar. Niech panowie nie myślą jednak, że ci żołnierze przyszli zaagitować pułkownika. Oni przyszli złożyć donos. Przecież to takie ludzkie, panowie – Krynicki uśmiechnął się niewyraźnie. – Żołnierze oświadczyli dowódcy, że proklamację wraz ze złotówką wcisnął im do rąk nieznajomy w białym półkożuszku na ulicy. Oczywiście, po wspomnianej złotówce nie pozostało już ani śladu. Pułkownik przekazał odezwę wraz z rysopisem tego człowieka horodniczemu, swemu serdecznemu przyjacielowi. Od niego dowiedzieliśmy się, jak potoczyły się dalsze wypadki. Wieczorem i w nocy, jak należało oczekiwać, policja nikogo nie

znalazła, ale rano horodniczy przypomniał sobie, że osobiście widział tego człowieka w półkożuszku na ulicy. Nawet go znał. Był to, notabene, panowie, pisarz siódmego okręgu łączności Mieczysław Sawinicz, który przyjechał w gości z Mohylewa. Bo w urzędzie skarbowym w Orszy jako pisarz służył jego rodzony brat. Horodniczy zawezwał tego orszańskiego pisarza do siebie, a ten potwierdził, że jego brat rzeczywiście ma biały półkożuszek. Po kwadransie (zauważcie panowie, ile czasu wystarczyło na podjęcie decyzji, żeby zadenucjować innego człowieka), do horodniczego przybiegł sam Mieczysław Sawinicz. Przybiegł i zaczął się wypytywać, czy horodniczy nie podejrzewa go o jakiś niecny uczynek. I oświadczył między innymi, że jeśli otrzyma zaświadczenie o swojej niewinności, to wskaże prawdziwego winowajcę i podpowie, gdzie go schwytać.

Czterej mężczyźni słuchali słów kapitana z najwyższą uwagą.

– Panowie, wszyscy doskonale wiemy, że zaświadczeń o niewinności nie wydaje się z zasady – ciągnął jeniec. – Takowe po prostu nie istnieją. Horodniczy dokładnie to powiedział Sawiniczowi. A ten utrzymywał, że gdy przed kilkoma dniami poznał autora proklamacji w cukierni, od razu nabrał wobec niego podejrzeń, ale postanowił podtrzymać z nim znajomość wyłącznie po to, żeby potem donieść na niego na policję. Sawinicz tak dalece wczuł się w swoją rolę, że zaczął nie tyle prosić, co żądać zaświadczenia, że jako pierwszy złożył donos. Jednak horodniczy był nie w ciemię bity i umiał się targować. Zauważył, że można było złożyć donos bez wręczania proklamacji żołnierzom. Na tym handel się skończył. Wtedy Sawinicz ujawnił, że człowiek z odezwami udał się na piechotę do Witebska. Sawinicz wyraził gotowość osobiście uczestniczyć w pościgu i ruszył z dwoma policjantami na pocztowych koniach. Na szóstej albo siódmej wiorście dogonili człowieka, który miał przy sobie pistolet i plik proklamacji... Teraz czeka go katorga.

– Podlec... – wycedził przez zęby Antonowicz. – Rozstrzeliwać takich!

Jeniec uniósł brwi.

– Kogo ma pan na myśli?

– Pańskiego Sawinicza!

– Co do podłości, to całkowicie się z panem zgadzam. Ale Sawinicz jest mój w takim samym stopniu, jak i pana, panie powstańcu.

Znowu uderzył piorun i przetoczył się z suchym trzaskiem.

– Po co pan nam o tym opowiedział? – zainteresował się dowódca, kiedy wybrzmiał grom.

– Chciałem zapytać, jak panowie zamierzaliście zwyciężyć z takimi patriotami, jak Sawinicz?

– I tylko tyle? – Topór krótko przyjrzał się jeńcowi. Ich spojrzenia zetknęły się na moment i rozleciały jak dwie bile po uderzeniu wprawnego gracza.

Jeniec twierdząco skinął ostrzyżoną głową. W kącikach jego mocno zaciśniętych ust zastygł jakiś uśmieszek, ale w półmroku leśniczówki mogło się tak jedynie wydawać.

– Ilu by takich drani nie żyło wśród jakiegoś narodu, to wierzę, że uczciwych ludzi jest w nim jednak więcej – powiedział ranny. – Ja... my wszyscy... chcielibyśmy uważać za uczciwego człowieka również pana.

Antonowicz machnął ręką na znak protestu.

– Niech pan oszczędza siły – szyderczo powiedział jeniec do Sokołowa. – Proszę mi wierzyć, niczego panowie nie osiągną. – Uśmiechnął się kpiąco. – Szczerze mówiąc, widziałbym wśród powstańców raczej siebie, niźli pana. Pan jest Rosjaninem, szlachcicem... Co pana do nich przywiodło? Czyżby też kaprys jakiejś panienki? – Wydawało się, że Krynicki chciał powiedzieć coś jeszcze, ale niespodziewanie zamilkł.

– Kiedy powstanie zwycięży, to dopomoże w wyzwoleniu i mojej Ojczyzny – łamiącym się głosem odparł Sokołow.

– Pan wkracza w sferę sofistyki. Pański naród i ojczyzna są wolne.

– Naród panujący nad innymi nie może być wolny. Taki naród degeneruje się i wpada w duchową niewolę.

Wąskie oczy Topora patrzyły na rannego z niekłamanym zdumieniem.

– Zdaje pan sobie sprawę, że pana będą sądzić znacznie surowiej, aniżeli wielu innych spośród pańskich towarzyszy – po dłuższej przerwie odezwał się jeniec.

– *Mon siege est fait** – podniecony Sokołow nerwowo szarpnął zranioną ręką i skrzywił się z bólu. – Nie wiem, co nas czeka, ale czuję, że tych kilka dni było najważniejszymi dniami

* Zrobiłem swój wybór (*franc*.).

w moim życiu. Człowiek powinien jakoś usprawiedliwić swoje przyjście na ten świat...

Spoza pleców jeńca Antonowicz dawał koledze znaki wyrażające zachwyt dla jego postawy.

– Pan jest jeszcze bardzo młody... – W głosie kapitana nie było już szyderstwa, a wyczuwało się ni to współczucie, ni to niejasny smutek.

– Nie wszystko da się wytłumaczyć młodym wiekiem, panie kapitanie – odpowiedział za rannego dowódca.

Sokołow nadal krzywił się z bólu i nie mógł usadowić się wygodniej. Mitkiewicz oderwał wzrok od okna, skinieniem głowy dał znać Antonowiczowi, aby ten zajął jego miejsce. Potem obmacał zranioną rękę Sokołowa i zaczął odwijać bandaż.

– Kogo tu może przynieść w taki deszcz? – Antonowicz odwrócił się plecami do okna i obserwował wprawne ruchy adiutanta.

– Czy ktoś ma szarpie? – zapytał adiutant, ostrożne odwijając resztę poczerniałego od zakrzepłej krwi bandażu.

Antonowicz zerwał się i wyciągnął z polowej apteczki niewielkie zawiniątko. Słowa, które przy tym wypowiedział, nie były potrzebne, ale widocznie nie mogł się powstrzymac od ich wypowiedzenia.

– Te szarpie skubała panna Helena...

Skupienie na twarzy rannego raptem przeszło w zmieszanie, ale młodzieniec szybko się opanował. Mitkiewicz położył świeże szarpie na odkrytą ranę i z powrotem zaczął bandażować rękę. Kiedy skończył, rozdarł zębami koniec bandażu i zawiązał go w zgrabny węzeł.

– Boli? – zapytał i nie czekając na odpowiedź przyniósł manierkę ze stołu.

W nienapalonej chacie było chłodno. Tym razem ranny pociągnął kilka dobrych łyków. Od razu się zakaszlał i Mitkiewicz delikatnie poklepał go po plecach, po czym podał naczynie dowódcy. Ten odmownie pokręcił głową. W oczach Antonowicza pojawiły się iskierki, niczym u urwisa, który zamierza spłatać figla. Nie były jednak wesołe, lecz mroczne i zacięte. Kiedy przyszła jego kolej, potrząsnął manierką i zawołał z wyzwaniem:

– Za naszą wielką Ojczyznę w granicach z siedemdziesiątego drugiego roku!

– Zdaje się, że już panu mówiłem, że nie jesteśmy na balu – skarcił studenta Topór, ale w jego spokojnym głosie pojawiła się nutka rozdrażnienia. – Mam wrażenie, że ja i pan walczymy o różne sprawy. Jestem przeciwny wyłącznym prawom szlachty. Jestem za tym, aby dać chłopom ziemię i prawdziwą wolność. A bez tego, za przeproszeniem, chłopi mają gdzieś odrodzenie ojczyzny...

– Jak pan... – żachnął się Antonowicz, – jak pan może!

– Mogę. Choćby dlatego, że dla tego odrodzenia zrobiłem więcej aniżeli pan, obywatelu dowódco pierwszego plutonu. Zresztą, mam nadzieję, nie będzie mnie pan przekonywać, jak niektórzy, co do polskości chłopów z tych wsi, przez które przechodziliśmy.

– Aha! Widzę, że mamy tu jednego z tych panów separatystów?! Z tych, co to nagle odkryli Białoruś i uczepili się jej, jak topielec brzytwy. Słyszałem, że któryś z nich wydaje nawet gazetę w chłopskiej gwarze*.

– A czemuż to pana tak drażni, że ktoś wydaje gazetę w języku zrozumiałym dla chłopów?

– Dlatego, że teraz jak nigdy przedtem musimy się zjednoczyć pod jednym sztandarem. Byli wśród naszych tacy, co to chodzili uczyć chłopów w konspiracyjnej szkółce. Zawsze uważałem, że to błąd. Przyszłość tego narodu widzę tylko w zespoleniu z nami. – Antonowicz z zapamiętaniem wymachiwał manierką.

– Dlaczego? – W głosie Topora nie było już rozdrażnienia. Sprawiał wrażenie, że dyskusja naprawdę go zafrapowała.

– Chociażby dlatego, że... No niech pan powie, gdzie są ich poeci? Gdzie historycy? Politycy? Przecież oni nikogo nie mają.

W wąskich oczach dowódcy błysnęła złość.

– Obywatelu Antonowicz! Może słyszał pan o metodzie, dzięki której można udowodnić, że organy słuchu u pająków znajdują się na odnóżach?

– ???

– Kładzie się pająka na stół i każe mu biec. Ów biegnie. Później wyrywa się mu nogi i znowu każe biec. Owad, oczywi-

* Mowa o gazecie „Mużyckaja Prauda" (Chłopska Prawda), wydawanej nielegalnie w latach 1863–1864 przez jednego z dowódców postania styczniowego na Białorusi, Konstantego Kalinowskiego.

ście, nie może biec. Stąd wysnuwa się wniosek, że pająk ma uszy na nogach.

– Nie bardzo rozumiem... – podejrzliwie odezwał się młodzian.

– To ten sam sposób rozumowania, jak u pana, panie Antonowicz. Najpierw język całego narodu zamykają w chłopskiej chacie, a później rozkładają ręce: widzicie, ten naród nie jest zdolny do stworzenia własnej literatury. Odzierają go z jego historii, każą zapomnieć o przeszłości, z jakiej mógłby być dumny każdy inny europejski naród, a później pytają: a gdzie wasi historycy?..

– Brawo! – wtrącił się jeniec. – Obawiam się, że nasz młody przyjaciel nie zdoła temu zaprzeczyć.

– Można panu pogratulować, obywatelu Topór – kąśliwie zauważył student. – Znalazł pan zwolennika.

Topór puścił tę uwagę mimo uszu i powiedział:

– Panie Krynicki, rozumiem, dlaczego przysłuchiwał się pan naszej rozmowie tak uważnie.

– Jeśli ma pan na myśli moje pochodzenie, to ma pan rację. Pochodzę z dziedzicznej połockiej szlachty. Jednak nie chciałbym, panie Topór, aby pozostały jakieś niedomówienia. Honor cenię więcej niż życie. Poza tym, nawet gdybym nie był związany przysięgą i podzielał wasze poglądy, to i tak nie mam zwyczaju angażować się w przedsięwzięcia skazane na niepowodzenie.

– Jakie przedsięwzięcia uważa pan za skazane na niepowodzenie? – ostro zapytał Topór.

– Takie, które nie pozostawiają po sobie niczego prócz krwi i sierot – równie bezpardonowo odpowiedział jeniec. – Może dla pana i pańskich przyjaciół to ostatnie jest bez znaczenia, ale ja mam dwoje dzieci, za które odpowiadam przed Bogiem i samym sobą.

– A on ma ich czworo – Topór wskazał na swego adiutanta.

Jeniec zmieszał się. Wyglądało, jakby czuł się winny. Można było pomyśleć, że kapitan wiedział, ile dzieci ma Mitkiewicz. Po chwili jednak jeniec wziął się w garść, ale jego głos już nie brzmiał tak pewnie.

– Jeśli się nie mylę, panie Topór, swego czasu pan powiedział, że przegra pan swoją grę.

– Będę z panem dyskutować w tej kwestii, panie kapitanie!

– Wydaje mi się, że ostatnie słowo w tej dyskusji i tak będzie należało do pana.

Złowrogi sens tej wypowiedzi najwidoczniej dotarł i do rannego powstańca. Sokołow usiadł, rozejrzał się po izbie, jakby szukając jakiegoś wsparcia, i jego wzrok spoczął na zegarze, którego ciężarek opuścił się do samej podłogi. W jego oczach błysnęła rozpacz. Natomiast Antonowicz wyraźnie się ożywił. Tylko Mitkiewicz nie zdradzał swych uczuć, jakby cała ta rozmowa w ogóle go nie dotyczyła.

– Nie zgadzam się z panem, kapitanie – podjął Topór. – Tak, tym razem nasza walka najpewniej zakończy się klęską. Ale to nie oznacza, że w ogóle zakończy się niczym. Po wsze czasy byli ludzie, którzy angażowali się w tak zwane przegrane sprawy. Gdyby nie ci ludzie, pewnie dzisiaj siedzielibyśmy z panem nie tu, ale gdzieś przy samowarze, spędzając czas na rozmowie, dlaczego ktoś otrzymał kolejny awans, a ktoś inny został pominięty. Bylibyśmy lojalnymi poddanymi cara, zadowoleni z życia, jak zadowolone bywają bydlęta. Czy pan rozumie, o czym mówię? O tym, co nazywają ideałami. Jestem pewien, że gdyby nie powstanie Kościuszki, gdyby nie powstanie trzydziestego roku, nie byłoby ani dzisiejszego dnia, ani mnie, ani moich ludzi. Pana również by nie było, panie kapitanie. – Ramię Topora uniosło się jeszcze wyżej. – Ideały żyją, dopóki trwają w ludzkich sercach. Kiedy pozostaną tylko na kartkach ksiąg, umrą. Księgi można ukryć w niedostępnych archiwach albo po prostu spalić. Żeby ideały mogły żyć, ktoś powinien oddawać za nie życie. Taka jest prawda. Stąd powiedzenie – *Gloria victis!* Pewnie tym razem nie zwyciężymy, ale z czasem ludzie sobie uświadomią, że nie są bydłem, ale narodem. – Topór zacisnął pięść. – Narodem, który już ma imię, a z czasem poczuje dumę.

– Dla takich oracji niech pan szuka słuchaczy wśród gołowąsów – ze złością odparł Krynicki. – Ze mną panu nie wyjdzie! Proszę już nie tracić czasu i rozstrzelać mnie, *pour encourager les autres**.

Antonowicz przysunął się do dowódcy i coś mu szepnął. Topór milczał. Jego niskie brwi zasępiły się jeszcze bardziej.

Za oknami szemrał deszcz. Jeniec niedbale zarzucił nogę na nogę i obojętnym wzrokiem patrzył na zegar, który wskazywał

* Żeby podtrzymać na duchu pozostałych (*franc.*).

za pięć piątą. Sokołow próbował uchwycić spojrzenie dowódcy, ale ten utkwił beznamiętny wzrok w zakurzonym kącie izby.

Strzałki zegara wskazały piątą. Jeniec nagle wstał.

– Panie Topór, potrzebuję na stronę.

Antonowicz zerwał się z ławki. Dowódca i Mitkiewicz wymienili się krótkimi spojrzeniami i adiutant też wstał.

– Ja pójdę –Antonowicz powstrzymał adiutanta ruchem ręki i skierował się do drzwi. Był blady jak śmierć.

– Nie! – powiedział Mitkiewicz.

– Ja! – krzyknął student.

Z ikony nad stołem z wyrzutem spoglądały łagodne oczy Mikołaja Cudotwórcy.

– Dowódco pierwszego plutonu! – Na rozkazujący ton dowódcy student odruchowo wyprężył się na baczność. – Pójdzie Mitkiewicz. To rozkaz.

Antonowicz zagryzł wargi i odwrócił się do okna. Jego ramiona drżały.

Kiedy za wychodzącymi zamknęły się drzwi, ranny odwrócił się twarzą do ściany. Topór z Antonowiczem patrzyli przez okno, jak jeniec i adiutant, który trzymał się jakieś trzy kroki za nim, przeszli w strugach deszczu obok studni i zniknęli za rogiem szopy.

Po chwili w niebie zagrzmiało, potem jeszcze raz. Sokołow drgnął i usiadł. Nieskrywany ból w niebieskich oczach uczynił pobladłą twarz tragicznie piękną.

– Kuranty... – zaczął i nie dokończył.

Dowódca zerknął na zastygłe wahadło zegara, ale nie poruszył się. Student nerwowo patrzył przez okno. Wreszcie na podwórzu pojawił się Mitkiewicz. Szedł sam.

– Rozumiem, na wojnie trzeba być okrutnym, – nieśmiało przemówił ranny. – Ale jakie to straszne... Kiedy człowiek razem z nami krył się od deszczu i jadł wspólne suchary...

– Nie zapominaj, że to on zabił Domaradzkiego i zranił Konczę! – twardo rzekł Antonowicz.

Trzasnęły drzwi w sieniach, w progu izby stanął Mitkiewicz. Wyglądał, jakby go dopiero co wyjęto z wody. Z brody mu kapało, a strużki ściekające z przemokniętej na wylot kapoty natychmiat utworzyły kałużę na podłodze. Bez słowa łapczywie przyssał się do manierki. Antonowicz też milczał, ale wyraźnie gryzła go jakaś natrętna myśl. Korciło go, by o coś zapytać, ale

wciąż zwlekał, jak gdyby to miało być coś niesłychanie ważnego i decydującego. Wreszcie się przemógł.

– Czy on... czy coś czuł?

Mitkiewicz przez chwilę popatrzył na studenta, jakby nie zrozumiał pytania.

– Czyżby pan nie zrozumiał, że on sam nie chciał zwlekać? – Adiutant zrzucił namokniętą burkę i zaczął ściągać buty.

– Czy coś panu powiedział? – nie dawał za wygraną Antonowicz.

– Nie.

– Zdaje się, że strzelał pan dokładnie wtedy, kiedy uderzył piorun? – dociekał student.

– Nie chcę o tym więcej mówić! – Mitkiewicz odwrócił wzrok ku oknu.

– Dlaczego? – podejrzliwie zapytał Antonowicz.

Adiutant milczał. Antonowicz przez chwilę wahał się, a potem pędem wyleciał z izby.

– Znowu będzie burza – zauważył Mitkiewicz.

Topór ledwo zauważalnie uśmiechnął się. Sokołow domyślił się i zapomnając o zranionej ręce zerwał się z posłania i zaczął nerwowo przemierzać izbę. Adiutant zauważył, że zegar stanął, zerknął na swój kieszonkowy zegarek, podciągnął ciężarek i uruchomił wahadło.

Antonowicz wpadł do izby jak wicher.

– Nie ma ciała! Pan go wypuścił! – Z rewolwerem w ręce i szaleństwem w oczach rzucił się na Mitkiewicza. Adiutant zręcznym ruchem wytrącił mu broń i przycinął ją nogą do podłogi. Obaj przemoczeni do nitki, ze zlepionymi kosmykami włosów, stali naprzeciwko siebie i ciężko dyszeli.

– Miałem u pana... opierunek i wikt, – urywanym głosem wyrzucał z siebie student. – Podziwiałem pana za męstwo... Za to, że pańskie pieniądze służyły sprawie... Do ostatniej chwili wierzyłem, że pan... A pan okazał się nikczemnikiem, panie Mitkiewicz! Jestem gotów plunąć panu w twarz! Obywatelu Topór! Proszę aresztować pańskiego adiutanta!

– A za co go pan obwinia? – z kamienną twarzą zapytał dowódca.

– Za to, że puścił wolno swego dawnego przyjaciela kapitana Krynickiego.

– Co takiego?! – wykrzyknął ranny powstaniec.

– Byłem przyjmowany w jego domu – student ze wzgardą wskazał na Mitkiewicza. – Tam nie raz spotykałem kapitana Krynickiego, słyszałem jego nazwisko... Przeczuwałem to, ale do ostatniej chwili łudziłem się... Tylko dlatego milczałem i pozwoliłem mu asystować jeńcowi... Cóż za naiwność!..

– Obywatelu Mitkiewicz! Czy to prawda? – dźwięcznym głosem zapytał Sokołow.

– Tak, to był mój znajomy – odpowiedział adiutant wytrzymując jego wzrok.

– Słyszy pan? Czy pan słyszy? – zwrócił się Antonowicz do dowódcy.

– Wiedziałem o tym.

– Chce pan powiedzieć, że się domyślał?

– Nie. Wiedziałem od samego początku.

– To znaczy, pan... też się spodziewał, że... – w głosie studenta brzmiała nadzieja.

Topór przecząco pokręcił głową.

– Dlaczego więc kazał pan iść z kapitanem właśnie jemu?

– Pan wybaczy, że nie odpowiem na to pytanie. Z czasem sam pan to zrozumie.

– To zdrada! – krzyknął Antonowicz. – Zdrada! Zdrada!– Furia zmieniła jego twarz nie do poznania, a purpurowe znamię na policzku poszarzało jak popiół.

– Józefie, opamiętaj się – przemówił Sokołow. – To przecież absurd.

Student powiódł po obecnych obłąkanym wzrokiem, usiadł na ławie, objął głowę rękoma i zapłakał.

– Przecież on strzelał do nas... zabił Domaradzkiego... – mówił szlochając. – Myśmy razem dorastali... Oni nas nie oszczędzają, a my... To ja powinienem był go zabić... Choćby jednego wroga... Choćby jednego...

– Udziału w powstaniu nie mierzy się ilością zabitych – powiedział Topór. Patrzył na młodzińca ze współczuciem.

Ramiona Antonowicza drżały. Sokołow nie mógł znieść tego widoku i powiedział:

– Józefie! Panna Helena wstydziłaby się za ciebie!

Ciche słowa Sokołowa podziałały na studenta od razu.

– Coś ty powiedział? Kto ci dał prawo wymawiac tutaj to imię?

– Bo jest drogie także dla mnie – łagodnie odpowiedział Sokołow.

– Co? – Student zerwał się na nogi. Już nie płakał.

– Przestań. Nie musisz być tak niedorzecznie zazdrosny! – z lekkim smutkiem powiedział ranny.

– Mów jaśniej!

– Józek! Nie jesteśmy sami!

– Ale ja żądam!

– Dobrze zatem – ranny zarumienił się. – Wyznałem pannie Helenie... swoje uczucia.

– To tak! – w głosie Antonowicza zabrzmiała groźba.

Topór i Mitkiewicz wyglądali przez okna.

– Dobrze, że się wreszcie uspokoiłeś – powiedział Sokołow.

– Uspokoję się dopiero wtedy, kiedy powiesz mi wszystko.

– Czy ty naprawdę tego nie rozumiesz? Musisz być godzien jej miłości!

Antonowicz podbiegł do Sokołowa i energicznie ucałował go w oba policzki. Zmieszany i zagubiony, nie wiedząc co ma począć dalej, usiadł obok rannego.

W ciszy dał się słyszeć jakiś nowy dźwięk. Było to tykanie zegara. Deszcz ustawał i już nie grzmiało.

Topór rozwinął na stole mapę.

– Będziemy przedzierać się do Mohylewa – powiedział po krótkim namyśle. – W najbliższym dworze zmienimy ubranie. Z Mohylewa ruszymy na zachód, tam, gdzie powstanie jeszcze trwa.

Za oknami pojaśniało, na niebie pojawiły się pierwsze prześwity błękitu.

– Oprócz tego – mówił dowódca – mamy powód, żeby odwiedzić w Mohylewie niejakiego pisarza Sawinicza. Słyszy pan, obywatelu Antonowicz? Jeśli będzie pan nalegać, to pewnie panu pozwolimy złożyć tę wizytę.

Student wstrzemięźliwie skinął głową, ale w jego oczach błysnęła wdzięczność.

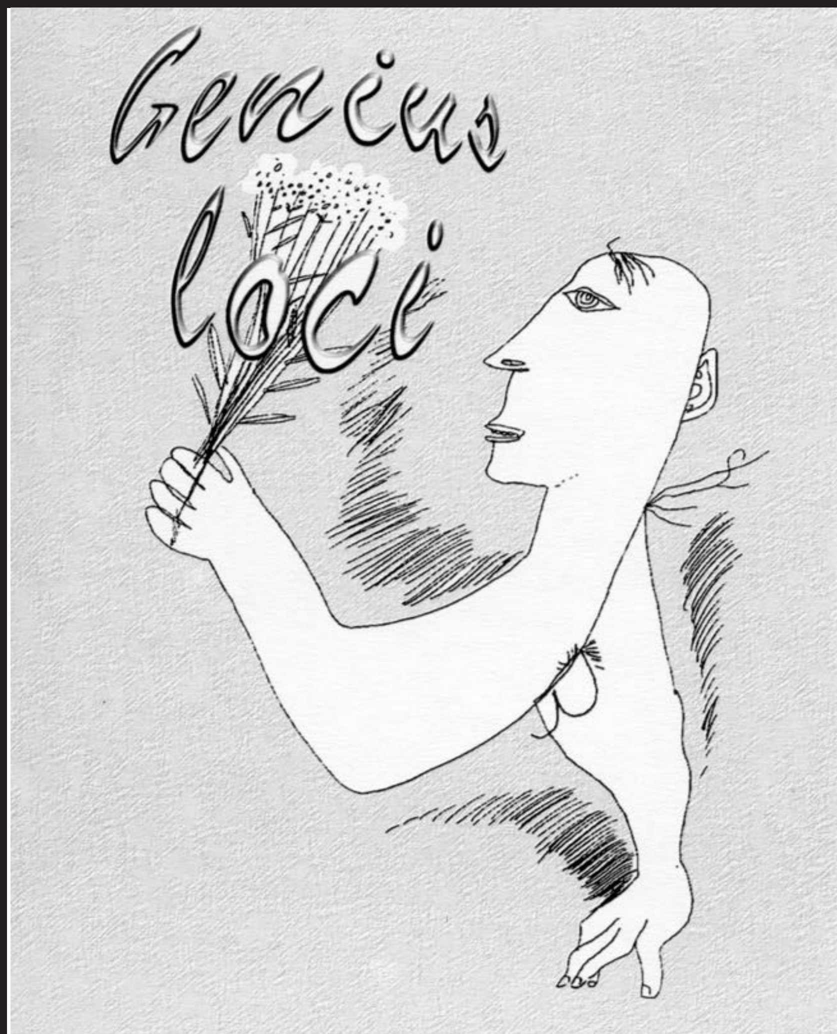
– Czas w drogę – rzekł dowódca.

Czterej mężczyźni wstali i każdy sięgnął po swoją broń.

1985

Przełożył Konstanty Bondaruk

IV





OPOWIEŚĆ SYBERYJSKA

Nic oprócz złudzeń we mnie nie umarło.
Henry Miller

W tej historii będzie mowa o zdarzeniach, które na przekór wszystkiemu miały miejsce naprawdę, a także o zdarzeniach, które powinny były mieć miejsce, ale w ostatniej chwili się nie odbyły; o takich, których się spodziewano, ale się nie doczekano; o takich, które odbyły się inaczej, w innym czasie i z innymi osobami; o takich, które też się odbyły, ale zostały uznane za nieprawdziwe; a także o takich, które nigdy się nie odbyły i odbyć się nie mogły, ale stały się powszechnie znane i nawet trafiły do encyklopedii.
Reminiscencja z zapomnianego autora

Po raz pierwszy życiowe wichry przywiały zagadkowe słowo Syberia do moich połockich pieleszy, gdy miałem lat pięć, a do naszych sąsiadów przyjechał krewny z owej właśnie Syberii.

Syberyjski swojak wytaszczył bagaż z wagonu i przed przejściem przez tory zoczył ostrzeżenie: *Ścierażysia ciahnika!** Obejrzał się jak zaszczuty, wypluł z ust biełomora, chwycił walizę i dał chodu z peronu, byle dalej od tłumu złodziejskich białoruskich *ciahników*, gotowych w mgnieniu oka ściągnąć mu jego własność.

Tę historyjkę opowiadali na naszej ulicy wszyscy z wyjątkiem może tylko głuchoniemego dziadka, który mieszkał z tuzinem kotów w pobliżu stacji pomp. Słuchacze pękali ze śmiechu, a i ja zaśmiewałem się razem z innymi, choć z początku tylko dla towarzystwa, bo co znaczył *ciahnik* – wiedziałem nie lepiej od tamtego syberyjskiego Ruska.

*

Wspomnienie o moim pierwszym spotkaniu z Syberią twarzą w twarz spowija woń świeżej ludzkiej juchy, a nie zapach cedrowej żywicy czy gorących pierożków z mięsnym nadzieniem.

* Strzeż się pociągu! (*białor.*)

Na kalendarzu był czerwiec, szczytowy okres tak zwanego zastoju. Pochowałem ojca i rzuciłem się w pogoń za swoim Studenckim Oddziałem Budowlanym (w skrócie SOB) „Victoria", karmiącym białoruską krwią roje syberyjskich komarów na urwistych brzegach rzeki Keci.

Jeśli uważnie przyjrzycie się nowej politycznej mapie świata, wydanej niedawno przez wiedeńskie wydawnictwo Freytag und Berndt, to znajdziecie cieniutką czerwoną niteczkę kolei, ciągnącą się na północ od Tomska i urywającą się beznadziejnie w punkcie z mikroskopijnym napisem *Perechodnyi Dol*. To tam właśnie powinienem trafić, żeby wypić z przyjaciółmi ocalałą ze stypy butelkę „Białowieskiej" za świetlaną pamięć mojego ojca i zarobić swój tysiąc rubli albo, jak wtedy mawiano, „dziesięć kawałków", a potem zrobić wrażenie na jednym połockim i kilku mińskich dziewczątkach, obojętnym tonem rzucając sakramentalną frazę: „Nikt nie może nam zabronić życia w pięknym stylu".

Wyładowałem się z pociągu Moskwa-Tomsk (w którego wagonie restauracyjnym można było do woli pomedytować nad takimi pozycjami menu jak „kotlety z niedźwiedzia wieprzowe" i „kotlety z niedźwiedzia cielęce"), pełną piersią wciągnąłem syberyjskie powietrze i dowiedziałem się, że jedyny w tym dniu pociąg do stacji Pieriechodnyj Doł odchodzi za godzinę. Przebicie się do kasowego okienka przez zapchaną salę dworcową wyglądało na zadanie nie mniej skomplikowane, niż przyłączenie Jamało-Nienieckiego Okręgu Autonomicznego do Białorusi. Żadnej kolejki do kasy nie było: z różnych stron do okienka wyciągały się ręce z pieniędzmi i odpychały się wzajemnie, co sprawiało, że kasjerka spokojnie czytała gazetę.

Oczywiście jestem świadom, że „potęga rosyjska będzie się rozrastać Syberią", że na syberyjskich bezkresach można znaleźć wiele rzeczy świetlanych i głęboko ludowych, ale dla mnie wizytówką tej krainy na zawsze pozostanie scenka rodzajowa ujrzana tamtego dnia przez okna dworca kolejowego w Tomsku.

Wągrowatemu młodzianowi z błyszczącym wzrokiem poszczęściło się przecisnąć do kasy i ze zduszonym zwycięskim okrzykiem „Pieriechodnyj Doł!" wetknąć kasjerce brudnożółty zwitek jednorublówek. W tej samej chwili przeraźliwie wrzasnął ochrypły kontralt: „Wańka, wyłącz cwaniaka!" Dwumetrowy drągal z dobrodusznym buraczkowym obliczem melancho-

lijnie rąbnął pudowym kułakiem młodzianowi między oczy. Niedoszły triumfator zalał się juchą i oklapł. Jechać do Pieriechodnego Dołu najwidoczniej mu się odechciało. „Towarzysze, rozstąpcie się! Człowiekowi zrobiło się niedobrze!” – nieśmiało pisnęła kasjerka z okienka, próbując bezskutecznie wręczyć bilet na wpół przytomnemu podróżnemu. „Wyliże się, zdechlak” – rzucił ktoś pogardliwie. Najbardziej skorym do niesienia pomocy humanitarnej okazał się wspomniany Wańka. Z łatwością, jakby wyrywał chwast z ogrodowej grządki, wyciągnął swą zakrwawioną ofiarę z tłumu, uniósł ją wysoko ponad głowami i zaproponował podać „towarzysza” do wyjścia. W podzięce za tę troskę, już odpływając w kierunku drzwi na wyciągniętych w górę męskich rękach, „towarzysz” sprężył się i celnie plunął w twarz Wańki glutem krwi, smarków i śliny. Zrobiło mi się niedobrze i dotkliwie zachciało z powrotem, do Mińska i Połocka.

Do Pieriechodnego Dołu przybyłem kukuruźnikiem, płacąc pilotowi dwiema butelkami ziołowej nalewki „Zwieroboj”. Pasażerowie ustalali z załogą przystanki na żądanie w trakcie lotu i samolocik, budząc popłoch wśród domowego inwentarza i dzikiej zwierzyny w tajdze, dwukrotnie lądował przy ludzkich siedzibach, przy czym raz ledwo rozminął się z jakąś stodołą, ponieważ awiatorzy odkorkowali swoje butelki od razu przy sterach.

Na lądowisku wznosiła się olbrzymia żelazna brama, choć ani po prawej, ani po lewej stronie nie było widać żadnego ogrodzenia. Za to u samej góry obiekt był ozdobiony artystycznym obrazem, na którym krzaczastobrwiasty i medalasty sekretarz generalny wyciągał rękę, informując podróżnych: „Słuszną drogą idziecie, towarzysze”. I dodawał: „Wita was centrum rejonu wierchniekeckiego Pier. Doł.” Te przejmujące słowa z chuligańskim skrótem kończyła domalowywać uczepiona drabiny chuderlawa istota z tak klasyczną kozią bródką, iż zdawało się, że w gumiakach tego sługusa muz omdlewały nie stopy, a koźle kopytka.

Na pasie startowym i dokoła niego przekwitały mlecze, pasły się krowy i nikt nikomu nie puszczał juchy. Trwożliwą nutę do tej sielankowej scenerii wnosił pastuch podpierający bramę i spoglądający tkliwie na zieloną butelkę przy swoich nogach, napełnioną nieznanym w Białorusi sikaczem o nazwie

„777". Pastuch z godnością pociągnął kilka łyków prosto z butelki, mniej więcej tyle samo nalał do jakiejś skorupy swojemu pieskowi, którego z czułością nazywał Ałkaszem, po czym uprzedził mnie, że na drodze z lotniska do centrum rejonu wierchniekeckiego grasuje zbiegły z kołchozu byk rozpłodowy o niespotykanym wśród parzystokopytnych imieniu Judenicz.

Na szczęście, odwaliwszy parę ładnych kilometrów przez tajgę na piechotę, spotkałem się nie z Judeniczem, a moim najlepszym przyjacielem Gienkiem, który gazikiem wiózł puszkę margaryny junakom z SOB-u i skrzynkę dagestańskiego koniaku „Abrau Diurso" ich dowódcom i miejscowemu naczalstwu. Gienek zajmował odpowiedzialne stanowisko naszego zaopatrzeniowca. Zdążył już doskonale przyswoić regułę, że ususz, rozkurz i zwłaszcza stłuczki na syberyjskich drogach były nieuniknione, dlatego też po pół godzinie syberyjska rzeczywistość osiągnęła dla nas dagestańską stereoskopowość, a ukąszenia komarów stały się jedynie ozdobą tutejszego życia.

Gazik zahamował na centralnym placu Pier. Dołu i Gienek, który już wcześniej rozwinął w sobie szczególny pociąg do instytucji partyjnych i państwowych, zaproponował odpryskać się za rejkomem partii. Chciwie chłonąłem w siebie syberyjski koloryt, do jakiego oprócz komarów należały starodawne przysadziste domy, które już dawno musiały zapuścić korzenie, a także budzące respekt stado ni to oswojonych, ni to zdziczałych psów wszystkich możliwych maści, biegających wokół i przeszkadzających nam urzeczywistnić nasz antypartyjny zamiar.

Załadowaliśmy się do gazika i Gienek znowu w zamyśleniu popatrzył na złociste owoce „Abrau Diurso". Za szybą mignęło wysokie ogrodzenie z drutem kolczastym, co najmniej na trzy wysokości wzrostu człowieka. „Zona*" – lapidarnie wyjaśnił mi zaopatrzeniowiec. Zdążyłem jeszcze zauważyć hasło na ogrodzeniu: „Posłuszeństwo i uczciwa praca twoją drogę do wolności skraca".

Daninę miejscowemu upodobaniu do haseł oddała także nasza grupa budowlana. „Ile pięknych rzeczy mamy do urzeczywistnienia!" głosił napis na czerwonym transparencie rozwieszonym pomiędzy dwoma modrzewiami. Pod nim stał mój

* W sowieckim slangu więziennym i łagrowym *zona* oznacza zamkniętą strefę odbywania kary pozbawienia wolności, więzienie, cześć zamkniętą łagru.

drugi przyjaciel, Miszka Czarnawiec, znany czytelnikom almanachu „Miławica", samizdatu na naszym wydziale historycznym, jako poeta Michaś Czarniłowicz. Michaś wpatrywał się w miskę jak sroka w gnat, od czasu do czasu rzucając szybkie spojrzenia na zegarek. Identycznemu, mało zrozumiałemu zajęciu oddawało się jeszcze kilku junaków SOB-u. „Czterdzieści siedem!" – wykrzyknął Czarniłowicz i wyrzucił zawartość miski w krzaki. „Pięćdziesiąt!" – odezwał się ktoś inny, też opróżniając miskę. Wkrótce wyjaśniło się, że chłopaki liczyli, ile komarów siądzie na ich posiłku w ciągu minuty. Reszta junaków nie zajmowała się eksperymentowaniem, a po prostu biegała z miskami i łyżkami wokół nie dobudowanej stołówki, usiłując uwolnić się od rojów komarów i próbując wcisnąć porcję gumiastych makaronów do żołądka. Ci, którzy byli z nami zeszłego roku w oddziale budowlanym w Kazachstanie, mogli jedynie tęsknie powspominać naszego kucharza, Koreańczyka Kima, który na Dzień Budowniczego przygotował nam firmową potrawkę z duszonego mięsa susłów, a w dni powszednie codziennie zarzynał barana, kiedy zaś barana nie dowieziono, zarżnął jednego ze swych tuczonych na mięso koreańskich psów i przygotował najsmaczniejszy gulasz sezonu, szkoda tylko, że powiedział nam o tej kulinarnej tajemnicy od razu, gdy jeszcze cały oddział siedział przy stole.

Dni przeznaczone nam do urzeczywistniania rzeczy pięknych były ciekawsze niż noce pod moskitierami, które słabo chroniły przed komarami, pająkami i innymi owadami żądnymi naszej krwi. W dzień zawieraliśmy znajomości ze stworzeniami znacznie ciekawszymi. Na budowie cegielni razem z nami pracowali więźniowie-zecy z zony i wolni osiedleńcy, albo po prostu chemicy*. Zecy pozostawali pod konwojem i przystępu do nich nie mieliśmy, ale z chemikami bez ceregieli chodziliśmy na papierosa albo i obciągaliśmy butelczynę „777", co w pieriechodnodolskim żargonie nazywało się „pójściem na trzy siódemki".

Dzięki wspólnym przerwom na papierosa dowiedzieliśmy się, po pierwsze, że lotniskowy artysta z kozią bródką w prze-

* *Zek* – więzień odbywający karę pozbawienia wolności; *chemik* – więzień odbywający karę pozbawienia wolności w kolonii poprawczo-roboczej, inaczej – *na chemii*, w łagodniejszym reżimie niż zona.

szłości był docentem (tu go nazywano Riepinem) Leningradzkiej Akademii Sztuk Pięknych i kończył na wolnym osiedleniu wyrok za nie całkiem bezinteresowną pomoc przyszłym mistrzom pędzla w wykonaniu prac dyplomowych. Oprócz leninów i breżniewów (Leonida Iljicza szczególnie nie lubił i nazywał kozłem, rozciągając to słowo jak gumę do żucia) docent malował galowe portrety oficerów z penitencjarnej komendantury, każdemu z zamawiających doczepiając dodatkową gwiazdkę na pagonach. Straszliwie przeklinał, mimo swego nieszczególnego wyglądu miał powodzenie u dalekich od sztuki kobiet w Pieriechodnym Dole i kolekcjonował, a może też i sam wymyślał, dowcipy o gliniarzach. Utkwiła mi w pamięci jedna z jego historyjek o małoletnim rzeźbiarzu. Milicjant pyta małego chłopczyka, co też ten rzeźbi. „Wujka milicjanta" – odpowiada z piaskownicy małoletni rzeźbiarz. „A z czego?" – „Z wody, piaseczku i gówienka". Wujek w mundurze oczywiście naciera małemu uszy, ale nazajutrz znowu spotyka go w piaskownicy. Na niebezpieczne pytanie chłopczyk odpowiada przezornie, że rzeźbi wujka strażaka. Udobruchany milicjant pyta dalej – a z czego? „Z wody i piaseczku". – „A gdzie gówienko?" Młody rzeźbiarz szelmowsko mruży oczy: „Nie ma, bo wtedy wyszedłby wujek milicjant".

Za Riepinem łaził, jak na uwięzi, tak samo drobniutki chemik Wasia z kłującymi ruchliwymi oczkami i ksywą Ufoludek. Na wolności Wasia jeździł MAZ-em i po cichu opylał papę, cement i inne państwowe materiały. Ufoludek wiernie łażący za Repinem sprawiał na kimś nieobeznanym wrażenie człowieka zupełnie zrównoważonego, dopóki nie nabierał do owego nieobeznanego pełnego zaufania. Wtedy proponował mu odejście gdzieś na stronę i z błyszczącym wzrokiem zaczynał wyjaśniać łamiącym się ze zdenerwowania głosem, że wszystkie jego niepowodzenia w handlu papą spadły nań po spotkaniu ze stworem z innej planety.

Wysłannik obcej cywilizacji ukazał się wrażliwemu Wasi pod postacią zmarzniętej na kość istoty, czekającej na okazję w mroźną noc na głuchym rozjeździe w tajdze. W kabinie przypadkowy pasażer owinął się dziwnym srebrzystym okryciem i zachowywał się równie zagadkowo: milczał i nie śmiał się z opowiadanych dowcipów. Przyjrzawszy się uważnie swojemu pasażerowi, Wasia ze zgrozą dostrzegł, że ów zamiast nosa miał czar-

ną dziurkę, w której coś świeciło. Dalej opowiadanie stawało się zagmatwane i mało zrozumiałe. Występowały w nim jakieś olbrzymie srebrne cylindry, koncentryczne koła świeżej ziemi wśród zasp, ukradziony cement i – z bliżej nieznanego powodu – siwy staruszek (przypominający starego, steranego życiem Żyda) z wielkimi, szarymi jak u nocnej ćmy, skrzydłami, który polatywał wzdłuż linii wysokiego napięcia w tajdze, budząc przerażenie wśród monterów. (Najbardziej niewiarygodne, że o tym dziadku o semickich rysach twarzy usłyszałem po dziesięciu latach od pewnego zupełnie normalnego chłopaka z petrochemii w Połocku, którego raz w miesiącu przerzucano samolotem na dwa tygodnie gdzieś pod Nieftiejugańsk.)

Przerwy na papierosa zetknęły nas także z braćmi bliźniakami, których nikt nie potrafił rozróżnić, dlatego też mieli jedną ksywę w liczbie mnogiej – Spawacze. Na chemii nikt ich z palnikami w ręku nie widział, ale na wolności bracia rzeczywiście pracowali jako spawacze – gdzieś niedaleko Tiumenia zapakowali do rurociągu kierownika robót i dokładnie go zaspawali. Poruszając się głową do przodu i rozmyślając nad problemem sprawiedliwego rozdzielenia zadań w brygadzie, kierownik mógł pełznąć aż do europejskiej części ZSRR, podczas gdy w przeciwnym kierunku, to znaczy nogami do przodu, miał jakieś dwadzieścia kilometrów. Kierownik wybrał właściwy kierunek i jak prorok Jonasz z trzewi Lewiatana wydostał się z rurociągu na świeże powietrze na dzień przed wpuszczeniem gazu do rury. Dzięki temu bliźniacy dostali niewysokie wyroki. Gdyby kierownik popełznął w kierunku Europy, nie dostaliby pewnie nic, bo w tundrze nie było żadnego świadka ich czynu.

Przez kilka dni nasza brygada pracowała w charakterze dokerów na przystani w Pieriechodnym Dole. Razem z nami skrzynie z „777" i niedojrzałymi jabłkami przenosiła trójka biczów* – dwóch grzywiastych, niedomytych i nieogolonych chłopaków oraz dziewczyna z rudym warkoczem, którą można byłoby nazwać *russkoj krasawicoj*, gdyby nie jej pożółkłe od tytoniu zęby i przygaszone oczy koloru workowego płótna. Dziewczyna, co prawda, skrzynek nie ciągała, a siedząc okrakiem na jednej z nich bez przerwy paliła i zapijała papierosowy

* *Bicz* – włóczęga, outsider systemu sowieckiego; termin jest akronimem rosyjskiego określenia *bywszij intielligientnyj czielowiek*.

dym dagestańskimi „trzema siódemkami". Przez cały dzień milczała i otworzyła usta bodajże tylko raz, gdy schwyciła mnie za rękaw kurtki i wyrzekła: „Zapamiętaj, chłopaczku: gdy wybierasz się do kobiety, weź ze sobą pejcz". Porażony tym, że biczówa czytała Nietzschego, omal nie upuściłem skrzyni z baterią butelek. Piękność ulżyła mojemu brzemieniu, królewskim ruchem przenosząc ze skrzyni do swoich stóp jeszcze jedną butelkę i zapadając ponownie w filozoficzne milczenie.

Wieczorem, gdy nad brzegiem Keci opijaliśmy nasz dokerski zarobek – po 50 re na łebka – wyjaśniło się, że koledzy uczyli się w instytucie lotniczym w Moskwie, dwa lata temu przyjechali tu razem z oddziałem budowlanym, zasmakowali w syberyjskiej wolności i do stolicy już nie wrócili. „A niech ją sobie wsadzą w aerodynamiczną dupę!" – wyrafinowanie podsumowała niedoszła konstruktorka samolotów.

Pod koniec balangi biczowie bez ceregieli zaczęli się we trójkę całować, obśliniając się przy tym obficie, a w końcu wzięli po butelce „777" i zgodnie wśliznęli się pod przewróconą do góry dnem barkę.

Rankiem byliśmy świadkami ich śniadania. Gdy chłopaki spacerowali nad brzegiem rzeki, robiąc poranną gimnastykę, żółtozęba na trawie przy barce rozesłała niewiarygodnie brudną chustkę do nosa i podzieliła piętkę chleba na trzy części. „Och, chłoptasiu, z ochotą bym cię wy..." – nie wiadomo do którego z nas odezwała się rozmarzona dziewczyna i słodko ziewając dodała z kokieterią: – Ale nie mogę, kochasiu, nie mogę, chłopaki nie daliby mi życia, są piekielnie zazdrośni".

W Pier. Dole poznałem także kędzierzawego Saszkę spod Żłobina, nazywanego przezeń Żłopowem, gdzie w państwowym domu dziecka upłynęło jego dzieciństwo.

Cygańską brew Saszki przecinała pozbawiona włosów blizna będąca nagrodą za współczucie dla czworonożnych przyjaciół człowieka.

Zgodnie z niepisanym kodeksem domu dziecka organizowano tam regularnie tak zwane sobaczniki. Trudno zrozumieć, dlaczego nazywano tę zabawę akurat tak, bo brały w niej udział nie psy, a koty. Koty łapano w okolicy, po czym starsi wychowankowie przybijali je do płotu, wbijając gwoździe w skórę odciągniętą na szyi tych braci mniejszych rodzaju ludzkiego. W odległości dwudziestu metrów od płotu czekały przy-

gotowane zawczasu kupy kamieni. Ratowanie żywych tarcz nie było zabronione, ale kamienny grad nie słabł ani na chwilę.

W sierocińcu istniały także inne tradycje. Na przykład, starsi uczyli młodszych przeklinać. Trzyletnie dziewczątka stawiano codziennie na baczność i kazano im po sto razy głośno powtarzać: „jestem k...", „jestem k...", „jestem k...". W następnym tygodniu dziewczątko kontynuowało naukę tą samą metodą: „jestem p...", jestem p...", jestem p...". Wzbogaciwszy zasoby leksykalne uczniów, „pedagodzy" przechodzili do składni. Dzieci, które już umiały pisać, oprócz ćwiczeń ustnych dostawały także zadania pisemne. Największą inwencję w tym kierunku wykazywał niejaki Chalimon. Mógł kazać dziewczęciu zrobić ćwiczenie nie tylko na osobnej kartce, ale także w szkolnym zeszycie i koniecznie oddać go do sprawdzenia nauczycielce. Wykupić się można było tylko w jeden sposób, o którym wolę nie mówić. Szczególną przyjemność sprawiali „wychowawcom" chłopcy i dziewczęta trafiający do domu dziecka z dobrych rodzin, w których doszło do jakiegoś nieszczęścia. Uczono ich palenia, picia wina, grania w karty, przegrywających bito po uszach linijką i zmuszano do połykania „ostryg" – powalanych ziemią ślimaków albo gąsienic.

Starszoklasiści – wspominał Saszka, patrząc na nas smutnymi agatowymi oczyma – wybierali sobie dziewczęta, na ogół młodsze, które po wyjściu wychowawczyń biegły do sypialni swoich rozkazodawców i zostawały tam do rana. Zimą zaś te dziewczątka, które zostawały w łóżku same, boleśnie zazdrościły parom, ponieważ zaśnięcie w wychłodzonym dormitorium było niemożliwe – torf i drewno administracja opylała na lewo.

Nie zdążyliśmy się dowiedzieć, za co Saszka odbębnił dwa lata na zonie, ponieważ nasza brygada wyjechała nie zaznaczoną na mapie kolejką wąskotorową na chałturę do tajgi, do osady Jagodnoje. (Gienek po kolejnym raporcie o stłuczkach przezornie zrezygnował z obowiązków zaopatrzeniowca i jeszcze przezorniej, jak się okazało w dalszym biegu wydarzeń, zabrał ze sobą myśliwską strzelbę.)

Pierwszy na nowym miejscu powitał nas kapitan osadowej komendantury. Jego przemówienie powitalne zmusiło do aprobującego gwizdnięcia nawet takiego światowca jak niegdysiejszy marynarz radzieckiej floty rybackiej i bywalec duńskich, tallinskich i ryskich burdeli Misza Harelik zwany Buhorem, ro-

dzony brat junaka Lawona Harelika, tego właśnie, który publikował w samizdackiej „Miławicy" swoje dzieła w duchu wczesnego Josepha Conrada pod pseudonimem John Halak.

Wszyscy mieszkańcy Jagodnoje dzielili się na trzy kategorie: pracownicy komendantury specjalnej, byli więźniowie, którzy osiedli tu po odbyciu chemii, oraz chemicy obecni. W osadzie pracowało na chemii ze trzy setki mężczyzn i setka przedstawicielek piękniejszej połowy rodzaju ludzkiego (te były wyłącznie z Leningradu i wyłącznie za niemoralne prowadzenie się). Jeśli wierzyć kapitanowi, choroby weneryczne w osadzie ominęły jedynie wiewiórki i burunduków. Chodzenia do łaźni nie zalecano, bo groziło to zakażeniem. Kąpieli w okolicznych gliniankach nie polecano, bo groziło to poderżnięciem gardła (ofiary, zgodnie z miejscową tradycją, przysypywano piaskiem). Kapitan także radził poruszać się po osadzie w grupach, zwłaszcza po zapadnięciu zmroku.

Kategorycznie nie rekomendowano też utrzymywania jakichkolwiek stosunków z chemikami i chemiczkami. Pewnie więc dlatego zakwaterowano nas na skraju osady, gdzie stało ze dwadzieścia fińskich domków zajętych przez chemików i mniej więcej drugie tyle oczekiwało przyszłych lokatorów odwalających swoje wyroki w zonie.

Podczas gdy gospodarze tego „chemicznego osiedla" przebywali w tajdze, my w towarzystwie dwóch chorążych zajmowaliśmy się poszukiwaniem wolnej przestrzeni mieszkalnej. Nie zajętych pomieszczeń nie brakowało, jednak część z nich przeprofilowano na ubikacje, o czym świadczył ich charakterystyczny wygląd wraz z nieodłącznym fetorem. Kilka domków już odegrało tę zaszczytną rolę i powietrze w nich zaczynało z powrotem pachnieć tajgą, ale warstwa cywilizacyjna była w nich na tyle potężna, że można jedynie współczuć archeologom przyszłych stuleci. Choć do tego czasu ściany zapewne spróchnieją i przyszłym badaczom ubędzie przynajmniej jedna zagadka naukowa: dlaczego tubylcy, mając do dyspozycji gazety i obfitość łopuchowatych gatunków roślin w tajdze, wykorzystywali, za przeproszeniem, własne palce, które potem starannie wycierali o pobielony wapnem tynk?

Wreszcie znaleźliśmy dwa domki, w których do niedawna ktoś mieszkał i które jeszcze nie zdążyły przeistoczyć się w archeologiczną łamigłówkę. Ja, Gienek, Buhor, Czarniłowicz i ru-

dy jak pordzewiała blacha John Halak rzuciliśmy swoje plecaki na podłogę w miejscu, gdzie leżał porzucony zeszyt z piosenkami przepisanymi starannym dziewczęcym charakterem pisma. Pierwsza z piosenek miała tytuł „Pokochałam zeka”. Chłopaki wyruszyli do sklepu, a ja – przygotowując się do nieuniknionych kontaktów z miejscową ludnością – postanowiłem zapoznać się bliżej z jej folklorem. Otworzyłem śpiewnik:

Na równinie szerokiej
Stoi krzyż ociosany,
Przy nim dziewczę przylgnięte
Jak do piersi kochanka.
Za dziewczęciem ikona –
Zakazana to zona,
Tam jak świeca nad grobem,
Tkwi wartownik na wieży...
Przemykaliśmy z tobą
Wśród majowej zieleni,
Kiedy tundra odziała
Swoje szaty przepyszne...

Nie wiadomo jak znalazły się tu dwa wiersze Siergieja Jesienina i jeden Arsienija Tarkowskiego, od których – jak od gałązki jaśminu w nabitym spoconymi ciałami wagonie – na moment powiało świeżością. Dalej szła niemal w całości niecenzuralna piosnka o ojcu i trzech synach, z których jeden był hermafrodytą. Przewróciłem jeszcze jedną stroniczkę. Obok całkiem profesjonalnie wykonanego rysunku tego, co seksuolodzy tajemniczo nazywają kiejrą*, tym samym okrągłym charakterem pisma pilnej ósmoklasistki było zapisane:

Pewnie jakiś laluś pod krawatem
Teraz z panią w bramie się całuje...

Zapoznać się z dalszą częścią ilustrowanego tekstu nie zdążyłem, bowiem na zewnątrz rozległy się tak przerażające czy, dokładniej mówiąc, tak majestatyczne przekleństwa, że w porównaniu z nimi niecenzuralny drybling docenta Riepina wyglądał jak czteropiętrowa kamienica obok nowojorskiego drapacza chmur.

* Stosunek oralny.

Nie miałem wątpliwości, że usłyszana kwestia, genialnie skomponowana z wyrażeń niemal wyłącznie obscenicznych, została wypowiedziana kobiecym głosem. Sens tej płomiennej filipiki, ozdobionej obietnicami odgryzienia, ukręcenia i obcięcia pewnych rzeczy po kawałeczku, sprowadzał się do stwierdzenia, że jestem intruzem na obcym terytorium.

Drzwi otworzyły się od kopniaka, a na progu ukazał się wcale nie jakiś babsztyl ze zjedzonym przez francę nosem, ale wbita w wyświechtane dżinsy szczupłowata blondynka w wieku mniej więcej dwudziestu lat, którą i dzisiaj zaliczyłbym do pierwszej dziesiątki najładniejszych okazów płci żeńskiej, spotkanych przeze mnie na przestrzeni moich obecnych lat czterdziestu.

Ujrzawszy zeszyt z piosenkami, piękność z tajgi wyrwała go z moich rąk i rzuciła mi prosto w twarz kulinarną fantazją na temat jajecznicy z odpowiednich części mojego ciała.

– Chyba nie mówisz tego poważnie? – wyrwało mi się. Nieoczekiwanie stała się rzecz trudna do uwierzenia: czarująca miotaczka przekleństw pokryła się tak gęstym rumieńcem, że tej czerwieni starczyłoby zapewne i dla niewielkich piłeczek jej uwolnionych od stanika piersi pod lekką koszulką, i dla gładko toczonych bioder, i dla długich nóg w chińskich trampkach. Ciąg dalszy również był nieoczekiwany: blondynka gwałtownie odwróciła się i wybiegła, jawnie rejterując.

„Mamy pierwszy kontakt!” – skonstatowałem i z niemą zgrozą pomyślałem, w jakie piekło może przekształcić się nasze życie, jeśli wszystkie chemiczki w Jagodnoje okażą się podobne do tej pierwszej spotkanej przeze mnie.

Wieczorem Gienek wziął kartkę papieru, podzielił ją kreską na dwie części i u góry postawił znaki + i –. Minusy były już wyliczone przez kapitana z komendantury specjalnej. Plusy w Jagodnoje było dwa: nieobecność komarów, które tutaj, w odróżnieniu od nizinnego Pier. Dołu, wiatr zaganiał z powrotem do tajgi, oraz obecność kobiecego oddziału budowlanego „Amazonki” z uniwersytetu w Tomsku. Amazonki też mieszkały na osiedlu chemików. „Popchnąć sesję to pestka w porównaniu z tymi trzydziestoma trzema kobitkami...” – w zamyśleniu wyrzekł John Halak. „Można dostać świra” – odezwał się oszołomiony Czarniłowicz. Gienek ni z gruszki ni z pietruszki powiedział, że podobno antyczne amazonki, by poręczniej im było

strzelać z łuku, odcinały sobie lewą czy też może prawą pierś. „Nie dopuścimy do tego" – otworzył usta częściowo tylko obecny Buhor, który już zdążył zaaplikować sobie kilka szklanek sikacza. Nasze domostwo zalała fala rozmarzonego milczenia.

Jak pokazały najbliższe dni, oddział „Amazonki" zupełnie nie przypominał rezerwatu płochliwych dziewic.

Po pierwsze, amazonki miały w swoim gronie „amazona" – trudnego wychowawczo małolata Witię, ucznia starszej klasy jednej ze szkół w Tomsku. Ostatnim osiągnięciem Witii, jak wieść niosła, było nalanie kwasu solnego na krzesło, na które z gracją opuściła swoją pupcię w sukience mini młodziutka nauczycielka biologii. W SOB-ie Witia rzeczywiście rozpoczął nowe życie. Szeregowe amazonki z odcieniem oburzenia relacjonowały, że wychowaniem małolata w pierwszej kolejności zajęła się kierowniczka oddziału Eleutyna – wysoka i kształtna dziewoja, która przed dostaniem się na uczelnię służyła jako radiotelegrafistka w armii radzieckiej. W objęciach drugiej z kolei wychowawczyni, pulchniutkiej Nonny – komisarza oddziału, Witia, jak się zdawało, mógł jedynie wypoczywać.

Myśmy także nawiązali pewne stosunki z amazonkami. Ja nawiązałem je początkowo z przyszłą nauczycielką matematyki Leną, którą przyjaciółki nazywały Ellen. Obejmowałem ją na ławeczce przy stołówce, a Ellen, owiana chmurką tytoniowego dymu, opowiadała mi o swoich szwedzkich przodkach. W obliczu Ellen rzeczywiście można się było dopatrzyć czegoś skandynawskiego: miała proste lniane włosy, sięgające aż do miejsca, jakie oparzyła kwasem solnym nieszczęsna profesorka Witii; romboidalną twarz, od której wiało chłodnym wietrzykiem; a jasnoszare oczy, od których także ciągnęło morskim chłodem, niezmiennie zachowywały senną obojętność, gdy próbowałem opowiadać jej o Białorusi, natomiast od razu ożywiały się, gdy poruszałem temat nocnych restauracji w Wilnie, zwłaszcza zaś gdy wspominałem „Dainowę", gdzie w tamtych czasach stary Szaboniauskas (ten sam, którego głos słychać z głośników w powieści Jonasa Avyžiusa „Czas opuszczania zagród") jeszcze śpiewał o piękności Elit, poruszającej się po tym świecie na „nóżkach cud", a kobiety podrywały się od stolików i nagradzały siwego maestra czerwonymi różami.

Lekceważąc groźne ostrzeżenie komendantury, wieczorami kąpaliśmy się z Ellen w gliniankach, wprowadzając potencjal-

nych zabójców w błąd taktyką codziennego zmieniania miejsca kąpieli. Czy muszę dodawać, że odważyliśmy się nie tylko na to? Rozściełanie dużego włochatego ręcznika na brzegu glinianki wymagało nie lada odwagi, bo dym ogniska wcale nie był zbyt radykalnym środkiem przeciw komarom. Ale ukłucia zaczynały piec dopiero w domu, a z naszych ablucji wracaliśmy cisi i łagodni. W zagajniku baraszkowały burunduki czy jakieś inne drobne zwierzątka, nad wierzchołkami modrzewi zapalały się pierwsze gwiazdki, a pod nogami można jeszcze było dostrzec niewiarygodnie duże jagody czernice, więc nasze usta wkrótce stawały się czarno-sine, jak u nasyconych wampirów. „Wiesz, jak po białorusku gwiazda? – pytałem czule. Milczała rozleniwiona, więc odpowiadałem sam: „Zorka". „A wiesz, jak miłość?" – nie rezygnowałem. „Nie-ee" – ciągnęła Ellen. „Kachańnie". „Nie może być" – bezbarwnym głosem odpowiadała moja towarzyszka, przykrywając ziewnięcie czółenkiem dłoni.

Było nas tylko dziesięciu, a amazonek 3,3 razy więcej, dlatego też w atmosferze nad Jagodnoje pulsowało pole siłowe zdrowej kobiecej konkurencji. Pewnego wieczoru miałem dyżur w stołówce z czarniutką amazonką Wiką i usłyszałem z jej ust swoją charakterystykę, którą Ellen podzieliła się ze swymi powiernicami. Według Ellen byłem niczego sobie facet, ale szajbnięty, bo zamiast normalnego preludium musiałem obowiązkowo opowiedzieć o swoim białoruskim bagnisku. Potępiające wydęcie usteczek dyżurnej było adresowane, rzecz jasna, nie do mnie. Wika wykonała ruch bez pudła: natychmiast pożałowałem, że nie jestem małoletnim Witią z kłopotami wychowawczymi i że Ellen nie jest moją nauczycielką biologii.

Nazajutrz w wieczorowym zwierciadle glinianki zamiast długich lnianych pasm przejrzały się czarne kędziory. W odróżnieniu od Ellen córka filologów z dziada pradziada, Wika, pozostawała nieprzystępna aż przez dwa dni. Nauczony smutnym doświadczeniem, dałem sobie słowo nie puszczać pary z gęby o Białorusi, ale udawać milczka też nie wypadało, więc trzeciego wieczora (do czego tylko potrafi zmusić wzburzona krew!) w przypływie idiotycznego natchnienia oznajmiłem nieoczekiwanie, że należę do wyznawców zoroastryzmu.

Nasza sekta istniała w głębokiej konspiracji, ale nie miała nic wspólnego z ascezą. Rozpinałem ostrożnie guzik za guzikiem i przyciszonym głosem wykładałem jej zachowane w pamięci

resztki po egzaminie z naukowego ateizmu – o promiennym bóstwie noszącym niezwykłe imię Ahuramazda, które prowadziło nieustanną walkę ze swym odwiecznym rywalem, wcieleniem ciemnych sił Anchramem-Majnią. Przyszły filolog Wika patrzyła na „sekciarza" zaokrąglonymi oczyma i w sposób widoczny pozbywała się ostatnich oporów na drodze do wstąpienia w szeregi zoroastrystów, których w rozkosznym przejęzyczeniu nazywała zorostryskami. Wspominam to z zażenowaniem i rozbawieniem jednocześnie. Dziwiąc się samemu sobie, wymyślałem na poczekaniu obrzęd inicjacji w naszej wierze, który w przekładzie z perskiego nazywał się „lotem nad szczytami". Wika nie miała najmniejszej wątpliwości, że do naszego lotu należało zrzucić wszystko, co jeszcze na niej pozostawało.

Uszka, dłonie, stopy i cała reszta u Wiki były malutkie, więc gdy zwracałem się do niej po imieniu, miałem ochotę nazywać ją malutką Wiką.

Wielki i potężny Ahumarazda był z nas zadowolony, tym bardziej że moja ocena intelektualnych możliwości Wiki, zrobiona na podstawie „zorostrysków", okazała się zbyt pospieszna. Malutka Wika lubiła twórczość Michaiła Afanasjewicza Bułhakowa, marzyła o zostaniu czyjąś Małgorzatą i czytywała egzystencjalistów. Epizod przejścia na zoroastryzm skomentowała później strofami z Pasternaka:

Nawet jeśli zgrałaś się do nitki,
Miałaś rację – należało grać.

Powinienem dodać, że to nie od autochtonów, a od niej właśnie dowiedziałem się o opuszczonym lotnisku wojskowym na wschód od Jagodnoje, gdzie po każdej ulewie z piasku wyłaniały się żółtawe ludzkie czaszki i piszczele, wśród których mogły znaleźć się także kości mojego dziadka Maksima, rozstrzelanego w 1933 roku. Pewnego razu w drodze z kąpieli Wika bojaźliwie opowiedziała mi o łagrze, gdzie trzymano uczestników brygad międzynarodowych w Hiszpanii – w większości cudzoziemców, którzy po wojnie domowej przybyli do kraju zwycięskiego socjalizmu. Przywódcy łagrowego ruchu oporu rzekomo zorganizowali ogólną ucieczkę i wyprowadzili międzynarodowych bojowników na otoczoną karabinami maszynowymi przesiekę.

Mój najlepszy przyjaciel Gienek spotykał się pod wygwieżdżonym syberyjskim niebem z amazonką o zupełnie nieama-

zońskim imieniu – Warwarą, sybiraczką w diabli wiedzą którym pokoleniu. Warwara rozmawiała mniej więcej w takim stylu: „No jak? Wspak? A czego stoi pośród drogi?” To o niej, peryfrazując Igora Siewieranina, poeta M. Czarniłowicz powiedział:

Amazonko spod Tomska,
Amazonko spod Tomska,
Jesteś cudna szalenie,
Zwłaszcza od tyłu...

Zrządzeniem losu rywalką Warwary została syberyjska Tatarka Amina, która doręczyła swój list w zaklejonej kopercie bezpośrednio do rąk Gienka. Warwary w pobliżu nie było, więc Gienek beztrosko ruszył ścieżką nad brzeg Keci, do tego cedru, gdzie – jak napisała Amina – kiedyś nazwała naszego byłego zaopatrzeniowca niedźwiedziem, choć z ich dwojga niedźwiedzia bardziej przypominała ona, szeroka w barach i zaokrąglona praprawnuczka Czyngis Chanowego wojownika.

Po godzinie spocony i zdyszany Gienek stanął w progu naszego fińskiego domku. Pod cedrem Amina poczęstowała go wodą ognistą, następnie zaś, idąc pewnie za zwyczajem swego starożytnego narodu, odśpiewała parę przeciągłych gardłowych pieśni, a potem, widocznie kontynuując ów zwyczaj, bez zbędnych słów powaliła Gienka na mech.

Jeśli sądzicie, że chemiczki pogodziły się z naszym względnie harmonijnym (Misza Buhor mawiał: hormonalnym) współżyciem z amazonkami, to się mylicie. Rozrywkowe leningradczanki również walczyły o nasze serca, wykorzystując w tej walce najróżniejsze środki.

Codziennie w porze obiadowej, zgodnie z umową z amazonkami, przynosiliśmy na kuchnię trzy trzydziestolitrowe kotły wody. Tragizm sytuacji polegał na tym, że przykrywka od kotła gdzieś się zgubiła. Od studni do stołówki było jakieś pół kilometra – mniej więcej w połowie drogi dołączała do nas grupka chemiczek. Wszystkie co do jednej były sympatyczne, umalowane, w krótkich obcisłych spódniczkach i różnokolorowych koszulkach, z paseczkami wokół cienkich talii. Krążyły dokoła nas jak różnobarwne motyle.

Któryś z tych motyli zaczynał niemal z czułością: „Studenciaki kochane, ulitujcie się nad biednymi dziewczynkami”. „Wyschłyśmy na wióry bez męskich pieszczot” – kontynuował

następny owad. Potem można było usłyszeć coś w tym rodzaju: „A temu brodatemu dałabym ze sto razy. Słyszysz, brodaczu? Nauczyłeś się już całować?"

Początkowo nieśliśmy swój krzyż w postaci ciężkiego kotła w milczeniu, ale westalki wolnej miłości szybko stawały się bezczelne i zaczynały przypominać nie motyle, a natrętne osy. „Chłopaki, tylko nas spróbujcie, a zobaczycie, że za uszy was trzeba będzie odciągać" – proponowały, demonstrując nam niezbyt skromne pozy. „Spadaj stąd, ścierwolatko, bo ci z broszy zrobię cholewę" – strasznie odgrażał się „brodacz", ale to wywoływało tylko rechotliwy śmiech.

Niedaleko od kuchni nasza eskorta stawała się agresywna. Leningradczanki wykrzykiwały groźby pod adresem amazonek, które, jak powiadały, za....ły biednego Witię, wyzywały amazonki od suczek i kurewek, a nas od impotentów. Ale najgorsze było na przedzie. Przed samą stołówką któraś z towarzyszących nam kobiet raptem „domyślała się": „Słuchajcie, dziewczyny, przecież oni się boją od nas zarazić". Jej przyjaciółki migiem doskakiwały do nas i z dziarskim okrzykiem „No to macie syfa!" pluły do nie przykrytego kotła.

Piasek prędko wchłaniał sprofanowaną wodę, a my jak potępieńcy zawracaliśmy do studni. Dyżurna amazonka dopędzała nas z pudełkiem proszku i kazała porządnie wyszorować kocioł, a nasze prześladowczynie w oddali zanosiły się śmiechem i przyrzekały przelecieć najpierw każdego z nas, a potem każdą amazonkę.

Wreszcie zaczęliśmy organizować wyprawy po wodę z ochroną: dwóch dźwigało kocioł, a czterech ze sztachetami odpędzało leningradzkie plujki.

Za dnia kopaliśmy doły, zbijaliśmy deskowania, uwijaliśmy się przy olbrzymiej turkoczącej betoniarce i oddawaliśmy się marzeniom o wieczornych randkach.

Koło północy pary ściągały do ogniska, rozniecone na wygonie za osiedlem chemików, żeby w zamyśleniu wpatrywać się w ogień.

Z ciemności wyłaniali się młodzi chemicy z gitarą i przyjacielsko przysiadali się na leżące obok ogniska bierwiona. Mościli na czerwonych węglach konewki albo imbryczki na czaj i zaczynali śpiewać. Brzmiały „Prokurator żądał kary śmierci", „Gdy nad Tomskiem opada mgła, nie mogę zapomnieć twej

zdrady", ale najrzewniej wychodziła im „Dzień dobry, Newski, dzień dobry, Kirowski", ponieważ wielu z naszych sąsiadów pochodziło z Pitra.

Idyllę gitarowych akordów, dziewczęcych główek spoczywających na twardych męskich ramionach i łagodnego czajowego hajcowania burzyło wtargnięcie watahy wyrostków. Ci obrzydliwie bluzgali, swobodnie posługiwali się grypserą, chwalili się, kto ile razy „przerąbał" swoją „czuczundrę" i demonstracyjnie zabawiali się spężynowcami, z których rękojeści wyskakiwały lekko połyskujące żądła ostrzy.

Początkowo uznaliśmy to towarzystwo za małoletnich chemików, tym bardziej, że wyrostki ochoczo opowiadały, za co i z jakiego artykułu siedziały, ale prawdziwi wolni osiedleńcy wyjaśnili nam z pogardą, że to byli miejscowi szpanerzy, zajęci poszukiwaniem swoich życiowych ideałów.

Leningradczanki do ogniska nie przychodziły. Trzeba przyznać, że choć zaczepiały nas przy stołówce, męskiej uwagi im nie brakowało. Na każdą przypadało średnio po trzech chemików. Zazwyczaj kwaterowano ich według formuły 3+1, choć „pułkownicy" mieli prawo wyboru i mogli trzymać niewielki harem, po miejscowemu „kurnik". Komendantura zupełnie nie interesowała się problemami poligamii.

Niemal każdy dzień naszego życia stał pod znakiem jakiegoś godnego uwagi wydarzenia.

Bywało, że trudny przypadek wychowawczy, małolat Witia, doszczętnie ogłupiały od „trzech siódemek" i amorów z kierownictwem amazonek, nałowi do worka z pół tuzina zdziczałych kotów, podniesie je wieczorem razem z flagą oddziału budowlanego na niedorzecznie wysoki maszt, potem przetnie linkę na bloczku, a koty będą drzeć się jak opętane, nie ustając ani na sekundę, dopóki jakiś chłopak z Pitra za butelkę „777" nie natrze rąk smołą, nie wdrapie się na śliski pręt i nie zrzuci żywej rozgłośni na dół, a czworonożni więźniowie nie rozpierzchną się po okolicy – wszyscy co do jednego cali i gotowi do nowych przygód.

To znów dwójka Abchazów, którym zostało dosłownie kilka dni do wyjścia na wolność i wyjazdu do Suchumi, chwyciła w miejscowym sklepie za noże i zarobiła nowy wyrok.

Albo też sensacją stał się przyjazd młodej żony kierownika portu w Nikołajewie, który kończył wyrok na chemii w Jagodnoje za operacje z walutą.

Żonę waluciarza natychmiast ochrzczono Diekabrystką. Sądząc po konserwach (od samych nazw – kraby po japońsku, zupa z homara – ciekła ślina), które podgrzewała koło ganku na rozniecónym pomiędzy dwiema cegłami ogniu, a także po zmienianych codziennie sukienkach z grempliny, portowemu aktywiście udało się co nieco odłożyć.

Wieczorem szczęśliwa para, trzymając się za ręce, wychodziła na spacer, odprowadzana pochmurnymi spojrzeniami sąsiadów.

To był ich błąd. Gdy waluciarza wysłano na dwa dni do odległego obiektu w tajdze, siedmiu chemików o zmroku odwiedziło Diekabrystkę i gwałciło ją (w miejscowej gwarze określano to delikatnie „próbą chóru", a niedelikatnie – „pójściem na fretkę") aż do rana. Po tym wszystkim ostrzegli ją, że jeśli zamelduje w komendanturze, to za trzy dni na miejscowym cmentarzu pojawią się dwie nowe mogiły: jej własna i – żeby się jej nie ckniło – także jej męża. Przestrogę powtórzono też kierownikowi nikołajewskiego portu, którego w biały dzień profilaktycznie rzucono na ziemię i bez złości, ale fachowo i długo kopano nogami, jak gdyby wykonywano niezbyt przyjemną, ale konieczną procedurę. W tutejszym żargonie nazywano tę procedurę „samokształtem". Właśnie szliśmy na obiad i wszystko widzieliśmy, ale pozostaliśmy tylko widzami, bo mieszanie się do cudzych spraw groziło „szwają w bok".

Pewnego dnia na niebie nad osadą pojawił się helikopter straży pożarnej, podobny do ugotowanego raka ze śmigłami. Na linie miał przytroczony niewielki, owinięty w brezent ładunek, kiwający się jak wahadło zegara. Helikopter zrzucił ładunek na podwórko komendantury. Jagodnoje dowiedziało się: strażacy odnaleźli to, co pozostało z pięciu zeków, którzy w marcu drapnęli na wolność z pobliskiej (według syberyjskiej skali) zony. Poszła pogłoska, że piątego uciekiniera towarzysze wzięli jako „krowę", inaczej mówiąc, żeby go zjeść. „Tajga jest prawem, a niedźwiedź gospodarzem" – skomentował wydarzenie główny pułkownik chemików wujek Kola, moskwianin z wytatuowanym na piersi portretem Stalina. Powiadano, że wujek Kola żyje na Syberii od samej wojny, na przemian w zonie i na chemii.

Przez cały ten czas na próżno wypatrywałem chemiczki, którą spotkałem pierwszego dnia. Nigdy się nie pojawiła ani wśród natrętnych plujek w okolicach stołówki, ani wśród tych

kobiet, które wieszały na sznurach upraną bieliznę swoich włodarzy bądź też gotowały coś na cegłach. W końcu właścicielka śpiewnika dała o sobie znać sama.

„Hej, studenciku!" – usłyszałem pewnego dnia, taszcząc wraz z Gienkiem ciężkie blaszane nosidło z betonem. Na ścieżce, z rękoma w kieszeni, stała czarująca miotaczka przekleństw, sprężyście kołysząc się w przód i tył. „Chodź zapalimy – zaproponowała z ironicznym wyzwaniem i zapewniła: – Nie bój się, dzisiaj jestem porządna". Nie bałem się, bo czułem, że tamtego pierwszego razu pomiędzy nami przeskoczyła iskra, po której nie można zrobić sobie żadnego świństwa.

Z ciepłego płaskiego kamienia na wysokim brzegu było widać motorową barkę płynącą daleko w dole po Keci. Pomyślałem sobie, że może na takiej barce czterdzieści lat temu wieziono na śmierć mego głodnego i zawszonego dziadka Maksima.

Niektórzy ludzie z niewiadomych powodów nabierają ochoty do opowiadania mi swoich historii.

Gdzieś na Wasiliewskim Ostrowie w Leningradzie biegała do szkoły i na kółko literackie dziewczynka Irina, którą w dziesiątej klasie na szkolnej uroczystości z okazji kolejnych urodzin Komsomołu zaprosił do tańca nieznajomy młodzieniec Jura, przedstawiający się jako filozof.

Filozof miał kieszenie wypchane pieniędzmi, zasypywał Irę kwiatami, a w kawiarniach stawiał lody i jej ulubioną bitą śmietanę z suszonymi morelami i orzeszkami, które tak smakowały pod białe wytrawne wino. Potem była wyprawa do sławetnego piterskiego „Nordu", skąd pojechali do Jury. Gdy taksówka odwoziła Irę do domu, a Jura trzymał ją za rękę, łzy w jej oczach dawno już wyschły, a serce zakwitało radością pod nazwą: „Jestem kobietą!".

Naszkicowana przez filozofa Jurę przyszłość w swej prostocie przypominała plan wypracowania szkolnego na temat „Pieczorin jako człowiek zbędny". Punkt 1. Wydział filozoficzny na uniwersytecie. 2. Ślub po pierwszym roku – dlatego że Jura w żaden sposób nie wytrzyma dłużej... Mamie na razie oczywiście ani słowa.

Mama Iriny niczego się nie domyślała, chociaż się dziwiła, że zajęcia w kółku literackim stały się niemal codzienne.

W okolicach Nowego Roku Jura miał urodziny. Ira w tajemnicy przed matką sprzedała w antykwariacie kilka cennych,

przedrewolucyjnych książek i długo chodziła po sklepach uważając, że filozofom nie wypada dawać banalnych prezentów. Wybrała żółto-zielony szalik, a w sklepie zoologicznym kupiła papużkę w tych samych barwach i zaczęła uczyć ją słów „Sokrates" i „Heraklit". Przez pozostający do dnia urodzin tydzień ptaszek nauczył się dosyć czysto wymawiać „Hera", a zamiast „Sokratesa" wrzeszczał „Kraty". Na miasto padał skrzący się śnieg i życie przypominało zimową baśń.

Parę następnych stronic natury zbyt uczuciowej mogą pominąć.

Filozof Jura również przygotował Irinie niespodziankę. Po kilku kieliszkach szampana ukochany oświadczył, że powinna udowodnić, że naprawdę go ceni. Dlatego powinna oddać się każdemu z jego zaproszonych przyjaciół. Nie dała wiary swoim uszom, zerwała się, żeby uciekać, ale nogi jej nie słuchały – wino zrobiło swoje. A może nie tylko wino, ponieważ doznała wrażenia, że wszystko to działo się nie z nią, a z jej sobowtórem, Irką nr 2, podczas gdy ona, Irka nr 1, patrzyła na to zza kryształowego wisiorka pod lustrem.

Jura przekonywująco, jak hipnotyzer, wyjaśniał, że jego przyjaciele są ludźmi o szerokich poglądach, że wszyscy mają przyzwoite i głębokie natury, że o tym wieczorze nikt nigdy się nie dowie, a ona przez kilka godzin zdobędzie doświadczenie seksualne, na jakie inne dziewczyny potrzebują całe lata...

Na przyjęcie urodzinowe przyszły trzy głębokie natury. Żeby ustalić, kto pierwszy zacznie jej przekazywać doświadczenie seksualne, wyciągnęli z talii po karcie. Jura demokratycznie losował razem z innymi, wyciągnął blotkę i okazał się ostatni w kolejce. Irinie nalano jeszcze trochę wina, po czym jej świadomość zaczęła działać z przerwami – jak gdyby ktoś zaciągał i odciągał czarną zasłonę przed jej oczyma. W jednej z odsłon udało jej się zapamiętać Jurę stojącego nad kanapą i celującego w nią z aparatu fotograficznego. W innej ujrzała, jak goście znowu ciągnęli karty i dwóch z nich wyciągnęło asy, po czym Jura powiedział, że obaj jednocześnie mają pierwszeństwo, dlatego teraz dziewczyna doświadczy czegoś nowego...

Rankiem Irka ocknęła się w ramionach Jury. Jura od razu nalał jej kieliszek szampana, a potem jeszcze jeden. Był jak zwykle czuły, całował ją w nos i w ciemię i przekonywał, że wszystko wczorajsze było snem. Kochała Jurę, dlatego zgodziła się: tak, to był tylko sen. Wyobraziła sobie, że Irka nr 1 wróciła

wczoraj zza kryształowych wisiorków i dzisiaj poszła do szkoły. Zaś Irka nr 2 śni się jej nadal i w tym śnie pozwala się obejmować i nazywać poprzednimi pieszczotliwymi słowami, odczuwając z chłodną jasnością, że już nigdy nie wróci ani do szkoły, ani do domu.

Do wiosny mieszkała u filozofa Jury, niemal nie wychodząc z jego kawalerki, żeby przypadkiem nie natknąć się na kogoś znajomego. Wieczorami, uciszając żółto-zieloną papużkę, z napięciem wsłuchiwała się w odgłosy z klatki schodowej, lękając się, że Jura może nie wrócić. Jednak niezmiennie wracał, przynosząc nie tylko wino, ale często także kwiaty.

Wiosną filozof zaczął coraz częściej popadać w zamyślenie i rozdrażnienie. Pewnego dnia Irka zakręciła prysznic w łazience i usłyszała, jak Jura przyciszonym głosem, z dobrze jej znaną ciepłą intonacją zaprasza jakąś kobietę do siebie na urodziny. Jaki scenariusz był przewidziany tym razem, Ira nie dowiedziała się. Jura wysłuchał jej łzawych wyrzutów, po czym z czarnej koperty po papierze fotograficznym wyciągnął zdjęcia z minionych urodzin, które obchodzono trzy miesiące temu. „Jeszcze mi tu, kurewko, zgrywasz niewiniątko? – krzyczał. – To popatrz sobie, popatrz sobie na dzieweczkę Irinkę! Oto ona, nawiasem mówiąc, nie z Jurą ukochanym, a z Siergiejem... a na jej niewinnej twarzyczce jakież uczucia się malują? Nie, sędziowie przysięgli, nie są to zgroza i wstręt. Nasza dzieweczka wybałusza oczęta z rozkoszy..."

Przez kilka dni Irka nocowała na dworcu, gdzie próbowało ją zgwałcić dwóch chłopaków z przechowalni bagażu. Trzeciej nocy dojadała resztki chleba pozostawione na foliowych talerzykach w bufecie i chwyciły ją wymioty.

Głodna i chora na grypę wróciła jak zbity pies do Jury. Teraz wszelkie sentymenty się skończyły i ich życie zaczęło rzeczywiście przypominać stosunki pomiędzy gospodarzem i psem. Karmił ją, czasem brał do siebie do łóżka, bił stalowym ekspanderem, kiedy odmawiała wykonywania jego męskich komend, a nawet prowadzał na spacer – ciągał za sobą po różnych melinach, już nie ukrywając, że jego studia filozoficzne polegały na nielegalnym handlu dżinsami i płytami.

Jura upajał się swoją bezgraniczną władzą. Gdy w czasie wspólnych wyjść do miasta zachciewało mu się seksu, „filozof" nie czekał na powrót do domu, a bezpośrednio u kogoś w mie-

szkaniu, mrugnąwszy porozumiewawczo do gospodarza, wyprowadzał Irkę do innego pokoju albo do kuchni, zaś na ulicy prowadził do najbliższej bramy, rozpinał zamek błyskawiczny dżinsów i pochylał jej głowę.

Latem, kiedy zgodnie z planami, pochodzącymi jeszcze z beztroskiej i szczęśliwej zimy, Irina miała zdawać egzaminy na filologię, bezgraniczna władza nad dziewczyną przejadła się Jurze i chłopak przyprowadził do siebie jakąś Wierę, a swojego „psiaka" wypędził na ulicę, wręczając „na zagospodarowanie" 10 rubli 50 kopiejek i klatkę z papużką. Na pożegnanie musiała odbyć jeszcze seans miłości z filozofem, a obecna przy tym Wiera pewnym ruchem sięgnęła do szafy po aparat fotograficzny.

Słuchałem starając się wyobrazić sobie, jak poprzedniczka tej dzisiejszej, przesiąkniętej nikotyną chemiczki, grzeczna leningradzka dziewczynka Ira, o krok od zdobycia poetyckich laurów, czytywała swoje białe wiersze na zajęciach kółka literackiego, dyskutowała nad utworami rówieśników i nazywała antypoetyckim wiersz kolegi z klasy pod tytułem „Tańczące dziewczęta" ze strofami: „Błyskają w tańcu cud nóżkami dwiema, lecz sercu między nimi miejsca nie ma".

Z ulicy Irkę zgarnął Żora zwany Kotem, u którego lewe oko było naturalne i brązowe, a prawe szklane i błękitne. Żora był człowiekiem wspaniałomyślnym, ale dwie wyprawy do zony w Mordwie (gdzieś tam pod chłodnym księżycowym blaskiem przyjaciele przegrali w karty jedno z jego oczu) do reszty pozbawiły Kota jakiejkolwiek delikatności w kontaktach z kobietami. Najczulsze słowa, jakie Irka słyszała od niego bezpośrednio przed zbliżeniem, to były urywane komendy w rodzaju: „Kładź się!" albo „Na stojaka!". Kiedy Żorę wzięli po raz trzeci, była świadkiem na jego sprawie, a potem na państwowy koszt przyjechała na chemię, gdzie zajęła się układaniem śpiewnika, który trafił w moje ręce w dzień naszego przyjazdu do Jagodnoje.

Kiedy Irka umilkła, zza zakrętu ukazała się masa spławianego rzeką drzewa, ale teraz nie przypomniał mi się dziadek Maksim. Patrzyłem na jej cienkie nogi w kostkach i smukłe przeguby rąk, i myślałem, że jest o wiele ładniejsza od Wiki. Nie bardzo wierzyłem ani w Żorę zwanego Kotem, ani w filozofa Jurę, który idąc z nią po Litiejnym mógł skręcić w dowolną bramę i rozpiąć zamek błyskawiczny swoich dżinsów. W zakamar-

kach duszy tliła się nadzieja, że wszystko to należy do tego samego gatunku bzdur, którymi karmiły nas zgrywające się na gitowców wyrostki z Jagodnoje.

„Wiesz co, nie wierzę ci" – bąknąłem jakoś dziecinnie, żeby cokolwiek powiedzieć. Twarz Irki pokryła się czerwonymi plamami, dziewczyna szarpnęła i zadarła w górę koszulkę z olimpijskimi kółkami. „A to widziałeś?"

Po tym pokazie długo jeszcze bałem się patrzeć na kobiece piersi w pełnym świetle, bowiem nie widziałem chyba nic straszniejszego niż owe młode piersiątka pokryte gęstą siecią sinomartwego tatuażu.

„To wszystko! Spie...j! – wściekle wycedziła Irka. – Załapałeś? Spie...j!" Czy to od nie zadeptanego niedopałka, czy też może od wybuchu wściekłości Irki zaczęło się tlić poszycie pod jej nogami. Zerwała się i jej wciąż jeszcze świeże, czereśniowe usta sypnęły taką wiązanką, że moje uszy zapragnęły zwinąć się w spirale, a głowa wcisnąć się w ramiona i nawet dalej, żeby ukryć się gdzieś na dnie żołądka.

Ścieżka prowadziła mnie precz, a w kark wpijały się nabrzmiałe nienawiścią pająki słów, wśród których „spie...j!" było jednym z najmniej obrzydliwych.

Uczucie, że popełniłem jakąś okropną pomyłkę tam, na ciepłym kamieniu nad rzeką, nie opuszczało mnie przez następny tydzień. Możliwe, że było ono także podsycane zleceniem na wykonanie pięciu typowych drewnianych ubikacji. Nam z Gienkiem przypadło w udziale kopanie dołów i zbijanie siedzeń z wyciętymi otworami. Począwszy od najprostszego, klasycznego rombu przeszliśmy stopniowo do serca, a w końcu z pomocą piły otwornicy i dłuta poczęliśmy arcydzieło w kształcie pięcioramiennej gwiazdy.

(Po pół roku, kiedy zaczną nas ciągać za samizdaty – pisaną odręcznie „Błękitną latarnię" w Nowopołocku i maszynopisową „Miławicę" na rodzimym wydziale historycznym – major KGB podczas rozmowy profilaktycznej powie mi te słowa: „Nie próbujcie się wykręcać. Wiemy o was zdecydowanie wszystko. Na przykład o tej waszej, że tak się wypowiem, toaletowej sztuce w oddziale budowlanym. W swoim nacjonalistycznym zaślepieniu doszliście do wyrafinowanej profanacji pięcioramiennej leninowskiej gwiazdy". Próbując się usprawiedliwiać, nazwałem nasze skromne osiągnięcia nieszkodliwym żartem, ale efekt

był odwrotny od zamierzonego. „Znaczy się, ktoś spuszcza spodnie, załatwia się na drogi dla każdego radzieckiego człowieka symbol i to jest, po waszemu, żart?" „To dawny symbol solarny – broniłem się dalej. – Jeszcze starożytni Hindusi..." „Możecie te bajeczki opowiadać swoim starożytnym Hindusom..." „Swastyka, nawiasem mówiąc, to też symbol słońca"– wyrwało mi się nieostrożnie, po czym zostałem zastopowany lodowatym pytaniem: „Dlaczego w takim razie nie wycięliście swastyki?")

Nasz urozmaicony niewielkimi przygodami ale na ogół uporządkowany żywot zmienił się raptownie, gdy prozaik John Halak otrząsnął się ze swego odrętwienia i nieoczekiwanym manewrem odbił czarniawą amazonkę Świetłankę kierownikowi robót budowlanych, któremu podlegaliśmy.

Jeśli nigdy nie remontowaliście kolejki wąskotorowej, wbijając po pięćset klinów dziennie w sprężyste podkłady, ciężko wam będzie zrozumieć, dlaczego z taką tęsknotą wspominaliśmy solidny turkot betoniarki i głębokie nosidła z zaprawą albo z piramidą cegieł. Na pocieszenie pozostała jedynie konstatacja, że każda sytuacja ma także swoje dobre strony.

Wąskotorówka w tajdze pomogła wczesnemu mnie głębiej przeżyć i zrozumieć wczesnego Uładzimiera Karatkiewicza, którego wówczas odkrywałem dzięki Gienkowi – pierwszemu na mojej drodze pisarskiej człowiekowi z miasta, który mówił do mnie po białorusku nie ze sceny i nie z ekranu telewizora.

Nie ulega wątpliwości, że czytanie ballady „Pauluk Bahrym" przez kogoś wyciągniętego na żelaznym łóżku w akademiku i sączącego piwo Lidzkie albo Żigulowskie z butelki to jedno, a otwarcie książki podczas krótkiej przerwy na papierosa, gdy od świtu do zmroku macha się zza głowy kowalskim młotem, starając się trafić w krnąbrne kliny, to zupełnie coś innego, ponieważ słowa zdają się przystawać jak ulał do sytuacji:

W moim kraju jest ciężko
(Osiki czerwienią się hańbą),
Nad nim puszy się i nadyma
Pijany, rozwiązły stupajka.
Jak za księcia Wsiesława –
Dzień za długi i pajda za mała.
Jak za księcia Jagiełły –
Na każde plecy jedna nahajka.

Szkoda, że nowa praca sprzyjała jedynie głębokiemu wniknięciu w tajemnice twórczości literackiej. Z innym wnikaniem było gorzej. Mijając nas na jazgotliwej drezynie podobny do chomika z nadętymi policzkami kierownik robót złośliwie wykrzykiwał: „No co, studenci, uje...ni?"

Nieprzyzwyczajeni do takiej harówki, przez parę pierwszych dni rzeczywiście ledwo wlekliśmy się do naszych leży, a zbliżając się na miękkich nogach do ogniska, prawie natychmiast zasypialiśmy z głowami na ramionach naszych kobiet. To wtedy Michał Czarniłowicz nazwał młot kowalski najlepszym środkiem antykoncepcyjnym. Ale młode organizmy szybko doszły do siebie i definicja Michała straciła na aktualności jeszcze nim czarniutka Świetłanka zatęskniła do męskich pieszczot na tyle, by wrócić do chomikowatego kierownika.

Z chemikami, jak poprzednio, spotykaliśmy się tylko przy ognisku, co zazwyczaj nastraja człowieka pokojowo. Działała między nami niepisana umowa: oni nie będą zaczepiać nas i amazonek, a my, studenci, nie będziemy nadawać glinom, cokolwiek by się w osiedlu działo.

Pokojowe współistnienie pękło jak bańka mydlana w Dzień Budowniczego.

W przeciągu dwóch miesięcy pobytu w oddziale budowlanym ta sierpniowa niedziela była zadekretowana jako jedyny dzień świąteczny, kiedy można się było wyspać do woli i zorganizować legalną balangę.

Uzgodniliśmy ze swoimi amazonkami, że spędzimy święto na tarasie – otoczonej cedrami polance, urywającej się stromo nad rzeką niby mur fortecy. Krążyła pogłoska, że w czasach Stalowego Józefa z tego urwiska wyprawiano do raju albo i piekła kuracjuszy GUŁAGu, dlatego też tubylcy i chemicy niezbyt cenili ten taras. Nas takie słuchy nie odstraszały i każdy (rzecz jasna, nie w pojedynkę) zdążył już ocenić wartość tego miejsca, podobnego do zacisznej altanki, gdzie po miłosnych harcach można było do woli, nie wstając z ziemi, najeść się dużych, słodkich borówek.

Wszystko poszłoby gładko, gdyby Buhorowi i Tolkowi Raślinskiemu nie zachciało się wypić z samego rana. Trudno mi powiedzieć o Tolku coś konkretniejszego oprócz tego, że w ustach błyszczał mu złoty ząb, a jego właściciel bez poważniejszych sukcesów trenował w sekcji bokserskiej, dlatego też

przywiózł ze sobą na Syberię rękawice i czasem boksował z trudnym wychowaczo małolatem Witią.

Zaś Misza Buhor był osobowością zupełnie innego pokroju.

Przez pięć lat Misza pływał na ŚTR, co tłumaczy się jako średni trawler rybacki.

Życie na morzu trudno nazwać szkołą moralności.

Misza pił whisky na Nowej Fundlandii i całymi galonami kupował spirytus w aptekach Hawany i Santiago de Cuba, wywołując popłoch i zgrzytanie zębów wśród tubylców. Zmyty falą za burtę u wybrzeży Danii, trafił do portowego szpitala, a stamtąd, dzięki znajomości z wąsatym polskim marynarzem, który uznał go za swego rodaka, do tamtejszego domu publicznego.

W domu pod czerwoną latarnią przyjaciele siorbnęli sobie rumu, wybrali z podanego przez madame albumu ze zdjęciami po dziewczynie i skierowali się do pokoi.

W najbardziej odpowiedzialnej chwili Misza ze swoją małą Mulatką usłyszeli dyskretne pukanie do drzwi, a za nim delikatne pytanie w najczystszym języku rosyjskim: „Towarzyszu Gorielik, jesteście tam?" Oklapnięty Misza nie zdążył wciągnąć spodni, gdy z korytarza usłyszał już nie pytanie, a rozkaz: „Towarzyszu Gorielik, otwierajcie! Wiemy, że tam jesteście". Za drzwiami stał młodszy pracownik ambasady radzieckiej, którego wysłano wypisać Miszę ze szpitala.

Przez całą noc Misza za ostatnie pieniądze stawiał pracownikowi ambasady alkohol w portowych barach, śpiewał z nim rzewne rosyjskie pieśni i wysłuchiwał twardych męskich obietnic, że on, pracownik ambasady, będzie milczał jak grób i wszystko zostanie pomiędzy nimi.

Kiedy statek dostarczył Miszę do Tallina i zuchowaty marynarz cicho pogwizdując zszedł na nabrzeże, przy stojącej tam czarnej wołdze zatrzymał go nie rzucający się specjalnie w oczy człowiek w nieprzemakalnym płaszczu. Człowiek okazał się funkcjonariuszem KGB do pracy z marynarzami i wytłumaczył klientowi domu publicznego, że ów zhańbił godność człowieka radzieckiego i komunisty i zasłużył na skreślenie z listy załogi.

Ostatnie przybicie Miszy do macierzystego portu było więc nietypowe. Zazwyczaj, czując pod nogami nabrzeże Tallina, Buhor i kompania takich jak on hulaków obrzucała okolicę pogardliwymi spojrzeniami albatrosów wypuszczonych na jakąś zakazaną sadzawkę i zwartą watahą szła na postój taksówek. Wy-

prawa do tallińskiej dzielnicy Piryta miała swój rytuał. Szanujący się wilk morski brał nie mniej niż trzy taksówki. Do pierwszej niedbale wrzucał swój nabyty gdzieś w sztormowych szerokościach geograficznych kapelusz, w drugiej umieszczał walizę, a do trzeciej pakował się sam. Kawalkada samochodów zatrzymywała się w pobliżu przycumowanego szkunera-restauracji, gdzie ucieszona obsługa pospiesznie wystawiała wszelakie lądowe drobiazgi na stoliki.

Na kilka dni żeglarze zaprowadzali na szkunerze reżim okupacyjny, nocując tam i myjąc szampanem nogi przed pójściem spać. Zakupiony wraz z bebechami personel balangował razem z gośćmi, doskonaląc znajomość wielkiego i wspaniałego języka starszego brata. Wszyscy odnosili się do siebie z szacunkiem i życie przypominało zabawę delfinów w akwamarynowym Golfsztromie.

Ale niepostrzeżenie nadciągał czuły moment rozstania z zarobionymi na morzach i oceanach pieniędzmi, gdy kelnerzy i kierownik restauracji bez zbędnych ceregieli wyrzucali ociężałe delfiny na chłodny i pusty brzeg. Chłopaki obejmowali się na pożegnanie i rozjeżdżali do rodzin, żeby zalec na dnie i przeczekać jakiś miesiąc lub półtora do następnego wyjścia w morze.

Żebyście lepiej zrozumieli, kim był Misza Buhor, muszę też wspomnieć historię z muchami.

Pewnego razu, już po odwiedzeniu Piryty, Misza zatrzymał się w Tallinie i opanowany smętnymi myślami o nieubłaganym nadejściu trzeźwych i głodnych dni wstąpił do jakiejś knajpki, gdzie stał się świadkiem strasznego skandalu. Jakiś sokolooki gość znalazł w sosie muchę. Zaczął więc wygrażać na całą salę, że napisze do centralnych i miejscowych gazet, a kelnerzy, kucharz i kierownik ustawili się przed nim na baczność i zachłystywali się przeprosinami. Incydent zakończył się tym, że szacowny gość, który nie lubił sosów z muchami, opuścił lokal nakarmiony i napojony do syta, nie płacąc w dodatku ani grosza.

Kiedy Misza wrócił do marynarskiego hotelu i natknął się wzrokiem na łażącą po suficie muchę, natychmiast przystąpił do dzieła. Niebawem ze dwa tuziny sześcionogich owadów suszyło się na rozpostartej gazecie „Marynarz Bałtyku".

Początek operacji wypadł znakomicie. Restaurację najelegantszego w tamtych czasach tallińskiego hotelu „Viru" Misza opuścił z żołądkiem wypełnionym wyborowym jadłem i pi-

ciem. Niestety, nazajutrz w „Starym Tomasie" obsługa okazała się ciężko kapująca i Misza musiał długo wyjaśniać, że w całym cywilizowanym świecie w takich wypadkach gościa karmią i poją za darmo. Trzeciego dnia wpadł już na całego, gdy po zjedzeniu bulionu ozdabiał schabowego owadem, wytrząśniętym z fiolki na leki. O wynalazcy napisała prasa i chociaż Misza zdążył wykorzystać tylko trzy muchy, rachunki za darmowy poczęstunek wystawiło mu aż siedem restauracji i kawiarni.

Historii z muchami wysłuchałem siedząc w saloonie. Tak nazwaliśmy drugi pokój w naszej syberyjskiej chacie, gdzie zmajstrowaliśmy koślawy stół i parę ławek, a młody prozaik John Halak zdobył gdzieś dziecięcy komplet do wypalania i natchniony opowiadaniem brata wypalił na belce nad wejściem: „Tu mieszkają dzieci Johna Barleycorna". Misza lubił poezje Roberta Burnsa.

Tam też, w saloonie, wśród zapachów mocnego tytoniu, zgniłego bagna i spoconych męskich ciał usłyszałem dramatyczne opowiadanie o służbie Miszy w armii radzieckiej.

Swój zaszczytny obowiązek wobec socjalistycznej ojczyzny Misza spełniał w gęstych lasach pod Pskowem, gdzie miejscowi mieszkańcy (nazywający siebie „psowianami") wyjaśnili młodym żołnierzom, że święto u nich nie jest uważane za prawdziwe, jeśli w jego trakcie kogoś nie zarżną. A do tego przed pierwszym świętem trzem poborowym nie otworzyły się spadochrony na dywizyjnych ćwiczeniach i Misza poczuł, że żadna siła, nawet groźba rozstrzelania, nie zmusi go do wyskoczenia z otwartego luku samolotu.

Z jednostki pofrunął rozpaczliwy list do ulubionego wujka, wiejskiego felczera. Długa odpowiedź wujka w całości była poświęcona wspomnieniom o tym, jak to w dzieciństwie Misza lunatykował i nocami spacerował nieprzytomny z wyciągniętymi przed siebie rękami, budząc popłoch wśród młodszych braci i siostrzyczek.

Tej samej nocy szeregowy Gorielik cichutko podniósł się z łóżka i z wyciągniętymi niczym ślepiec rękami ruszył, z towarzyszeniem symfonii żołnierskich pochrapywań, w kierunku stolika dyżurnego kompanii. Ten także chrapał, więc żeby zwrócić na siebie uwagę, „lunatyk" musiał dwukrotnie walnąć dyżurnemu po uszach. Przeniesiono go do szpitala na obserwację, gdzie był podejrzewany o symulowanie, ale żelazna wola

pomogła synowi prostego białoruskiego wieśniaka spod Wilejki przetrwać straszliwą analizę rdzenia kręgowego i objąć pożądaną posadę pisarza wojskowego. Tam udało mu się trzykrotnie wypisać sobie przepustkę do rodzinnej wsi, tej właśnie, gdzie pociągając wiecznie zasmarkanym nosem, biegało stworzenie bez majtek, które piętnaście lat później zaciągnęło Miszę do łóżka, potem do urzędu stanu cywilnego, a stamtąd znowu do łóżka, już na pełnych podstawach prawnych.

Wysączywszy w melancholijnym nastroju u „Johna Barleycorna" kilka szklanek jabola, Buhor lubił pofilozofować. „Zapamiętaj, Wowa – nauczał – starość to czas, gdy wszystkie siusiumajtki wydają ci się ładne". Rozwijając temat, stwierdzał brutalnie, że kobiety dzielą się na takie, które mogą ci dać, oraz na takie, które nigdy ci nie dadzą, a dlatego i jedne i drugie (te drugie, żeby się zemścić) należy stawiać w niezwykłych sytuacjach, po to, żeby łatwiej można było zbić je z pantałyku.

Trzeba zaznaczyć, że mimo znakomitego teoretycznego przygotowania, życie Miszy ułożyło się wbrew jego zasadom.

Pewnej jesieni Misza opuścił restaurację-szkuner w Tallinie i przyjechał w swoje rodzinne strony nad Wiallą. Tam poszedł w takie tango, że pewnego ranka ocknął się wśród obcych ścian i ujrzał na poduszce obok głowę dziewczyny z własnej wsi. Ostrożnie wygrzebał się spod kołdry i wciągnął spodnie, żeby pójść do domu, ale dziewczyna otworzyła oczy i wyjaśniła mu, że nigdzie iść nie musi, bo to jest właśnie jego dom, a oni są mężem i żoną: wczoraj zapisano ich w sielsowiecie, a weselisko się wyprawi, gdy Misza przywiezie pieniądze z rejsu.

Od tamtego dnia życie Miszy potoczyło się po garbach i wybojach. W Tallinie ostatecznie wyrzucono go z marynarki, nieoczekiwana żona urodziła mu krzykliwego dzieciaka i wciąż domagała się pieniędzy, a teściowa groziła, że poda go do sądu za pasożytnictwo, bowiem do pracy na roli Buhor z jego morskim charakterem był przystosowany jak kaszalot do mulistej sadzawki.

Te wybitnie niesprzyjające okoliczności spowodowały, że Misza regularnie, raz na miesiąc, uciekał spod Wilejki do Władywostoku. Po drodze wpadał do naszego akademika, żeby odwiedzić brata i zaprosić nas do restauracji w starym hotelu „Biełaruś".

Owe wieczory z gadatliwym i przepełnionym życiową mądrością Miszą miałyby nieocenioną wartość, gdyby nie ta jedna

okoliczność: Misza nigdy nie miał dość pieniędzy, żeby zapłacić rachunek, więc wykładaliśmy swoje stypendialne jednorublówki i trojaki, wymógłszy na Miszy obietnicę, że do Władywostoku wybierze się następnym razem, a nazajutrz rano wsiądzie do elektryczniaka na Mołodeczno.

Pojawienie się Miszy w oddziale budowlanym „Victoria" było efektem jego kolejnej ucieczki od żony. Tu Misza otrzymał przydomek Buhor, który przyrósł do byłego marynarza na trwałe.

Tak więc w Dzień Budowniczego Buhor z Tolkiem Raślinskim zapragnęli świętować już od samego rana. Tolek ułożył plan, zgodnie z którym najpierw należało podpoić naszego ziomka Żenię Szaniana z Osipowiczów, kierowcę, który „chemiczył" za spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym. Nie bacząc na nasze niemrawe protesty, junacy Harelik i Raślinski uzbroili się we dwie flaszki jabola i wyruszyli na poszukiwania, obiecując spotkać się z nami na tarasie, gdzie podochocony chemik Żenia z pewnością napoi wszystkich aż do odlotu.

W południe trójka moczymordów mignęła przed naszymi oknami. Przysadzisty i krępy Misza szedł w miarę równo, ale stąpał ostrożnie, jakby po kładce nad wezbraną rzeką. Tolek w jednym ręku niósł kobiałkę z trzema flaszkami i nie wiadomo czemu z bokserskimi rękawicami, a drugą podtrzymywał osiłka Żenię o rumianych policzkach. „Gdy zdobędziemy władzę – krzyczał Raślinski do głuchawego chemika – zostaniesz ministrem finansów!" Żenia ściskał w potężnej pięści niebieski zwitek piątaków. Nie było jasne, czy słowa Tolka były pochwałą hojności mieszkańca Osipowicz, czy też dopiero zachętą do niej.

Kiedy wyciągnęliśmy zachowaną specjalnie na świąteczną okazję skrzynkę „777" na ganek i rozsiadając się malowniczo na niej i dokoła niej zapaliliśmy papierosy w oczekiwaniu na przybycie naszych przyjaciółek, od osiedla chemików raptem powiało grozą. Na drodze ukazała się najpierw magazynierka Pantielejewna. Jej postać przypominała olbrzymią beczkę na kapustę, do której z dołu, z góry i z boków przymocowano na łapu capu jeszcze pięć beczułek. Tym niemniej Pantielejewna poruszała się nad podziw żwawo i już z daleka krzyczała, żebyśmy się natychmiast pochowali. Skapować dokładnie o co chodzi udało się jednak dopiero wtedy, gdy dotoczyła się do ganku.

Magazynierka z bulgotaniem w piersi wychrypiała, że chemicy porządnie dali sobie w gaz i idą tu całą bandą, żeby nas wyrżnąć.

Najwidoczniej krajan Żenia nie zdecydował się na otworzenie pięści z piątakami, więc Tolek Raślinski wciągnął rękawice i sprał nieprzydatnego kandydata na ministra finansów na kwaśne jabłko. Nasze ochlajtusy gdzieś się zaszyły, a chemicy lada moment będą tutaj. Koło budynku szkoły spróbował ich powstrzymać nauczyciel Sacuk, ale jeden z młodych chemików wyciągnął nożyk i nakreślił Sacukowi pięcioramienną gwiazdę na czole.

– Kryjcie się ... wasza mać! – lamentowała Pantielejewna. I bez jej przeraźliwego wrzasku było jasne, że sprawy wyglądają źle. Gienek rzucił się po strzelbę. Czarniłowicz chwycił klucz francuski, ja wyciągnąłem z plecaka turystyczną siekierkę, a rudy Lawon, inaczej John Halak, wydostał solidną finkę zza pazuchy, jak iluzjonista zająca z kapelusza. „Do domu!" – ryknął Lawon do Świetłanki (którą odbił u kierownika robót budowlanych) i do innych amazonek. Te nieoczekiwanie postawiły się twardo i odmówiły rejterady. Poczuliśmy się trochę raźniej. Co więcej, nasze niepewne szeregi niespodziewanie uzupełniła wojowniczo zarumieniona Tatarka Amina z dubeltówką.

Maleńka Wika wspięła się na paluszki i szepnęła mi z oddaniem, że w razie czego ma ze sobą apteczkę.

– Idą! Mordercy! – głucho wrzasnęła nasza dobrodziejka Pantielejewna wskazując na drogę i potoczyła się po ścieżce do tajgi.

Chemicy szli powolnym, przerażającym krokiem. „Dwadzieścia trzy" – policzył szlachetnie opanowany Gienek, odciągając kurek strzelby.

Razem z mężnymi córami syberyjskiej ziemi było nas dziewięcioro plus dwie strzelby. Dziewczętom, by ich obecność nie za bardzo prowokowała gości, kazaliśmy się ukryć w saloonie „Johna Barleycorna", zaopatrzając ich w butelkę „777" dla podtrzymania ducha.

Amina kategorycznie odmówiła oddania dubeltówki bojowej mężczyznom i pozostała razem z nami na ganku.

Chemicy, obserwowani przez pięć par oczu i dwie pary luf, rozstąpili się w odległości jakichś trzydziestu kroków od nas i przepuścili do przodu wujka Kolę z Moskwy. Niektórzy z nie-

proszonych gości już porządnie dali sobie w czub, ale nie wiadomo, czy warto było się z tego cieszyć: pijani są bowiem bardziej skłonni do ryzyka. Ten i ów z pewnością nie przypadkiem trzymał prawą rękę w kieszeni i mógł wyciągnąć ją znacznie szybciej, niż zdążylibyśmy kogoś postrzelić.

Powiedzieć, że się przestraszyłem, byłoby zbytnim uproszczeniem.

Przypomniała mi się nasza niewinna dziecięca zabawa: trafić w „koło" piłką siatkową. Za każdym razem, gdy przyjmując piłkę odstępowałem krok do tyłu, ogarniało mnie pijane uczucie znikomości istnienia, bo bawiliśmy się nie na ciepłym piasku plaży czy na szkolnym boisku, lecz na płaskim, bitumicznym dachu naszego pięciopiętrowego bloku w Połocku. Każdym kręgiem kręgosłupa odczuwało się wysokość i jej magnetyczne pole, które z każdym następnym krokiem ku krawędzi wywierało coraz potężniejszy wpływ.

Wtedy, na ganku w Jagodnoje, mój kręgosłup przeżył takie samo uczucie.

Na dodatek chorobliwie napięta wyobraźnia wyświetliła przed oczyma pełnometrażowy film: przestrzeń zasnuta prochowym dymem, stosy trupów, gardła rozchlastane od ucha do ucha, wypuszczone z trzewi sinobiałe flaki i malutka Wika, która nie zdążyła opatrzyć naszych ran, bowiem zwycięzcy dopadli ją i z ohydnym rechotaniem biorą „na fretkę", ale ja już tego nie widzę, bo moja dusza zdążyła rozpłynąć się w wysokim błękicie i złocie tego dnia, a w moich zeszklonych źrenicach zastygły mikroskopijne cedry i osierocony maszt bez flagi, odciętej razem z workiem pełnym kotów.

– Hej, studenci! – przemówił wujek Kola, ciężko obracając językiem. – Tymi oto rękami – huśtając się lekko na grubych jak bierwiona nogach, wujek Kola rozcapierzył wielgachne dłonie z krótkimi i mięsistymi jak serdelki palcami – tymi oto rękami siedmiu frajerów wykończyłem. Zona dla mnie to jak wolność dla was, a chemia tylko tak sobie, ni pies ni wydra, ni tajga ni tundra.

Na mojej prawej flance usłyszałem jakieś dziwne dźwięki. Zerknąłem z ukosa: Tatarka Amina kurczowo ściskała strzelbę i półgłosem śpiewała pieśń wojenną swojego narodu.

– Słuchajcie no – kontynuował wujek Kola. – Wydajcie nam tego szajbusa, pierd...go boksera, a sami możecie sobie iść do ch..a...

Wytarłem spocone ręce o nogawki junackich spodni i pomyślałem, że spotkanie ze śmiercią zostało przełożone. Odkrzyknęliśmy, że szajbusa, to znaczy Tolka, w domu nie ma i wujek Kola może wysłać do nas dwóch chemików na kontrolę.

Rozpoczęta dramatyczną nutą przygoda skończyła się burleską. Kontrolerzy przeszukali domek, strasząc dziewczyny w saloonie, bez powodzenia spróbowali uszczypnąć Aminę, po czym nad wyraz elegancko chwycili naszą skrzynkę z wińskiem i specjalnie się nie śpiesząc ruszyli do swoich towarzyszy. Córa tatarskich stepów uniosła dubeltówkę. „Amina! Wal w dupy!" – rozpaczliwie wykrzyknął Michaś Czarniłowicz, ale Gienek z Johnem Halakiem natychmiast uczepili się rąk Tatarki.

Impreza straciła rozpęd. W odróżnieniu od okolic, gdzie służył w wojsku Misza Buhor, tutaj nikogo nie zarżnięto. Raślinski z rękawicami bokserskimi schował się gdzieś przed wujkiem Kolą z Moskwy; nauczyciel Sacuk z pięcioramienną gwiazdą na czole zgrzytał zębami z bólu, Amina siedziała na ganku i śpiewała gardłową tatarską pieśń zwycięstwa, a w saloonie nasze nieustraszone przyjaciółki żuły białoruską słoninę, zapijając ją ciepławą alpagą.

W poniedziałek wojowniczy chemicy wytrzeźwieli i dowiedzieli się, że szajbusa wraz z Buhorem przerzucono helikopterem do Pier. Dołu, a z uwagi na to, że wujek Kola miał długie ręce i nie rzucał słów na wiatr, bohaterów Dnia Budowniczego wyrzucono z oddziału za pijaństwo i szybciutko odprawiono do ojczystego Mińska. Wujek Kola za niedopatrzenie rozkazał zrobić „samokształt" kilku swoim ludziom, a sam, miotany sprzecznymi uczuciami, zamknął się na całą noc z dwiema chemiczkami.

Tymczasem za progiem stał już sierpień, nieubłaganie zbliżała się jesień i gorzkawa chwila rozstania. Woda w gliniankach zrobiła się wyraźnie chłodniejsza, a wieczorne ogniska stawały się coraz cichsze i smutniejsze. Chemicy nam zazdrościli, zdążyliśmy przywyknąć do amazonek, a serca niektórych z nich, jak potwierdziły przyszłe wydarzenia, ożywiała nadzieja na ciąg dalszy. Milcząco wpatrywał się w ogień trudny małolat Witia, który w ciągu dwóch miesięcy zaliczył kilka lat męskich uniwersytetów. Nawet wyrostki z osady przestali się zgrywać i nieśmiało wypytywali, jakie są uczelnie w Mińsku i czy trudno się tam dostać na studia.

Ostatniego dnia malutka Wika, rozczesując swoje kędziory, wyrzekła drżącym głosikiem: „To już wszystko. Teraz pozostały nam tylko wspomnienia" – a potem cicho, jak myszka, zapłakała. Drobniutkie łzy kapały do szklanki z „trzema siódemkami", ja zaś nie płakałem, lecz przyszła mi do głowy bezsensowna myśl, że nawet gdyby łzy Wiki kapały do szklanki przez cały dzień i tak nie zmieniłyby koloru wina.

Czarniłowicz umówił się ze swoją Nastią, że dziewczyna przyjedzie do Mińska i razem pójdą do urzędu stanu cywilnego. John Halak z czarniutką Świetłanką znikli gdzieś do samego wieczora. Warwara też płakała z brzydko wykrzywioną twarzą, a Amina, którą po Dniu Budowniczego przyjęliśmy do naszej paczki, wypiła trzy szklanki alpagi i trzy razy wygarnęła z dubeltówki w ciemne niebo.

Strzelająca spalinowa lokomotywka zawiozła nas „naszą" wąskotorówką do Pier. Dołu, gdzie ujrzeliśmy oddział budowlany „Victoria" w apogeum moralnego rozkładu i upadku. Szerokość frontu robót określało zamówienie na wybudowanie dwóch, podobnych do szpaczych domków, ustępów dla potrzeb lotniska, w których nam z Gienkiem, jako już uznanym specjalistom, z marszu powierzono wykonanie poczesnej cząstki pracy. Nie mając prawie nic do roboty, junacy SOB-u pili, rżnęli w karty, zadzierali z miejscową ferajną i łowili więcierzem rybę w starorzeczu. Dowódca oddziału, doktorant Wołodia Zasochin napił się koniaku na krzywy ryj, zapragnął pojeździć ciężarówką i rozwalił połowę zbitej z desek stołówki.

Docent Riepin w międzyczasie wyszedł na wolność, a przypominający Cygana Saszka wrócił do zony: zrobił porządną dziurę w łupkowym dachu sklepu z artykułami spożywczymi w osadzie, po czym wyniósł stamtąd dwie butelki gorzały i parę śledzi, wypił alkohol na trawie od razu pod ścianą sklepu, przeżuł dwa rybie ogony i beztrosko kimnął na miejscu przestępstwa, skąd po godzinie zwinęli go dwaj milicjanci.

Ostatnim godnym odnotowania wydarzeniem w przeddzień powrotu do ojczyzny stała się moja idiotyczna bójka z Czesiem Mikulskim o podział złowionych szczupaków. Mocowaliśmy się na brzegu starej odnogi rzecznej, usiłując wepchnąć jeden drugiego do przybrzeżnej brei z gęstymi wodorostami. Zwyciężyłem, ale potem do końca studiów męczyły mnie wyrzuty sumienia, bo Cześ po Nowym Roku umarł na ra-

ka, a powiadano, że już jadąc do oddziału budowlanego wiedział, że pozostało mu niewiele życia.

Gdzieś tam w górze zapadło postanowienie, że zebranie całej kilkutysięcznej braci junackiej w stolicy obwodu może być niebezpieczne, więc eszelony formowano i wyprawiano na zachód w miasteczku Osina, które przeszło próbę porównywalną tylko z czasami wojny domowej i obcej interwencji.

W pierwszym rzędzie w sklepach wykupiono wszystkie artykuły spożywcze włącznie – a może przede wszystkim – z mętnym jak woda w kałuży miejscowym piwem, w którym nawet gołym okiem można było dostrzec poruszające się bakterie i mikroby.

Pół biedy, gdyby z tą błotnisto-żółtą cieczą miały do czynienia jedynie zahartowane studenckie głowy i żołądki, ale ktoś poczęstował nią także dwa podrośnięte niedźwiadki, które zabrali ze sobą chłopaki z instytutu lotnictwa cywilnego w Rydze. Oszołomione piwem zwierzaki urwały się w nocy z łańcuchów i pohulały sobie do woli po niskopiennym parku, gdzie na ławkach i na trawie spali junacy z oddziałów budowlanych. W efekcie może z tuzin junaków wsiadał do eszelonu z obandażowanymi rękami i głowami, a drugi tuzin przez długi czas nie mógł pozbyć się jąkania. Niedźwiadki miały szansę uratowania się i powrotu do rodzimej tajgi, ale nieznana ciemna siła skierowała je z parku do budynku rejkomu partii, gdzie dyżurujący milicjanci przywitali dywersantów gęstym ogniem zaporowym z karabinów.

Na swoim wagonie przymocowaliśmy hasło z pieriechodnodolskiej zony o „uczciwej pracy skracającej drogę do domu".

W drodze do domu cierpieliśmy głód, bo pociąg miał długie przestoje w dzikiej tajdze, a stacje, na których junacy mogli coś kupić do jedzenia, mijał z szybkością ekspresu. W Nowosybirsku zrobiono wyjątek i plac dworcowy stał się świadkiem widowiska przypominającego szturm na Pałac Zimowy, znany z filmów o rewolucji: junacy w zielonkawych mundurach z rozpędu wskakiwali na wysoką bramę dworca, rozwalali zamek i wdzierali się z pustymi plecakami do sklepów. Tymczasem eszelonowi dano czym prędzej zielone światło i co najmniej pluton junaków z naładowanymi plecakami ujrzał jedynie umykający ogon pociągu.

Za Nowosybirskiem serce kolejowego naczalstwa zmiękło i pociąg zaczął przystawać na niewielkich stacjach, gdzie do wa-

gonów podbiegały zgraje handlarek. Każdy towar – trzy rozgotowane ziemniaki z kiszonym ogórkiem, zabiedzona wędzona płotka albo paczka zeszłorocznych herbatników – kosztował rubla.

Tę obrzydłą monotonię zaopatrzeniową przerwało pojawienie się produktu bardziej delikatesowego.

Towar miał nazwę Katiusza.

Dawno już wypiliśmy podejrzanie przezroczyste piwo z Nowosybirska i nasze smutne spojrzenia szukały ukojenia w nastrojowych, jesiennych uralskich pejzażach, gdy raptem do przedziału wtargnęła jędrna dziewoja z zadartym nosem. W ręku miała koszyk z waflami, policzki płonęły czerwienią róż, a głos brzmiał jak szczebiot wiosennej sikorki: „Sie manko, chłoptasie, biedne, zagłodzone, trzeźwe robaczki... Czemu takie markotne? Po dziesiątaku i jestem wasza. Myślcie, chłoptasie, myślcie, inni już się namyślili". Potrząsnęła wspaniałą sztuczną ondulacją i po chwili jej trajkotanie doleciało do nas z sąsiedniego przedziału.

Nie należeliśmy do tych, kogo można podejrzewać o skąpstwo albo przesadną moralność. Tym niemniej nasz przedział solidarnie odmówił przyjęcia kuszącej propozycji (jeśli nie liczyć bolesnych wahań Czarniłowicza). Widocznie kierowała nami intuicja.

Przeliczywszy sumiennie zapracowane dziesiątaki Katiusza wysiadła z pociągu daleko za Uralem. Junacy z trzech wagonów krzyknęli jej „hip-hip-hura!" na pożegnanie i rozeszli się dzielić wspomnieniami o wygibasach syberyjskiej hetery i nowymi męskimi doświadczeniami. Wyczyny trzech oddziałów mińskich junaków wyglądały tak niewiarygodnie, że dla ich urzeczywistnienia nie wystarczyłoby nawet dziesięciu Katiusz. Takie opowieści wyraźnie wnerwiały Michasia Czarniłowicza i nasz kolega rzucał wrogie spojrzenia w naszym kierunku.

Gdy pociąg wjechał na zaniedbane obszary Rosji o glebach ubogich w czarnoziem, tytani kolejowego seksu raptownie posmutnieli i przez wagony przeleciał podmuch paniki...

Teraz Czarniłowicz chodził z zadartą głową po obcych przedziałach i, złośliwie przesadzając, malował wizje najróżniejszych potworności, jakie czekają cierpiących, oraz bezinteresownie proponował konsultacje medyczne.

W tym ogólnym nieszczęściu utonęło pragnienie zemsty na naszym towarzyszu Jurku Osinowskim, które zawładnęło wagonem wśród górskich odnóży Uralu.

Gdzieś na granicy Europy i Azji skromny junak Jurka wyszedł ze swego przedziału z pobielałą twarzą i załamującym się głosem poprosił o pilne zwołanie zebrania całego oddziału. Dowiedzieliśmy się, że Osinowskiemu skradziono z walizki wszystkie pieniądze. Niewesołą wiadomość uzupełniły informacje o chorych rodzicach, niezbyt zdrowej siostrzyczce i w dodatku chorującej na jakąś skomplikowaną chorobę krówce. Do listy rodzinnych chorób nieborak dodał wzruszający szczegół: ze zmartwienia rozstroił mu się żołądek i chwyciła go krwawa biegunka.

Największą litość wywołał nie sam cierpiący Jurka i jego chorzy krewni, ale biedna krówka, która miała nie doczekać się pieniędzy zapracowanych ciężką harówą w oddziale budowlanym.

Kiedy podczas głosowania nad zbiórką pieniędzy dwie ręce niezdecydowanie „wstrzymały się", zebrani zapałali szlachetnym oburzeniem. W rezultacie Jurka dostał o trzy stówy więcej niż inni junacy i jego młody, znów uskrzydlony organizm szybko pokonał biegunkę.

Jakkolwiek gorzko jest przeżyć rozczarowanie innymi ludźmi (podobnie jak rozczarować swoich bliźnich), prawda jednak wymaga, żeby wypić jej piołunowy kielich do samego dna. Skromny junak Jurka po prostu wstawił nam kit. Ci dwaj junacy, którzy na zebraniu nie chcieli głosować za, jechali z Jurką w jednym przedziale, a ponadto przemieszkali z nim rok w jednym pokoju w akademiku, dlatego też dysponowali większą ilością danych do analizy. Dlatego nie uważali całej sprawy za zakończoną. Jeden z nich spił uskrzydlonego towarzysza do nieprzytomności, a drugi gruntownie przeszukał jego bagaże i znalazł rzekomo skradzione pieniądze na dnie walizki w kokonie śmierdzących skarpetek.

Z powodu fatalnych w skutkach amorów z Katiuszą, „Victoria" nie spełniła do końca oczekiwań rodzimego akademika. Zamiast hucznych balang z udziałem miejscowych bachantek i salw szampana czekały junaków wizyty u wenerologów i różne mało przyjemne zabiegi.

Swoich kolegów zrehabilitował do pewnego stopnia student czwartego roku Wasia Maksimienka, który nie bacząc na swoją dolegliwość wieczorem wspiął się z butelką szampana na słup ze światłami na skrzyżowaniu Swierdłowa z Uljanowską i recytował stamtąd wiersze Michaiła Lermontowa dla rzadkich o tej porze przechodniów. W protokole, którym Wasia się szczycił,

dyżurny na posterunku zapisał, że podczas zatrzymania obywatel Maksimienka „okazał opór poprzez otwarcie butelki radzieckiego szampana i polanie nim pracowników milicji". (Od wyrzucenia z uniwersytetu naszego kolegę uratował nie tylko fakt, że szampan był radzieckiej produkcji, ale także pomoc kuzyna, który był prorektorem.)

Inny junak wsławił się tym, że na zajęcia jeździł środkami komunikacji państwowej na gapę, a gdy łapały go kanary, wyjmował przywiezioną z Syberii sturublówkę, z której kontrolerzy, rzecz jasna, nie mogli wydać reszty. Gapowicz zalazł im jednak porządnie za skórę i skończyło się tym, że pewien kanar wspólnie z kierowcą po prostu odebrali ów nierozmienialny banknot, a jego właściciela poturbowali i wyrzucili z trolejbusu na usłany żółtymi liśćmi trawnik.

Ciepły wrzesień w Połocku, który mignął w przerwie między moim powrotem z Syberii i początkiem zajęć, pozostał w pamięci przede wszystkim dzięki obskurnemu barowi „Przylaszczka" i koktajlowi o takiej samej nazwie i niewyraźnym smaku. Wypijaliśmy go z przyjacielem mego dzieciństwa Sanią Makiedonskim przed zabawą w domu kultury fabryki włókien szklanych. („To co zwykle" – niedbale, niby starzy bywalcy rzucaliśmy barmance.) W domu kultury czekały na nas uczennice drugiej klasy technikum spółdzielczości Zina i Ilona.

Świat jeszcze raz potwierdził, że nie jest doskonały: mnie podobała się szatynka Zina, a Makiedonskiemu blondynka Ilona, ale u dziewczyn było dokładnie na odwrót. „Niech wybiera kobieta" – proponował fatalista Sania, ale moja podgrzana koktajlem natura buntowała się i kontynuowaliśmy chodzenie we czwórkę.

Rozpaczliwą próbą wyrwania się z zaczarowanego czworokąta stała się nocna eskapada taksówką do zamkniętego na wszystkie cztery spusty Spasowskiego Monasteru. Nie odmawialiśmy tam modlitw, lecz piliśmy szampana, żeby potem – przebacz nam, jeśli możesz, Boże, i ty, nasza niebiańska orędowniczko, Eufrozyno – roztrzaskać butelkę i szklanki o upstrzony nieprzyzwoitymi napisami mur monasteru.

Potem w Mińsku dostałem od Ziny aż dwa listy, które zrobiły na mnie głębokie wrażenie nie tyle demonstrowaniem nieoczekiwanej wierności, ile poziomem filologicznego przygotowania przyszłych aktywistek spółdzielczości. Zina pisała, że

Ilona podobno ma nowego „pszyjaciela", lecz ona ciągle pamięta o mnie i o „pikniku na chrabiowskich rujinach", jednakowoż „na wszystko kiedyś pszychodzi kres". Należało się spodziewać, że wkrótce i Zina będzie miała „pszyjaciela".

Zanim wróciłem do Mińska, byli junacy oddziału budowlanego „Victoria" zdążyli już wykurować rzeżączkę i przepuścić syberyjskie zarobki.

Niebawem Czarniłowicz i starościna naszej grupy Lila zgłosili chęć zawarcia związku małżeńskiego w urzędzie stanu cywilnego. U cichego Jury Osinowskiego pewnej nocy śmiertelnie zaczadzieli rodzice, co zmusiło chłopaka do przeniesienia się na wydział zaoczny i zamieszkania w domu na wsi. Machnęliśmy ręką na stare porachunki z oddziału budowlanego i z pierwszego stypendium zebraliśmy sto rubli, żeby pomóc młodszej siostrzyczce Jury i chorej krówce.

W Chile władzę objął Augusto Pinochet. W ZSRR wzmagała się walka z pijaństwem i alkoholizmem. Nasz Klub Przyjaciół Piwa na wydziale historycznym ukrył się za skrótem KPP i, podobnie jak bratnia partia komunistyczna w Chile, działał w podziemiu.

Uniwersytetem wstrząsały frontalne naloty i kontrole.

Podczas jednego z nalotów na akademik aktywiści partyjni, komsomolscy i związkowi usłyszeli podejrzane odgłosy dobiegające zza zamkniętych drzwi i osaczyli pokój jak charty. Gdy sfora kontrolerów wpadła do pokoju, wykryła tam przelękłego studenta, który udawał, że się przygotowuje do seminarium z historii KPZR. Z szafy w ścianie sekretarz organizacji partyjnej triumfalnie wyciągnął jeszcze bardziej przelękłą studentkę w stroju Ewy. „My się kolegujemy" – tylko tyle zdołał wydusić z siebie młody sługa Klio, po czym razem z koleżanką został niezwłocznie wysiedlony z akademika. Od tamtego dnia wystarczyło, żeby jakaś para pokazała się razem wśród wydziałowej braci, żeby zewsząd leciało zjadliwe pytanko: „Kolegujecie się, co?"

Podczas jednej z kontroli pracy wychowawczej został rozgromiony nasz totalizator, jaki urządziliśmy w pokoju leninowskim akademika. Na trzech zsuniętych stolikach do cichej nauki odbywały się gonitwy karaluchów. Nasi wąsaci współlokatorzy ścigali się po torach wyłożonych ołówkami. Stawki sięgały nawet dwóch czerwońców. Podniecenie było tak ogromne, że

zdawało się, iż za moment do zakładów przystąpią także klasycy marksizmu-leninizmu, przyglądający się wyścigom z topornych portretów na ścianach. Dokładnie w tym momencie, gdy faworyt Bill Szalona Krowa w głębokim zamyśleniu zatrzymał się w połowie dystansu, do cichacza wpadła kontrola, która miała spore kłopoty z odwróceniem naszej uwagi, bowiem wszystkie spojrzenia zbiegły się w punkcie, gdzie Bill ni z tego ni z owego zdecydował oddać się medytacji.

Opanowując sytuację lotna brygada wyzwała nas od przyszłych bojowników frontu ideologicznego, ale od razu zaznaczyła, że nikt z nas nie zasługuje na to zaszczytne miano. Oburzone tyrady zaczynały się mniej więcej tak: „Tu, pod portretami wodzów...”

Krótko mówiąc, życie toczyło się zwyczajnym nurtem.

Wytężając siły twórcze wydaliśmy najpierw organ swojego pokoju nr 25 – gazetkę ścienną „Aligater” (za nazwę posłużyła nalepka od jabola z domalowaną literką „r”), a potem kolejny numer naszego almanachu „Miławica”. O naszym ściennym organie natychmiast doniesiono naczalstwu, a „Miławicę” zabrał do poczytania sekretarz komsomołu Karagin i almanach wsiąkł na cały miesiąc.

Potem zupełnie bezpodstawnie oskarżono nas o autorstwo rebusu, namalowanego na kawałku brystolu, który w przeddzień sesji ktoś przypiął na tablicy obok rozkładu zajęć: trzy rozłożyste dęby, przed każdym stoi butelka, a w dole odwrócone do góry nogami rozwiązanie – „Nowy Rok na katedrze wojskowej”.

Od zawarcia bliższej znajomości z towarzyszem majorem dzieliła nas jedna sesja i wakacje.

Wspomnienia o Syberii, chemikach, piaszczystych sadzawkach i gorących ustach amazonek nawiedzały nas coraz rzadziej. Co prawda, amazonki przysłały nam pocztówkę z życzeniami „z okazji rocznicy Wielkiego Października”. Nie odpowiedzieliśmy na nią: nasze nadawczynie miały zrozumieć, że wróciliśmy do domu na dobre.

One jednak nie zrozumiały.

Gdzieś w okolicach Nowego Roku na wykład komunizmu naukowego nieoczekiwanie przyleciał zdyszany Michaś Czarniłowicz, który z powodu grypy wylegiwał się w akademiku. Oprócz kożuszka miał na sobie tylko wypłowiały sportowy trykot, przetarty na kolanach i buty na bosą nogę.

Sekrety naukowego komunizmu zgłębialiśmy w audytorium przypominającym amfiteatr, który miał zapasowe wyjście na samym szczycie. Na zasłoniętych przegródką stopniach ktoś zazwyczaj sączył piwo albo grał w karty. W tym zacisznym zakątku, dokąd bez szczególnych problemów można się było wymknąć z górnych rzędów w czasie wykładu, zebrał nas spocony jak mysz Czarniłowicz. „Przyjechały amazonki...” – wydyszał. Okazało się, że Michaś dojrzał sybiraczki z naszego okna na parterze, kiedy były już całkiem blisko akademika. Zdążył jedynie wsunąć buty i narzucić kożuszek, po czym wlazł na parapet i skoczył w zaspę przed oknem. Wśród trójki nieproszonych gości była Nastia, której Czarniłowicz latem obiecał wizytę w urzędzie stanu cywilnego w Mińsku.

Z olbrzymią ulgą dowiedziałem się, że malutka Wika miała dość rozumu, żeby tu nie przyjeżdżać. Razem z Nastią przyjechała komisarz amazonek, pulchna Nonna, niewątpliwie zasłużona w wychowaniu trudnego małolata Witii. Trzecią była Ellen.

Sytuacja właściwie nie pozostawiała żadnej swobody manewru. Natychmiast po dostarczeniu bardziej przyzwoitego przyodziewku Czarniłowicz został cichaczem wyprawiony do rodzinnej wsi.

Gienek, J. Halak i ja mężnie stawiliśmy czoła przybyłym amazonkom. Odegrawszy scenę ciepłego powitania po długiej rozłące, zaprosiliśmy amazonki do „najlepszej mińskiej restauracji”. Ta rola przypadła pobliskiej restauracji w starym hotelu „Białoruś”, która pamiętała morskie opowieści Miszy Buhora.

Ustaliliśmy najpierw wersję oficjalną, zgodnie z którą Czarniłowicz wybył na „studencką konferencję naukową” do Taszkientu. Jako najbliższy przyjaciel młodego naukowca mińszczanin Gienek zaprosił Nastię do zatrzymania się u niego. Ellen została dla mnie.

Restauracyjny kołowrót wniósł pewne korekty. Nonnę, nie zwracając najmniejszej uwagi na leniwe protesty J. Halaka, bezustannie zapraszał do tańca jakiś dryblasowaty koszykarz i w końcu zniknął z nią na dobre. Kiedy orkiestra pożegnała się z publicznością, a potem wróciła, żeby zagrać gościom ze słonecznego Uzbekistanu, którzy wyciągali zza cholew zawinięte w cuchnące szmaty paczki banknotów, osierocony J. Halak i Nastia z Gienkiem postanowili ruszyć do Gienkowej Sierabranki. Ja i Ellen bez specjalnego entuzjazmu wróciliśmy do

akademika, gdzie przeszmuglowałem ją przez okno do naszego pokoju.

Zapaliwszy papierosa, Ellen wyrzekła swoim zwykłym, bezbarwnym tonem: „Bydlak z tego waszego Michasia. Tylko takiej idiotce jak Nastia można wcisnąć te głodne kawałki o Taszkiencie.” Zaciągnęła się i kontynuowała swoją demaskatorską mowę: „Twoja Wika, nawiasem mówiąc, bzyka się na całego z synem dziekana. Nawet pozdrowić cię nie prosiła. Zajęła się własną karierą”. Po kilku dalszych sztachnięciach otrzymałem kolejny policzek: „À propos, nadstawiłam uszu i nie słyszałam, żeby tu ktokolwiek mówił w tym twoim języku białoruskim”. W jej głosie pobrzmiewała złośliwa satysfakcja.

Czarniłowicz okazał się bydlakiem. Wika bzykała się z synem dziekana i robiła karierę, a w Mińsku nikt nie mówił po białorusku. Co miałem robić? Posłać tego prokuratora w kraciastej spódnicy maksi w tę mroźną noc do jej skandynawskich przodków? Zamiast tego spróbowałem ożywić w pamięci wspomnienia ciepłego zmierzchu nad glinianką i hałasowania burunduków w zagajniku...

Wkrótce po odjeździe amazonek elektryczniak z Mołodeczna przywiózł do Mińska chronicznego uciekiniera od żony Miszę Buhora. Akurat odbywaliśmy wyjazdowe posiedzenie Klubu Przyjaciół Piwa na daczy Gienka. Misza na próżno czekał na nas aż do wieczora w chłodnym holu akademika, wypił więc samotnie butelkę wódki i w końcu wsiadł do moskiewskiego pociągu.

Udało mu się dotrzeć do Władywostoku, zaciągnąć na statek handlowy, odbywający rejsy do Japonii, rzucić picie i zebrać przez rok kupę szmalu.

Kupiwszy bilet powrotny na samolot i spakowawszy dwie walizy prezentów, Misza wyszedł w wieczór sylwestrowy na spacer po mieście i trafił na bezdomnego bicza.

Bicz wylazł ze studzienki kanalizacyjnej i poprosił o dwadzieścia kopiejek na kino. Buhor zainteresował się człowiekiem i dał mu dwadzieścia rubli. Bicz zaproponował pogawędkę. Znajomość potrwała do wiosny.

Wiosną na kabotażowej łajbie Misza zarobił trochę pieniędzy na drogę powrotną i – dawno już opłakany przez żonę i krewnych, a także przez nas – zjawił się tuż przed letnią sesją w naszym pokoju jak zwiastun z innego świata. Pił piwo zagryzając

wędzoną płotką i opowiadał niesamowite historie o życiu we władywostockich kanałach i podziemiach, gdzie bicze spali na rurach centralnego ogrzewania i w srogie mrozy marli dziesiątkami z powodu olbrzymiej różnicy temperatur pomiędzy dolną i górną częścią ciała, a dozorcy potem wyciągali ich bosakami przez włazy.

Z kieszeni Misza wytrząsnął garść zmieszanych z tytoniem cedrowych orzechów.

To było ostatnie pozdrowienie z Syberii.

1993

Przełożył Jan Maksymiuk

KRAJOBRAZ Z MENTOLOWYM ZAPACHEM

RĘKOPIS PRZYSŁANY W ZIELONEJ KOPERCIE

Teraz oczywiście można twierdzić, co się komu podoba: łączyć datę stempla pocztowego z zagadkową śmiercią jednego literata, którego w tym samym czasie znaleziono powieszonego w jego własnym mieszkaniu; dyskutować, czy to męska czy też kobieca ręka zaadresowała wyraźnym okrągłym pismem grubą zieloną kopertę, doręczoną mi bez adresu zwrotnego; kpić z mojej znajomej, przekonanej do tej pory, że ta koperta rzeczywiście pachniała dobrymi, mentolowymi papierosami, chociaż niektóre drobiazgi pozwalają datować rękopis na koniec lat osiemdziesiątych albo początek dziewięćdziesiątych. Co do znanego psychiatry, któremu zaproponowałem wystąpić w roli eksperta, to zwrócił mi cztery dziesiątki drobniutko zapisanych stron i ograniczył się do wygłoszenia mętnego zdania o sumie wielkości wypadkowych, gdzie dopuszczalne jest dosłownie wszystko. Możliwe, że akurat ta okoliczność skłoniła mnie do publikacji rękopisu bez żadnych skrótów i komentarzy.

Ostatnimi czasy często powracam myślami do swego pojawienia się tutaj, w starej kawalerce, która... Chciałem napisać coś w rodzaju: „która odegrała w moim życiu taką rolę”, jednak rola ta jest odgrywana nadal, a ja mogę się pomylić co do numeru aktu. Zresztą ta trywialna metafora teatralna wygląda tu niedorzecznie, chociaż mam powody, żeby właściciela mieszkania nazwać aktorem. Ale teraz, kiedy wydarzenia owego dnia, a właściwie owa rozmowa została zrekonstruowana aż do półtonów i zapisana w pamięci jak na wideokasecie, którą można zatrzymać, cofnąć albo puścić w zwolnionym tempie, mogę powiedzieć, że aktor z niego był marny. Chociażby to lękliwe wzdrygnięcie się, kiedy w kuchni włączyła się lodówka... Albo scena z trzecią parą kluczy... Ale to zależy, jak się na to patrzy...

Stał właśnie tam, przy moim jedynym oknie. Czyżby chciał zatrzeć ślady pozostawione na parapecie przez uchwyty drabinki sznurowej? A może spodziewał się ukryć je przed samym sobą, jak na przykład pozostawiony mi w spadku gramofon?

W ogóle wydaje mi się teraz, że poruszał się po mieszkaniu – świadomie albo intuicyjnie – po dokładnie wyznaczonej trasie, która pozwalała mu zachować spokój i doprowadzić rozmowę do końca, żeby już nigdy więcej nie spotkać się ze mną.

Był mniej więcej w moim wieku, miał nerwowy wyraz twarzy i wczesną siwiznę. Pomyślałem, że tacy ludzie mają skłonności do zawałów. Niczego więcej nie mogę dodać do tego niewyraźnego portretu. No, może jeszcze jego chuderlawość, która na początku wydała mi się szlachetną.

Gdybym spotkał się z nim na ulicy, przeszedłbym obok nie zwracając nań uwagi.

Mieszkanie, które zdecydowałem się wynająć, znajdowało się w tej dzielnicy, gdzie ze współczesną zabudową sąsiadowały zielone wyspy starego, patriarchalnego miasta. Nierówny bruk z czeredą kóz i teraz wygląda tam naturalniej niż asfalt z trolejbusami. Prawdopodobnie to właśnie położenie stało się przeważającym argumentem, bo w owym czasie samotność przedkładałem nade wszystko i szukałem spokoju.

– Tam, za parkiem – właściciel mieszkania wskazał na wieczorne okno – jest granica miasta.

– Mnie to nie przeraża. Voltaire pisał, że literat powinien żyć blisko granicy, żeby łatwiej można było uciec.

– Pan jest literatem? – nie podtrzymał mego tonu, ale najwyraźniej się zainteresował.

Złajałem siebie za lekkomyślną zdradę swojego incognito i niepewnie kiwnąłem głową. Niepotrzebnie wspomniałem mu o swoim zajęciu.

– W takim razie... – zaczął z bladym uśmiechem i nie skończył.

Jego maniera prowadzenia rozmowy zaczynała mnie drażnić. Pieniądze za wynajem już były w jego kieszeni, a breloczek z kluczami w mojej. Mogłem bez ograniczeń korzystać z książek i starałem się zapamiętać zwyczajne w takich wypadkach drobne rady dotyczące zamków, okiennych zasuwek i rachunków za elektryczność. Wszystkie instrukcje gospodarz wypowiedział jednym tchem, a wręczonych przeze mnie pieniędzy nie przeliczył. Jeszcze chwilę temu wyglądał na człowieka, który jak najszybciej chce się pozbyć nieprzyjemnego kłopotu. Ale teraz usłyszałem nową, zupełnie niezrozumiałą nutę.

– Jesienią park jest po prostu cudowny. Szczególnie klony...

Mieszkając tutaj powinien był wiedzieć, że tak naprawdę to

nie jest park, ale stary cmentarz luterański, po którym jakieś dwadzieścia lat temu przejechały spychacze. Nie odczuwałem potrzeby, aby dzielić się z nim swoją wiedzą, ale nabrałem pewności, że rozmowa się przedłuży.

– Będzie pan mieszkać sam? – zapytał i poprosił o zgodę na zapalenie papierosa.

Prośba podkreślała mój nowy status i dlatego przypadła mi do gustu, pytanie natomiast nie.

Zdjął z półki z książkami masywną, metalową popielniczkę – posępną czarcią głowę z obtłuczonym rogiem i głębokimi, pustymi oczodołami.

– To dla pana istotne? – powróciłem do pytania.

– W każdym bądź razie nie w takim stopniu, jak dla pana – odpowiedział i od razu przeprosił za szorstkość nie pasującą do tej sytuacji.

W tym momencie włączyła się lodówka. Wzdrygnął się lękliwie, zbladł jak płótno i wypuścił papierosa spomiędzy palców. To wystarczyło, by wyparowało całe moje rozdrażnienie; jak czasem ze mną bywa w zetknięciu z ludzką słabością, poczułem taki przypływ żalu, że nie wymyśliłem nic innego, jak powiedzieć mu o moim rozwodzie oraz pragnieniu spokoju i samotności.

– Jak pan powiedział? Nie chce pan żyć cudzym życiem? – zapytał z dziwną intonacją i strząsnął popiół z papierosa do jednego z czarcich oczodołów. Jego cienkie palce wciąż drżały. – No to ma pan...

Jak było w jego zwyczaju, urwał i niespodziewanie wyjął drugi komplet kluczy.

– Wie pan, zostawię panu i te klucze. Może jednak ktoś u pana się pojawi.

Po moich słowach o poszukiwaniu spokoju to przypuszczenie zabrzmiało niezupełnie logicznie, jednak zdecydowanie bardziej nielogiczny był jego następny uczynek. W nerwowych palcach pojawił się trzeci breloczek z kluczami. Po chwili wahania gospodarz wyciągnął rękę w moją stronę.

– Niech wszystkie klucze zostaną u pana. Nie będę dokuczać panu wizytami. W razie potrzeby proszę dzwonić. Mamy dopiero marzec, zostało... Nie sądzę, że pan coś zauważy...

Ze współczuciem wysłuchałem niezrozumiałego i zagmatwanego mamrotania i nie zwróciłem prawie żadnej uwagi na

ostatnie słowa. Co powinienem zauważyć? Facet ma problemy z głową?

Chowając dwa dodatkowe komplety kluczy do kieszeni nie wątpiłem, że mężczyzna siedzący naprzeciwko odczuwa ulgę z tego powodu. Odpowiedź mogła być całkiem prosta: przykre wspomnienia, dramat osobisty związany z mieszkaniem... Pewnie stąd, pomyślałem, ta przedwczesna siwizna.

Jakież naiwne i banalne wydają się moje przypuszczenia dzisiaj...

– Zdaje się, że wszelkie formalności mamy już za sobą. – Zgasił papierosa w czarcim oczodole, podniósł się z kanapy, jednak jego ton wskazywał, że zapas dziwnych pytań i propozycji nie został wyczerpany.

W takich sytuacjach moje przeczucia rzadko mnie mylą.

Przeszedł wzdłuż ściany z książkami, przeciągnął ręką po zakurzonych tomach, nieudolnie zrobił minę, jakby dopiero teraz przypomniał sobie coś ważnego i znowu przemówił:

– Ma pan gramofon?

– Nie, wolę magnetofon.

– Gramofon też dobra rzecz. – W jego głosie wyczułem odcień prośby.

– Oczywiście – przytaknąłem sucho. Wracało rozdrażnienie.

– Chciałbym panu zostawić swój gramofon. Proszę uważać go za prezent.

Podziękowałem krótko i omiotłem pokój oczyma, jednak nigdzie nie zauważyłem niespodziewanego prezentu.

Bez słowa popatrzyłem znacząco na zegarek, potem na dwie walizy z rzeczami gospodarza i zaproponowałem, że pomogę mu je odnieść na przystanek trolejbusowy. Odmówił. Pieniądze zapłacone za rok z góry dawały mi prawo do ponownego znaczącego spojrzenia na zegarek.

Zważył w rękach walizki i zamiast ruszyć do wyjścia postawił je z powrotem.

– Przepraszam... czy lubi pan... Chopina?

Trudno było uwierzyć, jednak wyraźnie usłyszałem strach w jego słowach.

– Pan jest kompozytorem? – zapytałem chłodno. Wszystkie te dodatkowe pytania zadawane w przeciągających się odstępach i z zagadkowym podtekstem emocjonalnym błyskawicznie podwyższały stopień mojego rozdrażnienia.

– Kompozytorem?.. Niezupełnie. Po prostu chciałem...

– U Chopina podobają mi się preludia, ale bardzo proszę niczym więcej mnie nie obdarowywać.

Skąd mogłem wiedzieć, że w tym momencie padły najistotniejsze słowa tego wieczoru?

Przed drzwiami gospodarz jeszcze raz postawił walizki na podłodze.

– Jest tam, w szafie.

– Kto? – Poziom mojej złości niebezpiecznie wzrósł.

– Gramofon – powiedział przepraszającym, nawet przypochlebnym tonem. – W szafie ściennej, koło łóżka.

Poczułem się podobnie jak przed chwilą, gdy dawał mi klucze: nie wiadomo dlaczego chciał zostawić ten gramofon w starym mieszkaniu.

Wreszcie zamknąłem drzwi, usiadłem przy stole, położyłem przed sobą trzy komplety kluczy i z cichą radością pomyślałem, że przynajmniej przez rok będę pozbawiony wizyt człowieka ze skłonnościami do obdarowywania ludzi gramofonami i zadawania pytań o Chopinie.

Nazajutrz przywiozłem taksówką torby z rzeczami, a wieczorem odkorkowałem butelkę wytrawnego sherry i oddałem się spokojnym marzeniom o tym, jak w ciągu roku przeczytam stos czyichś książek i napiszę jedną własną. Przewidywałem, że będzie to zbiorek opowiadań wolnego, czterdziestoletniego człowieka, który w porę wyrównał rachunki z przeszłością. Pamiętając ostrzeżenie Borgesa o nieobliczalności tego wieku u mężczyzn na ogół, a u literatów w szczególności, nie chciałem zaglądać w dalszą przyszłość.

Wino skończyło się zbyt prędko. Przełykając ostatnie krople spotkałem się wzrokiem z mosiężną figurką Sziwy stojącego na półce z książkami. To czterorękie stworzenie podsunęło mi myśl o sporządzeniu inwentaryzacji w nowym mieszkaniu.

Starając się nie myśleć o gospodarzu musiałem jednak przyznać, że wnętrze jego mieszkania może pretendować do pewnej niezwykłości, po pierwsze dzięki ścianie, którą od sufitu do podłogi pokrywała mapa Europy. Ale ta żółto-zielono-brunatna mapa z plamami błękitu nie była naklejona na tynk jak zwyczajna tapeta, a osadzona niczym dzieło malarskie w osobliwej drewnianej ramie, która na parę piędzi odstawała od powierzchni mapy, stwarzając swoistą perspektywę. Na mapę pa-

trzyło się jakby z szerokiego okna, którego framugi obcinały Półwysep Pirenejski z lewej strony i Ural z prawej. Na dole mapa urywała się gdzieś na szerokości geograficznej Krymu, pod którym umościł się stolik w kształcie książki. Po prawej stronie tego „okna" znajdowały się półki własnej roboty, zapełnione książkami oraz trzema tuzinami pustych butelek o różnej wielkości i z rozmaitymi nalepkami. Na trzeciej półce od góry w otoczeniu tuzina kolorowych puszek po piwie ulokował się brzuchaty wieloręki bożek z szelmowską miną na błyszczącym, tłustym obliczu. Bożek wyglądał przez prawdziwe okno. Sąsiedni dom znajdował się zupełnie blisko, więc czarna zasłona sięgająca za parapet nie była tu zbyteczna.

Poczesne miejsce w pokoju zajmowała szeroka kanapa stojąca na lewo od drzwi. Ściana nad kanapą obita była bordową skórą. (Za pierwszym razem nie zwróciłem uwagi na to, że skóra gdzieniegdzie była zadrapana czymś ostrym, jakby kocimi pazurami.) Z boku okna, nad kątem sypialnym, ścianę zdobił zegar w drewnianej obudowie z okienkami i wieżyczkami. Zegar był elektroniczny i odmierzał czas nie przy pomocy wskazówek, ale zielonych cyfr.

Nie podnosząc się z łóżka można było wcisnąć kilka żółtych przycisków na boazerii. Pierwszy włączał zdezelowany czarno-biały telewizor, drugi jarzeniówkę nad biurkiem stojącym pomiędzy oknem a mapą, trzeci wentylator na stoliku w kształcie książki, dwa następne swojego przeznaczenia nie ujawniły, a ostatni sprawił przyjemną niespodziankę: gdzieś koło podłogi przytulnym miękkim światłem zabłysła żaróweczka podświetlająca mapę. Gdy nie paliły się inne światła, „okno na Europę" wyglądało szczególnie malowniczo.

Drzwi do pokoju miały matowe szkło i otwierały się do środka. Wyjścia pilnował pomarańczowy pluszowy piesek siedzący na zakurzonym pawlaczu. Wyszedłem na klatkę schodową i przycisnąłem dzwonek. Piesek podskoczył i zaniósł się wesołym szczekaniem. Drzwi zamykały się na łańcuch i trzy zamki. Pomyślałem, że to stanowczo za dużo i zdecydowałem korzystać z dwóch. Toaleta i łazienka znajdowały się w jednym pomieszczeniu i oprócz wielkiego pająka niczego interesującego tam nie spotkałem.

Wszystko, o czym teraz piszę, może wydawać się nudne i nieistotne, ale odczuwam potrzebę zanotowania tych drobia-

zgów, bo wkrótce dosłownie każdy z nich będzie miał ogromne znaczenie.

Do końca wieczoru było daleko, więc postanowiłem obejrzeć dokładniej rzeczy pozostawione przez miłośnika Chopina.

W szafie ściennej przy łóżku leżały dwie kołdry i dwie poduszki. Na niższej półce stał sprezentowany mi gramofon. Dobór płyt wypadał dość pstrokato: Vivaldi, średniowieczna muzyka na lutnię, Beatlesi, sonaty Čiurliónisa, Pieśniary i dwie małe płyty z bajkami dla dzieci. Nagrań Chopina, na przekór oczekiwaniom, nie było.

Oprócz mapy i zegara w mieszkaniu była jeszcze jedna rzecz pretendująca do oryginalności. Pomiędzy drzwiami a półkami na książki umieszczono kufer z miedzianymi okuciami, wykonany chyba nie przez wiejskiego majstra, a przez miejskiego imitatora bez specjalnego gustu, który przybił z przodu pięć miedzianych liter: SEZAM. (Jaśniejsze zadrapania na pomalowanej drewnianej podłodze, świadczące o tym, że ten mebel nie raz przyciągano do drzwi, zauważyłem znacznie później.)

Kufer aż pod samo wieko był zapchany różnym żelastwem i narzędziami, na wierzchu zaś leżała turystyczna drabinka sznurowa z pazurzastymi zaczepami. Nie wyglądała na taką, która już uczestniczyła w poważnych wyprawach. Obróciłem znalezisko parę razy w rękach i zauważyłem nalepkę producenta z podaną długością – 10 metrów – i bezwiednie odnotowałem, że tyle akurat wystarczy, żeby zejść z mojego drugiego piętra po ścianie na ziemię.

Zostawiłem kufer w spokoju i zająłem się książkami. Zachciało się mi poczytać przed snem, wziąłem więc z półki cytrynowy tom Akutagawy Ryunosuke. Pomiędzy stronicami „Życia idioty" znalazłem kartkę wyrwaną ze szkolnego zeszytu w kratkę. Na kartce dziecięca ręka namalowała flamastrem czteropiętrowy blok z kobiecą twarzą w oknie na drugim piętrze. Obrazek sam w sobie nie wyróżniał się niczym szczególnym, ale podpis mnie zaskoczył, a nawet trochę zaniepokoił.

TO NIE MOŻE
DŁUŻEJ TRWAĆ
NIE MOŻE

Słowa, w których kryła się trwoga, a może i rozpacz, nie należały chyba do dziecka, choć były napisane wielkimi drukowa-

nymi literami cisnącymi się do siebie i potykającymi się jak ślepcy. Tak mógł pisać człowiek dobrze już podpity albo krańcowo zdenerwowany.

Bez dwóch zdań, kryła się tu jakaś zagadka i jej ekscytujące przeczucie zapowiadało ciekawy wątek, który mógł przetworzyć się w nowelkę.

Przez kilka minut leżałem w ciemnościach, po czym odwróciłem się w stronę mapy i włączyłem podświetlenie. Na żółto-zielonej przestrzeni udało mi się szybko odnaleźć Paryż, a następnie Londyn i Sztokholm. Dom stał w takiej odległości od ulicy, że nie było słychać żadnego szumu. Czarne kropki z nazwami europejskich stolic poruszyły się i zaczęły krążyć w tanecznym korowodzie. Wyłączyłem żaróweczkę i zasypiając zdążyłem z radością pomyśleć o czekających mnie cichych wieczorach.

Drugi komplet kluczy przydał się znacznie wcześniej, niż sądziłem.

Mieszkanie wynająłem w marcu, a już na początku następnego miesiąca jego ściany usłyszały kobiecy głos.

Jak większość takich znajomości, nasza również była następstwem banalnych słów i gestów, które wypełniły czas pomiędzy spotkaniem na postoju taksówek a pozostawieniem numeru telefonu. Co prawda, to ja podałem swój numer telefonu, nie tylko dlatego, że Natasza od razu mi się spodobała, ale także z powodu niezwykle dokuczliwego milczenia białego aparatu telefonicznego.

Nie spodziewałem się przerwania tej blokady, ale po dwóch dniach telefon przemówił głosem Nataszy.

Oddała mi się już przy pierwszej wizycie i potem wyznała, że bardzo się tym przejmowała. Wtedy nasze wzajemne stosunki już pozwalały mi wytłumaczyć jej, że po prostu zawierzyła kobiecej intuicji, a ta jej podszeptywała, że nowy znajomy nie będzie tracić czasu na podchody, które jeden z jego przyjaciół nazwał kiedyś tańcem pawia. Moja przyjaciółka zgodziła się z tym. Jej jasna główka z dwoma długimi podkręconymi lokami przy skroniach leżała na moim ramieniu. Czarna zasłona chroniła nas przed dziennym światłem i całym światem. Z gramofonu, który od pojawienia się Nataszy zajmował miejsce na stoliku koło mapy, sączyła się muzyka lutniowa, a na podłodze przy łóżku stała butelka czerwonego wina.

Natasza powiedziała, że niczego nie żałuje i nie unosząc się z łóżka napełniła kieliszki. Za oknem był maj i w sadzawce obok byłego luterańskiego cmentarza o zmroku rozpoczynały się żabie koncerty.

Szczerze mówiąc, to nie był szczęśliwy czas. Jak go określić dokładniej?.. Ten czas kipiał życiową energią. Był podarunkiem losu, choć podejrzewam, że tajemne siły, które wkrótce wciągnęły mnie w swój wir, pozwoliły mi odpocząć przed zbliżającym się okresem prób.

W odróżnieniu od niektórych bohaterów literackich nie żyłem od spotkania do spotkania. Rankiem siadałem przy stole i pisałem trzy, a niekiedy, gdy dobrze szło, cztery strony przyszłej książki. W ciągu tygodnia brudnopis opowiadania był na ogół gotowy i zgodnie ze starym nawykiem, przed przepisaniem na czysto, czytałem opowiadanie na głos.

Ostatnia historia, a raczej jej brudnopis, pozostanie na stole nie przeczytana.

Ale po co to niedorzeczne słowo „ostatnia”? Czy to, do czego się przygotowuję, nie pozwoli mi?.. Skoro podróże nie dają ku temu żadnej podstawy, to skąd te wątpliwości? A może tylko przekonuję sam siebie, starannie kolekcjonując pasujące dowody i zamykając oczy na to, co nie chce wpisać się w schemat?

Nie, teraz powinienem wrócić do tamtego maja, do Nataszy, do żabich koncertów i bzu na sąsiedniej ulicy wyglądającej niemal z wiejska.

Jeśli się nie mylę, jeszcze nie wspominałem, że po rozwodzie zwolniłem się z pracy. Honorarium za poprzednią książkę, wedle moich wyliczeń, powinno było wystarczyć mi na rok lub półtora, a ja dałem sobie słowo, by nie planować życia na dłużej.

Rano pisałem więc swoje trzy obowiązkowe strony. Potem wychodziłem na przechadzkę, wybierając ciche uliczki z zadbanymi kwietnikami, ławeczkami i okiennicami. Za słup graniczny pomiędzy tymi uliczkami i nowym miastem służył ośmiopiętrowy dom ze sklepem spożywczym, gdzie w drodze powrotnej kupowałem parę butelek wytrawnego wina.

Moje stosunki z sąsiadami ograniczały się do znajomości z byłym elektromonterem Leonem, który niegdyś budował linie wysokiego napięcia i pewnego razu po powrocie z delegacji zastał żonę w objęciach szczęśliwego konkurenta. Leon wygnał zdrajczynię z domu, a sam się rozpił, spadł z masztu mon-

tażowego i dostał rentę inwalidzką. Przychodząc pożyczyć kolejnego piątaka, Leon opowiadał swoją historię w różnych wariantach, ale nigdy nie zapominał wielkodusznie zaznaczyć, że żona zdradziła go nie z pierwszym lepszym amatorem przygód miłosnych, ale z kapitanem żeglugi morskiej. Imponowało mi, jak szybko Leon się nauczył, kiedy nie należało niepokoić pomarańczowego pieska, który pilnował mnie i Nataszy.

Piesek witał moją przyjaciółkę tak wesołym szczekaniem, jakby czekał na nią razem ze mną. Jednak wkrótce swoją radość mógł demonstrować tylko paciorkami bursztynowych oczu, bo dałem Nataszy klucze.

Według jej odwiedzin można było regulować zegarek. O wpół do piątej zamykały się za nią drzwi, a o 16.35 już się kochaliśmy. Pięć minut wystarczało akurat na to, żeby wypić kieliszek wina i zrzucić z siebie wszystko, co mogłoby przeszkodzić w upajaniu się słodkim popołudniem.

Natasza należała do gatunku tych szczęśliwych kobiet, które nigdy się nie powtarzają i nie muszą wkładać w to żadnego wysiłku, dlatego że wszystko wychodzi im intuicyjnie, niezależnie od ich woli.

Jej pojawienie się nie tylko zmieniło mój rozkład dnia, ale urozmaiciło także moją dietę, bo ta sama kobieca intuicja podpowiedziała jej, że kochanek ma ukryte skłonności smakosza. Gdy po akcie miłosnym wracaliśmy do rzeczywistości, dopijaliśmy w łóżku pierwszą butelkę wina i Natasza szła do kuchni, żeby przygotować coś ciekawszego od mojej dyżurnej jajecznicy albo podsmażanych pierożków.

Kuchnia widywała Nataszę w szlafroku, który przyniosła i starannie powiesiła na wieszaku przy jednej z pierwszych, jeszcze testujących wizyt. Napisałem „kuchnia widywała" i pomyślałem, że wykorzystałem to wyrażenie nieświadomie, ale nie całkiem przypadkowo. W tamtych dniach za nic bym tak nie napisał. Wtedy moja kawalerka pełniła rolę zwykłego mieszkania na obrzeżach miasta.

Aha, szlafrok. Ten zielony, w duże kwiaty dzikiej róży, do dziś pamiętam, jak na samym początku ubodło mnie pytanie, gdzie ten kuszący fatałaszek mógł wisieć wcześniej.

Lubiłem pomagać Nataszy przy kuchence gazowej i nosić jedzenie na stół, zestawiony z dwóch taboretów stojących przy łóżku. Nowego zbliżenia naszych ciał nie wypełniało już gwał-

towne pożądanie, ale tkliwe wzajemne przyciąganie. Za pierwszym razem gasiliśmy pragnienie, za drugim dopijaliśmy pozostawione łyczki, żeby zapasu obopólnego posiadania wystarczyło do następnej wpół do piątej jutro lub pojutrze.

Szlafrok powracał na swoje miejsce w szafie, kiedy elektroniczny zegar w drewnianej obudowie pokazywał za kwadrans ósmą. Po drodze na przystanek trolejbusowy brałem Nataszę za rękę. Lubiłem raz po raz lekko ściskać jej suche, ciepłe palce, wyczuwać ich odpowiedź. Kiedy spotykaliśmy jakąś młodą parę, moja przyjaciółka uwalniała rękę mówiąc, że młodzież będzie to śmieszyć: tacy starzy, a trzymają się za ręce. Kokietowała, bo sama doskonale wiedziała, że absolutna większość tych cielęcych dziewuszek mogłaby tylko pozazdrościć jej młodego, giętkiego i utalentowanego ciała, które, jak się wydawało, nie miało zamiaru podporządkować się upływowi czasu.

Okruch byłego, już niemal obcego życia...

Maj pełen bzów niezauważalnie przemienił się w jaśminowy czerwiec; w lipcu Natasza wyjechała na dwa tygodnie na urlop, ale to długie rozstanie niczego nie zmieniło: w wyznaczonym dniu czekałem na nią z niecierpliwością małego chłopca i równo o wpół do piątej usłyszałem klucz przekręcający się w zamku.

Wszystko rozpoczęło się pod koniec sierpnia, kiedy w ślad za spiekotą znikły gdzieś roje motyli pokrzywników, jeszcze do niedawna okupujących okolicę, wlatujących przez otwarte okno i bezwstydnie przysiadających na nas, gdzie im się tylko podobało.

Jak niedawno i zarazem dawno to było!.. Czasem naprawdę tęsknię za tamtym życiem, ale jest to nostalgia mieszkańca Atlantydy, który miał szczęście i uratował się, kiedy jego wyspa ulegała zagładzie. Moje minione życie pochłonęły fale. Brzmi to zbyt pięknie, by mogło być prawdą. Po prostu czuję, że nie mam odwrotu.

Ale czy mam prawo twierdzić z całkowitą pewnością, że się uratowałem?..

W każdym bądź razie doskonale pamiętam datę zdarzenia, które stało się zapowiedzią... Nie ma sensu zajmować się szukaniem eufemizmów. Zapowiedzią *przyjść*. Odpowiedniejszego terminu nie znalazłem, jak też nie wymyśliłem nic lepszego od *podróży*.

Podróże będą drugim etapem...

Odrzućcie proszę wszelkie podejrzenia i nie szukajcie żadnych symptomów. Spróbujcie czytać dalej z większą uwagą, a przekonacie się o pełni moich władz umysłowych, które zachowałem na przekór temu, co mnie spotkało.

Tego dnia na spacerze po trzech porannych stronach przypomniałem sobie swego gospodarza. Już od pół roku nie uszczęśliwiał mnie nowymi prezentami, nie usiłował dojść, czy lubię Chopina, i w ogóle nie dawał znaku życia, za co byłem mu niezmiernie wdzięczny, jak również za gramofon, który umilał nasze randki z Nataszą.

Następstwem tego wspomnienia była zmiana kierunku marszu i wstąpienie do sklepu z płytami.

Wybrałem płytę Led Zeppelin z moimi ulubionymi „Schodami do nieba” oraz kaprysy skrzypcowe Paganiniego, a gdy kierowałem się już do wyjścia, ujrzałem na stelażu romantyczny profil Chopina. Pamięć od razu podsunęła: „Przepraszam... czy lubi pan... Chopina?” Oraz: „U Chopina podobają mi się preludia, ale bardzo proszę niczym więcej mnie nie obdarowywać...” Wtedy powiedziałem prawdę, a na płycie w czarno-zielonej okładce, którą teraz trzymałem w ręku, były właśnie chopinowskie „24 preludia” – od pierwszego z radosnym porywem po ostatnie z tragicznymi figuracjami basowymi.

W domu przesłuchałem „Schody do nieba” i nastawiłem Chopina. Druga strona płyty zaczynała się od preludium nr 15, które George Sand, nie zważając na protesty Fryderyka, nazywała „Kroplami deszczu”. Ten pastoralny utwór o cechach nokturnu przywiódł mnie do biurka i natchnął do zapisania jeszcze jednej strony w brudnopisie.

Od pisania oderwał mnie zapach mentolowych papierosów. W rzeczy samej poczułem go trochę wcześniej, ale przez jakiś czas pióro jeszcze wędrowało po papierze, a przyjemny zapach błąkał się po peryferiach postrzegania, rodząc mgliste obrazy szczupłej ręki, pastelowo umalowanych ust, białego papierosa z obwódką różowej szminki... Trochę zdziwiony uniosłem głowę. Na tle półek z książkami snuła się siwa smużka dymu. Coraz bardziej zaintrygowany podszedłem do okna i spojrzałem w dół. W dole na ławeczce siedział były elektromonter Leon, który nigdy nie palił nic innego od „Astry”. Smużka dymu znikła, ale zapach pozostał, jakby ktoś palił zupełnie blisko, w sąsiednim pokoju, którego przecież nie miałem. Pomyślałem, że

Nataszy takie zapachy mogą się nie spodobać i na wszelki wypadek otworzyłem drzwi na klatkę schodową. Z wnętrza klatki jak zwykle wionęło zapachem kotów. Cała wina spadała więc na okno i na tutejszą skomplikowaną różę wiatrów.

Początek wieczoru nie odznaczał się niczym szczególnym oprócz tego, że słuchaliśmy nowych płyt i na Chopina nie wystarczyło czasu. Dobrze pamiętam, że położyłem płytę na gramofon, ale Natasza już czesała się przed naszym dużym owalnym lustrem i nie było czasu na słuchanie.

Wracałem w nastroju, jaki Leon nauczył się wyczuwać do perfekcji. Wdzięczny za pożyczonego piątaka polazł za mną na drugie piętro. Na klatce zapalił, a ja mimochodem zarejestrowałem w jego rękach wymięte opakowanie „Astry".

W tym momencie odniosłem wrażenie, że zza drzwi dobiega muzyka. Wytężyłem słuch i rozpoznałem „deszczowe preludium". W pierwszej chwili, może z powodu beztroskiego nastroju, a może dlatego, że obok stał Leon, zniosłem odkrycie zupełnie spokojnie. Przekręciłem klucz w zamku, pożegnałem sąsiada i znalazłem się w swoim ciasnym przedpokoju. W mieszkaniu brzmiała jeszcze końcówka utworu i było to na pewno piętnaste preludium. Dopiero teraz dotarło do mnie, co się dzieje. Czując nieprzyjemny dreszczyk pod sercem, szarpnąłem drzwi do pokoju i włączyłem światło.

W pokoju nie było nikogo, milczący gramofon stał na swoim miejscu, ale w powietrzu unosił się zapach mentolowych papierosów. Sprawdziłem kuchnię, łazienkę i obie szafy, a potem usiadłem na rozścielonym łóżku i roześmiałem się.

Nie powiem, żebym śmiał się zupełnie szczerze.

Muzykę za drzwiami mogłem sobie uroić, ale jak wyjaśnić zapach? Czytałem o halucynacjach węchowych, jednak skąd wzięła się błękitna smużka na tle czarnej zasłony, ciągnąca się aż do uchylonego lufcika?.. Czy nie za wiele tych halucynacji?

Nalałem pełny kieliszek wina i pijąc go małymi łyczkami zacząłem analizować sytuację.

Najbardziej naturalną odpowiedzią na wszystkie pytania byłaby niedawna obecność człowieka z papierosem w tych czterech ścianach. Zarazem takie wyjaśnienie byłoby najbardziej wątpliwe. Jeśli ktoś rzeczywiście odwiedził mieszkanie, miał do dyspozycji jakieś piętnaście minut pomiędzy naszym wyjściem a moim powrotem. W tym czasie amator mentolo-

wych papierosów powinien był, po pierwsze, jakoś dostać się do mieszkania, a po drugie, zdążyć uciec do mojego przyjścia. Ale w jakim celu? Żeby wypalić papierosa i tym samym zostawić dowód włamania? Wersja nie wyglądała na zbyt wiarygodną i zostawiała miejsce na dalsze spekulacje.

Zgodnie z elementarną logiką, do mieszkania w tak krótkim czasie mógł dostać się jedynie człowiek posiadający klucze. Jeden komplet miałem w kieszeni, drugi był w torebce Nataszy. Trzeci pół roku temu położyłem do górnej szuflady biurka.

Idąc do biurka zatrzymałem na chwilę wzrok na popielniczce stojącej pomiędzy Sziwą a tomem Akutagawy. Nie było tam żadnych śladów popiołu. Górna szuflada też niczym nie zaskoczyła. Nalałem wina i włączyłem telewizor. Leciał francuski kryminał. Zabójca upewnił się, że ofiara jest martwa i spuszczał się na dół po oplecionej dzikim winem ścianie. Otworzyłem kufer. Drabinka sznurowa leżała spokojnie, jednak postanowiłem przełączyć kanał.

Mąż Nataszy znajduje klucze w kosmetyczce, dorabia duplikaty, etc... Z tej hipotezy natychmiast zrezygnowałem. Wszystko to było zbyt naciągane, a oprócz tego ani Natasza, ani jej mąż nie palili.

Rozważania nieuchronnie skierowały się w stronę właściciela mieszkania. Odtworzyłem w pamięci naszą pierwszą i jedyną rozmowę – spodobała się mi jeszcze mniej niż za pierwszym razem. Epizod z kluczami... Oprócz trzech kompletów wręczonych mi z widocznym zakłopotaniem, istniały pewnie jeszcze trzy albo trzydzieści trzy inne. Albo to pytanie, czy będę tutaj mieszkać sam... Plus ostrożna i, możliwe, dokładnie przemyślana sugestia, że mogę coś zauważyć...

Ogarnęło mnie złe przeczucie, że wciągają mnie albo w idiotyczną zgrywę, albo wręcz przeciwnie – w doskonale zaplanowany eksperyment. W każdym razie moja sytuacja, delikatnie mówiąc, była nieciekawa, bo scenariusz powstał bez mojego udziału i nikt go ze mną nie konsultował. Co prawda, gdzieś z zakamarków pamięci wypływało mgliście raz po raz owo dziwne, lękliwe pytanie gospodarza o Chopina, ale sami powiedzcie, jaki normalny umysł byłby zdolny połączyć i związać je w jedno z dzisiaj kupioną przeze mnie (z własnej i nieprzymuszonej woli) płytą w czarno-zielonym opakowaniu, a tym bardziej z dymem mentolowych papierosów?

Jak pokazała najbliższa – można by rzec, przyczajona za matową szybą – przyszłość, logika miała tu najmniej do powiedzenia.

Przygotowując się do snu, po raz pierwszy zamknąłem drzwi wejściowe na wszystkie zamki. Jeszcze nie wiedziałem, że ta noc będzie najspokojniejsza ze wszystkich kolejnych.

Ranek jak zwykle dokonał korekty moich wieczornych ocen. Zresztą, do innych wniosków oprócz prawdopodobnego, pośredniego albo bezpośredniego, udziału mojego gospodarza w tej tajemniczej historii nie doszedłem. Ale i ta tajemniczość w świetle dnia poblakła w mgnieniu oka i przypominała sytuację z operetki.

Około dwunastej zatelefonowała Natasza. Nie mogła przyjść, co mnie trochę zasmuciło, ale dawno wyrosłem z lat, kiedy odwołanie spotkania było w stanie przytępić ostrość barw otaczającego mnie świata. Odłożyłem słuchawkę i przypomniałem sobie, że pojutrze jest piątek, to znaczy, że Natasza jak zwykle przed weekendem zatrzyma się u mnie na dłużej i wymyśli coś oryginalnego nie tylko w kuchni.

Po dziennym spacerze nie zauważyłem w mieszkaniu niczego podejrzanego. Wśród zapachów wyróżniał się aromat kawy zmielonej w młynku ręcznym. Nie powiem, że uspokoiłem się zupełnie, ale bez specjalnych trudności wróciłem do rozpoczętego rękopisu.

Po kolacji składającej się z filiżanki kawy i kanapki wybrałem się na przechadzkę. Wieczór przywrócił wczorajszemu zdarzeniu zagadkowość, dlatego moje przygotowania do wyjścia były nieco inne niż zazwyczaj. Najpierw zamknąłem lufcik na głucho, potem stanąłem pośrodku pokoju i starałem się zapamiętać dokładne położenie popielniczki, mosiężnego Sziwy, rozłożonych na stole książek i kartek rękopisu. Drzwi, podobnie jak na noc, zamknąłem na trzy zamki. Kieszeń dżinsów przyjemnie obciążał podarowany przez Nataszę nóż myśliwski w skórzanej pochwie.

Trasę przechadzki też skorygowałem. Były cmentarz i jego słabo oświetlone okolice wydawały się dość nietypowym miejscem na nocny spacer, ale stamtąd miałem doskonały widok na mój blok i okno na drugim piętrze, które pozostawiłem odsłonięte, żeby od razu zauważyć światło.

Tak więc włóczyłem się po dawnym luterańskim cmentarzu, gdzie jakimś cudem ocalał jeden przekrzywiony i omszały na-

grobek, i z dogodnych miejsc zerkałem na dom. Za każdym razem odzywała się we mnie jakaś struna i na moment wstrzymywałem oddech. Jednak moje okno niezmiennie pozostawało jedynym ciemnym prostokątem w swoim pionie. Po jakichś czterdziestu minutach w ironicznym usposobieniu ruszyłem z powrotem do domu.

Sierpień dobiegał swoich dni i pod nogami szeleściły pierwsze klonowe liście. Przypomniała mi się moja młodzieńcza nowela, w której bohater wyznawał miłość pisząc do ukochanej na złocistych liściach klonu. Jego pierwowzorem był sam autor, który od tej pory przeżył dwa dziesięciolecia i nigdy już nie pisał takich listów, choć potem jeszcze dwa albo trzy razy był zakochany i czasami, ale w innym mieście, błąkał się w podobny sposób po wieczornym parku i czekał, dopóki w pobliskim domu zapali się światło w jednym oknie i przyniesie mu radość, narastającą falami podczas biegu po schodach i osiągającą szczyt tuż przed drzwiami, za którymi cicho grała muzyka i czekały gorące, spragnione usta. Przeznaczeniem tego zakochanego było stanie się prototypem człowieka patrzącego dzisiaj w inne okno i oczekującego jeśli nie radości, to przynajmniej spokoju z tego powodu, że okno pozostanie ciemne, a za drzwiami spotka go cisza.

Muzykę usłyszałem na pierwszym piętrze. To było preludium nr 15, od którego, jak już wspomniałem, rozpoczynała się druga strona kupionej przedwczoraj płyty. „Krople deszczu" słychać było głośniej i wyraźniej niż wczoraj.

Nogi zrobiły się ciężkie jak kamienie, ale posłuchały rozkazu, by wejść piętro wyżej. Oczko judasza nadal było ciemne, ale tam, za drzwiami, czułem to, ktoś był. Wyczerpany oparłem się o poręcz schodów i próbowałem się skoncentrować.

Melodia skończyła się. Teraz powinno zabrzmieć charakteryzujące się mrocznym kolorytem preludium nr 16, jednak po krótkiej przerwie zamiast niego znowu zadźwięczały „Krople deszczu". Wyjąłem nóż, sprawdziłem czy lekko wychodzi z pochwy i, trzymając go w lewej ręce, prawą podniosłem do dzwonka.

W tej samej chwili w mieszkaniu obudził się telefon. Moje serce zdążyło wywinąć potężnego kozła w takt regularnych, powtarzających się uparcie dzwonków. Telefon zamilkł jednocześnie z końcowymi akordami preludium.

Po tamtej stronie drzwi zapadła głucha cisza. Wizjer nadal pozostawał ciemny, ale nie istniała żadna gwarancja, że ktoś stamtąd skrycie mi się nie przyglądał, też ściskając w ręku nóż albo coś bardziej groźnego. Dzwonienie do własnego mieszkania wydało mi się nierozsądne. Przebieżka do budki telefonicznej, żeby zawiadomić policję, pozwoliłaby mojemu gościowi bez problemów prysnąć. Byłem przekonany, że muzyki Chopina słuchał gość, a nie goście.

Wyjście podpowiedział hałas dochodzący z mieszkania Leona naprzeciwko. Sąsiad majstrował coś w przedpokoju i na szczęście był dość trzeźwy. Całkiem na miejscu wydał mi się młotek w jego ręce. Improwizując poprosiłem go, aby rzucił okiem na rozbity wentylator i nie pozwalając odłożyć młotka, popchnąłem Leona w stronę mojego mieszkania. Lewą rękę włożyłem do kieszeni z nożem, prawą otworzyłem drzwi. Muszę przyznać, że lewa była spokojniejsza. Leon zauważył, że jemu wystarcza jeden zamek i dodał filozoficznie, że gdyby ich było więcej, to może teraz nie żyłby sam, bo żona z kapitanem żeglugi dalekomorskiej zamknęłaby się na fest i tym sposobem on nie nakryłby ich w łóżku. Mógł sobie mówić co chciał, najważniejsze, żeby tylko trzymał młotek i był gotów puścić go w ruch na mój rozkaz.

W przedpokoju było pusto, w pokoju i kuchni też; okna i lufciki były pozamykane, drzwi do szaf również, ale nos wyczuł zapach mentolowego dymu znacznie wcześniej niż oko zarejestrowało świeżą smużkę dymu na tle okna. Nieproszony gość mógł ukrywać się tylko w łazience.

– Leon! – krzyknąłem wyciągając nóż. – W łazience ktoś jest! Za mną!

W przedpokoju był włącznik. Trąciłem go palcem i szarpnąłem drzwi.

Z obydwu kranów kapała woda, a zbiornik nad sedesem tęsknił za hydraulikiem.

– Ale masz pomysły... – Leon pokiwał głową.

Odkręciłem niebieski kurek, umyłem śliskie od potu ręce i nabierając wody w dłonie ostudziłem twarz. Potem powoli wytarłem się ręcznikiem i napiłem się. Na ile to było możliwe, odwlekałem powrót do pokoju, bo wiedziałem, że czeka tam na mnie przynajmniej jedno nieprzyjemne odkrycie, nie licząc dymu.

Ale niespodzianek było więcej.

Otwarta książka na biurku rzuciła się w oczy od razu, gdy tylko wpadłem do mieszkania. Wychodząc z domu wszystkie książki ułożyłem w stos.

Przegląd innych rzeczy wywołał nieprzeparte pragnienie machnąć ręką na zapłacone za rok z góry pieniądze i już jutro opuścić to mieszkanie, żeby zapomnieć o przestawionym z trzeciej półki na czwartą indyjskim bożku (na wcześniejszym miejscu widać było wolny od kurzu, równiutki kwadracik), o bezładnie przetasowanych stronicach rękopisu i o najgorszym – czarcim łbie z oczodołami napełnionymi papierosowym popiołem.

Leon naprawił wentylator i pieścił spojrzeniem butelkę koniaku na stole. Nożem myśliwskim pokroiłem cytrynę na nierówne plasterki i nalałem od razu po pół szklanki. Wszystkie wyjaśnienia, jakimi siebie uspokajałem, rozwiały się bez śladu i pozostała naga prawda: ktoś nawiedza moje mieszkanie w nieznanym celu.

Niechętnie rozstałem się z sąsiadem i zaparzyłem kawę. Gość mógł wejść drzwiami, ale w jaki sposób udało się mu dzisiaj niezauważalnie wyślizgnąć, skoro okna były zamknięte od środka? Pozostały ściany, podłoga i sufit.

Zacząłem metodycznie opukiwać ściany i robiłem to tak starannie, że kiedy doszedłem do mapy Europy, nie czułem już palców. Mapa wydała mi się najbardziej niebezpiecznym miejscem. Nie, ściana pod mapą nie wydawała głuchych odgłosów świadczących o ukrytym schowku, ale wyglądała podejrzanie. Była niezwykła jako część wnętrza, a także z powodu swej perspektywy przestrzennej. Opukałem kuchnię i przedpokój, zająłem się podłogą, a potem przestawiając taboret, uważnie obejrzałem sufit. Jeśli nie liczyć pajączka, który chował się za zegarem, niczego niezwykłego nie znalazłem i, co dziwniejsze, przyjąłem ten wynik oględzin z pewnym zadowoleniem. Zegar wskazywał wpół do pierwszej, zostało mi tylko dopić koniak i pójść spać.

Noc minęła spokojnie. Śniłem nie o tajemniczych gościach, ale o minionym lecie i Nataszy, z którą kochałem się na jeziornej płyciźnie.

Obudziłem się z lekką i pustą głową. Pod strugami zimnego prysznica zdecydowałem, że poczekam na dalszy rozwój wydarzeń. Nie muszę chyba dodawać, że tego rozwoju wcale nie pragnąłem. Byłbym szczęśliwy, gdyby wszystko w moim życiu

jak najdłużej ograniczało się do dziennych spotkań z rękopisami i wieczornych z kobietą, która umiała kochać nie tylko w snach. Dzięki babci zapamiętałem z dzieciństwa kilka modlitw i tego ranka pomodliłem się za modus vivendi, którego pragnęła moja dusza.

Następny dzień minął tak, jakby ktoś rzeczywiście wysłuchał moich modlitw. Ale teraz jestem pewien, że w rzeczywistości ten krótki odpoczynek podarowano mi, by przygotować mnie do następnego kroku na już wyznaczonym szlaku.

Minęły dwa wieczory od opukiwania mieszkania i zawarcia znajomości z pająaczkiem w zegarze. Znowu wracałem do domu przez były cmentarz. W koronach starych klonów zamieszkał wrzesień, ale wieczory dochowywały wierności sierpniowemu ciepłu, ściągając młode pary na ławki.

Blisko domu zerknąłem na swoje okno i jakbym wpadł na niewidoczną przeszkodę: na tle okna malował się świetlisty cień. Zacisnąłem powieki aż do bólu i powoli otworzyłem je znowu. Cień zniknął. Wmawiałem sobie, że to optyczny omam szarej godziny, jednak nie wierzyłem w to ani na jotę. Poczułem, jak dojrzewa we mnie decyzja. Do drzwi wejściowych było około stu kroków. Zacząłem biec. Nie minęła minuta, gdy znalazłem się pod drzwiami mieszkania.

Biegnąc przypomniałem sobie, jak kiedyś, zaraz po ukazaniu się moich pierwszych książek, lubiłem przymierzać do swojej sytuacji powiedzenie jednego z iberoamerykańskich mistrzów: bawię się w pisarza i ta zabawa może stać się śmiertelnie niebezpieczna.

U sąsiadów po lewej ryczał magnetofon i usłyszeć cokolwiek zza moich drzwi było niemożliwe. Chyba to dodało mi odwagi. Nie miałem ze sobą ani noża, ani innej broni. Nie zwlekając otworzyłem drzwi i pstryknąłem włącznikiem w przedpokoju. Z zamkniętego, ciemnego pokoju dochodził niejasny, równy szum. Nabrałem pełne płuca powietrza i kopnąłem drzwi. Włącznik był tuż za futryną. Na stoliku obok mapy szumiał wentylator. Złapałem mosiężnego Sziwę i rzuciłem się do kuchni...

Oprócz mnie w mieszkaniu nikogo nie było. Precyzując – oprócz mnie, włączonego przez kogoś wentylatora i zapachu mentolowych papierosów.

Była jeszcze butelka koniaku. Osuszyłem pełny kielich do wina, wyłączyłem wentylator i zacząłem przegląd.

Oczodoły popielniczki ziały pustką, ale ślady popiołu widniały na podłodze koło mapy, którą znowu starannie obejrzałem od Lizbony do Wołgi. Powątpiewam, czy byłbym zdolny odpowiedzieć na pytanie, czego właściwie szukałem, bo mapa była naklejona na głuchą ścianę od strony ulicy.

Najrozsądniejszym wyjściem wydawał się powrót do podjętej trzy dni temu decyzji: poczekać na dodatkowe fakty.

Czekanie nie trwało długo, wydarzenia przestępując niecierpliwie z nogi na nogę stały już za drzwiami.

Po sporej dawce koniaku zasnąłem dość szybko, ale sen był płytki, pełen nieuchwytnych obrazów, urywków melodii, trwożnych szelestów. Zielona rybka świadomości pływała w okolicach kruchej granicy pomiędzy jawą a snem. Coś wzbraniało tej świadomości opuścić się bliżej dna, znaleźć wytchnienie w miękkich wodorostach, i to coś zaczynało ujawniać się cichym szeptem i lekkimi krokami.

Ocknąłem się jakby od dotknięcia i instynktownie złapałem porzuconego na podłodze Sziwę. Cyfry w drewnianym okienku zegara wskazywały, że mijała druga. Zasłona pozostała nie zaciągnięta i w pokoju było dość widno.

Wstrzymałem oddech i przesunąłem się na środek łóżka, żeby widzieć drzwi do przedpokoju. Teraz wystarczyło lekko pochylić się do przodu. W rozproszonym półmroku pojawiły się rozmyte zarysy matowego szkła.

Gdyby Sziwa był żywą istotą, następna chwila stałaby się jego ostatnią. Moja ręka ściskała statuetkę z nadludzką siłą: po tamtej stronie drzwi przemknął wyraźny cień.

Po kilku uderzeniach serca szkło w drzwiach znowu pociemniało.

Strach unieruchomił nogi i zmroził wolę. W objęciach podobnej wszechogarniającej grozy znalazłem się pewnego razu w dzieciństwie, kiedy naczytałem się przed snem w pustym mieszkaniu opowiadań Prospera Mérimée i przebudziłem się w środku nocy ze strasznego snu, w którym ręce do mnie wyciągała Wenus z Illes, dokładnie taka sama, jak w książce: z plamami patyny i łacińskim podpisem CAVE AMANTEM na piedestale.

Porównanie tego nocnego przerażenia z dziecięcym snem przyszło mi do głowy trochę później. A wtedy udało mi się oderwać od łóżka i zrobić krok w stronę drzwi. Lewą ręką na-

macałem włącznik. Nóż myśliwski leżał w odległości trzech kroków, które pokonałem szalonym, zwierzęcym skokiem.

Z nożem w prawej ręce i z bożkiem w lewej stałem przed drzwiami, czując, że ktoś stoi za matowym szkłem. Drzwi otwierały się w stronę pokoju, co znaczyło, że ten ktoś miał wyraźną przewagę, bo mógł raptownie zaatakować mnie z tych ciemności. Czułem, że w takich wypadkach wahanie tylko przeszkadza, dlatego z bojowym okrzykiem „A-a-a!" szarpnąłem drzwi do siebie i wpadłem do ciemnego przedpokoju...

Mój nóż ubódł pustkę. Kuchenne okno było zamknięte na wszystkie zasuwki, a drzwi na klatkę schodową, oprócz zamków, dodatkowo zabezpieczał stalowy łańcuszek. Choć z trudem, ale dawało się pomyśleć, że z pomocą jakiegoś cwanego przyrządu można było ten łańcuszek zdjąć wchodząc do mieszkania, jednak założenie go z powrotem przy wyjściu na klatkę było po prostu niemożliwe. Tym niemniej ktoś był nie tylko w przedpokoju i kuchni, ale i w pokoju: przecież czarcia głowa z jednym rogiem nie mogła przewędrować bez czyjejś pomocy z półki na lodówkę, napełniając się po drodze popiołem z kilku papierosów, które przesyciły kuchnię mentolowym zapachem.

Ze zdziwieniem zarejestrowałem, że zapach, choć pojawiał się tak tajemniczo, działał na mnie uspokajająco, bo uparcie nie kojarzył się z nikim w rodzaju najemnego zabójcy. Szybciej uwierzyłbym, że papierosa paliła kobieta...

Ale jaka kobieta? Potrafiąca przenikać przez ściany?..

Nalewając koniak pomyślałem, że jeśli to się nie skończy, to się rozpiję. Chciałem popatrzeć na siebie na początku tego szlaku i podszedłem do owalnego lustra wiszącego nad kufrem. Na pierwszy rzut oka nie zauważyłem na swojej twarzy niczego szczególnego. Siwe pasemko włosów na prawej skroni mogło pojawić się wcześniej. Jednak miałem wrażenie, że ten dobrze zbudowany mężczyzna w zielonej piżamie posiada nowy rys osobowości... Kiedy nalałem trzecią porcję koniaku, znalazłem odpowiedź: człowiek w lustrze był podobny nie do pisarza, a raczej do jego bohatera.

Obserwowanie siebie nieoczekiwanie spodobało mi się. Jest taka zabawa rekomendowana przez psychologów: w trudnej sytuacji powinniście sobie wyobrazić, że zamiast was będzie teraz działać sobowtór stworzony przez waszą wyobraźnię, z którym utożsamiacie się tylko do pewnego stopnia.

Nakazałem swojemu sobowtórowi położyć się do łóżka i ironicznie obserwowałem, jak chowa nóż pod poduszkę. Wypiliśmy z moim dublerem jednakową ilość koniaku, ale to ja byłem wyraźnie trzeźwiejszy i kazałem mu przełożyć poduszkę na przeciwległą stronę łóżka, żeby móc widzieć drzwi.

Sobowtór położył się i jakiś czas spoglądał w ciemności na mleczne szkło, a potem dzięki alkoholowi i tej psychologicznej zabawie zapadł w sen. Tym razem rzeczywiście zapadłem w sen, który był głęboki i głuchy, jak wędrówka przez opuszczone lochy, gdzie nie zalśni ani słoneczny promień, ani żaden ognik, i nawet nie słychać jak spadają krople wody ze sklepienia.

Nagle chwyciła mnie jakaś potężna siła, uniosła na nie wiadomo ile pięter w górę i opuściła na łóżko w pokoju pachnącym papierosowym dymem.

Nóż trafił do ręki w tym samym momencie, w którym spostrzegłem niewyraźny cień za drzwiami.

Cień zamajaczył przez chwilę i roztopił się w mroku przedpokoju.

Potem działałem jak robot: rzuciłem się do kufra i jednym ruchem przyciągnąłem go do drzwi. W następnej chwili zauważyłem, że w pokoju świeci się światło, a moje obie ręce są uzbrojone.

– Kim jesteś? Czego chcesz? – krzyknąłem głośno w stronę matowego szkła i wzdrygnąłem się na dźwięk własnego głosu.

Drzwi milczały. Z lewej strony, z tajemniczej przestrzeni lustra, kątem oka spoglądał na mnie człowiek z nożem myśliwskim i indyjskim posążkiem. Znowu nas było dwóch i napięcie trochę osłabło. Jeśli nie liczyć karalucha lękliwie przemykającego po listwie, drzwi nie przejawiały żadnych oznak zagrożenia.

Mój wzrok przyciągnęła podłoga. Na jej brunatnych deskach, od miejsca, gdzie stał kufer, aż do drzwi ciągnęły się świeże zadrapania. Nie było w tym nic niezwykłego i nie od razu pojąłem, dlaczego nie mogę oderwać od nich oczu.

Nie, wzrok mnie nie mylił: na pomalowanej podłodze ciągnęły się wcześniejsze ślady zadrapań. Kufer był przyciągany do drzwi już wcześniej!

Teraz zrozumiałem przeznaczenie drabinki sznurowej. Mocując jej metalowe łapy można było zejść z okna na dół. To stąd wzięły się te głębokie wgniecenia na parapecie!..

Nie mogło być pomyłki: nie jestem pierwszą osobą zwabioną do tej pułapki!

W stanie skrajnego wyczerpania nerwowego przypomniałem sobie, że w apteczce mam środek nasenny.

Pierwszym porannym zwiastunem rzeczywistości była myśl, że zwariowałem. Myśl była mało pocieszająca, ale miała też pozytywny aspekt: wszystkie wydarzenia dawały się wytłumaczyć, a mnie pozostawało tylko pójście do psychiatry.

Ale ledwo spuściłem nogi na podłogę, a już postawiłem krzyżyk na tej wersji, ponieważ zadrapania na podłodze i wgniecenia po żelaznych łapach drabinki na parapecie nie miały zamiaru zniknąć.

Kim więc był właściciel mieszkania? Ofiarą tych diabelskich sztuczek? Ich scenarzystą? Reżyserem? W naszej marcowej rozmowie znajdowałem argumenty na korzyść zarówno pierwszej, jak i drugiej wersji. Przy czym jeden i ten sam argument, w zależności od punktu widzenia, i tu i tam wypadał równie przekonująco. Na przykład reakcja na lodówkę. Strach, którego nie można było ukryć? A może człowiek o nerwowym obliczu i przedwczesnej siwiźnie wcielił się w swoją rolę jak zawodowy aktor?

Odszukałem wizytówkę z numerem jego telefonu. Kimkolwiek był, ofiarą czy myśliwym, w każdym wypadku zachował się nieuczciwie i dzwonienie do niego było poniżej mojej godności. Oprócz tego, telefonowanie oznaczało przyznanie się do swojego strachu, a to najpewniej sprawiłoby mu radość. Wśród tych rozważań pojawiło się podejrzenie, że ani numer, ani człowiek o takim imieniu po prostu nie istnieją.

Przestawienie kufra z powrotem na miejsce okazało się znacznie trudniejsze od mojej błyskawicznej akcji w nocy. Przed otwarciem drzwi wsłuchałem się w ciszę za tą niezbyt pewną barierą. Intuicja podpowiadała, że teraz nic mi nie grozi. Wsłuchałem się w siebie i zacząłem obrywać pajęczynę nocnych lęków we wszystkich zakamarkach swojego jestestwa.

Przy kawie znowu przypomniałem sobie właściciela mieszkania z jego wymizerowanym wyglądem i bezsensownymi, jak mi się wtedy wydawało, pytaniami, które teraz nabrały złowieszczego, ponurego sensu. Chopin i gramofon były oczywiście jednymi z ważniejszych ogniw tego łańcucha tajemnic.

Chopin, sklep z płytami, preludium nr 15... W gęstych ciemnościach błysnęło światełko. Wyszedłem z kuchni i uważnie

przyjrzałem się gramofonowi. W mojej duszy walczyły ze sobą dwa jednakowo silne pragnienia: nastawić „deszczowe preludium" albo natychmiast zanieść odtwarzacz z płytą do komisu lub, jeszcze prościej, porzucić go na jakiejś ławce w parku.

Jak się domyśliliście, wybrałem to pierwsze. Wtedy przyrzekłem sobie, że nie pozwolę lękowi zapanować nad sobą i zrobiłem pierwszy krok ku spotkaniu... Chciałem napisać „ku spotkaniu z nią", ale byłoby to za wcześnie i nie wyjaśniłoby ani odrobiny więcej.

Po prostu podszedłem do gramofonu, podniosłem przeźroczystą plastikową pokrywę, położyłem płytę i opuściłem igłę.

Od dzieciństwa, kiedy wszystko robiłem jeszcze instynktownie, słuchałem muzyki klasycznej mrużąc oczy i naciskając je lekko kciukami splecionych rąk. Taka pozycja na pewno dziwiła moich sąsiadów w salach koncertowych, ale dla kogoś takiego jak ja, amatora bez wykształcenia muzycznego, niezmiennie pomagała skupić się na melodii i wypełnić ją obrazami i skojarzeniami.

Były to najprzeróżniejsze obrazy. Park z zespołem pałacowym w duchu obrazów Borysowa-Musatowa i Baksta... Kra na wiosennej rzece... Słoneczny zagajnik z czerwonymi poziomkami...

Toccata i fuga d-moll Bacha niezmiennie wywoływały obraz starej lipowej alei i powozu, z którego wychodzi młoda kobieta w sukience koloru bzu. W dalekiej perspektywie alei pojawia się postać mężczyzny. Idą ku sobie, potem biegną, on bierze ją na ręce, krąży wraz z nią pod wieczystymi drzewami, ale radość tej dwójki naznaczona jest piętnem nieuniknionej tragedii.

Nokturnowe intonacje preludium nr 15 wywoływały we mnie niezbyt chyba oryginalne obrazy i dźwięki wesołego płaczu wiosennych sopli. Bez względu na napięcie nerwowe tak było i teraz. Krople wybrzmiały i igła gramofonu wydobyła pierwsze akordy preludium nr 16.

Właśnie wtedy, siedząc z wciąż zamkniętymi oczyma, poczułem zapach mentolowych papierosów. Gotów byłem przysiąc, że przez cały ten czas w pokoju oprócz muzyki żadnych innych dźwięków nie słyszałem: nie otworzyły się drzwi z klatki schodowej, nie zaskrzypiała deska podłogowa przed wejściem do pokoju, nie pstryknęła zapałka ani zapalniczka...

Nie poruszając się otworzyłem oczy. Nad biurkiem w skomplikowanych splotach unosiły się dwie smużki błękitnawego dymu.

W taki oto sposób wyjaśniłem związek mentolowego zapachu i muzyki Chopina.

Aby upewnić się ostatecznie, jeszcze dwukrotnie powtórzyłem eksperyment – najpierw puszczałem preludia, a potem Led Zeppelin. W pierwszym wypadku wstążki dymu zawisły w tym samym miejscu nad biurkiem, zjawiając się nie wiadomo skąd. Na Led Zeppelin żadnej reakcji nie zauważyłem.

Słowo „eksperyment" w tym miejscu wydaje się przedwczesne. Okres eksperymentów był jeszcze przede mną. Ale wtedy zdecydowanie na zawsze odrzuciłem zamiar natychmiastowego opuszczenia mieszkania. Myślałem już nie tylko o konieczności przeciwstawienia się przerażeniu, ale o obowiązku literata, który zetknął się z nieznanym.

Kiedy o umówionej porze zadzwonił telefon, zupełnie spokojnie porozmawiałem z Nataszą i wyszedłem kupić dwie tradycyjne butelki czerwonego wina.

Jak już mówiłem, był piątek, dlatego Natasza nie spoglądała na zegarek i mogliśmy oddać się miłości drugi raz, a potem trzeci, zapijając schadzkę koniakiem, bo wino się skończyło.

Kiedy wróciłem z przystanku trolejbusowego, nie spotkała mnie ani muzyka, ani mentolowy zapach, nie było popiołu w diabelskich oczodołach, a ja nawet roześmiałem się z przypuszczenia, że goście zahipnotyzowali mnie koło drzwi i dzięki temu umknęli niepostrzeżenie na klatkę schodową.

Pościel pachniała Nataszą. Wszystko świadczyło o tym, że mojemu życiu nikt nie zagraża bezpośrednio. Mrugnąłem do Sziwy stojącego na swoim zwykłym miejscu i zdjąłem z półki tom Akutagawy, ten sam, który przeglądałem pierwszego wieczoru. Złożona na pół kartka ze szkolnego zeszytu z dziecięcym rysunkiem kobiecej twarzy w oknie leżała, jak i wcześniej, pomiędzy stronami „Życia idioty". Rozłożyłem ją i w zamyśleniu przeczytałem podpis:

TO NIE MOŻE
DŁUŻEJ TRWAĆ
NIE MOŻE

Kołdra utrzymywała ciepło naszych ciał. Żeby szybciej zasnąć, postanowiłem skorzystać, podobnie jak wczoraj, z usług swojego sobowtóra, ale w końcu wybrałem inny, niejednokrotnie wypróbowany środek: wywołałem w pamięci obraz Nataszy, obróciłem ją do siebie ciepłymi plecami i mocno objąłem.

Rankiem obudziłem się w zadymionym pokoju gotów do spotkania rzeczy najmniej spodziewanych. Od tego ranka rozpoczął się poczet dni, które umownie nazwałem okresem eksperymentów.

Eksperymenty, czasami z dość długimi przerwami, trwały od spalenia wizytówki mojego gospodarza do pierwszego snu, który jeszcze nie był prawdziwą podróżą.

Ale nie będę się śpieszyć, by niczego nie pominąć, jak człowiek prowadzący dziennik pokładowy, gdy statek zboczył z kursu i czeka go albo odkrycie nowych lądów i tryumfalny powrót, albo zguba i zapomnienie.

Tak, eksperymenty zaczęły się po spaleniu wizytówki z numerem telefonu i adresem właściciela mieszkania. Przyjąłem to jako symboliczny akt potwierdzający moje zdecydowanie; kiedyś z taką samą posępną rozkoszą rozpaliłem na uniwersyteckim skwerku ognisko z listów mojej przyjaciółki.

Jeśli myślicie, że u podstaw moich działań leżał jakiś gruntownie przemyślany, logiczny plan, to się mylicie. Wyszedłem z założenia, że w alogicznych okolicznościach każdy system nieuchronnie się załamie, dlatego też trzeba liczyć na improwizację. Krótko mówiąc, przyjąłem taktykę obrony okrężnej i szukając słabego miejsca przeciwnika organizowałem wypady we wszystkich kierunkach naraz.

Wspominam o niektórych z nich z ironicznym uśmiechem. Na przykład papierosy Pierre Cardin, te białe z zielonym paskiem, które wychodząc z domu zostawiałem gdzieś na widoku, w pełnym albo napoczętym pudełku, jakbym zapraszał do poczęstowania się nimi. Jeszcze naiwniejsze było rozciąganie nitek w pokoju i korytarzyku. Trzeba jednak przyznać, że zarówno nitki jak i papierosy zawsze pozostawały w stanie nienaruszonym, co w żaden sposób nie wpływało na pojawianie się lub nieobecność mentolowego zapachu w mieszkaniu. Papierosy pozostawały nie rozpakowane nawet wtedy, gdy znajdowałem świeży niedopałek.

Poprzedni akapit może razić swoją banalnością, ale będzie to odczucie bardzo dalekie od prawdy. Dość powiedzieć, że zacząłem palić. Miało to także praktyczny sens, bo żeby pozbyć się sensacji zapachowych, paliłem tylko mentolowe papierosy. Przystąpiłem do gry, ale nie znałem ani jej prawideł, ani stawek, chociaż czułem przez cały czas, że stawki będą wysokie.

Powtarzam, postępowałem nielogicznie i na oślep, ale teraz, u schyłku października, mogę te eksperymenty usystematyzować.

Pierwszą ich grupę umownie nazwałem telefoniczną. Na ogół telefon zachowywał się wzorowo. Nie licząc paru pomyłek, odzywał się jedynie głosem Nataszy, piersiowym i z lekką zadyszką. Moja przyjaciółka niczego się nie domyślała, a dzięki mojemu paleniu nie miała podstaw do podejrzeń związanych z mentolowym zapachem. Przyznaję, że czułem samozadowolenie: pożądałem jej i bez względu na wszystko rytuał naszych schadzek nie zmieniał się – jak poprzednio, zaczynał się kupnem tradycyjnych dwóch butelek wina i kończył się wyborem trasy na podświetlonej mapie Europy.

Boże, jakie to teraz ma znaczenie...

Niewątpliwie nie należało ograniczać się jedynie do obserwowania telefonu. Regularnie wykręcałem swój numer z budki telefonicznej podczas spacerów. Mieszkanie odpowiadało długimi sygnałami. Czasem słyszałem krótkie, ale to było bez znaczenia, bo telefon był sprzężony z sąsiedzkim i jeśli tam rozmawiano, to mój był zablokowany. Stosowałem też pewne kombinacje: odczekiwałem dziesięć długich sygnałów, którym odpowiadało dziesięć dzwonków mojego białego aparatu telefonicznego, następnym razem było to osiem albo siedem... Posyłałem swemu potencjalnemu gościowi sygnał: podejrzewam, że jesteś u mnie, może byś podniósł słuchawkę... Ale wynik zawsze był jednakowy.

Na kufrze zostawiałem przyciśniętą przez mosiężnego Sziwę kartkę o mniej więcej takiej treści: kimkolwiek jesteś, proszę na przyszłość o swoich wizytach informować wcześniej, abyśmy się nie znaleźli w dwuznacznej sytuacji. Wnioskując po świeżym zapachu papierosowego dymu, moje posłanie zostało przeczytane i pozostawione bez odzewu.

Podobnie rzecz się miała z „zapomnianym” przeze mnie na stole kompletem kluczy.

Niczego nowego nie wykrył zamaskowany wśród książek miniaturowy magnetofon.

Najbardziej wyczerpujące były eksperymenty z wizjerem. Wychodząc na wieczorny spacer albo odprowadzając Nataszę nie wyłączałem światła w przedpokoju. Wracając naciskałem guzik dzwonka. Mój niezawodny pluszowy wartownik zanosił się szczekaniem, w którym pobrzmiewały zaniepokojenie i poczucie winy, a ja, napięty jak struna, aż do bólu w oczach wpatrywałem się w oczko wizjera, pośrodku którego świeciła jasna kropka. Mogła zgasnąć w dwóch sytuacjach: gdyby ktoś wyłączył światło albo przycisnął doń swoje oko z tamtej strony drzwi. Kropka nie zgasła ani razu.

Przed snem również korzystałem z usług judasza, ale będąc już w znacznie lepszej sytuacji. Kiedy zakładałem łańcuszek, przyciskałem oko do wizjera i oglądałem ściśnięte przez soczewkowate szkiełko drzwi dwóch sąsiednich mieszkań, klatkę schodową i część schodów. Nikogo tam nie było, ale nieraz miałem nieodparte wrażenie, że tak samo uważnie jak ja, w tym samym momencie, ktoś patrzy na mnie przez swój wizjer, jakbym to ja stał na klatce przed zamkniętymi drzwiami. Przy czym, takie odnosiłem wrażenie, mój obserwator znajdował się za moimi plecami. Pokonując strach gwałtownie oglądałem się i z posępną ironią mówiłem do siebie: „Mój dom to moja twierdza”.

Najważniejszą grupę stanowiły doświadczenia związane z gramofonem. Stąd bowiem ciągnęła się wątła nić do jako takiego wyjaśnienia sytuacji, zakładnikiem której się stałem. Fakt pozostawał faktem: po raz pierwszy mentolowy zapach pojawił się, kiedy kupiłem płytę z utworami Chopina.

Przeprowadziłem setki najróżniejszych prób z odtwarzaczem: dziesiątki razy przesłuchałem każdą z moich płyt; nastawiając Chopina wychodziłem z domu i nagle wracałem; przenosiłem odtwarzacz do kuchni albo korzystając z przedłużacza do łazienki... Nie powiedziałbym, że posunąłem się istotnie do przodu. Sprawozdanie z tych doświadczeń zmieściłoby się w dwóch, trzech zdaniach. Zapach papierosów pojawiał się w mieszkaniu wyłącznie przy odtwarzaniu preludium nr 15. Ale mógł się też nie pojawić przy „deszczowym preludium” – ścisłej zależności badania nie wykazały. Inna rzecz, że podczas odtwarzania innych melodii możliwość wyczucia zapachu równała się zeru.

Pytań było znacznie więcej niż odpowiedzi.

Brakujące odpowiedzi próbowałem znaleźć w swojej biblioteczce.

Na kilka wieczorów zaprzątnęła moją uwagę książka, której autora rekomendowano jako ucznia Heleny Bławatskiej. Z początku wydawało mi się interesującym stwierdzenie, że sednem mężczyzny jest miłość, a jego obliczem mądrość, zaś sednem kobiety jest mądrość, a obliczem miłość. Nawet miałem o tym dyskusję z Nataszą.

Z tej samej książki dowiedziałem się, że oprócz znanych wszystkim pięciu zmysłów, każdy z nas posiada dodatkowo jeszcze czterdzieści dziewięć innych, z których współczesny człowiek nie korzysta – na przykład z umieszczonego na potylicy wszechwiedzącego trzeciego oka.

Ze znacznie większą powagą czytałem o świecie astralnym lub inaczej duchowym, gdzie też toczy się życie człowieka, równolegle do tego w świecie fizycznym.

Zakładając, że śpię, czyli, inaczej mówiąc, znajduję się w świecie niematerialnym, otrzymywałem możliwość sprytnego wyjaśnienia swojej sytuacji. Ale moje życie płynęło w świecie realnym i wyczuwalnym w każdej sekundzie – w świecie z mińskim obrzeżem, wiecznie nietrzeźwym Leonem, smakiem wina, aksamitem ciała Nataszy... i zapachem mentolowych papierosów...

Po tysiąckroć miał rację filozof, nazywając człowieka istotą zdolną przyzwyczaić się do wszystkiego. Abstrahując od tego zapachu, powiedziałbym, że życie w październiku wróciło na swoje tory. Udało mi się skończyć jedno opowiadanie i przygotować szkic następnego. O niczym nie zmąconej radości spotkań z Nataszą już wspominałem.

Odprowadzając swoją przyjaciółkę do trolejbusu, wybierałem taką drogę powrotną, żeby mieć na oku swoje okno, jednak ani razu nie zauważyłem niczego podejrzanego. Zatrzymując się na klatce schodowej pomiędzy pierwszym a drugim piętrem, a potem koło mieszkania, zamieniałem się w słuch, ale spoza moich drzwi nie donosiły ani melodia, ani żadne inne dźwięki. Zdarzało się, że zapach dymu w mieszkaniu był intensywniejszy od tego, który pozostawał po wypaleniu przeze mnie obowiązkowego papierosa przed wyjściem. W takim wypadku, po rozebraniu się do snu, wyciągałem z paczki jeszcze jednego papierosa. Jednak zdarzały się wieczory, kiedy nie by-

ło takiej potrzeby i wewnątrz mnie coraz donośniej brzmiał głos przekonujący, że resztki popiołu w oczodołach jednorogiego diabła, podobnie jak włączony nie moją ręką wentylator, cienie za matowym szkłem i cała reszta, jeśli nawet nie były urojeniem, to odpłynęły już na zawsze. Czasem wsłuchiwałem się tylko w ten kojący głos, a czasem dołączałem do niego, wspominając prostą radę: zostawcie nieprzyjemności w pociągu odjeżdżającym do dnia wczorajszego.

Notuję to wszystko tak drobiazgowo, bo chcę – co wydaje mi się niezwykle istotne – namalować najbardziej wiarygodny obraz swego ówczesnego stanu psychicznego.

Październik był pogodny i śliczny. Wróciła mi równowaga duchowa i eksperymenty przeciągały się już tylko siłą bezwładu. Nauczyłem się blokować zawczasu nieprzyjemną myśl, że ktoś równolegle przeprowadza doświadczenia na mojej osobie, zaplanowane i podporządkowane własnemu rytmowi i ścisłemu rozkładowi.

Zdaje się, już pisałem, że okres eksperymentów skończył się pierwszym snem, który nie był *podróżą* w pełnym znaczeniu. Zgadzam się, brzmi to i niejasno, i górnolotnie. Doświadczenia wymagają konkretów i dowodów materialnych, dlatego nanoszę poprawkę: ten okres skończył się niedopałkami papierosów ze śladami szminki.

Znowu był piątek, dzień w którym ja i Natasza cieszyliśmy się sobą dłużej niż zazwyczaj. Od rana siąpił deszcz. Natasza uwielbiała taką pogodę. Razem nigdy nie było nam smutno ani przy stole, ani w łóżku, a w deszczowe dni dzięki Nataszy piliśmy jak gdyby z ciągle pełnych kielichów. Jej fantazja obowiązkowo wyczarowywała coś niezwykłego w kuchni. A jeszcze bardziej pikantne potrawy moja przyjaciółka serwowała w łóżku, które podczas deszczu nazywała romantycznie karawelą.

Tego dnia nasza karawela przy akompaniamencie kropel bębniących o parapet płynęła pod pełnymi żaglami...

Z domu wyszliśmy około dziewiątej, ale po drodze zaczęliśmy się całować pod parasolem i nic nie mówiąc wróciliśmy z powrotem. Trzymałem Nataszę za rękę, patrzyłem na mokre, ciemnobursztynowe liście pod nogami i po raz pierwszy pomyślałem, że mogłoby nam iść gładko nawet gdybym nie musiał odprowadzać jej wieczorem na przystanek.

W przedpokoju, jakbyśmy się spotkali po długim rozstaniu, straciliśmy dech od długiego pocałunku.

Jestem pewien, że nasze fizyczne wcielenia, ludzkie ciała, też posiadają dar przewidywania i bywają czujniejsze od duszy. Tego wieczoru nasze dusze łagodnie drzemały, a ciała... A ciała, czując bliskie rozstanie, rzuciły się w wir pożegnania.

Nataszo, przyjaciółko moja, pewnie nigdy nie przeczytasz tych stronic, ale jeśli jednak tak się zdarzy, to wiedz, że kiedy po raz drugi szliśmy na przystanek, bez parasola, szybko, jak gdyby uciekając, a ja starałem się myśleć, że po twojej twarzy spływają nie łzy, ale krople deszczu, nie usłyszałaś ode mnie ani jednego kłamstwa.

To prawda, że z żadną inną kobietą przed tobą nie czułem się taki męski, nie byłem samym sobą w takim stopniu...

Ale prawdą jest i to, co zaszło, gdy zapaliliśmy światło.

Natasza podniosła się z łóżka i przeszła się po pokoju w pełnym rozkwicie swojego kobiecego piękna.

Na bordowym obrusie stały kieliszki, zielona butelka z niedopitym winem i popielniczka. Natasza przeniosła kieliszki na biurko i wróciła po diabła z obtłuczonym rogiem. Podziwiałem jej ciało aż do chwili, gdy postawiła popielniczkę pełną niedopałków na skraju blatu i odwróciła się do mnie ze zmieszanym wyrazem twarzy.

– Mogę cię o coś zapytać? – powiedziała głosem napiętym jak struna.

Usiadłem.

– Malujesz sobie usta?

– Nie rozumiem... – Teraz ja poczułem zmieszanie.

– Więc powiedz mi, co to jest?

Wybrała kilka niedopałków, położyła je na dłoni i, jakby czegoś się obawiając, podeszła do mnie.

To było pięć lub sześć, wypalonych zaledwie do połowy albo zgaszonych od razu po zapaleniu, papierosów Pierre Cardin z trzema cienkimi obwódkami – dwie złote, a pośrodku zielona – na których czerwieniły się ślady szminki.

Poczułem się zupełnie bezsilny.

– Zaraz ci to wytłumaczę...

Złapałem ją za rękę, gorączkowo myśląc, od czego by zacząć – od Chopina, mentolowego zapachu, cieni za drzwiami? – i nienawidząc siebie za to, że do tej pory o niczym jej nie wspomniałem.

Natasza wyrwała rękę i zaczęła się pośpiesznie ubierać.

– Nie musisz mnie odprowadzać! – wykrzyknęła z przedpokoju.

Szliśmy pod ukośnymi strugami deszczu, a ja mówiłem jej o jej głosie, o tym, że oprócz niej nie mam nikogo, że w poniedziałek będę czekać na jej telefon, ale przez cały czas nie opuszczało mnie przerażające pytanie, co lub kto czeka na mnie w domu.

„Deszczowe preludium" słychać było już na pierwszym piętrze.

Niewiele brakowało, żebym obok butelki koniaku postawił nie jeden, ale dwa kieliszki. Sziwa leżał na stole w takiej pozycji, jakby go ktoś przed chwileczką oglądał i nie miał czasu odstawić z powrotem na półkę. Gramofon był wyłączony, ale w popielniczce leżał nie zgaszony papieros. Wszystko świadczyło o tym, że opuszczono mieszkanie na kilka sekund przed moim przyjściem, możliwe, że w tym samym momencie, kiedy wkładałem klucz do zamka.

Teraz byłem już zupełnie pewien, że gość był tylko jeden i że to była kobieta.

Tak, niewątpliwie kobieta, do tego młoda, o czym świadczyła nie tyle jaskrawa szminka na ustniku papierosa i po raz pierwszy domieszany do mentolowego dymu delikatny zapach drogich perfum, co obecność w powietrzu czegoś bardziej istotnego od najbardziej wyrafinowanych zapachów. Spróbuję skonkretyzować... Powietrze, jego cząsteczki przesycone były lekką ozonową świeżością, jak po gwałtownej letniej nawałnicy.

Pociągnąłem spory łyk koniaku i zapytałem bożka w myślach, czyje ręce trzymały go przed pięcioma minutami. Sziwa zrozumiał moje milczące pytanie i pokazał wyłupiastymi oczyma na cytrynowy tom Akutagawy.

Wątpliwości rozwiały się: na dziecięcym rysunku znajdowało się moje okno.

TO NIE MOŻE
DŁUŻEJ TRWAĆ
NIE MOŻE

– krzyczały krzywe wielkie litery.

Piłem koniak, paliłem jednego papierosa za drugim i pozostając całkiem trzeźwym czułem, że wydzielona mi krótka przerwa na odpoczynek skończyła się: trzeba przygotować się

do czegoś innego i nie dać się ponieść nerwom, jak mój nieznany poprzednik, który drżącą ręką napisał tych siedem rozpaczliwych słów i chyba nieprzypadkowo znalazł dla nich schowek w „Życiu idioty"...

Po północy ułożyłem się w łóżku tak, żeby po przebudzeniu widzieć matowe drzwi, wyłączyłem górne światło, pozostawiłem podświetloną mapę i zamknąłem oczy.

To może wydawać się dziwne, ale noc minęła spokojnie.

Nie budząc się spałem aż do rana, kiedy znowu poczułem w pokoju znajomą ozonową świeżość. W przeciwieństwie do wieczoru, w powietrzu nie było ani smużek mentolowego dymu, ani zapachu perfum, jedynie fitocydowe strumyczki ozonu, jakby przed chwilką opuściła mnie młoda kobieta.

Zamknąłem oczy i usiłowałem przypomnieć sobie, co mi się śniło.

Próba zakończyła się niemal całkowitym niepowodzeniem. Pod opuszczonymi powiekami nie pojawił się żaden spójny wątek. Ale ciało przechowywało resztki snu, jego ledwie dostrzegalne srebrne włókienka. Niewyraźne, przesłonięte poranną rzeczywistością wrażenia usiłowały powiedzieć mi o delikatnych ciepłych dłoniach i szybkich, podobnych do dotyku motyla pocałunkach. Moje jestestwo wiedziało: te nieważkie dotknięcia miały ciąg dalszy, ale ten gubił się w słodkiej nieprzejrzystej smudze...

Na pozór ta sobota nie wyróżniła się niczym szczególnym oprócz tego, że Leon napił się do nieprzytomności, spadł ze schodów i złamał sobie rękę. Dałem sobie słowo – co wcale nie miało związku z tym wypadkiem – że nie będę pił nic mocniejszego od wina.

Swój stan wewnętrzny określiłbym słowem „oczekiwanie". „Coś powinno się wyjaśnić" – świergotały wróble na bezlistnym jesionie pod moim oknem. „Wyjaśni się..." – podśpiewywały rury z wodą. I nawet niemy zegar ścienny przypominał o tym po swojemu, bowiem w kolejności wyświetlania się zielonych cyfr znikła nudna monotonia, a pojawiła się tajemniczość.

Szóstym zmysłem albo może wszystkimi czterdziestoma dziewięcioma zmysłami postrzegania, o których czytałem u ucznia Bławatskiej, przeczuwałem... Co? Ubrać to przeczucie w słowa było niemożliwe. Teraz, bogatszy o wiedzę o przyszłości, mogę powiedzieć konkretniej: podświadomie czułem, że

trafiłem do neutralnej strefy granicznej, za którą leży terytorium o innych prawach.

Czułem Jej bliską obecność.

Przypuszczalnie ktoś zechce ironizować z wielkiej litery, dlatego powiem, że ma ona czysto funkcjonalną rolę. Pewnie nie uwierzycie, ale do tej pory nie znam Jej imienia.

Ale wkrótce, już wkrótce się dowiem...

Wróćmy do tamtej soboty.

Przez cały dzień nie mogłem znaleźć sobie zajęcia, które by mnie zrelaksowało. Bezcelowo przerzucałem rękopis. Nastawiłem płytę z piosenkami Beatlesów i prawie od razu zamieniłem ją... wiecie na co. Igła raz po raz opuszczała się na czarny krążek z Preludium nr 15 Des-dur, jednak żaden zapach nie zmaterializował się i w tym też dostrzegłem znak. (Wybiegając naprzód pragnę zauważyć: od owego dnia do chwili, w której piszę te linijki, w ścianach mojego mieszkania, mianowicie w ścianach, nic transcendentalnego się nie zdarzyło, chociaż, jak później się przekonacie, takie stwierdzenie wymaga komentarzy.)

Dwa albo trzy razy zadzwonił telefon. Słuchawka milczała, potem na drugim końcu przerywano połączenie. Najprawdopodobniej numer wykręcała Natasza. Dzwonki na jakiś czas zaprzątnęły moje myśli, więc ułożyłem dla Nataszy bajeczkę o sąsiadce z góry, której zostawiłem komplet kluczy na wszelki wypadek.

Wieczorem, żeby się zmęczyć, doszedłem na piechotę do samego centrum. (Wkrótce takie długie spacery staną się nieodłączną częścią każdego dnia, bo trudno będzie wymyślić lepszy wstęp do nocnych podróży.)

Przed snem, po raz pierwszy od czasu pojawienia się cieni za matową szybą, nie zamknąłem drzwi do przedpokoju, a poduszka pozostała na swoim miejscu pod boazerią z przyciskami. Nacisnąłem przycisk zielonego podświetlania i odczuwając lekkie łamanie w nogach z powodu przebytych kilometrów wyciągnąłem się pod kołdrą. Zielone cyferki w okienku elektronicznego zegara pokazywały północ.

Płynęliśmy po ciepłej zatoce jeziora. Wiosłowałem. Ona zbierała białe lilie. Krople wody jeszcze nie wyschły na muśniętych oliwkową opalenizną ciałach. Kierowaliśmy się ku brzegowi, lecz nie jeziora, a wyspy. Lesisty brzeg jeziora niebieszczał w gorącym, drżącym powietrzu daleko za nami.

Stamtąd łódź przywiozła trzeciego pasażera – gawrona z przetrąconym skrzydłem. Mokry i wyczerpany ptak został uratowany przez Nią na początku pływania. Teraz gawron obeschnął i siedząc na dziobie za moimi plecami uważnie przyglądał się, jak przybijamy do lądu.

Łódź zazgrzytała o żwirowane dno. Zeskoczyłem do wody, chwyciłem za łańcuch, wyciągnąłem dziób łódki na piasek i zamierzałem pomóc naszemu pasażerowi w zejściu na ląd. Gawron nie wyraził zgody. Niezgrabnie przeskoczył przez burtę i powłócząc po piasku wachlarzem skrzydła pokuśtykał w wierzbowe zarośla.

To chyba nie było prawdziwe jezioro, lecz sztuczny zalew: na wyspie znaleźliśmy zdziczały jabłoniowy sad z krzakami dojrzałych żółtych porzeczek. Najstarsza i najbardziej rozłożysta jabłoń rosła samotnie z boku. W jej cieniu uklękliśmy naprzeciwko siebie. Tego, co się stało później, nie sposób opisać słowami, bo jakiekolwiek z nich mogłoby zdewaluować harmonię i stopień zespolenia naszych ciał, które przepełniła niepohamowana żądza stania się jednością...

Za oknem zaczynała się niedziela. Wszystkie rzeczy znajdowały się na swoich miejscach, a w mieszkaniu absolutnie niczym nie pachniało.

Twierdzenie, że obudziłem się świeży jak poranna stokrotka, nie byłoby prawdą. Leżałem na łóżku i czułem się jak pacjent budzący się z narkozy. Co prawda byłem pacjentem, który uciekł po zastrzyku anestezjologa albo któremu zapomniano zrobić operacji, więc spotkanie ciała ze świadomością obyło się bez bólu, a pojawiły się jedynie zawroty głowy.

Barwy snu nie zbladły ani po kawie, ani po przechadzce do kiosku z gazetami. Powiedziałbym więcej: gawrona, który zamiatał piasek chorym skrzydłem o fioletowym odcieniu i przed zniknięciem w łozinie popatrzył na nas zupełnie po ludzku, postrzegałem bardziej realnie niż znajomą kioskarkę.

Nie dawało mi spokoju pytanie: czyżby przez cały wczorajszy dzień moje jestestwo czekało akurat na to? Na ten nadzwyczaj plastyczny i przyjemny, powiedziałbym że nawet hiperrealny, ale przecież tylko sen? Jeśli odpowiem twierdząco, to co miałaby znaczyć jego symbolika?..

Tok myśli przerwał dzwonek telefonu. Aparat przemówił moim najbardziej ulubionym głosem. Natasza obiecała przyje-

chać nie później niż za pół godziny. Nie spotykaliśmy się nigdy w weekendy. Nie miałem powodu odmawiać, jednak po raz pierwszy w historii naszej znajomości w duszy nie pojawiła się znajoma radość.

Pół godziny wystarczyło, żeby pójść po wino i zrezygnować ze zmyślonej na chybcika bajeczki o sąsiadce i kluczach.

Natasza przyjechała taksówką. Nie miałem zamiaru kłamać i jednocześnie nie chciałem, a tak naprawdę, to nie mogłem pozwolić sobie na opowiedzenie jej o Chopinie, mentolowym zapachu i wszystkich innych rzeczach. Wir zdarzeń wciągał mnie po swojej spirali coraz głębiej, należałem już do niego, a jednocześnie ten wir należał do mnie, był moją własnością, moją tajemnicą, której nie miałem zamiaru, a możliwe, że i prawa, z nikim dzielić.

Byłem wdzięczny Nataszy, że o nic mnie nie pytała, i mógłbym nazwać spotkanie naszych ciał wichurą pożądania i rozkoszy, ale byłaby to tylko połowa prawdy. Gdzieś po lewej stronie, blisko serca, czułem ostry kryształek, który powinien był się roztopić, jednak nie zniknął i nie stracił ostrych, lodowatych krawędzi.

Natasza włożyła szlafrok i poszliśmy do kuchni; następnie zjedliśmy obiad i odkorkowaliśmy butelkę czerwonego wina, a potem nadeszła ta niebezpieczna chwila, kiedy szlafrok szczelniej przywarł do ciała Nataszy, podkreślając wszystkie jej krągłości i wydał mi się zupełnie niepotrzebny...

A z lewej strony, przy sercu, mroził mnie kryształek, w którym było zakodowane to, co mnie rozdwajało: jedno moje jestestwo zostawało z Nataszą, a drugie z zainteresowaniem naukowca przyglądało się nam z dystansu, mierzonego nie w przestrzeni, a w czasie. Moje pierwsze ja kochało Nataszę, a moje drugie ja spoglądało na to z odległości kilku przyszłych dni i nie wróżyło nam żadnej przyszłości.

Przyczyna tego rozdwojenia skrywała się gdzieś obok, za najbliższym zakrętem, a wyjaśniła się, kiedy moja prawa ręka znowu objęła plecy Nataszy, a lewa spoczęła tam, gdzie lubiła leżeć najbardziej, odczuwając sprężystą jędrność pośladków.

Sen! Odpowiedź kryła się w dzisiejszym śnie, w łódce z liliami i uratowanym ptakiem, w tym, co się stało na trawie pod jabłonią, której liście wysychały i kurczyły się w promieniach palącego słońca...

Natasza ze zdziwieniem otworzyła oczy, a mnie udało się przemóc i wrócić z zielonej wyspy na łóżko.

Wtedy po raz pierwszy powiedziała, że może u mnie zostać do rana. Wiadomość zaskoczyła mnie, ale od razu zrozumiałem, że tego nie chcę. Starając się zachowywać naturalnie, delikatnie upomniałem ją, że nie uprzedziła mnie wcześniej, bo dzisiaj wyjeżdżam i odłożenie tej podróży było niemożliwe. Odwróciła się do ściany.

Kiedy głaskałem ją po plecach i niby małą dziewczynkę pocieszałem, że już we wtorek będę nasłuchiwać jej kroków na schodach, moje drugie ja przyglądało się tej scenie z niedowierzającym, kpiącym uśmieszkiem.

Na przystanku Natasza zapytała, o której mam pociąg. O 23.40, skłamałem bez zastanowienia.

Około północy zadzwonił telefon. Spojrzałem na siebie w lustrze i po krótkim wahaniu, z trzeźwą odwagą, podniosłem słuchawkę. Słuchawka przez chwilę milczała, a potem głosem Naszaszy życzyła mi szczęśliwej podróży.

Tej nocy oddzieliłem przeszłość od przyszłości. Tygodnie i miesiące z epigrafem zawierającym imię Nataszy należały teraz do czasu, który z moim mogła połączyć jedynie iskra krótkiego wspomnienia, pozostawiająca po sobie na krótko przyjemny dymek.

Po kilku dniach w skrzynce pocztowej znalazłem kopertę od Nataszy z jej kompletem kluczy i nastraszyłem nimi drzemiące żaby w parkowej sadzawce, którą listopadowe przymrozki zaciągały szkliwem. Ale to jeszcze nie było post scriptum do naszej historii. W szafie ściennej wisiał zielony szlafrok w kwiaty dzikiej róży. Pewnego razu zapakowałem go porządnie do torebki foliowej i „zapomniałem" na ladzie tego samego komisu, do którego parę razy zamierzałem odnieść gramofon.

Nie uczyniłem tego pod wpływem chwilowego kaprysu, ale miałem ważne powody, które wyjaśnię trochę później.

Od momentu, kiedy postawiłem kropkę na końcu poprzedniego zdania, minęło według niektórych oznak nie mniej niż cztery dni. Zegar zachowywał się coraz dziwaczniej, a iść do kiosku, żeby kupić gazetę i dowiedzieć się, jaki dzisiaj dzień, zupełnie mi się nie chciało. Takie długie podróże do tej pory nam się nie zdarzały. Nie wykluczam, że powinienem się po-

śpieszyć i nie zwracając większej uwagi na styl i kolejność skoncentrować się na najważniejszym.

Najważniejsze są podróże.

Podróże z Nią, które stały się treścią i sensem mojej egzystencji.

W nocy po rozłące z Nataszą, kiedy zrozumiałem, że nie chcę sklejać rozerwanego czasu, wracaliśmy z Wilna wzdłuż jeziora Naracz, gdzie droga powtarza skomplikowane konfiguracje wybrzeża. Ona siedziała za kierownicą i kiedy zobaczyła grupę łabędzi, zjechała z szosy. Nad cichą wodą rozesłaliśmy obrus, który potem stał się prześcieradłem. Białe ptaki ze zdziwieniem wyciągały długie szyje – był to ostatni zapamiętany przeze mnie obraz przed potężnym wybuchem rozkoszy.

Drugiej nocy trafiliśmy na Polesie. Zmienna bystra rzeka, której brzegi zdawały się płynąć po bokach naszej motorówki, wiosną stawała się nieposkromiona; nad wodą, jak to było we zwyczaju w tej krainie, siedziały kobiety z wędkami, a w przybrzeżnych trzcinach złowiłem maleńkiego, jak pięciokopiejkowa moneta, żółwika błotnego.

Czasami jadaliśmy kolację w niewielkich restauracyjkach, które w ostatnich latach pootwierano w byłych miejskich suterenach. Pamiętam maleńką fontannę ze złotymi rybkami teleskopami w jednym z tych zacisznych miejsc i miniaturową sadzawkę z parką raków w innym, gdzie obraz nad przytulnie trzaskającym kominkiem ukazywał perspektywę gotyckich wieżyc starego miasta. Do domu wracaliśmy na piechotę albo zatrzymywaliśmy taksówkę i już pierwszy dotyk Jej ręki na tylnym siedzeniu był obietnicą i zwiastunem...

I tamten zimowy wieczór na białej bezkresnej równinie, nad którą rozsierdzony wiatr gnał równolegle do ziemi rzadkie śnieżynki, ostre jak igiełki... A potem – nieoczekiwana radość – wielka wiejska izba, napalony piec i pierzyna na gorącym zapiecku.

Stan, kiedy rano czułem się jak po narkozie, już się nie powtórzył. Budziłem się z rozkoszną lekkością rozchodzącą się po całym ciele, a w żyłach płynęła nie krew, ale substancja z zaszyfrowaną formułą eliksiru młodości. Czułem się beztrosko jak w dzieciństwie, kiedy wszyscy wydają się nieśmiertelni.

A potem Ona znikła, czyniąc pustą najpierw jedną noc, potem drugą i trzecią. Pod koniec tygodnia moje serce ścisnęła tak

nieludzka tęsknota, że głośno prosiłem Ją, by wróciła, wychodząc z mieszkania pisałem kartki z jednym tylko słowem „Przyjdź" i bezustannie puszczałem płytę z preludium nr 15.

Wtedy też pozbyłem się szlafroka Nataszy.

Nie sądzę, aby ten krok miał wielkie znaczenie. Prawdziwej przyczyny Jej nieobecności chyba już nigdy nie poznam. Jednak Ona wróciła.

Wróciła i od tego czasu moje poranne pobudki straciły przejrzystą dziecięcą beztroskę.

Ale na razie powinienem więcej opowiedzieć o podróżach. Ich trasy, wątki i długość zmieniały się z dnia na dzień.

Wszystkich naszych wędrówek wyliczyć nie sposób. Wybiorę kilka, tym bardziej, że o niektórych nie mogę powiedzieć nic bliższego oprócz tego, że zapuszczaliśmy się niezmiernie daleko od miast zaznaczonych na mojej ściennej mapie i w ogóle od cywilizacji.

Pewnego razu Ona spała na moim ramieniu w Boeingu, przed którym wyrastał fantasmagoryczny lodowy brzeg Grenlandii. Smagły steward przyniósł koc, a ja szeptem poprosiłem go, by opatulił moją przyjaciółkę, ponieważ sam bałem się poruszyć, żeby Jej nie zbudzić.

Innym razem czekałem na Nią w pustym barze z tuzinem wysokich okrągłych stołków. Długo nie przychodziła i nie wiem dlaczego zgodziłem się zatańczyć z czarnoskórą barmanką w dżinsowej sukience z głębokim dekoltem. Znienacka policzki mojej partnerki z czarnych zrobiły się szaro-popielate, a ja obracając się w tańcu w stronę drzwi zobaczyłem Ją w ich słonecznym prostokącie. W ręku trzymała skierowany w naszą stronę damski pistolet. Potem piliśmy jasne piwo z wysokich kufli, a biały pistolecik leżał na stoliku obok zapalniczki i paczki mentolowych papierosów. Ona usiadła mi na kolanach i powiedziała, że chce kochać się ze mną właśnie tutaj, na oczach tej czarnej kusicielki.

I tamten prom przez kanał La Manche... Na morzu szalał sztorm. Kiedy myśmy mężnie walczyli z chorobą morską, dzieci w salonie dla pasażerów robiły zawody: kto przejdzie od drzwi do drzwi i nie upadnie.

Zdarzało się, że rozpoznawałem swoje ulubione miejsca w miastach, w których bywałem wcześniej: plac obok Domskiej Katedry w Rydze, barwne murowanki na ulicy Laj w Tallinie,

zameczek w węgierskim miasteczku na granicy z Austrią, którego nie nadszarpnął ząb czasu. Trasy wędrówek wybierała nie tylko Ona, co, przyznaję, zadowalało moją próżność, bo pośrednio świadczyło o naszej równości.

Zdejmowałem z półki książkę ucznia Bławatskiej i czytałem o świecie duchowym, który nie znał pojęcia czasu ani odległości. Dokładniej mówiąc, te pojęcia egzystowały i tam, ale zupełnie inaczej, i dlatego przenosząc się do tego świata we śnie albo na jawie, można było pokonać tysiące mil w ciągu sekundy, ziemskie stulecie pomylić z chwilką, a moment z wiecznością. Materia tego świata, twierdziła książka, jest na tyle elastyczna, że człowiek może tam stworzyć wszystko, co tylko zechce, siłą myśli. Innymi słowy, sam staje się formą własnej myśli, zyskując charakter, który odzwierciedla istotę jego pragnień i dążeń, przy czym wszystkie te iluzje w tym iluzorycznym świecie są tak samo realne, jak rzeczy w świecie fizycznym.

W książce z pozostawionymi przez kogoś zakładkami przyciągnęło moją uwagę zdanie, że kiedy w świecie fizycznym człowiek może ukryć swoją prawdziwą istotę, to w świecie duchowym jest to zupełnie niemożliwe. Tam człowiek trafia do tej sfery, która odpowiada jego rozwojowi duchowemu, i ten, kto przychodzi tam świadomie, prowadzi życie uzmysłowione, zaś w przypadku odwrotnym – kontynuuje taką samą egzystencję jak na ziemi, nawet nie domyślając się, gdzie przebywa.

Ale w ślad za rozważaniami metafizycznymi chciano mnie przekonać, że w świecie duchowym nie trzeba sobie gotować i troszczyć się o wszystko inne, bo ciało astralne otrzymuje wszystko niezbędne, gdy tylko stworzy w wyobraźni odpowiedni tego obraz. Autor książki nie bardzo chyba ufał w możliwość udoskonalenia natury ludzkiej, bo nie mógł się powstrzymać od uwagi, że mieszkańcy świata astralnego nadużywają danych im nieograniczonych możliwości, i dlatego tamten świat aż roi się od kryształowych zamków i innych realizacji ziemskich marzeń.

Im bardziej zagłębiałem się w lekturę, tym bardziej zjadliwy uśmieszek wpełzał na moje usta. Z moimi wędrówkami ten traktat miał tyle wspólnego, ile wspólnego z prawdą miały na przykład średniowieczne foliały głoszące, że nasi przodkowie byli jednookimi hiperborejczykami, którym sądzone było żyć wśród wiecznych śniegów i komunikować się wyłącznie z białymi niedźwiedziami.

Próbowano mnie przekonać, że mieszkańcy świata duchowego jakoby nie potrzebują światła słonecznego ani żadnego innego, bo sami są jego źródłem, a ja nie mogłem zapomnieć, jak rozpalaliśmy z Nią ognisko nocą w lesie ze wszystkimi ukrytymi w ciemnościach szmerami i strachami. Wmawiano mi, że posługują się tam jednym językiem, a ja dokładnie pamiętałem, jak w malutkiej kawiarence, do której weszliśmy się ogrzać i zamówiliśmy po dużej szklance grzanego wina, wszyscy oprócz nas mówili po niemiecku.

Nad kawiarnią był hotelik, gdzie zatrzymaliśmy się na noc. Za oknami wznosił się nie kryształowy zamek, ale zaśnieżona alpejska przełęcz; gospodyni podawała na śniadanie kawę ze swojską śmietanką, a w łazience na półeczce stał jodłowy dezodorant, który pojawił się tam, prawdę mówiąc, w zupełnej niezgodzie z potrzebami mojego astralnego ciała, bowiem ja wybrałbym zapach jaśminu.

Ona lubiła białe wino; w wioskowym sklepiku niespodziewanie odkryliśmy „Lorelei" o chłodno-wyrafinowanym bukiecie, które onegdaj kosztowaliśmy w Wilnie. Żeby znaleźć ten sklepik, trzeba było przez pół godziny schodzić w dół, w dolinę. Ścieżka wiła się wzdłuż nie zamarzniętego strumyka, który spadając ze skalnego występu spryskiwał podróżnych srebrną mgiełką. Akurat tam, koło wodospadu, przyszła mi do głowy myśl, że nasze szerokie hotelowe łóżko windowali na górę helikopterem. Wiedzieliśmy, że zanim wrócimy, gospodyni znowu zmieni w pokoju całą pościel i mocno napręży błękitne wykrochmalone prześcieradło, przypinając go błyszczącymi miedzianymi guzami.

O tym alpejskim hoteliku powinienem opowiedzieć bardziej szczegółowo z jeszcze jednego powodu. Od niego bowiem nasze wędrówki weszły w nową fazę.

Wówczas na moich peryferiach kończył się listopad. Wypiłem filiżankę kawy i wyszedłem na ulicę. Dzień był chłodny jak zimą, na zmarzniętej trawie bielały łatki śniegu. Zdziwiłem się, że ulice są takie puste, bo wczoraj wieczorem, kiedy kładłem się spać, była środa, czyli dzisiaj był normalny czwartek. Zaintrygowany ruszyłem w stronę kiosku. Na gazetach widniała sobotnia data.

Wynikało stąd, że spędziłem w łóżku nie jedną noc, ale dwa dni i trzy noce – akurat za tyle czasu zapłaciliśmy w górskim

hoteliku. Przy myśli „w łóżku” nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

Nie powiem, że opanowała mnie radość. Ale strachu też nie czułem. Potajemnie na to czekałem.

Nie mam czasu ani ochoty sprawdzać, co napisałem wcześniej, dlatego pewnie będę się powtarzać. Myśl o szaleństwie odrzuciłem jeszcze przed zerwaniem z Nataszą. O jakim szaleństwie mogła być mowa, skoro świat, do którego wracałem rano, postrzegałem całkowicie adekwatnie, niezależnie od tego, czy robiłem zakupy w sklepie czy też rozmawiałem z hydraulikiem albo z Leonem przychodzącym po kolejnego piątaka. Inna sprawa, czy chciało mi się wracać do tego świata.

Ale w listopadzie ten problem nie był jeszcze pierwszoplanowy. Wystarczała mi świadomość, że jestem wtajemniczonym wybrańcem. Czasem łapałem się na tym, że spoglądam na przechodniów z poczuciem wyższości, a czasem rozmyślałem o perspektywach otwierających się przede mną jako literatem dzięki moim podróżom.

Przebudzenie w sobotę zamiast czwartku stało się granicą, za którą wydarzenia potoczyły się innym rytmem i nowym torem. Muszę uściślić, że torów było jednocześnie kilka i że przez cały czas przeplatały się w skomplikowanych relacjach wzajemnych.

Po zdarzeniu w górskim hotelu kupiłem sobie zegarek na rękę, który pokazywał miesiące i dni tygodnia, i każdego wieczoru kładłem go na boazerii nad łóżkiem, żeby wiedzieć, kiedy wracałem. Nowy zegarek trzymał się ściśle tradycyjnych prawideł, czego nie dało się powiedzieć o starym.

Stary zegar zaczął wyczyniać cuda.

Jakiś tydzień po tym, siedząc przed telewizorem, kątem oka zauważyłem, że z zegarem ściennym coś się dzieje. Mój chronometr w stylu retro pokazywał 98.47. Poczekałem na zmianę ostatniej cyfry: 98.46. W tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi. Idąc otworzyć zdążyłem pomyśleć, że jeśli coś takiego dzieje się z czasem, zaraz zawita do mnie ktoś z wczorajszego lub przedwczorajszego dnia. Możliwe, że Leon przybył akurat stamtąd, ale mój sąsiad chciał ze mną wypić, więc według jego zamiaru nie mogłem w żaden sposób ustalić prawdziwego czasu.

Gdy odprowadzałem sąsiada do drzwi, w okienku wyskoczyły cztery zera.

Od tej nocy zacząłem odbywać podróże zarówno w czasie, jak i w przestrzeni.

Jeśli mam być dokładny, to za wędrówki w czasie można uznać już niektóre pierwsze spotkania, bo na przykład wtedy, kiedy kochaliśmy się pod wzrokiem łabędzi na brzegu letniej Naraczy, za oknami mojej kawalerki wirowały białe płatki śniegu. Teraz jednak te wyprawy były o wiele dalsze i bardziej ryzykowne.

Pewnego razu na ulicy mój wzrok zatrzymał się na wielkim wyborczym plakacie Lyndona Johnsona.

Wspomnę też o zdarzeniu w piwiarni, gdzie cienkim ciepławym piwem popijaliśmy gumowate wafelki, podczas gdy w telewizorze nad barem transmitowali mecz piłki nożnej z Bobbym Moorem. Tego wieczoru w piwiarni strzelano – co prawda nie do ludzi, a do futbolistów na ekranie. Zdaje się, że to było gdzieś w Ameryce Łacińskiej, bo Anglicy wygrywali z Argentyną na ich boisku, a tłem muzycznym do filmów reklamowych były tanga.

Czasem w określeniu czasu, w jakim się znaleźliśmy, pomagały modele samochodów i ubrania spotykanych ludzi.

Myślę, że nie pomylę się, jeśli powiem, że granic XIX wieku nie przekroczyliśmy. Z jednym wyjątkiem.

Byłem alchemikiem zamurowanym w laboratorium, by podczas bezsennych nocy odkryć wielką alchemiczną tajemnicę. Przez grube mury przenikały przygłuszone odgłosy ulicy: turkot kół po bruku, głosy kościelnych dzwonów, pomruki rozdrażnionego tłumu i krzyki w języku czeskim. To mogły być czasy Husa, a może XVI albo XVII wiek.

Ze światem łączyło mnie okienko w wewnętrznej ścianie, pod które Ona przynosiła mi w koszyku prostą strawę i butelkę wina. Wino podtrzymywało mnie na duchu, jednocześnie rozniecając ogień bezsilnej złości, która pewnego wieczoru osiągnęła swój zenit. Przewróciłem kocioł destylacyjny i rzuciłem się do tłuczenia butelek i buteleczek z reagentami, a potem z pięściami ruszyłem na nie otynkowane wilgotne ściany.

Wędrówki stawały się coraz bardziej rozgałęzione i skomplikowane: wchodziliśmy jakby po schodach i na każdym stopniu czekało nas spotkanie z nieznanym.

Wracaliśmy do już znajomych miejsc i okoliczności, głośno radując się starym przyjaciołom i poznając nowych, którzy uma-

wiali się z nami w letnich kawiarniach albo zapraszali bez żadnych ceregieli do siebie. Przeżywałem epizody z tuzinów innych egzystencji, ale nazwać je cudzymi nie miałem prawa, bo nigdy nie byłem jedynie bezstronnym obserwatorem w rodzaju widza filmowego, ale także ich uczestnikiem z krwi i kości.

Raz byłem młodszy, a raz o kilka lat starszy od swego obecnego wieku. Ale niezmiennie *byłem*, o czym przekonywało mnie pojawienie się dowodów rzeczowych z tych wędrówek: pięćdziesięciopesetowej monety, katolickiego krzyżyka na srebrnym łańcuszku...

Były nie tylko dowody rzeczowe, ale także nie mniej oczywiste inne świadectwa naszych peregrynacji. Znak pozostawiony przez Jej zęby koło mego lewego sutka. Pięści zbite do krwi w laboratorium alchemicznym...

Kiedy zobaczyłem krew zaschniętą na kostkach palców, odnalazłem we wcześniej wspomnianej książce odpowiedni akapit mówiący, że ciało w świecie astralnym swobodnie przenika przez ściany i wszelkie przeszkody fizyczne, i przeczytałem go ponownie z sardonicznym śmiechem.

Osobno, w dużym odstępie od innych, miałem sen o nietoperzach.

Były dwa nietoperze: większy i mniejszy.

Te istoty, które na jawie – od czasu, jak jeden z ich kuzynów zanurkował w moje kręcone włosy – nigdy nie wywołały we mnie nawet czegoś w rodzaju sympatii, we śnie przyjmowałem bez żadnego obrzydzenia. Wręcz przeciwnie, ich lot wydawał mi się pełen bezgłośnej gracji i harmonii. Na początku latały osobno, krążąc wokół siebie jak wielkie ciemne motyle, potem mniejszy nietoperz chyba się zmęczył, podczepił się z dołu do większego i ten przez jakiś czas go woził. Potem zapaliło się światło i zdałem sobie sprawę, że one latają w moim mieszkaniu. Piszę „one", ale w rzeczywistości „one" były jednocześnie nami, mną i Nią. Przyglądałem się nietoperzom z boku i jednocześnie czułem swój własny lot: raz lekki i szybki, a raz powolniejszy, ale nie mniej przyjemny, kiedy Ona czepiała się mnie swoimi łapkami.

Tak, to była moja kawalerka, gdzie wszystko znajdowało się na swoim miejscu i gdzie zarazem nastąpiły zmiany. W pokoju wydłużyły się ściany, bo znajome rzeczy z góry, gdzie krążyliśmy, wyglądały na znacznie mniejsze. Nagle podniosłem oczy

i zobaczyłem, że nad nami nie było sufitu, a tylko fioletowe niebo z wielkimi gwiazdami.

To odkrycie zmusiło mnie do zmniejszenia średnicy zataczanych kół, które wychodziły za granicę ścian, by móc stopniowo opaść w dół: do zegara w zakurzonej obudowie i jeszcze niżej do łóżka z odrapaną bordową boazerią, i stolika z dwóch taboretów, gdzie stały kieliszki z winem, a między nimi tkwiła zielona paczka papierosów. Na bezpiecznym pułapie lotu spojrzałem do góry i z ulgą zauważyłem, że gwiazdy przesłonił sufit.

Uparcie wykorzystuję termin „sen" zamiast „podróży". Lżej mi odpędzić zatrważającą myśl, że sen o nietoperzach był swoistą próbą.

Za żadne skarby nie chcę rozstawać się ze swoim ciałem. Ona powinna to zrozumieć. Nie może mnie nie zrozumieć, przecież wszystko zaczęło się od naszych ciał, które się odnalazły, wybrały siebie z niezliczonej ilości byłych i przyszłych wariantów.

Od naszych ciał, które stały się posłańcami i zwiadowcami dusz.

Teraz opowiem o tym, co do tej pory przemilczałem.

Póki co, ani razu nie próbowałem opisać mojej towarzyszki – ani z wyglądu, ani z charakteru.

Nie zdołam tego uczynić i dzisiaj, bo Ona przychodziła do mnie pod różnymi postaciami – jako zielonooka szatynka z okrągłym pieprzykiem pod brwią, albo jako srebrzysta szczupła blondynka z krótką „marsjańską" fryzurą, albo... Po co ta wyliczanka z zestawem wyświechtanych epitetów, jeśli dziesiątki twarzy nie zdołały ukryć tego, że to zawsze była Ona – za każdym razem to były jej poziomkowe sutki, jej doskonale znane moim palcom kręgi, jej łono, które nazywałem imieniem małego pieszczotliwego zwierzątka, jej usta, które doprowadzały moją krew do stanu wrzenia.

Pamiętam jak w zimowym alpejskim hoteliku, patrząc z rana na jej nagość, modliłem się, aby czas się zatrzymał dla jej ciepłego, oliwkowo-różowego ciała, dla długich i szczupłych, ale jednocześnie mocnych i zgrabnych nóżek, dla piersi z delikatnymi ciemnymi czubkami, dla nienagannych pleców z równiutkim słupkiem kręgosłupa, dla dwóch prężnych, jakby utoczonych z marmuru pośladków, i dla wszystkiego innego, co miałem przed oczyma...

To było niezmiennie Jej ciało, które w ciemnościach promieniowało miękkim światłem i unosiło się w nim w stanie kosmicznej nieważkości, a zarazem było ziemsko ciężkie i wypełnione soczystością, jak ananasowe jabłko nagrzane słońcem. Jej światło było cząstką tego ciepła, jego emanacją, i nie miało niczego wspólnego z widmowo-chłodnym świeceniem opisanym w kłamliwej książce o świecie astralnym.

Charakter? Był zmienny jak Jej twarz, jak powierzchnia rzeki, która płynąc w leniwym zamyśleniu nagle się budzi, staje się kapryśna i swawolna, zaczyna uderzać o trawiaste brzegi usiane niezapominajkami, a za zakrętem, za kępą olszyny, znowu zmienia się w elegijną i cichą, nabierając siły i pewności przed długą płycizną. To wszystko – podwodne prądy, podstępne topiele i ciche zatoczki ulubione przez ważki – było wciąż tą samą, czystą, leśną rzeką.

Chyba popadam w przesadny sentymentalizm... Przecież to nie utwór literacki.

Ale w rzeczy samej – jak nazwać ten rękopis? Przeciwko określeniu „testament" protestuje całe moje jestestwo. Dziennik? Diariusz? Notatki z podróży? Sprawozdanie z wyprawy?

Spełniam powinność literata, a cała reszta – określenie gatunku literackiego i, powiedzmy, diagnoza ostateczna – nastąpią bez mojego bezpośredniego udziału, możliwe, że akurat w momencie, gdy dotrzecie do tej stronicy.

Jej imię? Nadałem Jej imię po naszych pierwszych wędrówkach, ale nie chcę go tu wymieniać, bo tak naprawdę do dzisiaj go nie znam.

Ale czy to ma jakiekolwiek znaczenie wobec faktu, że Ona jest *moją* kobietą.

Jestem tego pewien nie mniej niż faktu, że jestem mężczyzną i że każdy nowy dzień zbliża mnie do podróży, która będzie moją najdłuższą, do podróży, w której Ona otrzyma stałe oblicze i wreszcie wyjawi mi swoje prawdziwe imię.

Nie wspominałem jeszcze, że każda wędrówka kończyła się zbliżeniem. Nawet tam, w obcym mieście i stuleciu, gdzie byłem alchemikiem w kamiennej celi, w południowo-zachodnim rogu której ze złośliwą równomiernością kapała woda. Kiedy w rozpaczy rzuciłem się z pięściami na ściany, Ona wyjęła kilka cegieł pod okienkiem, przez które podawała mi jedzenie, i wcisnęła się do rozbitego laboratorium, żeby nasmarować arniką moje poka-

leczone ręce oraz oddać mi się na twardych leżach przy chropawej ścianie pociągniętej zielonymi smugami pleśni.

Kochaliśmy się także w hotelach i przesiąkniętej zapachem cynamonu białej murowance nad morzem, do którego prowadziły dokładnie trzydzieści dwa stopnie wykute w skale. Nasze ciała przeplatały się, zlewając się w jedną wieloręką, wielonożną i wielooką istotę, na szerokich i wąskich łóżkach, na puchowych pierzynach i zdezelowanych kanapach z kłującymi sprężynami, w fotelach i na półkach w pociągu, w ciemnościach i przed uważnymi lustrami w starodawnych ramach, ukazującymi najskrytsze sekrety naszego rozkosznego szaleństwa. Nie uwierzę, że Ona mogła zapomnieć tamten przedział i stolik, o który opierała się łokciami, i słoneczne zajączki, które skakały po nagości Jej piegowatych ramion, i okrągłe ze zdziwienia oczy staruszka, który stał z rowerem na przejeździe kolejowym.

Oddawała mi się w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Pewnego razu była to platforma widokowa ponad neonami reklam nocnego miasta. Innym razem zaciemniony dalekobieżny autobus z kilkoma sennymi pasażerami na przednich siedzeniach.

Słowa bywają bezsilne i nigdy nie wyrażą przenikającej na wskroś rozkoszy dotyku i tego, jak coraz wyżej wznosi się kwiat przerywanego oddechu i jak potem opada płatkami jęków.

Nigdy wcześniej nie znałem kobiety zdolnej do ofiarowania mi takiej gamy doznań i uczuć. Jeśli słyszeliście o Heraklicie z Efezu, nie będzie wam ciężko zgadnąć, jak parafrazowałem jego słynne powiedzenie w odniesieniu do naszych podróży.

Każde nowe zbliżenie było podróżą w podróży. Kiedy nasze ciała uczyły się lewitować... Kiedy trzymając Ją w ramionach mknąłem po rzece, po jej rzece, w lekkim kanoe z ostrym dziobem... Kiedy nienasycenie jej ust rodziło pragnienie rozdwojenia i roztrojenia, żeby zatracić się w niej do końca...

Kiedy czułem, jak odradzają się moje obumarłe w dzieciństwie komórki...

Możliwe, że już o tym pisałem, ale powtórzę: niekończący się ciąg podróży przypominał wznoszenie się – od czegoś prostego do bardziej skomplikowanego, od czegoś zrozumiałego do tego, co trzeba po prostu przyjąć na wiarę.

W tę drogę wyruszyliśmy dawno temu w łódce z uratowanym ptakiem...

Starożytni Hindusi byli przekonani: pełne połączenie dwóch dusz może nastąpić tylko po zespoleniu ich ziemskich powłok.

Kiedyś szliśmy wiosenną ulicą naprzeciw wiatrowi z południa. Nie trzymaliśmy się za ręce, ale miałem uczucie, że wziąłem Ją za rękę, że nasze ramiona raz po raz dotykają się i wymieniają ciepło, i zrozumiałem: to przenikają się nasze aury.

Była pierwszą kobietą, która podarowała mi uczucie Wieczności. To uczucie pojawiało się, kiedy rytmy dwóch naszych jestestw stopniowo i nieuchronnie zlewały się w jeden harmonijny rytm, który zawierał w sobie wszystkie melodie wszechświata i sam przemieniał się w pulsujący wszechświat, żeby w końcu oślepiająco wybuchnąć i przywrócić mnie do rzeczywistości mojego mieszkania.

Tak, każde zbliżenie z Nią przenosiło mnie do moich czterech ścian. Zespolenie było biletem do domu, ale z opłaconą podróżą powrotną – z mojej rzeczywistości do jej, gdzie oczekiwały nas nowe odkrycia i eksplozje przywracające mnie do świata, który w coraz mniejszym stopniu mogłem nazywać swoim.

Życie podzieliło się na dwie części – to pierwsza kurczyła się nieuchronnie.

Pewnego ranka z radosnym, zupełnie niestrasznym strachem uświadomiłem sobie, że obce miasto, skąd właśnie wróciłem, jest bardziej realne dla zmysłów dotyku, zapachu i smaku niż akwaforta odwilży w ostatnich styczniowych dniach za oknem mojego pokoju.

Teraz niemal każdy dzień – jak gdyby istniała między nimi jakaś zmowa – dorzucał kolejne argumenty do sporu, do którego świata należę w większym stopniu.

Wspominałem o dowodach rzeczowych podróży, które zaczęły pojawiać się po nocy spędzonej w alpejskim hotelu. Ich kolekcję otwierał jasnoliliowy kwiat, cząstka suchego bukietu nieśmiertelników i maków ze stolika w pokoju, którego połowę zajmowało owo ogromne łoże dostarczone z doliny helikopterem.

A wczoraj rano wróciłem do domu z zegarkiem, na który spoglądam pisząc te linijki. Nie ma na nim ani jednej cyfry, trzy wskazówki poruszają się bezpośrednio nad wnętrzem mechanizmu, który ostentacyjnie ignoruje materię czasu, zmuszając

właściciela do wyznaczania godzin i minut przeważnie intuicyjnie. Nie przysiągłbym, że każda z tych trzech wskazówek ma zawsze jednakową prędkość. Raczej na odwrót.

To Ona zrobiła mi ten prezent w tureckiej dzielnicy Berlina Zachodniego, dokąd turystom raczej nie poleca się zaglądać po zmroku. Zaryzykowaliśmy i nic nadzwyczajnego nas nie spotkało, chociaż uznałem za stosowne zatrzymać taksówkę, by zgubić towarzystwa młodych Turków, którzy tłumnie opuścili pizzerię zaraz za nami, wpatrując się w Jej srebrzystą „marsjańską" fryzurę. Szczególnie nie spodobał mi się ten wysoki z blizną na lewym policzku, który każdym swoim spojrzeniem jak gdyby pozbawiał Ją części ubrania. W taksówce westchnąłem z ulgą, a Ona z chyba nie mniejszą ulgą zaciągnęła się papierosem.

Jeśli się nie mylę, pisałem o nowym zegarku. Przypuszczam, że lepszym określeniem będzie „kompas". Jestem absolutnie pewien, że lubię obserwować kolorowe kółka zębate – trzy niebieskie, dwa czerwone i kilka złocistych – obserwować i zgadywać, która jest teraz godzina i według jakiego czasu.

Dziś koło poczty spotkałem dawnego kolegę, który wydał się mi stworzeniem znacznie mniej realnym niż tamten rosły Turek.

Telefon w mieszkaniu dzwoni niewiarygodnie rzadko (na ogół ludzie mylą numer), ale kiedy raptem przypomną sobie o mnie w jakiejś redakcji, dziwię się bardziej, niż gdyby zadzwonili z tamtej piwiarni, gdzie kibic piłkarski wystrzelał cały magazynek w ekran telewizora nad barem.

Znowu znalazłem dziecięcy rysunek z koślawymi literami i zrobiło mi się żal jego autora. Potem pomyślałem, że i on miał możliwość podróżowania z Nią, i nawiedziło mnie nieznane wcześniej uczucie, które nie mogło być niczym innym jak zazdrością. Rozum podpowiadał mi, że nie można zazdrościć przeszłości, tego, co się odbyło przed „naszą erą", ale skłamałbym mówiąc, że się nie zamartwiałem i nie myślałem, że właściciel mojego mieszkania nie był pierwszy, i że to nie jego ręka nakreśliła rysunek na kartce z zeszytu. Na pewno było ich wielu – tych, którzy proponowali do wynajęcia i wynajmowali cichą kawalerkę, oraz tych, którzy z Nią podróżowali...

Jak widzicie, kiełkowało we mnie zatrute ziarnko zazdrości...

Ona musi należeć tylko do mnie.

Nie zamierzam zostawiać takich napisów jak mój bezradny

poprzednik i chować ich pomiędzy stronicami „Życia idioty", robiąc aluzje wątpliwej jakości.

Gdybym nie był literatem, z zadowoleniem zaniechałbym pisania tekstu, który czytacie. Ale mój zawód to pisanie i zamierzam zachować mu wierność do samego końca.

Byłoby nieuczciwie z mojej strony przemilczeć jedno zdarzenie, na pozór dosyć dziwne. Dzisiaj, po przypadkowym spotkaniu koło poczty, zachciało mi się przejechać windą. Chciałem wejść do kabiny, nacisnąć guzik i poczuć, jak za plecami z wieloznacznym buczeniem zamykają się dwie połówki drzwi – to pragnienie opanowało mnie na tyle mocno, że po pięciu minutach znalazłem się przy wejściu do najbliższego domu, który musiał mieć windę.

Winda była staromodna, jej drzwi zamykały się na zwykłą metalową klamkę pomalowaną na zielono. Z dziecięcą niecierpliwością wcisnąłem w głąb tabliczki wytarty guzik z numerem najwyższego piętra i stara, pokryta od podłogi do sufitu wulgarnymi napisami kabina popełzła w górę postukując na stykach.

Być może was też kiedyś nawiedzało przerażające uczucie, że zachowanie windy, którą akurat jedziecie, wychodzi poza ramy dozwolone instrukcją, i że mechanizm zbyt szybko nabiera rozpędu, grożąc nie tylko tym, że nie wypuści was na odpowiednim piętrze, ale że zawiezie znacznie wyżej od ostatniego piętra. Takie uczucie pojawia się czasem w wagonie metra, szczególnie jeśli poprzedniego dnia przeczytaliście powieść o pociągu, który nie wyjechał z górskiego tunelu. Ale w metrze są też inni ludzie i uczucie, że możecie przedostać się z jednej rzeczywistości do innej, nie jest zbyt mocne.

Gdy byłem sam w zamkniętej klatce windy, przeczucie takiej możliwości niezmiennie wyostrzało się, nierzadko wytwarzając strefę ssącej próżni w mojej piersi. Kiedyś z takich doświadczeń poczęło się moje opowiadanie o człowieku, który prowadził z windą niebezpieczną grę do czasu, dopóki ta nie przywiozła go do mieszkania, w którym spotkał swego sobowtóra.

Nie, dzisiaj nie spotkałem ani sobowtóra, ani niczego nadnaturalnego i wspominam o tym wydarzeniu tylko w celu dopełnienia obrazu.

Pedantyzm nie jest moją cechą charakteru, jednak staram się nie opuścić niczego istotnego, dlatego muszę odnotować jeszcze jeden istotny szczegół. Rzecz w tym, że nie znam Jej imie-

nia, ponieważ po powrocie ze swoich podróży po prostu nie potrafię go sobie przypomnieć. Muszę na razie pogodzić się i z tym, że nie jestem w stanie odtworzyć naszych rozmów nawet w ogólnych zarysach. W pamięci pozostaje jedynie wspomnienie młodego i urzekającego głosu, zdolnego uczynić przytulnym każde miejsce, w jakim się znajdziemy.

Można mi zarzucić, że uważając rzeczywistość podróży za bardziej realną od życia tutaj, przeczę samemu sobie. W rzeczywistości sprawa ma się inaczej. Po prostu istnieje strefa, do której będę miał wolny wstęp, kiedy uczynię ostatni krok. Można to porównać do uczuć człowieka, który wie, że wkrótce odzyska stracony słuch. Jak w tym wierszu:

I furtka do ogrodu
otworzy się sama
jak sennik
na zaczytanej stronicy...

Razem z tymi notatkami napisałem minimalnie niezbędną ilość listów. Wyśle je znajomy, który nie zapomniał mojego numeru telefonicznego.

Uprzedziłem ją – jestem gotów.

Możliwe, że stanie się to nie od razu, dlatego zbroję się w cierpliwość.

U któregoś z fantastów jest taka nowela. W mieście otwierają biuro turystyczne z ofertą wycieczki na inną planetę: jest zupełnie podobna do naszej, ale jak przekonują turystyczne prospekty, jeszcze nie dotknięta złem ziemskiej cywilizacji. Bohater kupuje bilet do tej idylli i razem z innymi chętnymi wsiada do autobusu, który wiezie ich nie na miejsce startu promu kosmicznego, ale na zwykłą leśną polanę. Zamiast komfortowej poczekalni widzą stodołę skleconą w pośpiechu ze świeżych desek, nieheblowane ławki i wysypaną trocinami podłogę. Ludzie cierpliwie czekają i wreszcie uświadamiają sobie, że zostali w klasyczny sposób nabici w butelkę. Bohater jest wśród tych, którzy otwierają drzwi i wychodzą. Po powrocie do autobusu widzi, jak stodołę zalewa błękitne światło. Ludzie biegną z powrotem, ale za drzwiami z krzywych desek spotykają ich jedynie puste ławki.

Ja nie wrócę do autobusu.

Nie będę udawać, że nie nurtuje mnie pytanie, czy moje łóż-

ko będzie puste czy też znajdą w nim moje ciało. Wiecie, jaki wariant bym wolał.

Dzisiaj wyjąłem z książki ucznia Bławatskiej ostatnią zakładkę: „W momencie śmierci, kiedy świadomość znajduje się już w świecie astralnym, a rozum pozostaje jeszcze w ciele fizycznym, w ciągu kilkunastu sekund człowiek przeżywa całe swoje ziemskie życie."

To nie o mnie.

Zawsze uważałem, że nagrodą jakiejkolwiek podróży jest powrót. Chcę kiedyś powrócić. Możliwe, że stanie się to podczas jednej z naszych wspólnych podróży i razem z Nią wypalimy tu rytualnego papierosa z zieloną obwódką na filtrze.

Mój rękopis zbliża się do końca.

Czuję się jak przed wyruszeniem w daleką podróż.

Zaraz nastawię płytę Chopina.

Nie znam Jej imienia, ale czuję, że bardzo szybko, może nawet jeszcze tej nocy, usłyszę je.

1996

Przełożyła Halina Maksymiuk



NOTA O AUTORZE

Uładzimier Arłou urodził się w 1953 roku w Połocku. Ukończył historię na Białoruskim Uniwersytecie Państwowym w Mińsku. Autor ponad 20 zbiorów opowiadań, esejów i impresji z podróży. Mistrz prozy historycznej. Wycyzelowany styl utworów zaprawionych ciętą ironią i soczysto-dosadnym humorem uczyniły go jednym z najbardziej popularnych pisarzy Białorusi.

SPIS TREŚCI



Pod patronatem Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego RP

***Kochanek jej wysokości* to zbiór piętnastu opowiadań, esejów i nowel, powstałych w latach 1985–2004. Mistrzowsko skomponowane, nie pozbawione humoru, szczypty ironii i cienia smutku, są owocem refleksji nad światem i ludzką naturą wspartych niezwykłą zdolnością wnikliwej obserwacji życia. Ich autor, Uładzimier Arłou, jest jednym z najbardziej poczytnych współczesnych pisarzy białoruskich.**

Cena 39,00 zł

ISBN 83-89185-13-X

